

PIERWSZY ROZDZIAŁ DZIEJÓW

I

Od bardzo dawnych czasów postać naszego kraju zmieniała się już niewiele. Uroczę wzgórza Mazur, Suwalszczyzny i Pomorza usypał i porzeźbił lodo-
wiec, który grubym płaszczem splezającym ze Skandynawii pokrywał ongi
Polskę i jakieś dziesięć tysięcy lat temu cofnął się ostatecznie. Nieco - to
znaczy około dwóch tysięcy zim - później Bałtyk, będący przez czas pewien
ogromnym jeziorem śródlądowym o wodzie słodkiej, odzyskał połączenie z
Atlantykiem i znowu stał się morzem.

Dawniej więcej było bagien, mokradeł i lasów, chociaż już tysiące lat temu
człowiek zaczął uprawiać urodzajne pola dzisiejszej Wielkopolski i Kujaw,
Małopolski, Śląska, Pomorza, Lubelszczyzny i ziemi sandomierskiej. Rzeki
bardzo zmieniały koryta, wody rzeźbiły powierzchnię ziemi, żłobiąc wąwozy i
jary. Wiecznie bura od piachu Wisła ukształtowała z niego całą, własną deltę.
Południowe wybrzeże Bałtyku wznosiło się kiedyś wyżej i sięgało dalej na
północ niż obecnie.

Przemiany te, pozornie uderzające, mało jednak znaczą w porównaniu z
tamtymi wstrząsami w dziejach globu, które wydzwignęły Karpaty i Góry
Świętokrzyskie.

Dla badaczy i miłośników przeszłości narodu najważniejsze są jednak inne
zmiany na licu ziemi - zmiany drobne, gołym okiem niemal niedostrzegalne,
lecz dziejące się ciągle. One właśnie zrodziły zjawisko, którego przez setki lat
nie umiały rozwikłać najtęższe umysły ludzkie.

Sławny historyk polski Jan Długosz, piszący w wieku XV, na początku
swojego dzieła umieścił krótki rozdział: „Dwie rzeczy osobliwe w Polsce”.
Trzeba go przytoczyć w całości:

Dwie zaś rzeczy ma Polska cudowne i podziwienia godne, o których nie pojmuję, dlaczego
milczy Solinus, opisujący bardzo starannie inne ciekawości świata, ile że są prawdziwe i zasługują
na wzmiankę, jako dzieła twórczej potęgi przyrodzenia, nie późniejsze bynajmniej od tych,
które rzeczony Solin wymienia. Naprzód, iż na polach wsi Nochowa, blisko miasteczka Szreму, w

diecezji poznańskiej, tudzież we wsi Kozielsku, w obwodzie Pałuk, niedaleko miasteczka Łekna, rosną garnki wszelkiego rodzaju, same przez się, sztuką wyłączną przyrody i bez wszelkiej pomocy ludzkiej, kształtów rozmaitych, podobne do tych, jakie ludziom służą do domowego użycia; słabe wprawdzie i miękkie, dopóki spoczywają w ziemi i w swoich jamach rodzinnych, ale gdy z nich wydobyte, na wietrze albo słońcu stwardnieją, dosyć mocne. Są one rozmaitej postaci i objętości, niemal jakby sztuką garncarską wyrabiane; a co mi jeszcze dziwniejszym się wydaje, że plodność ich przyrodzona, jak uważano, nigdy się nie zmniejsza, chociaż ziemia nie była otwierana. Po wtóre, że w lasach, polach i borach miasteczka Potylicy tudzież wsi Hrabieni i Prośni, w okolicy bełskiej, diecezji chełmskiej, drzewa sosnowe taką własność mają i przyrodę, że jeśli się z nich część jaka, np. gałąź lub prątek, utnie albo odłamię, bądź całe drzewo spuści, po kilku latach, to co było drzewem z życiem roślinnym, przybiera postać i własności krzemienia i jak krzemień rodzimy za uderzeniem ognia wydaje, zachowując objętość i kształt, w jakim było ucięte, przyrodę zaś gałęzi i krzemieńca.

Zostawmy przyrodnikom tajemnice chełmskich sosen, zajmijmy się za to ową niezwykłą właściwością gleb polskich, które oprócz pszenicy i żyta od niepamiętnych czasów „rodzą” także gliniane naczyńca.

Co zima butwieją miliardy i miliardy szczątków roślinnych. Warstwa życiodajnej próchnicy pokrywającej pola rośnie w sposób niedostrzegalny, lecz niepowstrzymany i stały. Wiatry przynoszą pył, dna wód podnoszą się ciągle od mułu i obumarłych resztek ziela. - We Wrocławiu podnóże wału wzniesionego blisko tysiąc lat temu pokrywa dziś Odra na chłopa głęboko. W Biskupinie skrawek ziemi, który był ongi wyspą, od dawna przyrósł do stałego lądu, a lustro jeziora podniosło się bardzo znacznie.

Grubiejący ciągle zewnętrzny płaszcz ziemi wchłania i kryje ślady prastarej działalności człowieka. Potrafią się w nim znakomicie przechować rzeczy znacznie bardziej wiotkie od wypalonych w ogniu i bądź co bądź twardych garnków.

Piszący te słowa przyglądał się kiedyś w Wielkopolsce, jak specjaliści badali jamę, która kilkadziesiąt lat temu służyła ludziom za wędzarnię ryb. Wykop poprowadzono tak, aby jego pionowa ściana przecięła ową jamę wzdłuż osi i ukazała cały jej przekrój. Podobny był do dużego i szerokiego worka, od dawna rzecz jasna szczelnie wypełnionego ziemią, znacznie ciemniejszą od otaczającej żółtawej gleby. Od brzegu do brzegu dawnej wędzarni - poziomo - w nieregularnych odstępach widniały delikatne, liczne i niemal czarne prążki - całkiem, jakby ją kto naumyślnie w poprzek pokreślił połyskującymi pasemkami. Były to ślady wielkich deszczów spadłych przed wiekami, gwałtownych ulew, po których w miejscach zakłębionych zostają kałuże, a potem warstewki wyschłego błota. Pył i kurz grubo pokrywają taką czarną skorupkę, przechowując ją w łonie ziemi. Później zdarzy się inna wielka burza, w płytszej już jamie

zostanie po niej znowu tafelka szkliva i jeszcze... i jeszcze jedna... Aż kopiąc Hol człowiek przetnie je wszystkie i pokaże widok boczny.

Ziemia gromadzi prochy" i strzec ich potrafi zadziwiająco wiernie.

Kto zwiedzał stare kościoły Krakowa, ten wie, że schody wejściowe wiodą w nich nie w górę, lecz w dół. Tak jest w kościele Mariackim, podobnie u Dominikanów, Franciszkanów, u Św. Wojciecha i w tylu innych świątyniach całej Polski. Bo powierzchwie, na których je ongi budowano, znikły już dawno pod kolejno nakładającymi się na siebie słojami bruków, gruzów, zgliszcz, popiołów i nowo zakładanych podwalin. Podłoga kościoła stanowi więc jak gdyby wysepkę dawności, zapadła w głąb gruntu i ogrodzoną zewnętrznymi murami. Lecz zdarza się często, że pod tą posadzką leżą przez wszystkich zapomniane odzinki ścian i kolumn jeszcze bardziej sędziwych gmachów. Tak było zwłaszcza w Poznaniu.

Jeszcze dwieście lat temu powszechnie mniemano za Długoszem, że ziemia sama, „sztuką wyłączną przyrody”, rodzi gliniane garnki oraz inne dziwa. Dopiero współczesny Adamowi Mickiewiczowi Adam Czarnocki, używający pseudonimu Zoriana Dołęgi Chodakowskiego, pierwszy u nas jał się systematycznego, naukowego badania przechowywanych przez nią „prochów”.

Zabezpieczmy przypadkowe, dość częste odkrycia z ziemi, te różne male posagi, obrazki, narzędzia kruszcowe, naczynia, garnki z popiołami - pisał. - Zliczmy i poznajmy wymiarem dokładnym wszystkie potężne mogiły... zdejmijmy plany położeń z miejsc zaleconych znakomitością starodawną dla objaśnienia starożytności, ' nie pozwalając żadnemu uroczysku *pójść* w zapomnienie.

Zorian Dołęga Chodakowski był najpierwszym polskim archeologiem, czyli badaczem, który odtwarza historię, wieści o niej czerpiąc nie z pisanych dokumentów, roczników i kronik, lecz z rzeczy materialnych, z samych zabytków przeszłości.

Dzięki archeologii wiedza nasza sięgnęła w czasy zupełnie zamierzchłe. Odżyły w niej społeczeństwa wymarłe przed setkami stuleci, zapomniane i bezimienne. Nie dotarło do nas ani jedno ich słowo, nie zachowała się żadna wiadomość o jakiegokolwiek dziejowej postaci. Nazwy nadawane dziś tym prastarym plemionom są umowne, uczeni sami je tworzą, biorąc pod uwagę najbardziej charakterystyczne cechy znalezisk lub miejscowości, gdzie je wykryto.

wiedza dostarczona nam przez archeologię jest ogromna i bezcenna, lecz

^czyli dawnych wspólnot terytorialnych.

jakby niema. Ukazuje wcale szczegółowe obrazy epok dawno minionych, zaznajamia z zasadniczymi liniami przemian, z zadziwiającą wyrazistością odsłania działanie samych motorów postępu. Dzięki archeologii na przykład możemy się przekonać, jak ogromną rolę dziejową odegrała zwykła motyka, jak bardzo podniosło się i udoskonalilo życie szczepów uprawiających rolę.

Jednakże nauka sięgająca w epoki, które jeszcze nie znały pisma, nie może dostarczyć nam wiadomości o poszczególnych ludziach i stwarzanych przez nich faktach. Głucho w niej o głównej sile dziejotwórczej - o żywej osobie człowieka.

, Pomimo to archeologia, interesująca się zabytkami, mówi nam nie o nich i tylko, lecz o historii ludzkości. Wprowadza nas w tajemnice jej dziejowego rozwoju, trwającego już kilkaset tysięcy lat.

II

Można bardzo długo cofać się w przeszłość, poszukując najdawniejszych śladów człowieka. Prawdopodobnie już dwieście tysięcy lat przed Chrystusem, kiedy klimat u nas był ciepły, niczym dziś w okolicach podzwrotnikowych, pojawiły się na naszych ziemiach pierwsze istoty praludzkie.

Związek pomiędzy dołą dzisiejszą a bardzo dawnymi czasami tak już całkiem się nie zerwał, skoro faktem jest, że w młodszej epoce kamiennej (3000-1700 p. Chr.) hodowano u nas te same gatunki bydła domowego, które występują i dziś.

Przed czterdziestu pięciu wiekami przywędrowało na nasze ziemie plemię, j które od charakterystycznych ozdób na jego glinianych garnkach zwiemy „ludem ceramiki wstęgowej”. Przyszło z południa. Tajemniczy szczep, który grzebał swych zmarłych w pozycji skurczonej - przed pochówkiem krępując zwłoki sznurem i układając je na boku - dokonał wielkiego dzieła historycznego: przyniósł ze sobą umiejętność uprawy roli - na razie tylko drewnianą lub kamienną motyką.

Rolnictwo bardzo potężnie, aż do gruntu, przeobraziło życie ludzi ówczesnych. Wzrosła gęstość zaludnienia. Wędrowne dotąd gromady łowców i pasterzy jeły się osiedlać, na stałe wiązać z ziemią i krajem. Niepostrzeżenie i z wolna zaczęły się odtąd wytwarzać warunki, z których wyłonić się miały pojęcia narodu i ojczyzny.

Jakieś cztery tysiące lat temu - czyli mniej więcej wtedy, kiedy biblijny

Urahram wywędrował z miasta Ur - po obu brzegach Wisły żyło „plemie ucharów lejkowatych”. Nazwa pochodzi znowu od wyglądu glinianych garnków które uczeni wykopali w wielu miejscach Polski. Były piękne, kształtne, o charakterystycznych gardłach rozszerzających się ku górze na kształt lejka. Lud ten zostawił nam po sobie nie lada jakie pamiątki.

W województwie kieleckim, w dolinie rzeki Kamiennej - koło wsi Krzemionki Opatowskie - znajdują się doskonale zachowane szczątki kopalni. Do dziś trwają rozległe podziemne komory i chodniki, z których ówczesni górnicy narzędziami z rogu wyłamywali najcenniejszy wtedy surowiec przemysłowy - krzemień. Jest on w tamtych stronach pięknie pręgowany. Zrobiona z niego siekierka była znamieniem zamożności i dostojenstwa właściciela, stanowiła towar poszukiwany w rozległym handlu.

Inne, bardziej na północ zamieszkałe grupy „pucharowców” pierwsze w dziejach zwróciły uwagę na bursztyn bałtycki, zaczęły go gromadzić i sprzedawać w dalekie strony. Tak zapoczątkowany został słynny w historii szlak bursztynowy, który w przyszłości miał wzbogacać mieszkańców ziem polskich. Jantar bowiem - zwany po łacinie *genitum terrae* - był bardzo ceniony i poszukiwany w najpotężniejszych państwach ówczesnego świata, nad Morzem Śródziemnym - w Grecji, Kartaginie i w samym Rzymie.

W rozmaitych miejscach - na przykład na Pomorzu i na Kujawach - dotąd przetrwały potężne mogiły „pucharowców”. Mają kształt ziemnych nasypów, długich nieraz na sto metrów i szerokich na dziesięć, a obstawionych dokoła ogromnymi głazami. Jak gromadzono te kamienie o wadze tysięcy kilogramów, kiedy nikt u nas nie znał wtedy wozu?

W takim olbrzymim grobie składano zwłoki jednego człowieka. A więc już cztery tysiące lat temu nie było równości między ludźmi. Uroczysty pogrzeb należał się tylko najpotężniejszym.

W grobach ówczesnych znajdują się niekiedy rzeczy, od których i dziś jeszcze wieje groza. Odnajdywano szkielety z połamanymi kośćmi, zmasakrowane, z kamieniami wtłoczonymi między szczęki - i obstawione wokół bogatymi darami. Zdarza się, że nad głównym, ułożonym na wznak nieboszczykiem jakby czuwają trzy siedzące kościotrupy - może niewolników czy sług, oddanych władcy na pośmiertną ofiarę. Ponure te zabiegi miały pewnie ułagodzić duszę zmarłego, za wszelką cenę uniemożliwić jej powrót ze świata cieni i nagabywanie żywych.

Takie były religijne wyobrażenia plemion, które potrafiły budować rozległe kopalnie i organizować dalekosiężny handel bursztynem!

Mniej więcej tysiąc siedemset lat przed Chrystusem kończy się dla naszych

ziem młodsza epoka kamienna. Narzędzia zrobione z gładzonego krzemienia pomału wychodzą z użycia i ludzie zaczynają się posługiwać bronią i przedmiotami z brązu. Epoka jego trwa pełne tysiąclecie, do 700 r. p. n. e., kiedy przychodzi kolej na żelazo.

Pamiętajmy jednak, że rachunek odnosi się tylko do naszych ziem. W Syrii i w Azji /Mniejszej odkryto żelazo już w XV w. p. n. e. Kiedy u nas „wstęgowcy” przynieśli ze sobą pierwsze motyki - w takim Egipcie od dawna już stały sławne piramidy faraonów oraz Sfinks. W rozmaitych krajach historia rozwijała się bardzo niejednolicie. W Australii do dziś żyją plemiona używające tylko kamiennych narzędzi.

W epoce brązu zaczęły się wytwarzać formy życia mające już bezpośredni związek z najstarszymi dziejami Słowiańszczyzny.

Przodkowie jej żyli we wspólnocie z praszczurami ludów bałtyckich, czyli Litwinów i Łotyszy oraz wymarłych lub wymordowanych Prusów i Jadzwinów. W epoce brązu wśród szczepów zamieszkałych między Odrą a Dnieprem poczęła się wykształcać ich własna, zupełnie odrębna kultura.

W tych czasach do odległych wspomnień zaliczał się już okres tak zwanego matriarchatu, kiedy to najważniejszą osobą była matka rodu. Prasłowianie albo - mówiąc ostrożniej - ich praprzodkowie żyli w ustroju patriarchalnym, pod władzą ojców rodzin, łączących się na podstawie pokrewieństwa oraz gospodarki w rody. Te ostatnie mogły już wtedy jednoczyć się w plemiona, w razie potrzeby wybierające sobie przywódców.

Pomiędzy 1300 a 400 rokiem p.Chr. na ziemiach późniejszej Polski rozwinęła się i bogato rozkwitła kultura, zwana łużycką i uważana za sam świt dziejów Słowiańszczyzny. Nazwa stąd pochodzi, że pierwsze odkrycie jej zabytków nastąpiło na Łużycach. Ale kolebką tej kultury są ziemie Polski zachodniej. Wpływy jej sięgały daleko na zachód, południe i południowy wschód, także na Warmię i Mazury, nigdy jednak nie przekroczyły Niemna i Pregoty.

Kultury tej znikąd do nas nie przyniesiono, była wytworem rodzimym. W zupełnie naturalny sposób, w drodze stopniowego udoskonalania i rozwoju wyrosła z jeszcze dawniejszych prac, umiejętności i zwyczajów.

W całej Polsce wykryto wiele grodów kultury łużyckiej, będących ongi siedzibami rodów szczególnie zasobnych i potężnych. Najwspanialszym odkryciem naukowym jest jednak odnalezienie i zbadanie osiedla na półwyspie Jeziora Biskupińskiego w powiecie żnirskim, niedaleko na północ od Gniezna,

Gród tamtejszy zbudowano późno, w epoce żelaza, między 500 a 400 rokiem

p.Chr. Zaludniony był niedługo, bo zaledwie przez kilkadziesiąt lat. Mieszkańcy opuścili go nagle, porzucając nietknięte obwarowania i domy, a w nich liczne narzędzia, sprzęty i ozdoby. Nie odnaleziono w Biskupinie porąbanych szkieletów, które by świadczyły o stoczonych walce, nie wykryto śladów pożaru. Osada opustoszała z powodów, które na zawsze pewnie zostaną tajemnicą, a drewniane jej budowle z czasem niszczały. Ich znakomicie zachowane szczątki odkopano w dwa i pół tysiąca lat później, po pierwszej wojnie światowej.

Teren, na którym wznosiło się osiedle, był wysepką na głębokim jeziorze. Budowniczości połączyli ją z lądem przy pomocy specjalnego pomostu. „Miasto” zbudowano od razu, według jednolicie opracowanego planu. Domy, obwarowania i moszczone dranicami ulice pochłonęły siedem tysięcy metrów sześciennych drewna, zrąbanego po okolicznych wzgórzach i dostarczonego na wyspę drogą wodną.

W około stu jednakowych obszernych domostwach krytych trzcina mieszkać musiało jakieś tysiąc ludzi. Był to lud rolników i pasterzy, dobrze znających też rzemiosło. Hodowano krowy, owce i świny, oprócz tego kozy, konie i psy. Parano się rybołówstwem i łowiectwem. Na polach, które uprawiali ludzie tutejsi, rosły cztery gatunki pszenicy, dwa jęczmienia, proso i len, na grzędach ogrodów mak, bób, soczewica i groch.

Niczego nie wiemy o fizycznym wyglądzie „łuzyczan”. Lud ten daleko bowiem odszedł od pierwotnej dzikości, która kazała kaleczyć trupa lub wiązać go sznurem. (Ślady takiego właśnie obyczaju wykryto opodal półwyspu biskupińskiego, na lądzie stałym. Pochodziły z epoki „ceramiki wstęgowej”.) Panowały już pojęcia o duszy opuszczającej po śmierci martwe ciało. Powszechny u Prastłowian obyczaj palenia zwłok na stosach sprawił, że nie mogły się do naszych czasów dochować szczątki ludzkie.

Dary, składane do grobu wraz z urną zawierającą popioły zmarłego, były skromniejsze niż dawniej i przeważnie mieściły się w naczyniach, których kształty świadczą o bardzo wysokim poziomie sztuki garncarskiej.

Lud kultury łuzycyckiej otaczał wciąż religijną słońce. Dowody tych obrzędów, mające postać charakterystycznych krążków glinianych, znaleziono i na tym półwyspie, i w wielu innych miejscowościach Polski. W Biskupinie ptakiem świętym był łąbędź.

Uczeni, którzy drobiazgowo zbadali prastare domy na półwyspie, zwrócili uwagę, że w dzisiejszym Biskupinie, odległym o półtora kilometra od półwyspu, stoi drewniana chałupa wzniesiona w taki sam sposób, zwany łątkowo-sumikowym. Obwarowania „łuzycyckiego” grodu składały się z ogromnych

skrzyń drewnianych - izbic - ustawionych zwartym szeregiem i wypełnionych ziemią oraz kamieniami. Zupełnie takie same odkrywano w późniejszych o całe tysiąclecie ruinach twierdz piastowskich. - Związki kultury łużyckiej z prapolską, a nawet z polską, są więc niekiedy po prostu namacalne. Umysłowe i techniczne zdobycze dawnych budowniczych okazały się dziedzictwem cenionym przez dziesiątki pokoleń.

Bujne, ciekawe musiało być życie plemion ówczesnych, ich obyczaje i wzajemne stosunki. Niezbyt daleko od Biskupina, na półwyspie Jeziora Wolskiego, zalegają gruzy innego osiedla „łużyckiego”. Może były to grody żyjące ze sobą w ścisłym związku bliźniaczym, mieszkańcy jednego brali z drugiego żony i odwrotnie. Nieco ku północy, w Sobiejuchach, odkryto w roku 1955 resztki innej, trochę starszej i znacznie 'bardziej rozległej osady. Wśród jej rozwalin leżały pokaleczone szkielety, niewątpliwe dowody stoczony walki. Mogło być i tak, że plemię wyparte stąd przez nieznanego wroga przeniosło się ; bardziej na południe i wzniosło sobie nowy gród w dzisiejszym Biskupinie. - Organizację musiało mieć sprawną, umiejętności niemałe, skoro potrafiło dokonać dzieła, które i teraz zdumiewa badaczy rozmachem w wykonaniu i całości i pomysłowością szczegółów takich, jak najeżone zaostrozonymi palami falochrony, dodatkowo wzmagające obronność wysepki.

Dzieje tych ludzi poznawać możemy tylko w najogólniejszych zarysach, czerpiąc wiadomości z materialnych pamiątek wykopanych z ziemi. Życia ich nie obserwował bowiem nikt znający pismo. Dopiero w V w. p. Chr. wielki historyk grecki Herodot, który odbył łodzią podróż w górę Bohu, zanotował pierwsze dane o Słowianach. Wspomniał mianowicie o tajemniczych Neurach, z których każdy raz do roku przemieniał się w wilka, a wszyscy razem przywędrowali na południe, wyparci ze swych dawnych siedzib przez ogromnie rozplenione węże. Istnieją domysły, że Neurowie ci pochodzili z dzisiejszej Wielkopolski, znad Neru. Legendy o ich czarodziejstwach do żywego przypominają rdzennie słowiańskie baśnie o wilkołakach.

Jednak nie tylko pismo, lecz i szczątki leżące w ziemi mogą wiele opowiedzieć, nawet o dziejach politycznych. A więc na przykład o tym, że między VII a V w. p. Chr. odbyło się pierwsze w historii polityczne zjednoczenie ziem późniejszej Polski. Było krótkotrwałe, przelotne, ale jednak było! Dokonał go nie znany z imienia lud, który miał zwyczaj grzebać popioły swoich zmarłych w grobach podobnych do skrzynki zbudowanej z kamienia i w urnach, ozdobionych od zewnątrz wizerunkiem twarzy ludzkiej. W mogiłach tych widnieją też ! rysunki jeźdźców lub paro- i czterokonnnych wozów. jj

Tego podboju i zjednoczenia naszych ziem dokonały plemiona rodzime,!!

same należące do kultury łużyckiej, te mianowicie, które zamieszkiwały dzisiejsze Pomorze Kaszubskie. Silnie rozwinęły się u nich metalurgia i handel. Rozbój morski też pewnie był źródłem dostatków. Mogiły Prapomorzan kryją wielkie bogactwa i zdradzają, że nie tylko kobiety lubiły się wtedy przystrajać biżuterią. Materialna zasobność pozwoliła najmoźniejszym wytworzyć jakąś organizację i władzę, która powiodła szczepy pomorskie na podbój słabszych pobratymców, zamieszkałych bardziej na południu. Nie jest wykluczone, że groza ich najazdu zawczasu wyludniła gród na Jeziorze Biskupińskim.

W IV i III w. p. n. e. od południowego zachodu zaczęły się wdzierać plemiona celtyckie, których ojczyzną były ziemie dzisiejszej Francji. W odróżnieniu od Słowian Celtowie nie palili zwłok. Zbyt daleko się u nas nie zapuścili, dochodząc najwyżej do zachodniej Małopolski. Uczynili jednak wiele dla postępu technicznego, byli bowiem prawdziwymi mistrzami w obróbce metali, odlewnictwie i garncarstwie.

Walki i najazdy zachwiały tysiącletnią kulturą łużycką. Wykopaliska świadczą o stopniowej przemianie obyczajów i sposobu życia ludności. Rozległe ziemie słowiańskie zaczynają się coraz wyraźniej dzielić na dwie części, jakby przełamywać wzdłuż osi Bugu. Na zachód od tej rzeki wytwarza się tak zwana kultura grobów jamowych. Ludy tamtejsze mają zwyczaj wysypywać prochy zmarłego wraz z popiołami stosu do specjalnie na ten cel wykopanego dołu. Za Bugiem rozciąga się kultura pól grzebalnych. Tak na samym przedprożu naszej ery kształtuje się wyraźny podział na Słowiańszczyznę Zachodnią i Wschodnią.

Z tych czasów mamy już pamiętki i w mowie naszej. Znakomity znawca tych spraw profesor Tadeusz Lehr-Spławiński utrzymuje, że z epoką ustalania się kultury grobów jamowych „wiąże się prawdopodobnie także utrwalenie większości starych słowiańskich nazw geograficznych, przede wszystkim rzecznych”.

Nazwy Wisły, Warty, Wdy, Widy, Świdra i wielu innych są więc równie stare jak sama Słowiańszczyzna Zachodnia, mają znacznie więcej niż dwa tysiące lat.

III

Od I do IV w. po Chr. trwa okres zwany w nauce epoką rzymską. Nie znaczy to ^{to}cale, że ziemie nasze weszły w skład ogromnego imperium cesarów,

władających wszystkimi pobrzeżami Morza Śródziemnego. Nawet wykopany w Polsce miecz żołnierza rzymskiego nie świadczy, że legia, w której służył jego właściciel, poiła konie w Wiśle. To tylko jakiś kupiec z południa nabywszy gdzieś na Węgrzech ów cenny oręż przywiózł go do nas i sprzedał, otrzymując w zamian bryłkę bursztynu, wiązkę futer, a może niewolnika. Ówczesne związki ziem polskich ze światem rzymskim były natury gospodarczej, handlowej. W ślad za kupcami docierać też mogły wpływy kulturalne.

Handlarze wywozili od nas nie tylko towary, lecz także wiadomości o nie znanych dotychczas oświeconym społecznościom krajach i ludziach. Wieści te musiały się szeroko rozchodzić, skoro w drugim stuleciu po Chrystusie uczony Ptolemeusz z egipskiej Aleksandrii mógł zapisać nazwę Kalisza, który w ten sposób stał się pierwszym osiedlem polskim znanym całemu ówczesnemu światu. Ponieważ zaś wiemy, że Ptolemeusz czerpał dane z dzieł wcześniejszego o lat kilkadziesiąt Marynusa z Tyru, więc słuszny jest chyba domysł, że już w samych początkach naszej ery imię Kalisza nieobce było starożytnym Rzymianom, Grekom, nawet Egipcjanom. Bo też przez Kalisz wiodło jedno z odgałęzień wspomnianego już szlaku bursztynowego, który dostarczał bogatemu Południu jantaru, cenionego na wagę złota.

Prapolacy nie walczyli więc z legionami rzymskimi. Musieli za to już wtedy bronić swych ziem przed ludami, których dzieje miały się odtąd ciągle ścierać z naszą historią.

W ostatnich stuleciach przed naszą erą na Pomorzu Zaodrzańskim pokazały się germańskie szczepy Burgundów i Wandalów. W I w. po Chr. nadpłynęli łodziami ze Skandynawii i wylądowali przy ujściu Wisły Goci, a w ślad za nimi Gepidowie. Pobyt ich na Pomorzu nie trwał zbyt długo. W paręset lat później oba te szczepy znalazły się aż nad Morzem Czarnym. Droga, która je zawiodła w tak odległe strony, prowadziła - być może - przez ziemie polskie. Ale niektórzy uczeni przeczą temu i twierdzą, że Germanowie posuwali się wzdłuż Dunaju.

Najazdy plemion obcych nie powstrzymały rozwoju rodzimej kultury.

Nieco na wschód od Krakowa, na polach wsi Igołomia, Cło, Kościelniki, Wyciąże, Tropiszów, Zofipole oraz tam, gdzie dziś wznosi się Nowa Huta, dokonano nadzwyczajnych odkryć archeologicznych. Znalezione mianowicie mnóstwo pieców garncarskich, które według wszelkiego prawdopodobieństwa wytwarzały nie tylko na zaspokojenie miejscowych potrzeb, lecz także i na wywóz. W tych odległych czasach Wisła płynęła tuż u podnóża zbrocza, na którym stały piece zwrócone otworami na południe.

Gdy upadało przed 1500 laty cesarstwo rzymskie, stworzyli Słowianie na lewym brzegu górnej Wisły wielki ośrodek przemysłu garncarskiego, którego ślady w drobnej części tu odśtonięto

- głosi napis w muzeum polowym w Igołomi.

Dalsze badania dowiodły, że ośrodek ów stanął w takim miejscu, gdzie garncarstwo rozwijało się już od dawna, od ostatnich stuleci przed naszą erą. Wykryto również w Igołomi wiele pieców hutniczych, tak zwanych dymarek, służących do wytopu żelaza, a pamiętających I i II stulecie po Chrystusie.

Lud, który umiał tak urządzać przemysł, nie mógł być pierwotny i dziki. Musiał posiadać wiele doświadczenia i umiejętności technicznych, wytworzył też chyba organizację polityczną. Jakaś władza i siła troszczyła się na pewno o bezpieczeństwo ośrodka pracy, jak również dróg przewozu surowca i wywozu gotowych wyrobów. Same rozmiary tej „centrali fabrycznej” świadczą, że znaczna część ludności musiała w niej pracować stale, zawodowo. Nie jest wykluczone, że powinność tę pełnili jacyś ówczeszni niewolnicy.

Potężne osiedle przemysłowe było szeroko rozrośnięte, lecz niskie. Nikt jeszcze nie wyobrażał sobie wtedy piętrowych domów ani kominów fabrycznych. Piece garncarskie, same też wylepione z gliny, miały kształt baniastych kopulek. Stały gęsto, jeden przy drugim, niemal się stykając krawędziami. Całe zbocze rzeki obrosło żółtymi kopczykami, z których snuł się dym. Piece hutnicze, ciągnące się równymi szeregami, podobne były do glinianych, u dołu rozszerzonych rur wkopanych w ziemię. Zajęte przez nie pola tak musiały wyglądać, jakby sam grunt buchał ogniem i kopcił sadzą. Nocami cała przestrzeń świeciła łuną. Widać ją było z siól rolniczych, szerokim wieńcem opasujących ośrodek. Wielkie skupisko robotników bez ustanku chłonęło plon ich pracy - żywność.

Nie tylko nad górną Wisłą pieniło się podówczas życie urozmaicone już i wcale bogate. Badania dowiodły, że wielkie połacie kraju brały wtedy udział w handlu zagranicznym. W wielu miejscach wykopywali uczeni monety rzymskie. Nie były one u nas obiegowym pieniądzem, ale posiadając wielką wartość i cenę znakomicie nadawały się jako środek skupiania bogactw. Łatwo je było trzymać w jednym miejscu, przenosić i w razie potrzeby ukryć. Tak powstawały „skarby”, w chwili niebezpieczeństwa zakopywane przez właścicieli w ziemi, gdzie wiele z nich przetrwało do naszych czasów. Największy, bo liczący aż dwa tysiące monet, odszukano w Kaliszu.

Oprócz pieniędzy przechowała ziemia moc innych rzeczy, a więc broń, biżuterię, naczynia, ozdoby, posążki bóstw - rzymskiego Marsa i egipskiej fcydy. Groby ówczesne kryły nieraz wielkie bogactwa, wymownie świadczą-
ce> że nie lada kim musiał być ten, czyje prochy spoczęły w mogile. Wspa-

niałości te niekoniecznie musiały pochodzić z samego Rzymu. Częściej ojczyzną ich były prowincje imperium.

Przeważna część odszukanych u nas pieniędzy rzymskich pochodzi z czasów nieco późniejszych niż panowanie znanego z *Quo vadis* Nerona.

Okolice, w których najwięcej znaleziono skarbów, musiały się wyróżniać bogactwem, wskutek tego lepiej rozwijać i przodować reszcie kraju. Na południu był to dzisiejszy Kraków oraz Wisłica i Sandomierz. Idąc dalej ku zachodowi natrafimy na Opole, po którym następowały: Wrocław, Oława, Oleśnica i Głogów. Największe skupiska monet znaleziono jednak w samym Kaliszu i wokół niego, a także w powiecie tureckim, Łęczycy, Kruszwicy, Inowrocławiu, w ziemi chełmińskiej i dobrzyńskiej. W nadmorskich stronach górowały Białogard i Kołobrzeg oraz kraj między Regą a Prośnicą.

A więc już w okresie rzymskim widnieją na mapie „wewnętrzne granice późniejszej Polski”, jak powiedział prof. Kazimierz Tymieniecki. Wyraźnie kształtują się kontury przyszłej Małopolski, Śląska, Pomorza, Wielkopolski, która i wtedy wysuwała się na samo czoło. Położone nad środkowym biegiem Wisły późniejsze obszary mazowieckie niczym się nie wyróżniały, pozostawały w cieniu. To samo zjawisko ujrzymy potem i w Polsce najzupełniej historycznej, znanej już z imienia, która także całym frontem zwrócona była na zachód.

Kraj rozwijał się wcale dobrze, uprawiał rolę i przemysł, kupczył z dalekimi stronami. Można się domyślać, że istniały w nim pierwociny jakichś terytorialnych organizacji politycznych. W pisanych za granicą dokumentach i kronikach nie znajdujemy o nich żadnych wieści. Ale czy wielmoże, którym dawano do grobu drogocenne rzymskie pierścienie, szkatuły i amfory, czy bogacze ci za życia nie sprawowali żadnej stałej władzy nad uboższym ludzkim pogłowiem, rzemieślnikami i chłopami, czy nie mieli niewolników?

Stosunki panujące u nas w epoce rzymskiej wcale już nie przypominały łużyckiego Biskupina, w którym zawartość i wyposażenie domów dowodnie świadczą o majątkowej równości mieszkańców grodu. Minęły stulecia, znacznie wzrosła produkcja i zamożność, społeczeństwo musiało się podzielić na warstwy. Najbogatsi, najpotężniejsi zwykle sięgają po władzę polityczną, a tam gdzie jej brak - po prostu ją tworzą.

Można twierdzić, że już w epoce rzymskiej zaczynała Polska rosnąć. Lecz tym razem jeszcze nie wrosła w państwo. Złożyło się na to wiele przyczyn.

W IV wieku koczowniczy i nader bitny lud Hunów rozpoczął wielkie pochody zdobywcze, uderzając na sąsiednie plemiona w zlewisku Morza

rzarnego, między innymi na Gotów. Do naszych ziem sami Hunowie raczej nie docierali. Wyjątek stanowił poległy czy zmarły wojownik, po którym oozostało tylko okucie łuku, znalezione w powiecie pińczowskim. Inny zagon oorzucił lub zgubił w powiecie oławskim kocioł i złote ozdoby. Południe Polski spustoszyli więc podczas wielkich wędrówek nie sami Hunowie, lecz inne, uciekające przed nimi ludy.

W tym samym mniej więcej czasie załamało się i upadło cesarstwo zachodniorzymskie, z którym ziemie nasze od stuleci prowadziły wymianę. Zabrakło dostawców luksusowego towaru i zarazem odbiorców tych bogactw, jakich mógł dostarczyć nasz kraj - futer, wosku, niewolników, a zwłaszcza tylekroć już wspomnianego bursztynu. Opustoszały drogi handlowe i targi. Schyłek i ostateczny zanik wymiany, czynnej od wieków, musiał wywołać u nas potężny kryzys gospodarczy. Mniej zapewne odczuł go lud, żyjący z pracy-własnych rąk - bardziej natomiast krajowa starszyzna i możni. Groby pochodzące z V i VI stulecia nie zawierają już tych klejnotów i dostatków, jakich nie braknie w mogiłach dawniejszych. Również i wytwórczość miejscowa słabnie, naczynia i narzędzia są gorsze, mniej ozdobne, uboższe.

Jeśli istniały w kraju jakieś organizacje polityczne, to w tym trudnym okresie musiały przybrać formę plemiennych związków łupieżczych. Południe przestało dostarczać skarbów, osłabło za to i wyludniło się potężnie. Więc kto nadal tęsknił do złotych pierścieni i łańcuchów, ten musiał sam się po nie zbrojnie wyprawiać.

W V i VI stuleciu wielka fala słowiańska przewała się przez Karpaty, zalewa i na stałe zajmuje Kotlinę Czeską, Morawy, sięga aż do Dalmacji nad Adriatykiem. Jednocześnie inne plemiona opanowują całą Połabszczyznę, potężnie napierając na Germanów i wraz z nimi uderzając na prowincje cesarstwa rzymskiego. Słowianie rzucają się również na Bałkany.

W przeciągu ostatnich stuleci przed Chrystusem wytworzył się, jak pamiętamy, podział na Słowiańszczyznę Zachodnią i Wschodnią. Wielkie wędrówki pozostawiły po sobie trwałe dorobek historyczny w postaci Słowiańszczyzny Południowej.

Z tego wniosek, że właściwa ojczyzna Słowian - ziemie między Odrą a Dnieprem - już w pierwszych stuleciach naszej ery musiała być nie najgorzej zaludniona, skoro stać ją było na tak znaczny wylew poza dotychczasowe granice. A jednak nie wystarczyło sił na zorganizowanie u siebie własnych państw już w okresie rzymskim. Miało się to dokonać dopiero w epoce następnej, zwanej wczesnym średniowieczem.

POCZĄTKI PAŃSTWA POLSKIEGO H

I

To nie przypadek wcale, że Gniezno i Kijów - stolice dwóch największych i najmocniejszych państw słowiańskich: Polski i Rusi - leżą na ziemiach plemion bardzo od siebie oddalonych, ale noszących jedną i tę samą nazwę Polan.

Najpóźniej w początkach VIII stulecia przestały u nas dymić lasy. Mówiąc inaczej - rolnictwo wypaleniskowe ostatecznie ustąpiło wtedy miejsca orce sprzężanej.

Nie wszędzie dokonało się to jednoczes'nie. Na Kurpiach bardzo długo trwało wypalanie łązów, w zapadłych stronach północno-wschodniej Rosji jeszcze w XX wieku puszcze dymiły. Ale historię państw zaczynały tworzyć plemiona najdalej posunięte w rozwoju cywilizacyjnym.

Technika wypaleniskowa posiada liczne odmiany. Ich cechą wspólną jest celowe podpalanie przez ludzi podszycia boru, puszczenie ognia między pnie drzew, niekiedy uprzednio odarte z kory. Płomień wygasał, na ziemi zostawała gruba warstwa popiołu. Teraz zjawiał się rolnik. Rzucił ziarno wprost w zgliszcze, częściej jednak dziabął przedtem grunt motyką lub bruździł radiem. Czasami raz tylko zbierał plon i następnego lata szedł z pożarem dalej, kiedy indziej obsiewał wypaloną przestrzeń dłużej, odbywał nawet pięć żniw, zanim ją porzucił. W tym ostatnim wypadku popiołu dostarczały uschłe już tymczasem drzewa. Odziomków pni oraz korzeni nikt nie karczował i nie usuwał.

Prof. Henryk Łowmiański obliczył, że przy tym systemie pracy na utrzymanie jednego człowieka trzeba było około 30 hektarów lasu, a wieś zamieszkała przez jedną wielką rodzinę, złożoną z dwudziestu do trzydziestu głów, musiała gospodarzyć na obszarze 6 do 9 kilometrów kwadratowych. Jeśli ponadto wziąć pod uwagę bagna, wody, nieużytki - wypadnie, że w dobie rolnictwa wypaleniskowego na jednym kilometrze kwadratowym mieszkał jeden człowiek. Przy tak nieznacznej gęstości zaludnienia nie może powstać państwo zdolne do obrony swych terytoriów, które właśnie przy tym systemie uprawy siłą rzeczy musiałyby być rozległe.

U schyłku pierwszego tysiąclecia po Chrystusie gęstość zaludnienia wynosiła w Polsce 4 do 5 ludzi na jednym kilometrze kwadratowym. Sprawiała to orka sprzężajna. To ona stworzyła podstawę materialną, na której zbudowano państwo polskie.

Nazwa Polan, nadana plemionom zamieszkałym nad Wartą i środkowym Dnieprem, oznaczała ludy od dawna władające obszernymi łąkami na dobre wydartymi lasom. Obecna Wielkopolska już w VIII wieku nie знаła uprawy wypaleniskowej.

Zachodnia Europa żyła wtedy pod znakiem zdecydowanej przewagi państwa Franków, rządzonego przez dynastię Karolingów (dziedziczącą tron po jeszcze starszej rodzinie Merowingów). 9 października 768 roku rozpoczął rząd Karol Wielki, władca, który przeszedł do legendy i od którego imienia wie się sam tytuł króla. Zjednoczył w swym państwie dzisiejszą Francję wraz z Korsyką, całe niemal Włochy - oprócz Sycylii i skrawków najdalszego południa - oraz ziemie plemion germańskich, z wyjątkiem Jutlandii i Skandynawii. 25 grudnia 800 roku w rzymskiej bazylice Św. Piotra papież Leon III włożył mu na głowę koronę cesarską. Sama forma ceremoniału wywołała zresztą żywe niezadowolenie Karola, który wolał uniknąć nawet cienia zależności od Kościoła. Dał to wyraźnie poznać, kiedy w trzynastcie lat później własnoręcznie, bez udziału duchowieństwa, ukoronował swego syna i następcę, Ludwika.

Korona cesarska na skroniach króla od dawna już chrześcijańskich Franków symbolizowała wielkie zamiary polityczne. Biorąc tytuł cesarski wskrzesił Karol Wielki tradycje dawnego imperium cesarów rzymskich, które jednoczyło wszystkie ludy kulturalne, obejmowało cały znany wówczas *orbis terra-Turn* - krąg ziemski - nosiło charakter państwa światowego, uniwersalnego.

Z tego dawnego imperium przetrwała jeszcze część wschodnia, rządzona z Konstantynopola - Bizancjum - czyli dzisiejszego Stambułu - przez władców, którzy także używali tytułu cesarzy i uważali, że im należy się zwierzchnictwo nad światem.

W 797 roku cesarz bizantyński Konstantyn VI rozstał się z życiem, zgładzony przez własną matkę, Irenę. Takie i jeszcze okrutniejsze wypadki były w Bizancjum zjawiskiem powszednim. Karol Wielki zamierzył skorzystać z wygodnej okazji, poślubić morderczynię i w ten sposób zjednoczyć spadek po dawnym Rzymie. Ale w 802 roku Irena straciła tron, małżeńskie i zjednoczeniowe plany upadły. Cesarstwo zachodnie i wschodnie - Rzym i Bizancjum - trwały obok siebie, uważając się nawzajem za uzurpatorów i wrogów.

Wkrótce zresztą skończyła się i sama jedność rozległej monarchii frankońskiej. W styczniu 814 roku zmarł Karol Wielki. Pochowano go w Akwizgranie, gdzie miejscowa ludność katolicka do dziś otacza grób jego wciąż należną świętym (aczkolwiek Kościół nigdy go za takiego nie uznał i godzi się tylko na kult lokalny). Żaźarte walki jego spadkobierców zakończył w roku 843 traktat w Verdun. Ziemie Karola podzielono na trzy części. Zachodnia dała początek obecnej Francji, wschodnia - Niemcom. Z pasa środkowego, ciągnącego się mniej więcej wzdłuż Renu, utworzono trzecie państwo. Przez wiele stuleci, właściwie aż do naszych czasów, Francja i Niemcy miały toczyć wojny i spory o to terytorium.

Wkrótce po zawarciu traktatu w Verdun jakiś nikomu z imienia nie znany skryba frankoński spisał w Akwizgranie cenny i tajemniczy dokument, dla którego od dawna utarła się zupełnie nieścisła nazwa *Geografa Bawarskiego*. Mieszczą się w nim rzeczowe wiadomości o istniejących już wtedy organizmach politycznych na ziemiach polskich.

Państwo Karola Wielkiego całą szerokością swej wschodniej ściany przypierało do krajów słowiańskich. Wojenne wyprawy Franków docierały do rzeki Piany i bardzo możliwe, że podczas wypadów na tereny dzisiejszych Czech i Węgier jeden z zagonów przesunął się gdzieś obok Cieszyna i dotarł aż do górnego biegu Wisły. Einhard, autor dzieła pt.: *Żywoć Karola Wielkiego*, wymienił nazwę tej rzeki.

Frankowie musieli żywo interesować się swymi wschodnimi sąsiadami. Zbierali wiadomości od kupców i ludzi bywałych. Rzecz charakterystyczna - obchodziło ich przede wszystkim to, co dotyczyło wojennej i politycznej siły Słowian. Bo też *Geograf Bawarski* był zapewne dokumentem zawierającym ściśle dane zdobyte przez wywiad państwa Franków.

Dowiadujemy się, że na Śląsku - w okolicach Krosna i Głogowa - mieszkali wówczas Dziadaszyce, posiadający dwadzieścia grodów. Tyleż warowni mieli Opolanie. Ale Goleśzyce, siedzący wokół dzisiejszego Cieszyna, władali tylko pięciu twierdzami. Nad górnym i średnim Bobrem była ojczyzna Bobrzan, kolo Legnicy - Trzebowian. Plemię, od którego poszła nazwa całej dzielnicy, czyli Ślężanie, grupowało się około góry Ślęzy i zbudowało sobie piętnaście grodów obronnych. Píše też *Geograf o* Wiślanach oraz o plemieniu słowiańskim, które mieszkalo nad Wartą i miało aż dziewięćdziesiąt osiem twierdz.

Skoro dokument spisany został zaraz po roku 843, to jasne jest, że wszystkie wymienione w nim plemiona musiały się zorganizować i obwarować grubo wcześniej, co najmniej w VIII stuleciu. - Na rozległych błoniach pod Łęczycą znaleźli archeolodzy ślady fortyfikacji pamiętających wiek VI, a może nawet

TV Wzgórze Zamkowe w Cieszynie zdradziło dowody nieprzerwanego osadnictwa od samych początków naszej ery.

^e wczesnym średniowieczu ziemie polskie gęsto pokryły się grodami. Zwalisk ich, od dawna obrosłych grubą warstwą ziemi, liczymy dziś około dwu i pół tysiąca.

Do najdawniejszych warowni w naszym kraju zalicza się prastary łużycki Biskupin, którego izbicowe wały, częstokoły i palisady chroniły całą ludność osiedla wraz z jej mieniem. Twierdze budowane u nas tysiąc przeszło lat później, we wczesnym średniowieczu, wznoszono według zupełnie innej zasady. Zdarzały się między nimi i obszerne, mogące pomieścić większą liczbę ludzi z okolicy. Przeważały jednak grody potężne, lecz ciasne, będące - widać - siedzibami grup nielicznych, wyróżniających się od ogółu. Do pracy przy ich wznoszeniu zaprzęgani być musieli wszyscy członkowie plemienia - gotowa twierdza służyła tylko rodowi sprawującemu rządy oraz drużynie wojennej.

Sam wygląd grodów prapolskich wymownie świadczy o przemianach, jakim uległo społeczeństwo, o wykształceniu się warstwy możnych, która zagarnęła władzę.

Niektórzy autorzy, zwłaszcza niemieccy, twierdzili, że ci możni byli obcego pochodzenia, że przybyli z Niemiec lub Skandynawii, podbili miejscowy lud słowiański i nadali mu organizację polityczną. Teoria ta nigdy nie miała rzeczowych podstaw. Wykopaliska, których dokonano po obu wojnach światowych, unicestwiły ją zupełnie. Stanowczo i na mocy nieodpartych dowodów przeczy jej najwybitniejszy archeolog polski, prof. Józef Kostrzewski.

Gdyby polskie możnowładztwo było obcego pochodzenia, to jego siedziby musiałyby być wzniesione na obcy, skandynawski czy jakiś inny ład. Tymczasem sposób budowy naszych grodów jest jak najbardziej rodzimy i o wiele doskonalszy od normandzkiego czy niemieckiego.

Pod Łęczycą rozkopano grodzisko, w którym nawarstwiały się na siebie gruzy aż trzech twierdz. Pierwsza, umocniona tylko zwykłym częstokołem, stanęła w wieku IV-VI, druga - o wiele lepsza - pamięta VII lub VIII stulecie, trzecią zbudował Bolesław Krzywousty w wieku XII. Badając ich szczątki uczeni stwierdzili nieprzerwany rozwój. Pokolenia późniejsze udoskonalały dzieło wcześniejszych, lecz nie ma ani śladu wtargnięcia obcych wpływów. TM szystko stworzyły tu plemiona mające własną, swoimi drogami rozwijającą się historię.

Druga z twierdz łeczyckich, czyli ta, którą wzniesiono między VI a VIII stuleciem, może nas zapoznać z urządzeniem ogromnie charakterystycznym

dla polskiego budownictwa obronnego. Jest to wał o konstrukcji zwanej rusztową lub przekładkową.

Grube bierwiona układało się warstwami ciasno, jedna na drugiej. Kłody pierwszej miały położenie poprzeczne w stosunku do kierunku biegu samego wału, belki warstwy drugiej, wyższej, leżały doń równolegle i tak dalej, i dalej aż do wysokości dziesięciu lub dwunastu metrów. Puste przestrzenie między tramami wypełniało się ubitą ziemią i kamieniami. Na samym wierzchu zwiążającego się ku górze wału mógł stanąć szereg skrzyń-izbic, wypełnionych głazami albo zwarty częstokół. Nieprzerwany a pochyły płot z zaokrąglonych pali bronił jeszcze przystępu do umocnienia od zewnątrz. Na samym dole wały mogły sięgać do dwudziestu metrów szerokości.

Trudno było ugryźć taką twierdzę. Żadne tarany oblężnicze nie mogły rozkruszyć grubej i świetnie związanej drewniano-ziemnej ściany. Ogień się jej nie imał, bo ziemia trzymała wilgoć. Biegący nieprzerwanym koliskiem wał opasywały jeszcze od zewnątrz pierścienie fos.

Później - około połowy X w. - wprowadzono dodatkowe udoskonalenie. Polegało ono na tym, że niektóre, w regularnych odstępach umieszczone kłody poprzeczne miały haki-zaczepy, mocno przytrzymujące belki warstwy wyższej i uniemożliwiające ich wysunięcie się. Zaczep powstawał po prostu z odpowiednio przyciętego konara drzewa, zawczasu na ten cel wybranego. Hak nie mógł odpaść ani puścić, bo był przecież zrośnięty z kłoda, stanowiącą część składową samego wału.

Budownictwo wojenne wysoko stało u Prapolaków, świadcząc o dużych umiejętnościach w zakresie taktyki, a także strategii, bo twierdze strzegły ważnych szlaków. Wykopaliska na wyspie Jeziora Lednickiego w Wielkopolsce odsłoniły prastary wał, od którego podnóża wybiegały na zewnątrz mocne i długie ostrogi zbudowane z belek. Urządzenie to utrudniało podtaczanie machin oblężniczych oraz w sposób korzystny dla obrońców rozczłonkowały szyk nacierającego nieprzyjaciela. Wykonano je na długo przed datą chrztu Polski.

Nie bez racji wywiad państwa Franków poświęcał tyle uwagi twierdzom prapolskim.

Na południowy zachód od Jeleniej Góry, w kierunku na Krosno, ciągną się po obu stronach Bobra szczątki potężnej fortyfikacji, długości przeszło stu kilometrów. Był to ongi silny wał, wzmocniony fosami. Niektórzy sądzą, że usypano go w czasach piastowskich. Istnieje jednak i inny domysł.

Nie jest wykluczone, że wał ten zabezpieczał niegdyś od strony zachodniej wspólne państewko plemienne jednoczące Ślęzan, Dziadoszan, Trzebowian i

Bobrzan. Kto wie, czy nie powstał nawet w VIII stuleciu. W każdym razie faktem jest, że mogło go zbudować tylko państwo dość ludne i posiadające sprawnie działającą władzę. Żadne pojedyncze plemię nie uporałoby się z robotą, która wymagała przekopania 750 000 metrów sześciennych ziemi.

Jeśli chodzi o Śląsk, to wczesne zorganizowanie się tam władzy państwowej było tym łatwiejsze, że kraj ma naturalny ośrodek w postaci góry Ślęży, na której już w „łrzyckich” czasach odbywały się obrzędy religijne ku czci słońca. Szczyty Ślęży i pobliskiej Raduni (zwanej dziś Górą Sępią), jako miejsca uznane za święte, opasane wtedy były niskimi wałami z kamieni. Władzące tu rody wcześniej niż kto inny dojść mogły do znaczenia i potęgi materialnej.

Nazwa Śląska zdaniem niektórych uczonych, przede wszystkim niemieckich, pochodzi od germańskiego szczepu Silingów, rzekomo przebywającego tu w okresie rzymskim. W rzeczywistości jednak wywodzi się z takich polskich wyrazów gwarowych, jak ślagwa - wilgotne, mgliste powietrze, sięgnąć - moknąć, nasiąkać wilgocią, prześlągły - przemoknięty. Dla poparcia tego twierdzenia warto przypomnieć, że Wrocław, odległy od morza o setki kilometrów, ma klimat morski, a kraj cały aż paruje.

Wały śląskie sprawiają dość imponujące wrażenie, jednak państwo, które je usypało, nie było mocarstwem i nie mogło uprawiać wielkiej polityki. Wszystko w nim musiało być w stosunku do naszej skali jakiegoś zmniejszone. Sam wał nie zdołałby odeprzeć wojsk silnego wroga, ponieważ nie mógł być obsadzony załogą na całej długości, a ówczesne mizerne środki transportu nie pozwoliłyby na szybkie skupienie rezerwy strategicznej. Za to z powodzeniem potrafiłyby zatrzymać małe oddziały rabunkowe. Istnieje domysł, że wały śląskie zabezpieczały kraj przed łupieżczymi napadami słowiańskich Serbów Połabskich, zamieszkałych na zachód od Śląska. W tych czasach żadne z prapolskiej plemion nie graniczyło z Niemcami.

Jeżeli Praślązacy w rzeczy samej posiadali wtedy państwo, to bez wątpienia zaliczało się ono do takich, które nauka zowie plemiennymi. Nie znaczy to wcale, że wszyscy jego mieszkańcy połączeni byli wspólnotą krwi. Mogło się tak zdarzać, owszem, ale w epoce jeszcze wcześniejszej, kiedy tworzyły się same pierwociny organizacji politycznych.

Państwo plemienne obejmujące rozmaite szczepy odznaczało się przede wszystkim niezbyt wielkimi rozmiarami. Wolno powiedzieć, że uformowanie takich państw zrodzenia się państwa prawdziwego, jednoczącego ludy tej samej mowy i obyczajów oparte o naturalne granice, słowem - państwa narodowego.

Kiedy *Geograf Bawarski* spisywał swą notatkę, czyli w stuleciu IX, na ziemiach polskich zapomniano już pewnie o czasach dawnej wspólnoty rodowej. Ludzie inaczej organizowali sobie wtedy życie społeczne. Toczyło się ono w obrębie niewielkich jednostek gospodarczych i administracyjnych. Znamy ich nazwę. U nas brzmiała ona: opole - u Słowian wschodnich: *mir* lub *wierw*.

Każde opole stanowiło nieduży okrąg terytorialny zamieszkały przez poszczególne rodziny, gospodarujące odrębnie. Wspólnie korzystano tylko z wód, lasów i pastwisk. Mieszkańców opola - o czym wiemy z czasów późniejszych - jednoczyły też obowiązki wobec władzy państwowej, ciężary podatkowe i robocizny, a także zbiorowa odpowiedzialność, jeśli na ich gruntach ukrył się przestępca. Prawo kazało ścigać go „śladem” i albo schwytać, albo wygnać z granic opola.

Od dawna musiała istnieć w Polsce ta forma organizacji, skoro za czasów *Geografa* nazwa jej zdążyła już nie tylko głęboko się zakorzenić, ale nawet przenieść na jedno z plemion. Napisano przecież po łacinie w owej notatce: „Opolanie mają dwadzieścia grodów.” Nie przesadzimy chyba przypuszczając, że organizacja opolna znana była w Polsce już w wieku VIII.

Jak bardzo zmieniły się od tych czasów pojęcia polityczne i geograficzne, świadczy fakt, że wspomniani przed chwilą Opolanie nie mogli należeć do plemiennego państewka śląskiego, jeśli takie istniało. Prawdopodobnie wchodzili w skład tworzącego politycznego, który się uformował w późniejszej Małopolsce.

W IX wieku albo na początku X jakiś chrześcijański duchowny napisał *Żywot św. Metodego*, sławnego apostoła Słowian, który wspólnie z bratem - Cyrylem - działał na południe od Karpat. Możemy tam przeczytać:

Miał Metody dar proroczy i wiele sprawdziło się z jego przepowiedni, z których tylko jedną lub dwie tu wymienimy. Pogański książę potężny bardzo, siedząc w Wiśle [czy: w Wiślech], urągał chrześcijanom i szkody im wyrządzał. Posławszy więc do niego kazał mu [Metody] powiedzieć: dobrze by było, synu, abyś się dał ochrzcić dobrowolnie na swojej ziemi, bo inaczej będziesz w niewolę wzięty i zmuszony przyjąć chrzest na ziemi cudzej; wspomnisz moje słowo. Tak się też stało.

Znaczny rozgłos uzyskało w świecie ówczesnym plemienną państwo *W i ś - l a n*, skoro nazwę jego zapisali nie tylko cytowany przed chwilą mnich oraz *Geograf Bawarski*, lecz również król angielski, Alfred Wielki, panujący od roku 871 do 901.

My dzisiaj niewiele, niestety, wiemy o najdawniejszych dziejach politycz-

nych naszego kraju. Ale z tego wcale jeszcze nie wynika, że ich nie było lub że nie wiedzieli o nich współczesni.

Szczyt potęgi państwa Wisłan przypadał zapewne na sam początek IX wieku. Około 880 roku zza Karpat spadła na nie katastrofa. Świętopełk, wojowniczy Władca słowiańskiego państwa wielkomorawskiego, podbił kraj Wisłan, ochrzcił jego lud i wziął w niewolę księcia. W ułudzie sześć lat później - w roku 906 - państwo Wielkomorawskie zniszczyli Węgrzy. Wisłanie odzyskali wolność, wrócili pewnie do dawnej wiary, ale nigdy już nie odbudowali swej poprzedniej świetności. Jeszcze w tym samym X stuleciu ziemie ich zawojowali Czesi. Prastary okrągły kościółek na Wawelu, zwany obecnie rotundą Feliksa i Adaukta, wzniesiony w latach 973-989, upamiętnia czeskie panowanie na południu Polski.

Uczeni twierdzą, że granice państwa Wisłan w jego najbujniejszym rozkwicie były wcale rozległe. Od południa biegły grzbietami Karpat i Tatr, od zachodu wzdłuż Sudetów. Granica wschodnia szła Styrem i Bugiem niemal aż po dzisiejszy Brześć, skąd skręcała na zachód. Od północnego zachodu rubież stanowiła Pilica.

Istnienie państwa Wisłan upamiętniło się w prastarych księgach, nawet osoba i potęga ich bezziennego władcy zwróciły na siebie uwagę człowieka znającego pismo. Zaniedbał on, niestety, powiedzieć nam, gdzie się mieściła ich stolica. Długo biedzili się nad tym problemem historycy i archeolodzy. Nie można twierdzić, że dziś posiadamy już dowody absolutnie rozstrzygające. Coraz więcej jednak rzeczowych i logicznych danych wskazuje na Kraków, a mówiąc ściśle - na sam Wawel. Historyczna kariera wzgórza, które w Polsce piastowskiej rychło zdegradowało prastołeczne Gniezno, nie była dziełem przypadku czy osobistych gustów królewskich. W państwie tworzącego się pomału narodu polskiego wybiła się na czoło ta dzielnica, która najwcześniej weszła w styczność z kulturą zachodniej i południowej połaci kontynentu. Chrześcijaństwo dotarło do Krakowa wcześniej niż nad Wartę.

Kraj Wisłan zetknął się z wyznawcami krzyża w bardzo ciekawej chwili swego rozwoju dziejowego, wtedy właśnie, kiedy zabiegał o nadanie doskonałych form wierze starej, pogańskiej. W VIII czy IX stuleciu na szczycie Łysej Góry (w dzisiejszym Paśmie Świętokrzyskim) dzwignięto z miejscowych gołoborzy trzydzieści dwa tysiące metrów sześciennych kamienia, mozolnie przetworzonego w tłucaż. Usypany żel wał wydłużonym pierścieniem opasał sam łysy, nie zamieszkały szczyt wzniesienia. Zupełnie wiarygodna wiadomość z roku 1686 mówi o odnalezieniu na nim „osypanego węglami” posagu bożyszcza. Stało się to podczas wymagających pewnie kopania prac przed

drzwiami kościoła, na którego miejscu ;tać ongi musiała świątynia pogańska.

Badania prowadzone na Łysej Górze przez zespół archeologiczny pod kierownictwem Eligii i Jerzego Gąssowskich wiodą do wniosków rewelacyjnych. Same rozmiary wału sakralnego świadczą, że wykonanie go nakazała władza państwa wcale nie lichego, zmierzająca widać do bardziej majestatycznej organizacji starego kultu. W historycznym przededniu inwazji chrześcijańskich Wielkomorawian Wiślanie z własnej woli zaczęli poszukiwać w dziedzinie religijnej nowego i lepszego.

Państwo ich także zaliczało się do plemiennych. I właśnie na jego przykładzie możemy się przekonać, że nazwa ta wcale nie oznacza organizacji politycznej opartej o węzeł krwi, »wspólnego pochodzenia.

Właściwa ojczyzna plemienia Wiślan - którzy miano wzięli oczywiście od rzeki - to kraj położony między Bytomiem, Oświęcimiem, Nidą i Dunajcem. Tymczasem w skład ich państwa wchodziły ludy zamieszkujące Lubelszczyznę, Sandomierszczyznę, niektóre obszary mazowieckie oraz Opole i Goleczyce, siedzący wokół Cieszyna.

Księstwo Wiślan należało więc do tej samej kategorii, co i państewko Ślęzan, którego istnienia domyślamy się tylko. Ale w rozwoju historycznym posunęło się dalej, można powiedzieć, że zdobyło rangę dużo wyższą. Zjednoczyło przecież znacznie obszerniejsze kraje i liczniejsze ludy. Jednak nie ono stało się podwaliną narodowego państwa polskiego. Wielką rolę przypadła w udziale plemiennemu księstwu P o l a n , położonemu o wiele bardziej na północy, nad Wartą. Było ono tak dobrze ze wszystkich stron osłonięte przez inne słowiańskie i prapolskie szczepy, że wieści o jego stopniowym krzepnięciu w potęgę nie mogły dotrzeć do uszu biegłych w piśmie kronikarzy. Zachód Europy zwrócił nań uwagę dopiero wtedy, kiedy było już rozległe, silne i szykowało się do bardzo ambitnych zadań. To znaczy - dopiero w drugiej połowie wieku X.

II

Jak się już wspomniało, w V i VI stuleciu ludy słowiańskie ruszyły w dalekie J i zdobywcze wędrówki. Plemiona prapolskie jednak, te właśnie, które w przyszłości miały uformować nasze państwo, zostały na miejscu, w dawnych siedzibach. Wokół nich wyrósł więc bardzo szeroki wieniec pobratymczych

szczępów, prawdziwy wał obronny, tym cenniejszy, że żywy. Mogli się Prapolacy od czasu do czasu wadzić z nimi, a nawet walczyć. Nie mogło im jednak od tych sąsiadów zagrozić niebezpieczeństwo prawdziwe, wynarodowienie lub niewola.

Za Karpatami osiedli Czesi, Morawianie, Słowacy. Od wschodu nic się właściwie w czasie wielkich wędrówek nie zmieniło. Nad Dnieprem mieszkali plemiona ruskie, bliżej zaś - nad średnim Bugiem, gdzie dziś jest Hrubieszów - początki własnej organizacji państwowej tworzyli Bużanie, zwani później Wołynianami. Największe przemiany dokonały się na zachód od ziem prapolskich, czyli między Odrą a Łabą. Stan rzeczy, jaki tam panował w pierwszym tysiącleciu naszej ery, był tak niepodobny do późniejszego, uległ nawet tak głębokiemu zapomnieniu, że w latach poprzedzających drugą wojnę światową przypomnienie o nim, dokonane przez Józefa Kisielewskiego w książce *Ziemia gromadzi prochy*, wywołało powszechne zdumienie.

Cały kraj między Łabą a Odrą był wtedy słowiański. Najdalej na północnym zachodzie, gdzie dziś jest czysto niemiecka Lubeka, mieli swą ojczyznę Obodrzyce. Na wschód od nich - aż ku Odrze - żyły silne plemiona Wieleatów. Najważniejsi wśród nich to Redarowie, w których grodzie - Radgoszczy - oddawano cześć bożyszczu imieniem Swarozyc.

Zarówno Obodrzyce, jak i Wieleci już w VIII wieku tworzyli związki państwowe, i to dość chyba mocne, jeśli Niemcy potrzebowali kilku stuleci, aby się z nimi uporać, co nastąpiło ostatecznie dopiero w wieku XII.

Wspomnieć jeszcze trzeba o Łużyczanach, a to przede wszystkim dlatego, że szczątki ich przetrwały i żyją do naszych czasów w okolicach Budziszyna.

Na samej północy - między ujściem Wisły i Odrze - siedziały ludy słowiańskie, których los w odróżnieniu od poprzednio wymienionych związał się ściśle z naszą historią. Byli to Pomorzanie. Przodkowie ich, którzy - jak pamiętamy - grzebali swych zmarłych w urnach ozdobionych wizerunkiem twarzy ludzkiej, jeszcze przed naszą erą podbili i na krótki czas zjednoczyli ziemie późniejszej Polski. I we Wczesnym średniowieczu handel morski pozwalał mieszkańcom wybrzeża obrastać w bogactwa. Szczególnie pod tym względem zasłynął w ówczesnej Europie Wojin, położony na północ od Szczecina, nad Dziwną. Jeden z kronikarzy pisał o nim rzeczy pewnie przesadne, ale tak charakterystyczne, że warto się z nimi zapoznać. Co prawda wzmianka pochodzi dopiero z X wieku, ale świetność Wolina nie mogła zabłysnąć od razu, musiała z wolna wzrastać w poprzednich stuleciach.

O sławie tego miasta - pisał kronikarz - wiele rzeczy zaledwie podobnych do wierzenia opowiadają i ja też niektóre przytoczę. Było ono rzeczywiście największym z miast, jakie w Europie się znajdują. Mieszkali w nim Słowianie i mieszanina innych ludów, tak Greków, Rusów, jak i barbarzyńców. Sascy przybysze [Niemcy] otrzymali także wolność przemieszkwania tam, byle tylko, dopóki tam zostawali, nie wydawali się publicznie ze swym chrześcijaństwem. Wreszcie pod względem obyczajów i gościnności nie było żadnego narodu uczciwszego i dobrodusznieszego. Miasto bogate w towary wszystkich narodów posiadało wiele przyjemności i rzadkości.

Wolin nie był wyjątkiem. W kraju ciągnącym dostatki z morza wyrastały potężne miasta-republiki, jak Szczecin i Kołobrzeg.

Tak się w ogólnych zarysach przedstawiał ów wieniec ludów, który opasywał plemienne państwo Polan znad Warty. Stolica jego mieszciała się w Gnieźnie.

Wyniosłość, na której obecnie stoi tam katedra, nazywa się Górą Lecha. Długie badania archeologów dowiodły, że tysiąc kilkaset lat temu postać jej była zupełnie inna.

Wzgórze otaczały podówczas trzy jeziora i tylko od wschodu można było suchą nogą wejść na szczyt. Był on wtedy o całe cztery metry niższy niż teraz i bez porównania bardziej stromy, bo podnóża leżały aż jedenaście metrów pod obecną powierzchnią. Wątpić o tym nie można w żaden sposób, gdyż na tej głębokości odnaleziono wrośnięty korzeniami w ziemię pień ściętej sosny, o który opierała się podstawa wału obronnego.

Spadzisty pagórek, oblany wokół wodami jezior i otoczony istnym lasem trzciny, dźwigał na szczycie drewniany, lecz mocny gród. Ciasna twierdza stanowiła prastolicę Polski. Nazwa jej „w słowiańskim tłumaczy się jak gniazdo” - napisał w wieku XII po łacinie nasz najstarszy kronikarz.

Zanim pomówimy o tym, co się działo w zakolu silnych walów grodu książęcego, trzeba rzucić okiem na sprawy dotyczące szerszych warstw ludności.

Udoskonalone rolnictwo stworzyło materialne podstawy państwa polskiego. Dzięki niemu kraj gęściej się zaludnił. Stała uprawa sprzyjała gromadzeniu zasobów i bogactw. Skupiali je w swych skrzyniach możni, siedzący po grodach. Oni byli twórcami i pilnymi stróżami organizacji politycznej, która utwierdzała ich władzę. Ale nie tylko ten jeden wzgląd ważył. Nie tylko fizyczna przemoc sprawiała, że lud godził się uznawać to panowanie.

„Byle się gibnął młody zrab państwa polskiego, wnet wkraczał w bezpańską dziedzinę ciężkostopy sąsiad, nakładając jarzmo nierównie gorsze od iga własnych gospodzinów.

Snadź tak już musiało być po wieki wieków” - napisała w *Krzyżowcach*

Zofia Kossak o czasach nieco późniejszych, wyrażając bardzo istotną prawdę.

Musiąca ona pomału, lecz od dawna wnikać w przekonania szerokich warstw ludzi prostych, obarczonych ciężarami na rzecz rosnącego państwa. Zwłaszcza w miarę, jak słabły ludy słowiańskie żyjące za Odrą, i do ziem naszych zaczęły docierać drużyny groźnych rycerzy niemieckich.

Polscy uczeni dokładnie zbadali tajemnice gnieźnieńskiego wzgórza. Zdjęli zeń warstwę gruzów i ziemi, grubą niekiedy na dwanaście metrów, wryli istne przepas'cie i wąwozy. Znaleźli w nich ślady mocnych hakowych obwarowań, wykryli też resztki zwykłego częstokołu z łupanych dyli, który tu stanowił najstarsze umocnienie osiedla. W sposób najbardziej drobiazgowy obejrzeli wszystkie pamiątki, poczynając od najstarszych - z samych początków VIII wieku.

Okazało się, że lud, który żył u stóp wału książęcego, był rdzennie rolniczy. Mieszkał w niedużych chatach budowanych na zrąb, z drewna przeważnie sosnowego. Pola obsiewał pszenicą droбноziarnistą i zwyczajną, żytem, prosem, jęczmieniem i owsem. W sadach oprócz wiśni, jabłoni, czeresni i śliw zbierał też takie owoce, które dziś przywozić trzeba z zagranicy: brzoskwinie, wisienki karłowate i śliwy zwane wiśniowatymi. Do żęcia zbóż służyły sierpy. Znalaziono sierpy składane, niczym nóż kieszonkowy, oraz ich piękne oprawy z rogu.

Myślistwo od dawien dawna musiało już ustąpić miejsca hodowli, bo przeszło 99 procent kości zwierzęcych odkopanych w Gnieźnie należało do zwierząt domowych, zwłaszcza swin, których gatunek był ten sam, co i w dawnym „łużyckim” Biskupinie. Tuczono sztuki duże, dające słoninę. Krowy zaliczały się do tej odmiany, z której się wywodzi dzisiejsze bydło czerwone polskie.

Dawni gnieźnianie trzymali konie, hodowali owce i pszczoły. Chat ich strzegły psy, przy paleniskach, które z biegiem czasu ustąpiły miejsca piecom, wylegiwały się koty. - W starszych czasach do ochrony przed myszami służyły Słowianom oswojone łasice.

W osiedlu żyli szewcy, wyrabiający buty skórzane podobne do kierpców góralskich i bardzo piękne. Z innych rzemieślników byli tu tkacze, cieśle, krawcy, garncarze, obrabiacze rogu i kości, nawet złotnicy. Paciorki i inne klejnoty wschodniego pochodzenia świadczą o rozległym handlu.

Wszyscy ci ludzie mieszcili się na tak zwanym podgrodzium. W czasach tworzenia się państwa polskiego osiedla obronne nie były już bowiem jednolite.

Opasujące je wały biegły zwykle podwójnym koliskiem, w planie poziomym podobnym do pawiego oka.

Wał zewnętrzny, z reguły nieco niższy i słabszy, opasywał całą osadę. Oba jego krańce, które dla wyrazistości przyrównać można do ramion podkowy, przyrastały do kręgu wałów wysokich i szczególnie mocnych, tworzących gród właściwy, siedzibę władcy, jego rodziny i straży.

Podgrodzie zamieszkałe przez rzemieślników, kupców i rolników, miało niewątpliwie charakter osiedla miejskiego. Z tych podgrodzi rozwinęła się później przytłaczająca większość naszych miast, wśród nich Kraków, Gniezno, Poznań, Gdańsk, Wrocław i tyle innych. Teorie głoszące, że przed XIII stuleciem Polska nie znała życia miejskiego, są absolutnie niesłuszne.

Na szczycie Góry Lecha, głęboko pod dzisiejszą powierzchnią, odnaleziono wał grodu właściwego, wzniesiony w typowo polski sposób: z krzyżujących się warstw belek. Drewno jego spróchniało całkiem, glina za to stwardniała na skałę. Pochyłość zewnętrzna była znaczna, wynosiła około 70 stopni. Staranne badania przekonały, że gród ten zbudowano bardzo dawno temu - może już u schyłku VIII wieku.

Wykryto inne jeszcze ciekawe rzeczy. Okazało się, że ten, co projektował budowę i kierował nią, zawnaząs podzielił całe kolisko na regularne odcinki, po dwa metry czterdzieści centymetrów długości. Przy każdym takim słoju pierścienia wału pracowała osobna drużyna robocza. Przekonał o tym trochę odmienny rodzaj ziemi, którą poszczególne zespoły kopały widać w rozmaitych miejscach. Techniczni kierownicy tej roboty musieli zatem posiadać duży zasób wiedzy i doświadczenia, a ten, kto rozkazał budować, miał niewątpliwie rozległą władzę nad ludźmi, był głową państwa.

Dopiero w początkach XII stulecia kronikarz zwany Gallem-Anonimem zapisał po łacinie nieco wiadomości o tym, co się działo na wzgórzu gnieźnieńskim w czasach jeszcze przedchrześcijańskich. Ufano mu tylko częściowo, za pewne i niewątpliwie przyjmując dopiero imię Mieszka I, czyli tego księcia, który się ochrzcił. Postacie jego przodków uznawano za bajeczne. Nie można dziś godzić się z takim sądem, ponieważ archeologia dostarczyła niezbitych dowodów, że historyczny rozwój naszego państwa zaczął się wcześniej i trwał długo. Zresztą i zwyczajne rozumowanie każe wierzyć Gallowi.

Przywędrował on do nas za czasów księcia Władysława Hermana, który był zaledwie praprawnukiem Mieszka I. Czyż można przypuścić, że na dworze władcy Polski - państwa nie lada jakiego - tak rychło zapomniano imion założycieli dynastii? Wiadomo przecież, że i dziś jeszcze wielu gospoda polskich daje w Dzień Zaduszny na wypominki po kilku pokoleniach swy

przodków. Cóż dopiero mówić o tamtych czasach, kiedy przynależność do rodu, możność powoływania się na dziadów i praszczurów stanowiły o dostojności człowieka.

Trzeba przy okazji wspomnieć o jeszcze jednym - wykopaliska przekonały nas dobrze, iż tradycja ludowa potrafi zadziwiająco wiernie przechowywać wiadomości wcale ściśle. Nieraz zdarzało się uczonym znajdować nadzwyczajne rzeczy na jakimś wzgórku czy pustce, które tylko legenda wyróżniała od otoczenia. Okazywało się, że pod zwyczajnym krzyżem polnym, stawianym przez pokolenia w jednym i tym samym miejscu, mogą się kryć w ziemi mogiły z czasów pradawnych, plemiennych.

Prof. Józef Kostrzewski w swojej świetnej *Kulturze prapolskiej* pisze wyraźnie:

Nie ulega wreszcie wątpliwości, że i dynastia piastowska nie rozpoczęła się dopiero z Mieszkiem, lecz sięga w głąb wieku IX, rozpoczynając się - zgodnie z przekazem Galla-Anonima - od pradziadka Mieszka. Jest bowiem po prostu wyłączone, aby państwo Mieszka I, opisane jako najrozleglejsze z zachodniostowiariskich przez Ibrahima ibn Jakuba, stworzone zostało z niczego przez pierwszego historycznego władcę Polski. Zanim wiadomość o państwie polskim dostała się do źródeł pisanych, tworzyło się ono z pewnością przez kilka pokoleń, rosnąc na drodze podbojów sąsiednich plemion polskich przez księcia gnieźnieńskiego.

Tak więc wypadnie zaufać Gallowi i uznać za prawdziwe imiona najstarszych książąt polskich. Byli to kolejno: Ziemowit, Leszek i Ziemomysł. Ojciec Ziemowita miał się nazywać Piastem.

Ziemowitowie i Ziemomysłowie zdarzali się i później, zwłaszcza w znanej z konserwatyźmu linii książąt mazowieckich. Nie brakowało i Leszków. Ale jest niezbitym faktem, że przez całe tysiąc i paręset lat późniejszej historii Polski nikt nigdy nie nazywał się Piastem. W potocznym użyciu są za to dziś takie słowa, jak piastować, piastun.

Wszelkie cechy prawdopodobieństwa nosi domysł, że takiego imienia w ogóle nigdy nie było, istniał natomiast ważny urząd piasta czy piastuna - wychowawcy dzieci księcia - i ten właśnie tytuł dał początek nazwisku najstarszej dynastii polskiej.

W państwie*Franków pierwszym królem z rodziny Karolingów był Pepin Krótki, ojciec Karola Wielkiego. Człowiek ten był początkowo wysokim urzędnikiem na dworze Merowingów. Nosił tytuł *majordomus*, a obowiązki jego polegały na wychowywaniu dzieci władcy. W odpowiedniej chwili Pepin odsunął swych wychowanków od tronu i sam nań wstąpił. - W księstwie halickim na Rusi w XIII wieku sięgnął po władzę Władysław Kormilczyc, czyli syn *kormilca*, a więc znów opiekuna dzieci książęcych.

Trzeba pilnie zważać na takie podobieństwa, bo sposoby walki o władzę w rozmaitych krajach i czasach potrafią być zbieżne. Cóż dopiero, kiedy chodzi o tę samą w gruncie rzeczy epokę historii europejskiej zwaną średniowieczem.

Zapisana przez Galla legenda głosi, że Piast był chłopem i mieszkał na podgrodziu. Polanie, zrażeni okrucieństwami poprzedniego władcy - Popiela - mieli zrzucić go z tronu i obrać na księcia Ziemowita.

Prastare podanie czeskie opowiada, że Przemysł - założyciel tamtejszej narodowej dynastii Przemyslidów - też był początkowo chłopem. W piękny sposób upamiętniło się to w ceremoniale dworskim. Podczas aktu obejmowania władzy książę czeski występował w płóciennym stroju wieśniaczym i w łapciach z łyka. Przysięgę wierności prawom odbierał od niego siedzący na tronie chłop.

Z naszych legend wynikać się zdaje, że Ziemowit odebrał władzę poprzednio panującej rodzinie. Dopiero w XIV wieku pojawiła się baśń o tym, że Popiel miał swą stolicę w Kruszwicy i tam zginął w tak zwanej Mysiej Wieży (którą w rzeczywistości zbudował Kazimierz Wielki). Dziś nie da się zaprzeczyć, że wszystkie tajemnicze sprawy związane z walkami o koronę księcia Polski odbywały się w Gnieźnie.

Poczynając od Ziemowita utrwała się dziedziczność władzy w rodzie Piastów. Należy to z siłą podkreślić. Dziedziczność tronu znakomicie przyczyniała się do utrwalenia ustroju, który zabezpieczała od zasadniczych wstrząsów. Historia wielu krajów europejskich - przede wszystkim Francji - dostarcza po temu wymownych przykładów. Państwa, które wcześniej zdobyły się na zasadę dziedziczności władzy, łatwiej od innych przewyciężały trudności. Brak tej dziedziczności uniemożliwił Niemcom pełne rozwinięcie ich ogromnej potęgi.

Niewiele napisał Gall o pierwszych książętach dynastii Piastów. Niewiele - ale rzeczy wyłącznie wiarogodne:

Ziemowit tedy, osiągnąwszy godność książęcą, młodość spędzał nie na niedorzecznych rozrywkach, lecz oddając się pracy i służbie rycerskiej, zdobył sobie rozgłos zacności i zaszczytną sławę oraz granice swego księstwa rozszerzył dalej niż ktokolwiek przed nim. Po jego zgonie na jego miejscu zasiadł syn jego, Leszek, który czynami rycerskimi dorównał ojcu w dzielności i odwadze. Po śmierci Leszka nastąpił Ziemomysł, syn jego, który pamięć rodziców potroił i potomstwem, i dzielnością. Ten zaś Ziemomysł spłodził wielkiego i sławnego Mieszka...

Nie znamy daty urodzin Mieszka I. Z pewnym prawdopodobieństwem możemy tylko mówić, że było to gdzieś około roku 920. Jeśli policzyć czas

potrzebny na życie oraz rządu jego ojca, dziada i pradziada, wypadnie, że ród Piastów wstąpił na tron w pierwszej połowie IX wieku. Czyżby zatem najstarsze umocnienia gnieźnieńskie, pamiętające wiek VIII, wznosili jeszcze Popielidzi? Może wies'ci o nich należą nie tylko do legendy?

Wszystko tu płynne, niepewne, nie oznaczone dokładnymi datami. Jedno tylko nie ulega żadnej wątpliwości. Tó mianowicie, że państwo polskie jest znacznie starsze, niż mniemają ci, co historię jego chcą rachować dopiero od chwili chrztu.

Gall-Anonim musiał posiadać dokładne wiadomości o pierwszych Piastach i wcale nie przesadził w opisie ich zasług. Wnioskować o tym możemy śmiało, ponieważ w początkach panowania Mieszka I księstwo jego było wcale rozległe. Oprócz Wielkopolski właściwej - czyli Gniezna, Poznania, Kalisza i Kruszwicy - obejmowało ziemię łęczycką, sieradzką, chełmińską, mazowiecką, sandomierską, przemyską, Grody Czerwieńskie, Pomorze Gdańskie i ziemię lubuską. Dotykało więc Odry. Posiadało liczne i potężne grody. Tuż pod ich wałami lub nawet w ich obrębie mieli swe warsztaty rzemieślnicy, reprezentujący ówczesny przemysł.

Jakże mylnie i płytkie są bajki, że Polacy posługiwali się wtedy narzędziami z kamienia, a wyroby żelazne nabywali od wędrownych kupców niemieckich! Piece hutnicze zaczęły na naszych ziemiach dymić już w czasach przed naszą erą. Jeśli nawet ktoś' przechowywał za Mieszka kamienne topory, to chyba tylko jako osobliwość lub pamiątkę rodową.

Dzięki żmudnym pracom archeologów wieleśmy się dowiedzieli o materialnej kulturze naszych przodków. Zawartośc moglił oraz inne znaleziska - jakże niestety rzadkie! - mogą nas pouczyć o ich wierzeniach religijnych. Najtrudniej niewątpliwie odgadnąć, jakie były ich umysły. Autorzy powies'ci historycznych przeważnie przedstawiali nam tych ludzi jako pierwotnych barbarzyńców nie posiadających wiedzy o świecie, zdolnych, lecz pozbawionych wszelkiego wykształcenia. Jeśli jednak przypatrzeć się uważnie temu, co tamte pokolenia osiągnęły - wnioski wypadną inaczej.

Kilka lat temu w Nowogrodzie Wielkim w Rosji prof. Artemiusz Arcichowski odnalazł wprost w ziemi okazy najdawniejszych znanych dotąd pism słowiańskich. Najstarsze z nich pochodziły z X wieku. Były to listy i zapiski ludzi prostych, mieszczan nowogródzkich, a dotyczyły ich drobnych spraw majątkowych, jakichś' kopie siana i temu podobnych rzeczy. Przetrwały, ponieważ były spisane, a raczej wydrapane rylcem na matriale bardzo trwałym - na korze brzozej. Jeśli Słowianie wschodni tak wczes'nie nauczyli się pisać, to dlaczego mielibys'my uznawać za pewne, że umiejętnośc ta była obca

Słowianom zachodnim? Możliwe, że przejęli oni rzymski jeszcze obyczaj pisania na drewnianych tabliczkach powleczonych woskiem, które oczywiście nie mogły przetrwać do naszych czasów. W polskich wykopaliskach znajdowano metalowe rylce wyglądające tak, jakby służyły ongi do pisania. Nie jest więc wykluczone, że wiedza ludzi ówczesnych mogła być utrwalana jeszcze inaczej niż w pamięci.

Jeśli domysł ten nie jest słuszny, to i tak mamy wystarczające dowody, że myśl piastowskich rządców państwa polskiego była przenikliwa, motywy postępowania bogate i rozumnie zbadane. Poznając sposób budowy grodu gnieźnieńskiego, łatwo wpaść w podziw dla organizacyjnego i technicznego mistrzostwa jego twórców. Trzeba jednak pewnego wysiłku wyobraźni, by zdać sobie sprawę, że w tej skromnej, bądź co bądź, ciasnej, drewnianej twierdzy mieszcil się nie tylko ośrodek siły, lecz i wspaniałej doprawdy myśli politycznej. Przecież tu własnie powzięty został i dojrzał pomysł czynu, który trwale ukształtował historię narodu i jego kultury.

W drewnianym grodzie na gnieźnieńskiej Górze Lecha zapadła decyzja przyjęcia chrześcijaństwa.

W 963 r. kroniki zachodnie po raz pierwszy zanotowały imię Polski i jej księcia Mieszka.

W tym czasie niemiecki dowódca pograniczny, słynny z podstępów i okrucieństw margrabia Marchii Wschodniej Gero, wyprawił się z wojskiem na Łużyczan, których pobił i poddał swemu zwierzchnictwu. Mieszko nie wojował wtedy z Niemcami. Przeciwnie - uważany był za przyjaciela cesarza. Toczył natomiast ciężkie i niezbyt pomysłne walki ze słowiańskimi Wioletami, w których zginął w roku 965 nie znany nam z imienia brat księcia.

W roku 966 Mieszko wraz z całym swym państwem przyjął chrzest. Powody, które go skłoniły do tego kroku, były tak wielkie i liczne, że historycy ciągle o nich rozprawiają i jeszcze na pewno nie wyczerpali tematu.

Na rok przed chrztem Mieszko poszukał sobie żony. Niechętny, wręcz wrogi Polsce kronikarz niemiecki Thietmar - biskup merseburski - pisze o tym po łacinie w słowach, które warto przytoczyć:

... przedstawię resztę czynów znakomitego księcia Polan, Mieszka, o którym pisałem szeroko w poprzednich księgach. W czeskiej krainie pojawił on za żonę szlachetną siostrę Bolesława Starszego, która okazała się w rzeczywistości taka, jak brzmiało jej imię. Nazywała się bowiem po słowiańsku Dobrawa, co w języku niemieckim wyklada się: Dobra. Owa wyznawczyni Chrystusa, widząc swego małżonka pogrążonego w wielorakich błędach pogaństwa, zastanawiała się usilnie nad tym, w jaki sposób mogłaby go pozyskać dla swej wiary. Starła się go zjednać na wszelkie sposoby, nie

dla zaspokojenia trzech żądz tego zepsutego świata, lecz dla korzyści wynikających z owej chwalebnej i przez wszystkich wiernych pożądanej nagrody w życiu przyszłym.

Umyslnie postępowała ona przez jakiś czas zdrożnie, aby później móc długo działać dobrze. Kiedy mianowicie po zawarciu wspomnianego małżeństwa nadszedł okres wielkiego postu i Dobrawa starała się złożyć Bogu dobrowolną ofiarę przez wstrzymywanie się od jedzenia mięsa i umartwianie swego ciała, jej małżonek namawiał ją słodkimi obietnicami do złamania postanowienia. Ona zaś zgodziła się na to w tym celu, by z kolei móc tym łatwiej zyskać u niego posłuch w innych sprawach. Jedni twierdzą, iż jadła ona mięso w okresie jednego wielkiego postu, inni zaś, że w trzech takich okresach. Dowiedziawszy się przed chwilą, czytelniku, o jej przewinie, zważ teraz, jaki owoc wydała jej zbożna intencja. Pracowała więc nad nawróceniem swego małżonka i wysłuchiwała jej miłośnicy Stwórcy. Jego nieskończona łaska sprawiła, iż ten, który Go tak srogo prześladował, pokajał się i pozbył na ustawiczne namowy swej ukochanej małżonki jadu przyrodzonego pogaństwa, chrztem świętym zmywając plamę grzechu pierworodnego. I natychmiast w ślad za głową i swoim umiłowanym władcą poszły ułomne dotąd członki spóśrd ludu i w szatę godową przydżiane, w poczet synów Chrystusowych zostały zaliczone...

Thietmar zmarł w roku 1018, a więc pisał niemal współcześnie, i wiadomości które nam przekazał, w pełni zasługują na zaufanie.

Zastanawiając się nad politycznymi motywami czynu Mieszka nie wolno popełniać rażącego uproszczenia i niesprawiedliwości, pomijając tego, co się dziać musiało w duszach ludzkich. Nie można lekceważyć przeżyć chrześcijanki Dobrawy w kraju pogańskim, uczuć pierwszej niewiasty, której imię zapisała historia Polski. Osobisty wpływ tej kobiety musiał być wielki. Od niej dowiadywał się książę polanski o wierze, przychodzącej ze świata prastarej i wielkiej kultury.

W jednym tylko na pewno przesadził gorliwy biskup Thietmar. Jego słowa o szacie godowej, w którą „natychmiast” miał się przydżiać cały lud polski, nie odpowiadają prawdzie. Dawny kult trzymał się bardzo długo. Z jego wciąż żywym pulsem spotykamy się jeszcze i w wieku XIII.

Wraz z Mieszkiem musieli pewnie przyjąć chrzest ci spośród możnych, którzy stanowili w państwie warstwę górną, kierowniczą. Nie mogli być im obce polityczne rozważania i zamiary księcia. Wręcz przeciwnie, oni wraz z Mieszkiem stanowili ośrodek myśli, w którym zapadały decyzje. Nic nie pozwala przypuszczać, że o wszystkim rozstrzygała w Polsce jedna głowa.

Polska znajdowała się wówczas w ustawicznych walkach z Wioletami. Państwowy związek tych plemion przeżywał wtedy szczyty swojej świetności, a nie znalazł władzy monarchicznej. Na jego obszarze, w Radgoszczy, znajdował się ośrodek rodzimego kultu Swaróżyca, który miał również wyznawców w Wielkopolsce i na Pomorzu. Thietmar prawi zadziwiające i z pewnością prawdziwe rzeczy o wspaniałości świątyni Swaróżyca, wokół której grupowała się kasta kapłańska. To wszystko czyniło z Wioletów bardzo niebezpiecznego wroga. W

państwie Mieszka mogli im tajemnie sprzyjać ci, którzy nie byli zadowoleni z okrzepłej już u nas władzy księcia i możnych. Pogańska wiara, wywodząca się z czasów dawnej plemienną swobody, znakomicie nadawała się na sztandar buntu społecznego.

Na zachód od Wioletów siedzieli wrodzy im chrześcijańscy Niemcy. Przyjęcie chrztu ułatwiało Polsce politykę w stosunku do nich.

Walczący z Mieszkiem i biorący górę Wieleci byli sprzymierzeni z Czechami.

W rok po chrzcie Polski nastąpiło nowe starcie. Saski graf Wichman - przestępca polityczny i wygnaniec z Niemiec - poprowadził na Mieszka drużyny potężnych Wolinian. Wtargnął głęboko, bo aż na lewy brzeg Warty, gdzie 26 września 967 r. doszło do walnej bitwy. Ale posiłki czeskie, w postaci dwóch hufców jazdy, były tym razem po stronie Polski. Doszczętnie rozbity Wichman zginął w ucieczce z rąk rozjątrzonych najazdem chłopów.

Przyjęcie chrztu nie było jednak tylko zabiegiem politycznym obliczonym na krótką metę, na rozerwanie sojuszu Wioletów z Czechami i odwrócenie przymierzy. Podejmując tak ogromne postanowienie, musiał je Mieszko dobrze i wszechstronnie rozważyć.

Wyniki badań archeologów i historyków powinny nas nareszcie oduczyć lekceważenia umysłów ludzi ówczesnych.

Mieszko wiele na pewno dowiedział się od Dobrawy o chrześcijaństwie. Nie można jednak chyba wątpić, że szukał innych jeszcze źródeł wiedzy, chociażby na dworze praskim, z którego wzięł żonę. Mieszko potrafił sięgać daleko poza granice swego kraju, miał tajnych sprzymierzeńców w Niemczech, mieszał się do sporów przy obiorze cesarza. Jakże można przypuszczać, iż tak zdolny, tak nawet genialny polityk nie zadał sobie pewnego pytania i nie poszukał odpowiedzi na nie. Pytanie to brzmiało prosto: jaki będzie stosunek nowej wiary do mojej władzy? Czy wzmocni ona mój tron, czy też go osłabi?

Chrześcijaństwo uznaje, że władza pochodzi od Boga. Biorąc rzecz politycznie, Kościół katolicki jest ustrojem monarchicznym. Chrześcijański książę, król czy cesarz - to pomazaniec Boży, a posłuszeństwo względem niego jest dla poddanych obowiązkiem, potwierdzonym powagą religii, obwarowanym zapowiedzią wiekistej nagrody lub kary. - Dzisiaj te sprawy traktuje się o wiele swobodniej i nikt nie wyklinał posłów francuskich, niedawno jeszcze ustawicznie zajętych wywracaniem rządów. W średniowieczu bunt przeciwko koronie mógł być uznany za herezję, ogłoszony za bunt przeciw Bogu.

Pamiętająca pradawne czasy wiara pogańska ani nawet słyszała o tym wszystkim. Istniała przecież już wtedy, kiedy plemię tylko na czas wojny

obierało sobie naczelnika. Utwierdzała stary obyczaj i stawiała księcia poniekąd na równi z jego własnymi poddanymi. Taki stan rzeczy nie mógł odpowiadać nowym stosunkom w księstwie. Mieszko I wcale nie był twórcą naszego państwa, lecz jego dziedzicznym władcą. To, czego dokonał przyjmując chrzest, wprowadzało Polskę na zupełnie nowe szlaki dziejowe, lecz było jednocześnie ostatecznym utwierdzeniem wszystkiego, co osiągnęli Ziemowit, Leszek i Ziemomysł, a może nawet poprzednicy ich - Popielidzi. Z chwilą chrztu dzieło budowy monarchii polskiej było ukończone. Książę zdecydowanie stanął ponad społeczeństwem, jako panujący.

Rok 966 jest w naszej historii datą ogromnie ważną, jedną z najważniejszych, ale nie może być uznany za żaden świt dziejów Polski. Stanowi kłamerę, mocno spajającą dwie epoki w jedną niepodzielną całość.

Ci Polacy, których w roku 966 zanurzono w wodzie święconej i uznano za synów Kościoła rzymskiego, w gruncie rzeczy powrócili do domów tym samym, czym byli idąc na uroczystości chrztu - ludźmi ukształtowanymi przez rodzimą kulturę, duszami otwartymi na nowe wpływy, lecz jednocześnie żyjącymi dziedzictwem.

Władcy Polski hojnie uposażali Kościół. Przez długie lata uchodziło za pewnik, że duchowieństwo z reguły szło w dzikie puszcze darowane mu przez księcia i wydierało rolę borom. Kiedy niedawno temu rozkopano jedną z takich wsi kościelnych w Wielkopolsce, okazało się, że była zamieszкана i dobrze zagospodarowana na setki lat przed przyjęciem chrztu.

Polska nie dlatego przyjęła chrzest, że brakło innego sposobu podźwignięcia się z barbarzyństwa i uniknięcia zagłady. Mieszko odrzucił starą wiarę, ponieważ państwo jego rozwinęło się i dojrzało do wielkich zadań, do szerszego niż dawniej udziału w dziejach Europy.

Za pośrednictwem Czech przyjęliśmy chrzest z Rzymu. To umożliwiło Polsce dostęp do skarbów kultury duchowej liczącej tysiąclecia rozwoju. Otworem stanęły przed naszym krajem literatura i sztuka pamiętające Greków i Rzymian, a także niezmierny zasób wiedzy i doświadczeni w dziedzinie prawa, administracji, polityki.

Musiało jeszcze upłynąć dwies'cie lat z okładem, zanim narodził się i jał pióra pierwszy pisarz narodości polskiej, Mistrz Wincenty, zwany Kadłubkiem. Dziwne uczucie ogarnia dziś' czytelnika jego *Kroniki polskiej*. *Żal, złość* nawet, że wszystko tu takie pomieszane, niepewne, przerosłe krasomówstwem, że tyle na siłę poprzyczepianych dodatków zaczerpniętych z dziejów starożytności klasycznej, zapożyczonych od Greków i Rzymian. Lecz jednocześnie wzruszenie i szacunek, kiedy się pomysli, jak bardzo ten syn ziemi san-

domierskiej ukochać musiał kulturalne dziedzictwo Europy - które poznawał w Paryżu - jak je chłonał i uznawał za własne.

Za Mieszka nie istniał jeszcze ostateczny podział na chrześcijaństwo zachodnie i wschodnie. Toteż kiedy w roku 988 Włodzimierz Wielki, książę Kijowa, przyjął chrzest z Bizancjum, fakt ten nie wykopał wcale przepas'ci między Polską a Rusią.

Otwarły się więc przed Polską nowe horyzonty, lecz wraz z nimi trudności i niebezpieczeństwa. Uniknąć ich trwając przy starym nie można było - najwyżej pogorszyć.

W kraju zaostrzyć się musiały stosunki z tymi wszystkimi, którzy nie chcieli wzmocnienia monarchii, knuli przeciwko księciu lub nawet sprzyjali Wielotom. Siły Mieszka wystarczyły jednak na uporanie się z tym zagrożeniem. Nikt nam nigdy nie powie, ilu zwolenników starego porządku i wiary dało wtedy głowę. Możemy tylko przyjąć za zupełnie pewne, że bez użycia siły się nie obeszło.

O wiele więcej przezorności i politycznego rozumu wymagały sprawy, które się wyłoniły z samego faktu przyjęcia chrześcijaństwa z Rzymu. Kościół katolicki bowiem to nie tylko wiara i dziedzictwo kulturalne, lecz również zwarta organizacja kleru, dążąca do własnych celów politycznych, potęgi materialnej, a nade wszystko do władzy.

Dobiegało właśnie końca pierwsze tysiąclecie Kościoła. Istniało wówczas we Włoszech państwo papieskie ze stolicą w Rzymie. Dyplomację jego łączyły wyrobione stosunki z krajami od dawna chrześcijańskimi, zwłaszcza z tymi, które leżały blisko Italii i samego państwa kościelnego. Stosunki te mogły być różne, raz przyjazne, kiedy indziej wrogie. Były jednak bliskie, bezpośrednie. Świeżo ochrzczona Polska znalazła się na samiuterikich krańcach katolickiego świata. Toteż dobro jej nieraz w przyszłości miało być poświęcane interesom, uznawanym tam za ważniejsze.

Przyjmując chrzest w roku 966 trafiła Polska na ponurą chwilę w dziejach Kościoła. W X wieku państwo papieskie przeżywało jeden z okresów swego najgłębszego upadku, liczyło się prawie już tylko jako monarchia świecka, o jego autorytecie moralnym trudno było właściwie mówić.

W XVI wieku wielki pisarz polski Andrzej Frycz Modrzewski wynotował ze starych dokumentów mowę biskupa orleańskiego Arnulfa, wygłoszoną w roku 991 na soborze w Reims, we Francji. Oto słowa dostojnika Kościoła o stosunkach panujących współcześnie w państwie kościelnym:

O Rzymie, pozałowania godny, który naszym przodkom ukazałeś jaśniejących chwałą ojców, nasze zaś czasy napełniłeś strasznymi ciemnościami hańbiącymi nas po wieki !... Czegóż bowiem nie widzieliśmy w tych czasach? Widzieliśmy, jak Jan, z przydomkiem Oktawian, żył w bagnie rozpusty; on też uknuł spisek przeciwko temu Ottonowi, którego przedtem koronował na cesarza. Gdy Jan został wypędzony, wybrano papieżem Leona Neofitę. Lecz kiedy cesarz Otto opuścił Rzym, Oktawian wrócił do miasta, zmusił do ucieczki Leona, Janowi Diakonowi obciął nos, palec prawej ręki i język i dokonawszy w mieście rzezi wielu znakomitych ludzi, wkrótce zmari. Na jego miejsce wybrali Rzymianie Benedykta Diakona z przydomkiem Gramatyk. Na niego też wkrótce uderzył Leon Neofita ze swoim cesarzem, obiegł, pojmał, złożył z urzędu i skazał na dożywotnie wygnanie do Niemiec. Po cesarzu Ottonie I nastąpił cesarz Otto II, przewyższający wszystkich władców naszych czasów siłą oręża, rozumem i wiedzą. W Rzymie na stolicy papieskiej zasiadł zaś straszliwy potwór, Bonifacy, najbardziej nikczemny ze wszystkich ludzi, splamiony również krwią poprzedniego papieża. Lecz i ten, jakkolwiek wygnany i potępiony na wielkim synodzie, wrócił po śmierci świętobliwego Ottona do Rzymu. Piotra, znakomitego męża apostołskiego, który był przedtem biskupem Pawii, przysięgą zapewniwszy mu bezpieczeństwo, usunął z zamku rzymskiego, złożył z urzędu i pohańbionego ohydą więzienia zabił. Czy istnieje nakaz, aby takim potworom ludzkim, pełnym hańby, pozbawionym wiedzy o rzeczach boskich i ludzkich, podlegał nieprzeliczony zastęp kapłanów Boga znanych na całym świecie z nauki i życia pełnego zasług? '

Takie stosunki panowały w Rzymie papieskim. A jednocześnie... „nigdy imię niemieckie nie znaczyło w Europie więcej niż w X i XI wieku, za saskich i pierwszych salickich cesarzy” - napisał historyk Leopold von Ranke.

Przyjęcie chrztu przez Polskę było czynem przewidującym i mądrym, lecz samo przez się bynajmniej nie zapewniało lepszej przyszłości politycznej. Polska chrześcijańska mogła się spodziewać równie bezwzględного i cynicznego nawet traktowania, jak i pogańska. Wszystko zależało od tego, jak sama potrafi się zachować nazajutrz po chrzcie.

13 lutego 962 r. niegodny papież Jan XII włożył koronę cesarską na głowę Ottona I, króla niemieckiego z dynastii saskiej.

Otto nie żywił obaw Karola Wielkiego i nie miał nic przeciwko temu, że ceremonii dopełnił zwierzchnik Kos'ciola. Zdążył już bowiem uzależnić go od siebie całkowicie. Postanowione zostało przedtem, że nowo obrany papież -

Jan z przydomkiem Oktawian jest to papież Jan XII. Wstąpił na tron mając siedemnaście lat. Panował w latach 955-964. Pozbawiony godności za morderstwa, zdradę i świętokradztwo. Leon Neofita - Leon VIII (963-965), wyniesiony na stolicę apostołską przez cesarza Ottona I. Benedykt Diakon (964) obrany przez lud w r. 964 jako Benedykt V. Uwięziony przez cesarza w Hamburgu. Bonifacy - Bonifacy VII - został papieżem w r. 974, potem wygnany. Powrócił do Rzymu i panował w latach 984-985. Mordował przeciwników, zmari zamorzony głodem.

zanim jeszcze otrzyma sakrę - musi przysiąc cesarzowi posłuszeństwo (Jan XII złamał je i - jak już wiemy - utracił godność).

U siebie, w Niemczech, Otto I uprawiał wobec Kościoła politykę wyraźną. Popierał go, ale uważał za czynnik polityczny. Biskupi i opaci otrzymywali od cesarza władzę i dobra, byli nawet wysuwani naprzód jako przeciwwaga potędze baronów świeckich. Moznowładca duchowny był przecież bardziej zależny, nie dziedziczył dóbr, lecz brał je w dożywocie. Znakiem wejścia w ich posiadanie było dotknięcie berłem cesarskim. Na zdobytych ziemiach słowiańskich Otto zaraz zakładał biskupstwa, poddając je zwierzchnictwu arcybiskupów niemieckich.

W tym czasie Niemcy przebili już żywy wał słowiańskich ludów zamieszkanych na zachód od Polski. Dokonali tego na Łużycach. Również księstwo czeskie popadło w zależność od nich.

Jak wiemy, Mieszko był wtedy oficjalnie uważany za przyjaciela cesarza, co jednak wcale nie usuwało grożących w przyszłości niebezpieczeństw. Nieoświadczony postępowanie w dobie przyjęcia chrztu mogło je wybitnie zwiększyć, dając Niemcom możliwość stałego mieszania się w wewnętrzne sprawy polskie.

Mieszko przyjął chrześcijaństwo z Czech. Nie była to - jak widać - prosta formalność, bo trzy czwarte polskiego słownictwa kościelnego pochodzi z języka czeskiego. Tytuły - biskup, dziekan, proboszcz, kapłan, pop, prócz tego - przeor, opat, mnich, nazwy wielu nabożeństw i przyborów liturgicznych - wszystko to przyniosło ze sobą czeskie duchowieństwo, które musiało być wtedy u nas bardzo czynne, tym samym uniemożliwiając inwazję niemiecką.

Pierwszy biskup misyjny w Polsce, Jordan, prawdopodobnie nie był Niemcem, a przynajmniej nie był Niemcem ze wschodu. Pochodził zapewne z Lotaryngii.

Fakty wskazują, że pierwsze kroki Mieszka na nowej drodze od razu nacechowane były przezornością i rozumem.

PIERWORODNI

I

W kwietniu 1952 roku w rozkopanej nawie katedry poznańskiej dokonano wielkiego odkrycia. Głęboko w ziemi pod nawarstwionymi na sobie szczątkami podłóg kościelnych i grobowcami dostojników leżała ogromna i płaska czasza, ulana z wapiennej zaprawy. Budowniczo wie mocno osadzili ją na zrównanym drewnie jeszcze dawniejszego wału. Pierwotnie przykrywał ją dach. Do naszych czasów przetrwały tylko gniazda po podtrzymujących go słupach.

Był to szczątek wielkiej chrzcielnicy z 966 roku.

Dalsze badania pozwoliły odkryć resztki innych budowli także wtedy wzniesionych.

Polacy, którzy w roku 966 pierwsi przyjęli chrzest - więc wielmoże z otoczenia Mieszka - poddali się obrzędowi w miejscu wspaniale świadczącym o potęgę nowej wiary oraz księcia polskiego - odtąd jej pomazańca, opiekuna i obrońcy. Wkroczyli w obszerny, prostokątny dziedziniec obwiedziony kolumnami czy arkadami, może nawet krążankiem. Czwartą ścianę tego podwórca stanowił fronton kamiennej katedry. Tuż przed nią widniała owa wielka chrzcielnica.

Opodal nowej świątyni chrześcijańskiej, tam gdzie dziś przy kościele Najświętszej Maryi Panny są ogródki kapitulne, stał gród książęcy. Takiej warowni nikt przedtem w Polsce nie oglądał. Jej wzmocnione hakami wały wysokie były co najmniej na dziesięć metrów, a od frontu przedproże ich stanowił szaniec z kamieni, wysunięty w przód i ujęty drewnianą ścianą dwumetrowej przeszło wysokości.

Świetna katedra i silna twierdza symbolizowały nowy porządek w państwie, wzmacniały go i strzegły. Nie jest pewne, czy Mieszko przeniósł wtedy stolicę z Gniezna do Poznania. Nie ulega jednak kwestii, że punkt ciężkości państwa przesunął się jeszcze bardziej na zachód, niż to było dawniej. W tamtą bowiem stronę zwracała się jego polityka. Chrzest Polski dokonał się za wiedzą i zgodą Ottona I. Mieszko zobowiązany był wtedy do płacenia cesarzowi daniny z

jakijs' części swojego terytorium, tej najpewniej, która leżała najbliższej strefy niemieckiego oddziaływania. Nie oznaczało to jednak zależności państwowej i nic pozornie nie zapowiadało zerwania.

Latem 972 roku - kiedy Otto bawił we Włoszech - margrabia Marchii Wschodniej, Hodo, z niezwyklej pos'piechem zebrał wojsko i ruszył na wschód. Wraz z nim ciągnął na wyprawę młody graf Zygfryd, przyszły ojciec kronikarza Thietmara. Dnia 24 czerwca - pod Cydzyną, przy ujsciu Warty do Odry - doszło do pierwszej znanej w dziejach bitwy Polaków z Niemcami. O losach jej rozstrzygnął manewr rezerw dowodzonych przez brata Mieszko-wo, Czibora. Z rycerzy niemieckich tylko sam Hodo i Zygfryd wyszli cało. Zwycięstwo polskie było zupełne.

Z Italii nadbiegli wkrótce gońcy cesarscy. Otto I wzywał Mieszka i Hodona, „aby pod rygiorem utraty jego łaski zachowali pokój do czasu, gdy przybędzie na miejsce i osobis'cie zbada sprawę”. Tak napisał Thietmar. Można przypu- szczać, że wspomnienia ojcowskich przygód pod Cydzyną od dzieciństwa budziły w nim niechęć i złość ku Polakom.

Na Wielkanoc 973 roku cesarz rozpatrzył sprawę. Zażądał od Mieszka zakładnika. Został nim pierworodny syn książęcy, Bolesław, zwany później Chrobrym i Wielkim.

Od tego czasu stosunki polsko-niemieckie popsuły się zdecydowanie. Wyprawa Hodona miała zapewne przeszkodzić Mieszkowi w jego poczynaniach w stosunku do Pomorza Zachodniego. Margrabia nie uderzał prosto na wschód, ku Gnieznu i Poznaniowi, lecz spieszył w kierunku ujścia Warty, całkiem jakby chciał zabić drogę komuś, kto ciągnął z Polski na północny zachód. Władca Polski sięgał bowiem po Szczecin i Wolin.

W kilka lat później spór o Pomorze został rozstrzygnięty. W 979 roku nie udała się kolejna niemiecka wyprawa na Polskę, która weszła we władanie całego wybrzeża - od Szczecina aż po Gdańsk.

Umacnianiu się Polski nad morzem sprzyjały okoliczności zewnętrzne. 7 maja 973 r. nagle zasłabnął podczas niesporów i zmarł cesarz Otto I. Mieszko macił i knuł w Niemczech, sprzeciwiając się wstąpieniu na tron Ottona II. Może już w czasie tych zamieszek powrócił do kraju Bolesław.

Latem 981 roku chwyciły za broń ujarzmione przez Niemców ludy zachodnio-ślówiariskie, doprowadzone do rozpacz samowolą margrabiego Marchii Północnej, Teodoryka. Powstańcy wybili załogę w Hobolinie, zburzyli tamtejszą katedrę i inne kościoły. Biskup Folkmer i rycerstwo z samym Teodorykiem „ledwie uszli tego dnia przed wrogiem”. Wracać się zdawał stary, pogański porządek: „Zamiast Chrystusowi i jego zacnemu rybakowi Piotrowi

zaczęto oddawać cześć różnym bożkom z diabelskiej herezji poczętym i tę żalosną zmianę pochwalali nie tylko poganie, lecz także chrześcijanie" - pisze ze zgrozą Thietmar. A może jednak nie było się czemu dziwić? Niezbyt przyjemne stosunki panować musiały w niemieckiej marchii, założonej na podbitych ziemiach słowiańskich, skoro poprzedni biskup trzy lata wcześniej zakończył życie „uduszony przez” swoich”.

W 983 roku Słowianie zdobyli i spalili Hamburg. Pochód ich powstrzymała dopiero nie rozstrzygnięta bitwa pod Bialoziemem, między Tongerą i Muldą - dopływami Łaby.

Kłęski ponoszone przez Niemców na tak dalekim zachodzie utrudniały im napór na Polskę, ale triumfy pogaństwa stanowiły i dla niej poważne niebezpieczeństwo. Okoliczności sprzyjały polsko-niemieckiemu zbliżeniu, którego wyraźna zapowiedź nastąpiła nieco wcześniej.

W tym czasie nie żyła już Dobrawa, która zmarła prawdopodobnie w roku 977. Następne małżeństwo Mieszka spotkało się z potępieniem ze strony wszystkich dostojników Kościoła. Oburzenie ich zwracało się jednak nie tyle przeciw księciu, co przeciw narzeczonej. Była nią niemiecka mniszka imieniem Oda, córka wspomnianego przed chwilą margrabiego Marchii Północnej, Teodoryka. Władze kościelne nie dały jej zezwolenia na zrzucenie habitu, ale polityczne względy przemożły. Pokój z potężnym Mieszkiem był pożądanym. Ślub zawarto w roku 980. Dla uczczenia go Mieszko zwrócił wolność jeńcom niemieckim, pojmanym w poprzednich, walkach.

Do uszu nowej księżnej Polski musiały dotrzeć wieści o tym, że w roku 983 zbuntowani Słowianie wygnali jej ojca i spalili klasztor w Kalbe, w którym spędziła młodość.

Oda dała Mieszkowi trzech synów: Mieszka, Świętopełka i Lamberta.

W rok po ślubie nadeszły do Gniezna wiadomości niekorzystne już nie tylko dla księżęcej małżonki, ale i dla Polski. Wiemy o nich od ruskiego kronikarza Nestora, który zapisał, że w roku 981 „poszedł Włodzimierz na Lachów i zajął im grody ich, Przemyśl, Czerwień i inne grody mnogie, które i do dziś są pod Rusią”.

Chodziło o ważny obszar Grodów Czerwieńskich, leżący nad Huczwą i Bugiem. Stolica ich - historyczny Czerwień - to dzisiejsza wioska Czeremno w powiecie Tomaszów Lubelski.

Uczeni wciąż jeszcze spierają się o znaczenie krótkiej notatki Nestora. „Lachami” - lub nazwą pochodną od tego słowa - chrzczą Polaków Ukraińcy, Litwini, Węgrzy, Turcy. Nie jest wykluczone, że Grody Czerwieńskie jeszcze w IX wieku, wraz z państwem Wiślan, dostały się pod panowanie wielko-

morawskie, potem zaś pod czeskie. W każdym razie Nestor nazywa „Lachami” wszystkich Polaków, a następcy Mieszka sięgali po Grody, starając się je odzyskać.

Spór toczył się o nie lada jakie terytorium. Szła tamtędy ważna droga handlowa z Kijowa przez Włodzimierz na Kraków i Pragę. Zamieszkiwało je plemię Bużan, które już przedtem organizując się politycznie zmieniło nazwę na Wołynian. Pozostały po nim w ziemi liczne pamiątki - zwłaszcza w grodzie Wołyń, który leży w widłach Huczwy i Bugu. Świadczą one, że Bużanie spokrewnieni byli zarówno z zachodnimi, jak i wschodnimi Słowianami.

W Czerminie-Czerwieniu doskonale zachowały się wały starego grodu, tego właśnie, w którym stali załogą Nestorowi Lachowie. Kraj był wtedy bardzo podmokły, moczarowaty. Wszystkie wyniosłości zajmowały osady mieszkalne, które raczej nazwać by należało poszczególnymi dzielnicami Czerwienia. Komunikację między nimi zapewniały groble na tyle szerokie, by dwa wozy mogły się wyminąć. Teraz jeszcze tkwią w łąkach tamtejszych głęboko wbite, zupełnie poczerniałe od wieku słupy dębowe, służące ongi do umacniania owych dróg. Cały obszar osadniczy Czerwienia mógł wynosić do dwunastu kilometrów kwadratowych.

Poniósłszy stratę na wschodzie, z nawiązką powetował ją sobie Mieszko na południu, u schyłku życia i panowania zdobywając i trwale wiążąc z Polską Śląsk oraz dawny kraj Wiślan, a więc Wrocław, Opole i sam Kraków.

Uwagi i zadumy godne, że wojna o te kraje toczyła się tylko z Czechami, którym znowu przyszli na pomoc Wieleci, natomiast sprzymierzeńcami księcia polskiego, sięgającego po Małopolskę i Śląsk, byli wtedy Niemcy! I to nie jacyś pograniczni grafowie, działający na własną rękę, lecz cztery hufce ciężkozbrojnego rycerstwa wysłane przez cesarzową Teofano, sprawującą rządy po śmierci Ottona II. O wszystkim tym zaświadczył Niemiec Thietmar, którego ojciec, Zygfyd, brał udział w owej wyprawie.

Co prawda nie na wiele przydała się ta pomoc Polakom. Czesi zaskoczyli bowiem Niemców nad jakimś jeziorem w kraju słowiańskich Słupian na Łużycach, wdali się z nimi w układy i dostawszy w swe ręce dowódców usiłowali wymóc na Mieszku ustępstwa, grożąc im śmiercią. Mieszko wykazał jednak całkowitą równowagę ducha, nie ustąpił i ostatecznie zdobycz została przy nim, a Niemcy wrócili do domów, szczęśliwie wymknąwszy się Wieletom.

Wszystko to odbyło się latem 990 roku. Wtedy po raz pierwszy państwo stworzone ongi przez plemię Polan osiągnęło naturalne granice od morza i Odry aż po Karpaty.

Mieszko zmarł w dwa lata później, 25 maja 992 roku. Pochowano go ^
Poznaniu.

W kwietniu 1952 r. w nawie katedry poznańskiej odsłonięto szczątki grobowca zmurowanego z kamienia polnego. Znajdował się na głównej osi owego otoczonego arkadami dziedzińca, o kilka metrów od chrzcielnicy. Ongi wspólnie ozdabiała go od zewnątrz okładzina z zielonkawej, bardzo twardej skały pochodzącej ze Ślęży. Odkopany sarkofag krył prawdopodobnie zwłoki Mieszka I.

O czasach tego księcia wiemy dziś znacznie więcej niż wtedy, kiedy z jedyne źródła historyczne uznawano pisane dokumenty. To archeologia tak wybitnie pomnożyła naszą wiedzę. Wielkie prace wykopaliskowe odsłoniły tajemnice dwóch miast, założonych i w całości zbudowanych za panowania Mieszka I. Mowa o Gdańsku i Opolu.

Oba stanęły od jednego zamachu, wzniesione widać w myśl z góry opracowanego projektu. W Opolu było to na wyspie odrzańskiej, zwanej dziś Ostrówkiem. Potężne wały obronne, które ją opasały, pełniły też rolę tan przeciwpowodziowych.

Oba miasta były całkowicie drewniane, zabudowane ciasno i zwarcie domami stawianymi na zrąb. Ulice moszczono drewnem, dranicami. Nie można ulegać wątpliwości, że je zamiatano, usuwając śmieci poza obręb grodu. Ge pewien czas - mniej więcej co dwadzieścia pięć lat - układano nowe „jezdnie” poziom ulicy podwyższał się stopniowo. To samo działo się z podłogami chat które również przebudowywano wznosząc nowe na odziomkach starych, jakby na fundamencie. Tak przez wieki grubiało złoże bezcennych pamiątek odkopywanych dziś przez uczonych.

Progi zarówno gdańskich, jak i opolskich domów były szczególnie wysokie. Bardzo możliwe, że od tego prastarego zwyczaju poszło znane w całej Polsce przysłowie.

Na poszczególnych belkach chat opolskich wykryto charakterystyczne nacięcia, jakby znaki porządkowe. Nie jest wykluczone, że już na miejscu wyrębu - w lesie - całkowicie przygotowywano materiał na budowę, cechując poszczególne sztuki, które po spławieniu Odrą już tylko składano.

Kierunek regularnie biegnących ulic osiedla opolskiego zdradził rzecz dziwną. Obrzeżające je domy stały mianowicie w ten sposób, że pierwsze promienie wschodzącego słońca w każdej porze roku padać musiały na ich wschodnie narożniki, pod którymi często odnajdywano garnki z resztkami tak zwanych ofiar zakładzinowych. Wschodni kąt mieszkania uważali widać ludzie ówczesni za miejsce święte, za siedlisko bożyszcz czy duchów opiekuńczych.

Nakładając nową podłogę na zniszczone belki starej, zawsze jak najstaranniej zbierali Kamienie i glinę paleniska piecowego. Nie spotkano wypadku porzucenia ich i przyciśnięcia nową warstwą drewna. Widocznie ogień i miejsce, w którym płonął, były święte. Zwyczaj te szły z pokolenia na pokolenie, jeszcze przez setki lat po chrzcie Polski.

Opole zamieszkiwali rzemieślnicy i kupcy, ludzie widać zamożni, skoro zostawili nam po sobie mnóstwo okazów pięknego obuwia skórzanego, lecz ani jednego łapcia z łyka. Stroili się w płótno i wełnę, umieli ładnie barwić materiały w pasiaki. Znalazły się w Opolu i szczątki tkanin drogocennych przywiezionych przez kupców z Flandrii, a nawet znad Morza Czarnego i z Azji Mniejszej. Silnie zdarte podkopy świadczą o dalekich podróżach na południe, przez góry.

Drewniane miasto na Ostrówku opolskim powstało w epoce przyłączenia Śląska do Polski. Zgromadzili się tu pewnie ludzie, którzy mieszkając przedtem po wsiach i mniejszych osiedlach doszli do pewnej zamożności, reprezentowali najwyższy istniejący wówczas poziom kultury ludowej. Zmiana politycznej przynależności kraju, czyli poddanie Śląska pod zwierzchnictwo Gniezna, wcale nie zahamowało jego dalszego rozwoju. Wręcz przeciwnie nawet - budowa dużego jak na owe czasy miasta, dokonana na pewno pod opieką władz państwowych, a może i na ich rozkaz, rozwój ten znakomicie ułatwiła.

Najstarszy Gdańsk miescił się w widłach Raduni i Motławy, nad którą leżał jego port. Miasto stanęło około roku 980. Opasane było typowymi dla polskiego budownictwa wałami, wysokimi może na dziesięć, a szerokimi w podstawie na całych czternaście metrów. W owalu, o osiach długości stu sześćdziesięciu i dwustu piętnastu metrów, stać mogło około dwustu pięćdziesięciu domów. A więc w Gdańsku ówczesnym mieszkało jakichś tysiąc dwustu pięćdziesięciu ludzi. Nie było to mało, jeśli się zważy, że w XIV wieku stołeczny Kraków liczył dziesięć tysięcy mieszkańców.

Również i gdańszczanie nie byli za Mieszka biedakami, skoro posiadali pieniądze, srebro, jedwab i brokat, równie wtedy cenny jak złoto. Uprawiali rozmaite rzemiosła, wśród nich odlewnictwo metali kolorowych, oraz handel morski z dalekimi stronami - z zachodnią Europą, Skandynawią i ruskim Nowogrodem. Najmniej kupczono z tym krajem, który leżał najbliżej - z ziemiami Prusów.

Mieszkańcy miasta, które od razu po założeniu nazywało się tak samo jak dziś (po łacinie brzmiało to: *urbs Gyddanyz*), ubierali się szaro. Zajmowali się rolnictwem i hodowlą, wypływali na połowy morskie.

Sprawa Gdańska zasługuje na specjalną uwagę. Miasto zbudowano w tym

samym czasie, kiedy Polska opanowała deltę Odry i poddała swemu zwierzchnictwu Szczecin i Wolin, od dawna potężne i bogate. I oto u ujścia dalekiej Wisły, rzeki naówczas granicznej, bo oddzielającej państwo od kraju Prusów, wyrasta zupełnie nowe osiedle rzemieślnicze i kupieckie, zaopatrzone w port i silnie obwarowane. Taki stan rzeczy przemawia wyraźniej od jakichkolwiek dokumentów pisanych.

Polityczni kierownicy Polski ówczesnej dążyli widocznie do rozwoju i wyzyskania wszystkich możliwości obszaru państwowego, który za rządów Mieszka został tak wydatnie powiększony. Rozumieli konieczność oparcia się o obie duże rzeki, stanowiące naturalne osie ziem polskich. Cenili znaczenie miast, ich wolną ludność pomnażającą bogactwa kraju. Panowali więc myślą nad całokształtem politycznych zagadnień epoki.

II

W średniowieczu państwo i władza nad nim uważane były za prywatną własność rodziny panującej. Z tej zasady brały początek podziały spadkowe księstw i królestw, a także walki między dziedzicami, rodzinne zatargi, których okrucieństwo przerastało czasem granice wyobraźni.

Wiemy ze źródeł, że Mieszko I miał dwóch braci. Lecz o dziwo - żaden z nich nie bruzdził, obaj za to zaszczytnie się zapisali w dziejach Polski. Jeden - nie znany z imienia - poległ w obronie granic, drugi - Czcibor - rozstrzygnął w bitwie pod Cudzyną, a potem, jak się zdaje, zarządzał Pomorzem.

Fakty te rzucają dodatnie światło na stosunki panujące w państwie, na jego dużą spistość, a także na talent Mieszka, który widocznie umiał jednać sobie ludzi i kierować nimi.

Charaktery ówczesne nie były skłonne do uległości ani do cnót obywatelskich. Świadczy o tym chociażby postać pierwszej znanej w dziejach Piastówny, Adelajdy. Węgry, którym panowała, nazwali ją Białą Kne-ginią.

Kroniki są niedokładne i uczeni spierają się o to, kim właściwie była Adelajda. Jedni uważają ją za córkę Mieszka I, lecz prawdopodobnie była jego siostrą. Wydana za księcia węgierskiego, Gejzę, urodziła mu syna imieniem Waik, który jako Stefan został pierwszym królem Węgier i świętym Kościoła.

Biała Knegini, to znaczy w słowiańskim: Piękna Pani, używała trunków ponad miarę i ujeżdżała konno, jak rycerz. Raz nawet zabiła w przystępie gwałtownego gniewu jednego mężczyznę. Jej ręka, krwią skalana, lepiej by się jąta wrzecziona, a jej myśl szalona w cierpliwości winna by znaleźć ukojenie

- jak przystało na pobożnego biskupa, biada Thietmar.

Nieokiełznany charakter Adelajdy odrodził się w jej bratanicy, córce Mieszka I, Świętosławie, żonie króla Szwecji Eryka Zwycięskiego i matce Św. Olafa. Pieśni skandynawskie, zwane sagami, długo sławiły i opiewały jej bujny żywot, myśląc jednak imię i zowiąc ją raz Storrada, to znów Sygrydą, Astrydą, Geirą i Gunhildą. Świętosława wcześniej owdowiała i zanim powtórnie wyszła za mąż za króla Danii, Swena Widłobrodego, miała wielu zalotników. Dwóch, którzy jej szczególnie dokuczali, kazała spalić żywcem. Sama kochała się w sławnym bohaterze skandynawskim, Olafie Trygwasonie. Odtrącona, wplątała go w bitwę morską u wybrzeży Rugii, w której zginął. Jej synem z drugiego małżeństwa był Kanut Wielki, król Danii i zdobywca Anglii.

Bolesław, zwany później Chrobrym i Wielkim, urodził się w roku chrztu Polski - 966 - z rodziców jak na ówczesne pojęcia całkiem niemłodych. Mieszko liczył już wtedy przypuszczalnie dobrze ponad czterdzieści lat, Dobrawa przekroczyła trzydziestkę. W chwili śmierci ojca miał Bolesław dwadzieścia sześć lat i dobrą szkołę rządzenia. Miał również już trzecią żonę. - Pierwsza, nie znana z imienia, była Niemką. Druga - matka Bezpryma - Węgierką. Oba małżeństwa zostały po prostu zerwane, niefortunne żony odesłane rodzicom. Trzecia z połowic Chrobrego nazywała się Emnilda i była córką Dobromira, księcia zachodniosłowiańskiego. Kronikarze sławią jej łagodny, miłosierny charakter i dobroczynny wpływ na męża. Zmarła w roku 1017. Wydała na świat dwóch synów - Mieszka i Ottona - oraz trzy córki.

Kiedy Mieszko I zamykał oczy, istniały wszystkie warunki wybuchu wojny domowej i rozsadzenia państwa od wewnątrz. Były wtedy przecież w Polsce dwie rodziny pretendentów do spadku i tronu książęcego - Oda z trzema synami i Bolesław z Emnildą, jej potomstwem oraz z pierworodnym, Bezprymem, synem Węgierki.

Widocznie Bolesław zdecydowanie górował nad rywalami talentem i energią w działaniu. Musiał też mieć liczniejszych zwolenników wśród możnowładztwa. Oda wraz z synami uciekła z Polski do Niemiec, dwaj przywódcy jej stronnictwa - Odylen i Przybywój - ponieśli karę, na jaką często skazywano wówczas przestępców politycznych, którym chciano darować życie: wydarto im oczy.

Okrutne czyny Bolesława i młodszej odeń Świętosławy nie musiały gorszyć

ludzi ówczesnych. Takie były wtedy obyczaje, o których wymownie świadczą przykłady, zaczerpnięte... z żywotów świętych.

Stefan węgierski to władca niezwykle srogi. A oto jak postępował z własnymi kuzynami św. Olaf, król Norwegii:

Raerek, ponieważ odznaczał się siłą i mądrością, a nie był godnym wiary, chociażby pokój z nim stanął, został oślepiiony; Gudrödowi, królowi Dalów, kazał Olaf wyciąć język, trzech innych skazał na wygnanie. Doradców skazanych królów Olaf albo wygnał, albo ukarał obcięciem rąk lub nóg. Resztę ułaskawił.

Oda nigdy już nie wróciła do Polski. Zmarła w Niemczech w roku 1023. Nie wiadomo, co się stało z jej pierworodnym synem, Mieszkiem. Z młodszych - Lambert został prawdopodobnie później biskupem krakowskim, Świętopełk zaś otrzymać miał w przyszłości od Bolesława Pomorza Zachodnie w zarząd.

Bolesław ocalił jedność państwa polskiego, którym niepodzielnie rządził przez lat trzydzieści trzy. Od razu na początku panowania silnie związał losy swego księstwa z duchowym i politycznym życiem zachodniej Europy, przez co ogromnie wzmógł znaczenie Polski. Zdołał osiągnąć, że dwie najwybitniejsze postacie ówczesnego Zachodu odegrały dodatnią rolę w naszych dziejach.

Jedną z nich był kolejny władca z dynastii saskiej, Otto III, zwany też Ottonem Rudym, cesarz, który szczerze pojmował swój tytuł i chciał być bardziej Rzymianinem niż Niemcem. Malarze ówcześni przedstawiali go jako imperatora na tronie, przyjmującego hołd od czterech koronowanych postaci niewieścich - Italii, Galii, Germanii i Słowiańszczyzny, traktowanych na równi. Ideałem Ottona III było państwo powszechne, uznające równouprawnienie narodów. Dlatego też cesarz ten wcale nie cieszył się sympatią niemieckich wielmożów, zarówno duchownych, jak i świeckich.

Drugą z tych postaci to św. Wojciech, ksiązę czeski z rodu Sławnikowiców, biskup praski, który w italskim klasztorze Monte Cassino postanowił zrzec się godności i zostać zakonikiem. Był Wojciech przyjacielem najszlachetniejszych ludzi ówczesnych, duchownym z najgłębszego powołania, ascetą, który chętnie odgrodziłby się od świata w murach klasztoru. Był też człowiekiem osobiście bardzo nieszczęśliwym - w roku 995, kiedy pozostawał w Rzymie, w Czechach wymordowano niemal całą jego rodzinę.

Papież postawił Wojciechowi zdecydowane warunki: albo powrót na niecierpiane biskupstwo praskie, albo wyjazd na misję wśród pogan. Jesienią 996 roku stanął Wojciech w Polsce, życzliwie przyjęty przez Bolesława, który już

przedtem udzielił schronienia najstarszemu z braci przyszłego świętego, Sobieborowi.

W kwietniu 997 r. Wojciech, w towarzystwie młodszego brata Radzima-Gaudentego oraz Bogusza, stanął w Gdańsku, gdzie jak pisze kronikarz - „ochrzcił wielkie tłumy ludu”. Stamtąd popłynął morzem do Prus i wylądował na wschód od dzisiejszego Elbląga. Zbrojnych, towarzyszących mu z rozkazu Bolesława, odesłał. 23 kwietnia zginął w okolicach wsi Cholin. Zabił go włóczęgą Prus, którego brat niedługo przedtem poległ w walce z Polakami. Gaudentego i Bogusza puszczono wolno, spodziewając się pewnie okupu za ciało misjonarza. Jakoż Bolesław nabył je na wagę złota i jesienią tego samego roku pochował w Gnieźnie, w kos'ciele wzniesionym jeszcze przez Mieszka I. Śmierć Wojciecha wywarła olbrzymie wrażenie w świecie zachodniego chrześcijaństwa. Wstrząsnęła zwłaszcza umysłem Ottona III, który zaczął gorliwie zabiegać o kanonizację męczennika. Najdalej w roku 999 papież uznał Wojciecha świętym.

Głową Kościoła był wtedy Sylwester II, człowiek prawy i tak uczony, że wiedza jego wydawała się współczesnym zjawiskiem nadludzkim.

Chcąc należycie ocenić te wypadki, trzeba pamiętać, że w Europie średniowiecznej całe życie umysłowe pozostawało w najściślejszym związku z religią, odbywało się „w cieniu ołtarza”. Uczonymi, myślicielami, pisarzami byli wyłącznie duchowni. Kanonizacja człowieka, który zginął jako misjonarz, działając z ramienia władcy Polski, rozstawiała nasz kraj i obracała nań powszechną uwagę. A nie był on jeszcze dość dobrze znany, skoro napisany wtedy - może przez samego Gaudentego - *Żywot św. Wojciecha* musiał się zaczynać od ogólnej wzmianki: „W okolicach Germanii jest miejsce zasobne w środki, potężne bronią i srogimi mężami; mieszkańcy zwą je Słowiańszczyzną.”

Samo imię Polski wtedy właśnie zaczęło się pojawiać w piśmiennictwie zachodnim, wypierając i zastępując ową nieokreśloną „Słowiańszczyznę”. Pierwszy z kronikarzy użył go znany już nam Thietmar.

Bolesław Chrobry umiał znakomicie wyzyskać okoliczności. Popierając misję Wojciecha spodziewał się zapewne, że w razie chrztu Prus uda się umocnić tam wpływy polskie (nieco wcześniej na pograniczu musiały się toczyć jakieś walki, w których zginął brat zabójcy świętego). Kiedy kult męczennika zaczął się szerzyć i trwały starania o kanonizację, Bolesław - ściśle współpracując z Gaudentym - jał gorliwie zabiegać o założenie w Polsce arcybiskupstwa i kilku biskupstw. Dotychczas istniało tylko jedno, misyjne, w Poznaniu. Odrębna, zależna jedynie od Rzymu prowincja kościelna stanowiła

wówczas niezwykle cenną zdobycz polityczną, ogromnie wzmacniała znaczenie i jedność państwa. Osobne arcybiskupstwo dla kraju, to był najlepszy sposób zapobieżenia, aby młode chrześcijaństwo polskie nie stało się po prostu strażą przednią cudzoziemskiej polityki u nas.

Bolesław, który dopiero przekroczył trzydziestkę, wykazał w tej sprawie przezorność zupełnie genialną. Zorientował się błyskawicznie i działał w sposób dla swego państwa zbawienny. Dla jasności obrazu przypomnieć trzeba że Czechy - gdzie chrześcijaństwo było o tyle starsze - otrzymały arcybiskupstwo dopiero w stuleciu XIV, dzięki staraniom swego króla, który był cesarzem i pochodził z niemieckiego rodu Luksemburgów. Polska wyprzedziła je o trzysta lat z okładem.

Wrocław pod względem kościelnym podlegał Gnieznu do dnia 18 lipca 1821 roku. Zdobycz Chrobrego przynosiła Polsce korzyści w przeciągu ośmiuset lat przeszło.

Sylwester II ogłosił w roku 999 bullę, której mocą arcybiskupem gnieźnieńskim został brat św. Wojciecha, Gaudenty. Powstały biskupstwa w Krakowie, Wrocławiu i Kołobrzegu. Nie były to wtedy licze osiedla, bo przepisy kościelne wyraźnie mówią, że na stolice biskupie nadają się tylko miasta znaczne.

Na Pomorzu wybór padł na Kołobrzeg pewnie dlatego, że Szczecin i Wolin były ważnymi ośrodkami pogaństwa, które na wybrzeżu trzymało się długo i uporczywie. I w Kołobrzegu biskup Reinbern „niszczył i palił świątynie z posągami bożków i oczyścił morze zamieszkane przez złe duchy, wrzuciwszy w nie cztery kamienie pomazane olejem świętym i skropiwszy je wodą święconą”.

W marcu 1000 r. cesarz Otto III odbył pielgrzymkę do grobu św. Wojciecha. Był to ów słynny zjazd gnieźnieński, którego wspaniałość olśniła kronikarzy i przeszła do legendy.

Bolesław oczekiwał gości na granicy państwa, w Hłwie nad Bobrem i

• • przedziwne wprost cuda przygotował na przybycie cesarza; najpierw szyki przeróżne rycerstwa, następnie książąt rozstawił, jak chóry, na obszernej równinie, poszczególne, z osobna stojące szyki wyróżniała odmienna barwa strojów, A nie była to tania pstrokaczna byle jakich lichych ozdób, lecz wszystko, cokolwiek kosztowniejszego można znaleźć u wszelkich ludów; gdyż za czasów Bolesława wszyscy rycerze i wszystkie damy dworskie zamiast sukien lnianych lub wełnianych nosiły płaszcze z delikatnych tkanin, a skór, nawet kosztownych, choćby były nowe, nie noszono na jego dworze bez podszycia kosztowną tkaniną i bez złotogłowiu. Złoto bowiem za jego czasów tak było w powszechnym posiadaniu u wszystkich, jak [dziś] srebro, srebro zaś byto tak tanie, jak słoma. Zważywszy jego chwałę i potęgę, i bogactwa, cesarz rzymski zawołał w podziwie: „Na koronę mego cesarstwa, to, co widzę, większe jest, niż wieści niosły!”

Tak - znacznie później - opisywał owo spotkanie nad Bobrem kronikarz polski, zwany Gallem. Jak zwykle bywa, płynący czas uświetnił odległą przeszłość. Uczony mnich w nazbyt już kolorowym atramencie maczał swe pióro. Na pewno nie „wszyscy” miewali za Bolesława złoto, a co się tyczy srebra, to bez wątpienia było go mniej niż słomy w stodołach. Jednakże -jeśli w zwaliskach drewnianego domu gdańskiego czy opolskiego mieszczanina z tych czasów znaleźć można strzępy jedwabiu i brokatu, tkaninę z wełny kóz angorskich oraz cenne muszle znad Morza Czarnego, to i władca krainy miał pewnie czym olśnić oczy orszaku cesarskiego.

Wedle Galla Otto powiedział wtedy do swego otoczenia:

„Nie uchodź! to, by takiego i tak wielkiego męża księciem nazywać lub komesem, jakby jednego spośród dostojników, lecz wypada chlubnie wynieść go na tron królewski i wywyżżyć koroną.”

Treść tych słów odpowiada prawdzie. Oddawszy hołd zwłokom świętego, wspaniale -naprawdę po królewsku podejmowany w Gnieźnie, włożył Otto na głowę Bolesława własny diadem cesarski i wręczył mu symbol władzy, włócznie św. Maurycego. -N

Gest monarszy nie był jeszcze właściwą koronacją i do dziś trwa spór uczonych o znaczenie tej ceremonii. Pewne jest, że dokonując jej uznał Otto Bolesława za samodzielnego władcę. Możliwe również, że mianował go w ten sposób patrycjuszem cesarstwa rzymskiego i swoim namiestnikiem-zastępcą na wschodzie. Istnieje jednak inny jeszcze domysł. Widząc potęgę księcia Polski i uznając jego osobistą wielkość, mógł Otto upatrzeć sobie w nim spadkobiercę, następcę na tronie cesarskim.

Liczny był orszak Ottona III, składał się z książąt, biskupów i rycerzy. Nie tylko oni, lecz każdy z najlichszych sług wyjechał z Polski hojnie obdarowany. Władca jej dobrze znał słabości ludzkie i umiał je wyzyskiwać. Jedną sobie w Niemczech stronników i zwalczał wrogów, obu garściami rzucając złoto.

Bolesław osobiście odprowadził Ottona w głąb Niemiec, co najmniej do Magdeburga. Mógł jednak towarzyszyć mu i dalej, do Akwizgranu. Jeśli tak, to był może świadkiem czynu, którego dokonał tam Otto, ciągle urzeczony swą szlachetną wizją państwa powszechnego. Nocą, tajemnie otwarty został grób Karola Wielkiego, króla Franków, który wznowił tytuł cesarzy rzymskich. Zwłoki spoczywały na tronie, w postawie siedzącej. Otto zdjął z nich złoty krzyż, zabrał - jak relikwie - zbutwiałe strzępy szat. Jedna z zachodnich kronik zapisała, iż Bolesław otrzymał wówczas w darze tron Karola. Nasze tradycje milczą o tym.

Z Akwizgranu ruszył cesarz do Włoch. Z nim razem ciągnął dany mu przez Bolesława oddział trzystu rycerzy polskich.

Sam zaś Bolesław nie tracił czasu i kuł przysłowiowe żelazo, dopóki było gorące. Poseł jego, Astryk-Anastazy, opat założonego przez św. Wojciecha klasztoru benedyktynów -mieszczącego się, być może, w Łęczycy-rozpoczął w Rzymie starania o tytuł królewski i oficjalną koronację. Według ówczesnych pojęć prawnych zależało to od papieża.

Wtedy po raz pierwszy przyszło Polsce doświadczyć skutków faktu, o którym już była mowa, a mianowicie jej niefortunnego położenia na samych krańcach katolickiego świata. - W Rzymie wybuchło powstanie, cesarz i papież musieli uciekać z Wiecznego Miasta i szukać schronienia w Rawennie. Chcąc odzyskać straconą stolicę należało starać się o pomoc państw leżących tuż lub względnie blisko. Jednym z nich była Wenecja, drugim Węgry.

Przeznaczoną dla Polski koronę otrzymał Stefan węgierski. Odwiozł mu ją ten sam Astryk-Atanazy, mianowany arcybiskupem. Mógł on być po prostu narzędziem przeciwpolskiej intrygi, w której maczali palce i Niemcy. Księżna Oda żyła przecież jeszcze, miała wpływowych krewnych, i na pewno nie zapomniała porażki sprzed kilku lat.

23 stycznia 1002 r. w zamku Paterno na górze Sorakte opodal Rzymu w dwudziestym trzecim roku życia zmarł cesarz Otto III, do końca życzliwy Polsce, ale wobec zmienionej sytuacji właściwie już całkiem bezsilny. Przyjaciół jego - Bolesław - dowiedział się o tym zgonie pewnie od członków poselstwa, które miało mu przynieść koronę, lecz wróciło z pustymi rękami, zdradzone przez Astryka. A może zwiastunami byli ci rycerze, co chodzili z Ottonem do Włoch.

Horyzont polityczny chmurzył się bardzo. Jednym z trzech kandydatów na cesarza był teraz książę bawarski, Henryk, którego siostra - Gizela - zaślubiła właśnie Stefana węgierskiego.

Chrobry nie czekał, aż się w Niemczech ułagodzi zamęt, wywołany bezkrólewiem. W maju 1002 r. przekroczył z wojskiem graniczny Bóbr i doszedł do Elstery, zajmując Marchię Miśnieńską, kraj niedawno zdobyty przez Niemców i dobrze jeszcze nasycony żywiołem słowiańskim. W ręku jego znalazły się Budziszyn, Strzała oraz sama Miś'nia, której mieszkańcy zmusili załogę niemiecką do wyjścia z grodu. Również wielu rycerzy niemieckich uznało władzę Bolesława. Może byli to ci, którzy widzieli w nim prawowitego następcę Ottona III?

Wypadki te niekoniecznie prowadziły do wojny. Bolesław liczył, że w drodze układów uda mu się wytargować przynajmniej część zdobyczy. Toteż w

lipcu stawił się w Merseburgu na uroczystość, podczas której książęta niemieccy mieli uznać nowego króla. Od miesiąca był nim wspomniany już Henryk, znany w dziejach jako Henryk II, który jednak dopiero w roku 1014 zdołał wybrać się do Rzymu i ukoronować na cesarza.

Zdawało się, że pertraktacje dadzą pomyślny skutek. Omówiono warunki małżeństwa córki Chrobrego, Regelindy, z księciem Hermanem (do dziś w katedrze w Naumburgu stoi jej posąg, wzniesiony w wieku XIII, zwany przez ludność *die Lächende Polin* - śmiejąca się Polka). Ale kiedy Bolesław wyjeżdżał z Merseburga, napadł nań nasłany przez Henryka oddział zbrojny. Chrobry uszedł z życiem przez wyłamaną bramę, wielu jego ludzi porańcono.

Pokój był zerwany. Wracając spalił Chrobry gród Strzałę, stanowiący posąg Regelindy, i uprowadził w niewolę jego ludność.

Zdarzenia 1002 r. były wstępem do długotrwałej wojny polsko-niemieckiej, która w trzech nawrotach przerywanych układanli i pokojem toczyła się aż do roku 1018.

Wytrwałym, mądrym i przebiegłym przeciwnikiem Polski był w niej Henryk II, zaliczony przez Kościół w poczet świętych. Pobożność wcale mu nie przeszkodziła sprzymierzać się przeciw Bolesławowi z zatwardziałymi w pogaństwie Wioletami. Ponieważ lekkie ich oddziały chadzały zazwyczaj w straży przedniej, więc pochód wojsk chrześcijańskiego cesarza otwierali wieleccy chorążowie, niosący wizerunki swych bożyszcz. Kiedy razu pewnego jakiś rycerz niemiecki rzucił kamieniem w taki posążek, Henryk ułagodził obrażonych pogan dwunastoma funtami srebra. Jak bardzo i wówczas pozory różniły się od rzeczywistości, a ideologia służyła jedynie za parawan dla polityki, świadczy fakt, że tenże Henryk zaciągał tych samych wojów Wieleckich na wyprawę do Lotaryngii przeciwko katolickiemu biskupowi Metz.

Podczas tej wojny, ale w kilka lat po jej rozpoczęciu, w dziejach Polski wystąpił jeszcze jeden święty. Był nim Bruno z rodu grafów na Kwerfurcie, Niemiec rodowity, kolega szkolny kronikarza Thietmara. Podobnie jak św. Wojciech ruszył Bruno, wspomagany przez Bolesława, na misję wśród Prusów i również zginął, zabity wraz z towarzyszami w okolicach dzisiejszego Giżycka. Bawiąc w Polsce napisał list do Henryka II. Urywki tego pisma warto przytoczyć:

Jeśli ktoś powie, że tego władcę [Bolesława] kocham, że dochowuję mu wierności i przyjaźni - to jest to prawda. Kocham go rzeczywiście jak duszę własną i więcej niż życie. Lecz w Bogu mam cennego świadka, że kocham go nie wbrew lasce waszej; gdyż, o tle mogę, pragnę go ku wam skłonić.

leżeli jednak wolno tak powiedzieć, nie tracąc laski królewskiej: czy jest to dobrem przesła-
dować chrześcijanina, a utrzymywać przyjaźń z ludem pogańskim? Co za zgoda Chrystusa z
Belialem, co za porównanie światła z ciemnością? Jak mogą się zgadzać diabeł Swarozyc i wódz
świętych, nasz Maurycy? Jakim czołem schodzą się razem święta włócznia i godła pogańskie,
karmione krwią ludzką? Czy nie wierzysz w grzech, królu, gdy głowa chrześcijańska, co hańba
powiedzieć, kroczy pod godłem demonów?

Ten list świętego do świętego pisany był w roku 1009, wtedy właśnie, kiedy
pogańscy Wieleci hulali w Lotaryngii.

Nie był i Bolesław wzorem cnót. Potrafił dopuszczać się okrucieństw i
gwałtów, jak się to już okazało i jeszcze okaże. Jednak musiało być w tym
człowieku coś niezwykłego, prawdziwa wielkość ducha, skoro sprzyjali mu
Wojciech i Bruno, bohaterowie, którzy wierność idei umieli przypłacić
życiem.

Uroczym prostodusznym notatką ruskiego kronikarza mówi nam coś niecoś o
samej osobie Chrobrego. „Był Bolesław wielki i ciężki, że ledwie na koniu
mógł usiedzieć, ale bystro umysłu.”

Wojna z Niemcami wymagała odeń najwyższego napięcia wszystkich sił
talentu i charakteru.

Wróg jego, Henryk II, ani razu nie zdołał użyć przeciwko Polsce całej,
bezsprzecznie przeważającej mocy Niemiec. Nie trzymał jej bowiem w rękę.
Panował rzeszy śmiertelnie skłóconych książąt, biskupów, grafów, baronów i
burzliwego rycerstwa. Przecież po to, by się ukoronować na króla, musiał
Henryk ukradkiem przepłynąć wraz z orszakiem wezbrany Ren i dopełnić
ceremonii nie w Akwizgranie, jak należało, lecz w Moguncji - zmyliwszy
czujność nieprzychylnego mu księcia Szwabii.

Jeśli chodzi o sprawność działania władzy politycznej, Polska Chrobrego
stała na szczyblu o wiele bardziej doskonałym. Była organizmem zdolnym do
skupiania sił i skutecznej akcji. Jeżeli Bolesław rozpraszal swe wojska, czynił to
celowo, na przykład dla strzeżenia granicy węgierskiej.

Jądro jego armii stanowiła drużyna książęca. Jeszcze o Mieszku napisał
arabski kronikarz, Ibrahim ibn Jakub, że miał trzy tysiące pancernych. Według
Galla Chrobry posiadał ich o dziewięciuset więcej oraz trzysta tysięcy
pieszych tarczowników.

Mnich saski Widukind, piszący o Słowianach w wieku X, zaświadczył, że
„barbarzyńcy nie mieli wielu konnych, mieli natomiast niezliczone mnóstwo
piechoty”. Ta sama metoda wojowania utrzymywała się i za Chrobrego.
Główną masę jego armii stanowili na pewno powołani pod broń chłopcy. To oni
wznosili po lasach i obsadzali załogami słynne zasieki, na których ginęli

najprzedniejsi rycerze niemieccy. Oni dokonywali skutecznych zasadzek, bolesnie szarpali z boków wojsko Henryka, pracę na Poznań. Ich ręce budowały grody, których doskonałość wtedy właśnie okazała się w całej pełni. Wyćwiczeni w rozwalaniu kamiennych twierdz italskich, nie zdołali jednak Niemcy zdobyć ani jednej warowni polskiej, opasanej drzewno-ziemnymi wałami.

Jak pamiętamy, przygrywki do generalnego starcia polsko-niemieckiego rozpoczęły się w roku 1002. W roku następnym próbował Chrobry urzeczywistnić zamysł polityczny naprawę śmiały. Chodziło mu o stworzenie potężnego państwa zachodniosłowiańskiego, jednoczącego pod wspólnym berłem Polskę i Czechy.

Od dłuższego czasu panował w Pradze krwawy chaos. Umarł, raczej zapił się na śmierć, książę Włodzów, wprowadzony na tron przez Polaków. Wkrótce potem ponowna interwencja polska oddała tam władzę Bolesławowi III Rudeму. Rządy jego były niezwykle okrutne i sprzeczne z polityką Gniezna. Chrobry zareagował w sposób nie przyczyniający mu chwały. Zaprosił Rudego na obrady do Polski, zapewne do Krakowa, i kazał wyłupić mu oczy. Aż do 1034 r. snuł się po Wawelu ślepy więzień odziany w książęce szaty i otaczany honorami.

Chrobry sam wyprawił się nad Wełtawę, zajął stolicę i objął rządy, radośnie witany przez ludność. Z tą chwilą państwo jego osiągnęło największy zasięg terytorialny. Oprócz Polski obejmowało Czechy, Morawy, Słowacznę, Łużyce, Miśnię i Miłsko, władało górnym biegiem Łaby i dotykało rzeki Sali, w której dno wbito legendarne słupy żelazne.

Tak było tylko przez jeden rok. Czesi raptownie zmienili front. Może skłoniły ich do tego jakieś gwałty, popełniane przez Polaków. Raczej jednak przypuszczać należy, że woleli mieć własne księstwo, nawet pozostające w zależności od Niemiec, niż stanowić coś w rodzaju polskiej prowincji. W każdym razie Chrobry musiał ustąpić nie przed wojskami ciągnącego z Niemiec Henryka, lecz przed buntem całej ludności, która rzucała się na załogi polskie.

Bolesław jak gdyby nawet lekcewał cesarza. Nie przerwał uczt, kiedy mu doniesiono, że pancerni rycerze niemieccy złamali ważny punkt oporu w lasach, obsadzony przez łuczniczków polskich. „Toć gdyby leżli jak te żaby, mogliby już tu przybyć” - powiedział.

Dopiero usłyszawszy bicie dzwonów kościelnych w Wyszehradzie, wzywające ludność do powstania, uszedł nocą z Pragi wraz z wojskiem. W odwrocie poległ na moście praskim brat św. Wojciecha, Sobiebor.

Stało się to wczesną jesienią 1004 r. Niemcy wprowadzili na tron księcia Jaromira, którego wygnał poprzednio Bolesław Rudy. Władza jego nie miała przyszłości. Jaromir był eunuchem. Okaleczyli go wrogowie, Czesi. I takie bywały wtedy sposoby walk politycznych.

W 1005 roku silna armia niemiecka pod wodzą Henryka II sforsowała Odrę pod Krosnem i wspomaganą przez posiłki czeskie oraz Wieleckie ruszyła prosto na Poznań. Bolesław nie przyjmował walnej bitwy. Uprawiał walkę podjazdową, zadając nieprzyjacielowi „wielkie straty”, jak przyznawali sami Niemcy.

Henryk zatrzymał się pod Poznaniem, ale go nie szturmował. Zawarto pokój, uważany przez stronę niemiecką za „niedobry”. Polska nie utrzymała wielkich zdobyczy z 1003 roku, lecz nie pozbyła się ani skrawka własnego obszaru, zyskała nawet Słowacyznę i Morawy (utracone jednak później w czasie tej samej wojny). Łużyce i Milsko wróciły do Niemiec.

Mir nie trwał długo. W 1007 r. zerwał go Chrobry, uprzedzając zapewne uderzenie niemieckie. Po pięcioletnich zapasach, w czasie których nie udało się Henrykowi przejść Odry pod Głogowem, doszło do pokojowego zjazdu w Merseburgu, gdzie Chrobrego przyjęto z honorami „należnymi królewskiej godności”. Polska otrzymała Łużyce i Milsko, ale jako lenno, czyli nadanie cesarza. Był to już rok 1013.

Zaraz następnego lata obie strony znowu sięgnęły po broń. Bolesław trzymał uzyskane Milsko i Łużyce, lecz ani myślał wywiązywać się z powinności lennika, nie dał Henrykowi przyrzeczonych posiłków na wyprawę do Rzymu, a nawet spiskował i knuł przeciwko niemu w samych Niemczech.

Trzecia i ostatnia faza tej przewlekłej wojny trwała lat cztery (1014-1018) i była najcięższa.

Początkowo walki toczyły się nad Odrą, którą dwie armie niemieckie przekroczyły, jednak musiały się cofać ze stratami, ponieważ manewry Bolesława nie dopuściły ich do połączenia się. Wtedy to zaszło zdarzenie, które później posłużyło Stefanowi Żeromskiemu za wyjściowy wątek opowieści *O Walgierzu Udałym*.

Jesienią 1015 r. nagły wypad piechoty polskiej wywołał popłoch w kolumnie niemieckiej. Od strzał łuczowników poległ dowódca oddziału margrabia Gero „i dwustu najprzedniejszych rycerzy”. Dowiedziawszy się o tym, wysłał Henryk biskupa Miśni, Idziego, „aby wyprawił im pogrzeb za zgodą niegodziwego księcia i zażądał zwłok margrabiego Gerona”. Biskup wyruszył na pobożowisko,

a gdy ujrzali ślady żałosnego pogromu, zaniósł się od płaczu i modlił się na klęczkach za poległych. Kiedy zwycięzcy, zajęci ciągle jeszcze tylko szukaniem łupów, spostrzegli go z daleka, uciekli zrazu w obawie, iż nadciąga nowe wojsko, potem jednak, gdy się przybliżył, pozdrowili go i pozwolili mu odejść nie czyniąc mu żadnej krzywdy. Uzyskawszy od Bolesława radującego się naszą klęską to, o co prosił, Idzi pogrzebał z wielkim trudem przy pomocy nieprzyjaciół ciała towarzyszy, po czym niezwłocznie odjechał. Zwłoki zaś wspomnianego margrabiego i jego towarzysza Widreda kazał zawieźć aż do Miśni.

Okrutni ludzie średniowiecza miewali jednak czasem serce. Aż dziwnie, kiedy się pomyśli, że opisany wypadek zdarzył się... 1 września. - Ale nie na Pomorzu - jak głosił Żeromski - lecz na Śląsku.

Najznakomitszym epizodem tej wojny była obrona grodu Niemczy w roku 1017.

W sierpniu nie udało się Henrykowi forsowanie Odry, gdyż Bolesław zbyt silnie umocnił się w Głogowie i okolicy. Dwanaście oddziałów z głównej siły niemieckiej ruszyło z rozkazu cesarza pod Niemcze, leżącą na bardzo ważnym szlaku, lecz tej samej nocy, kiedy stanęły pod grodem, przedarły się tam posiłki polskie, korzystając z ciemności i ulewnego deszczu. Wkrótce przybył sam Henryk i kazał dokładnie Niemczę otoczyć. Pomimo to pomoc przebiła się do twierdzy po raz drugi.

Nigdy nie słyszałem o obłożonych, którzy by z większą od nich wytrwałością i bardziej przezorną zaradnością zabiegali o swoją obronę... Gdy zdarzyło im się coś pomyślnego, nie wykrzykiwali nigdy z radości, ale i niepowodzenia również nie ujawniali przez wylewne skargi

- pisze Thietmar, nieskory do pochwał dla Polaków.

Najprzemysłniejsze niemieckie maszyny oblężnicze natrafiały na równie dobry sprzęt obronny załogi. Nie udały się generalne szturmowe wojsk cesarskich ani następne - pomocniczych oddziałów Wielekich i Czechów księcia Udalryka, który po Jaromirze panował w Pradze. - Od strony obozu Wieleckiego obrońcy Niemczy wzniesli na wałach krzyż.

Tymczasem Chrobry stał z wojskiem we Wrocławiu (który Thietmar zwie z łacińska: *Wortizlava*), przegradzając Henrykowi odwrót w stronę Łużyc. Jakoż zwinawszy oblężenie ruszył cesarz do Czech. Nie wracał jako zwycięzca, o czym świadczą słowa kronikarza: „Któż zdoła opisać trudności tego marszu i ogólne straty? Z ogromnymi przykrościami połączone było wkroczenie do Czech, lecz o wiele gorszy był odwrót z tego kraju.”

We wrześniu zagon wojenny Bolesława wtargnął między Łabę i Muldę, pustosząc kraj i uprowadzając liczne niewolniki.

30 stycznia 1018 r. na zamku w Budziszynie zawarto nareszcie pokój. Miłsko i Łużyce zostawały przy Polsce bez żadnych warunków i zastrzeżeń.

W tym czasie nie żyła już księżna Emnilda i pewną gwarancją dotrzymania układu miało być nowe, czwarte już małżeństwo Bolesława. Pięćdziesięcioletni przeszło Chrobry poślubił młodzianką Odę, córkę jednego z margrabiów niemieckich.

Pokój budziszynski zawarty na polskim terytorium państwowym oznaczał pełne zwycięstwo Chrobrego nad Henrykiem, który zobowiązał się dać dotychczasowemu wrogowi trzystu rycerzy, jako pomoc na wyprawę kijowską.

Stosunki z Rusią, początkowo przyjazne, zaczęły się psuć już podczas wojny z Niemcami. Nie znana z imienia córka Chrobrego wyszła za mąż za syna Włodzimierza Wielkiego, Świętopełka, którego mnisi prawosławni z Ławy Peczerskiej pod Kijowem nazwali Świętopełkiem Przeklętym. W związku z zatargami dynastycznymi Bolesławówna wraz z byłym biskupem z Kołobrzega, Reinbernem, dostali się do więzienia, a Chrobry ruszył zbrojnie na Kijów w roku 1013. W odwecie inny syn Włodzimierza, Jarosław, wyгнаwszy Świętopełka z Kijowa uderzył w roku 1017 na wschodnią granicę Polski, lecz bez powodzenia. Niepokoje na wschodzie i sama nawet wyprawa Jarosława na szczęście nie przeszkodziły Polsce pokonać Niemców.

Po zawarciu pokoju w Budziszynie ruszył Chrobry na Kijów, prowadząc ze swym wojskiem posiłki niemieckie, węgierskie oraz stepowego plemienia Pieczyngów. Jakiś ich oddział wspomagał Bolesława i w poprzedniej akcji, zbuntował się i został w pień wycięty.

Do spotkania doszło nad Bugiem, przy ujściu Huczwy. W widłach tych dwóch rzek do dziś znajdują się zwaliska grodu Wołyń, a nieco na południe rozciąga się nadrzeczna równina, zwana przez ludność Królewskim Kątem. Zgodnie z podaniem tu właśnie przeprowił się Bolesław przez Bug. Do nagłego działania sprowokował go wojewoda ruski, Bąd, który stojąc za rzeką lżył i krzyczał: „A ty tu po co? Oto oszczepem rozpruję brzuch twój tłusty!”

Zwycięstwo polskie było zupełne. Jarosław uszedł na północ, do Nowogrodu, a Kijów wkrótce poddał się Chrobremu. Przez stulecia powtarzana opowieść o uderzeniu mieczem we wrota grodzkie jest piękną wprawdzie, lecz niewątpliwą legendą. Złota Brama, o którą miało się naznaczyć ostrze „szczyrbca”, stanęła w czasach późniejszych.

Kijów był jak na owe czasy miastem ogromnym i bardzo bogatym. Posiadał podobno czterysta cerkwi i osiem placów rynkowych. Bolesław nie myślał o przyłączeniu go do Polski. Chodziło mu o utwierdzenie tu władzy przychyl-

nego sobie księcia oraz o niezmierne skarby. Pisze Gall, że Chrobry „przez przeciąg dziesięciu miesięcy bez przerwy przysyłał stąd pieniądze do Polski”, a resztę łupów zabrał, kiedy ruszył w drogę powrotną, podczas której na nowo przyłączył do swego państwa Grody Czerwieńskie.

Jeszcze przed małżeństwem z Odą i wyprawą na Kijów zabiegał Chrobry o rękę księżniczki ruskiej, Predysławy, siostry Jarosława. Odmówiono mu jej. Zajawszy Kijów zems'cił się za urazę, biorąc Predysławę siłą jako brankę. Podobno zawczasu zapowiedział swym wojom, że tak postąpi.

Znad Dniepru wysłał uroczyste poselstwa i listy do obydwu cesarzy - zachodniego, Henryka, i do wschodniego, którym był wtedy Bazyl II, zwahy Bułgarobójcą.

Niezależnie od politycznego znaczenia wyprawy kijowskiej, której cel był ograniczony do chęci poparcia uległego Polsce księcia, trzeba ją uznać za duży-wyczyn natury wojskowej. Dojs'cie do Kijowa wymagało wówczas czterdziestu dni wysilonego marszu. Liczna, na pewno obciążona taborami armia polska potrafiła go odbyć, staczając po drodze zwycięskie walki.

Świętopełk wkrótce znowu wygnany został z Kijowa. Chrobry już się za nim nie ujmował i nawiązał dobre stosunki z Jarosławem, który panował do roku 1054.

Pod sam koniec życia doczekał się Bolesław chwili spełnienia zamiaru powziętego przed ćwierćwieczem . W roku 1025 -prawdopodobnie na Wielkanoc - na jego własny rozkaz i bez przyzwolenia papieża biskupi pclscy ukoronowali go na króla.

Chwila była bardzo sposobna. W lipcu poprzedniego roku zmarł zacięty wróg, cesarz Henryk II. Następcą jego, Konrad II - od którego bierze początek dynastia salicka - potrzebował niemal dwóch lat na pokonanie normalnych trudnos'ci w Niemczech i w Italii, zanim się ukoronował w Rzymie. I akurat w tym czasie, czyli latem 1024 r., zaszła zmiana na tronie papieskim: umarł Benedykt VIII, po którym nastąpił jego rodzony brat, Jan XIX. Zanim się zmacone stosunki polityczne na nowo wyklarowały - Polska miała już koronowanego króla. Dany został przykład, wzór do naśladowania dla potomnych. Nigdy w przyszłos'ci nie mieli już Polacy zapomnieć o uzyskanej koronie.

Sześćdziesięcioletni już niemal Chrobry w pełni widać zachował genialną przenikliwość myśli, bystrość orientacji i siłę działania. Postępował z tą samą energią i szybkością, które go cechowały jako młodego mężczyznę, w dobie starań o arcybiskupstwo.

Nie chodziło wówczas o czzą tytułaturę, lecz o rzeczy ogromnie ważne pod

względem politycznym. Korona królewska wznosiła rangę państwa, stanowiła niezbyty dowód jego zupełnej niezależności. W stosunkach wewnętrznych w znacznej mierze ułatwiała władcy wyzwolenie się od dawnego prawa zwyczajowego, które kazało dzielić kraj między spadkobierców. Prawowitym dziedzicem całego obszaru oraz zwierzchnikiem innych książąt tej samej krwi stawał się ten z synów, któremu ojciec-król przekazał berło.

Od dawna już Chrobry wyznaczył na swego następcę najstarszego syna Emnildy, Mieszka, znanego w historii jako Mieszko II. W ten sposób pominięty został i odsunięty od władzy pierworodny, Bezprym, potomek Węgierki, a także młodszy i rodzony brat Mieszka, Otto.

Koronacja była ostatnim aktem wspańskiego panowania Bolesława Chrobrego, który zmarł w kilka miesięcy później, 17 czerwca 1025 roku.

Pierwszego króla polskiego pochowano w Poznaniu.

Gall, piszący swą kronikę w wieku XII, nie wahał się nazwać Bolesława Wielkim.

Z odejściem więc króla Bolesława z doczesnego świata złoty wiek zmienił się w ołowiany - głosił. - Polska, przedtem królowa, ukoronowana błyszczącym złotem z drogimi kamieniami, siedzi na popiołach odziana we wdowie szaty, dźwięk cytry w płacz, radość w smutek, a głos organów zmienił się w westchnienia. Istotnie, przez cały ów rok nikt w Polsce nie urządził publicznej uczty, nikt ze szlachty, ani mąż, ani niewiasta, nie ustroił się w uroczyste szaty, żadnego tańca, żadnego dźwięku cytry nie słyszano w karczmach, żadna dziewczęca piosenka, żaden głos radości nie rozbrzmiewał po drogach. I tego przez rok przestrzegali wszyscy powszechnie, lecz szlachetni mężowie i kobiety skończyli żałobę po Bolesławie dopiero wraz z końcem życia. Z zejściem tedy Bolesława króla spośród żywych zdało się, że i spokój, i radość, i dostatek razem z nim z Polski odeszły.

Powie ktoś może, że piszący tak późno kronikarz przesadził, zanadto przyozdobił opowieść o panowaniu Chrobrego, mając w pamięci kłęski, które nastąpiły po śmierci króla. Być może, ale z drugiej strony to właśnie jest jednym z dowodów wielkości postaci i dzieła Bolesława. Gall patrzył na jego czyny z pewnej perspektywy dziejowej, mógł porównywać i oceniać. I jeśli zdobył się na taki opis, to znaczy że już za jego czasów - w wieku XII - pamięć o Bolesławie Wielkim zaliczała się do czynników jednoczących naród i państwo.

Na zawsze pozostało wspomnienie o królu, który władał od Bałtyku po Karpaty, od Szczecina po Gdańsk, od Bugu aż po górny bieg Łaby. Jeśli dziś spojrzymy na mapę ówczesnej Europy - zwłaszcza zachodniej - zobaczymy prawdziwą mozaikę barwnych plam, przedstawiających dziedziny rozmaitych wielmożów duchownych i świeckich, dość słabo poczuwających się do

obowiązku posłuszeństwa wobec zwierzchniej władzy państwowej. W średniowieczu zdecydowanie górowały dążenia odśrodkowe, rozsadzające większe organizmy polityczne od wewnątrz. Wbrew tej zasadzie monarchia Chrobrego - licząca około pół miliona kilometrów kwadratowych powierzchni - była państwem na pewno też bogato zróżnicowanym wewnątrznie, złożonym z wielu okręgów plemiennych, ale zwartym, rządzonym sprawnie.

Żaden z następców Chrobrego ani nikt w ogóle w Polsce piastowskiej na mapę taką oczywiście nie patrzył. Naród pamiętał za to, jaki stan rzeczy panował za Bolesława. To wspomnienie stanowiło wartość ogromną, gdyż w czasach późniejszych określało zrozumiwały dla wszystkich cel dążeń politycznych.

Epoka Bolesława Chrobrego zostawiła narodowi w spadku poczucie własnej wartości.

t

111

Zaraz po śmierci Chrobrego, w tym samym jeszcze 1025 roku widziała Polska drugą koronację. Królem został Mieszko II, który w pełni rozumiał sens polityki ojca i nie zwlekając z włożeniem korony, stwarzał ważny fakt dokonany - ciągłość tradycji.

Przez długie stulecia człowiekowi temu działa się dotkliwa krzywda. Poczynając od XIII w. zwano go Gnuśnym - wbrew sprawiedliwości i prawdzie.

Jeszcze za życia ojca uprawiał się Mieszko w sztukę rządzenia i dowodzenia wojskiem. Stał na czele jednej z armii, broniących Odry przed Henrykiem II, ze znacznymi siłami wyprawiał się przeciwko czeskiemu Udalrykowi, posłował do cesarza i prowadził pertraktacje. Dziwnie jednak nie dopisywało mu szczęście, co w życiu polityków znaczy więcej, niż się zazwyczaj sądzi. Jesienią 1015 r. już prawie trzymał w rękę gród Miśnię i gdyby... Ale oddajmy głos Thietmarowi:

Tymczasem cesarz dotarł ze swoim wojskiem do Strzały, a ponieważ wiedział, że Mieszko następuje mu na pięty z siłą zbrojną, nakazał margrabiemu Hermanowi przybyć szybko dla obrony miśnieńskiego grodu, sam zaś udał się prosto do Merseburga. Mieszko atoli, pouczony przez swego niegodziwego ojca, skoro tylko zauważył, że nasi odeszli rozdzieleni na części, nie pozostawiając żadnej osłony, przeprowił się 13 września o świcie przez Łabę pod wspomnianym grodem z siedmiu legiami [czyli z 7000 ludzi] i nakazał jednemu z nich pustoszyć okolicę, drugim

zaś przystąpić do zdobywania grodu. Kiedy to zobaczyli wietnicy, zwątpili o możliwości ocalenia i zostawiając prawie całą chudobę, schronili się do warowni leżącej w górnej części grodu. Nieprzyjaciele, uradowani tym wielce, wdarli się do opuszczonego podgrodzia i zabrawszy wszystko, co tylko tam znaleźli, podpalili je, po czym podłożyli ogień wyżej w dwóch miejscach pod ową warownią i natarli na nią z całą zaciętością. Graf Herman, widząc, jak jego nader szczupła garstka obrońców słabnie, rzucił się na ziemię i błagał o zmiłowanie Chrystusa, jego zaś sławnego męczennika Donata o święte wstawiennictwo, następnie przywołał na pomoc niewiasty. Te stanęły na szańcach i rzucając stąd kamienie wsparły mężczyzn. Ogień, który podłożono, ugasiły w braku wody miodem i, Bogu dzięki, poskromiły wściekłość i zuchwałość wroga. Mieszko patrząc się temu wszystkiemu z wznoszącą się obok góry, oczekiwał na przybycie reszty rycerzy. Ci, pustosząc i paląc, gdzie tylko był ogień, wszystko wokoło aż do rzeki Gany, powrócili późno na zdronzonych koniach i byłiby przemocowali tam ze swoim wodzem, by ruszyć nazajutrz do szturm, gdyby nie zauważyli przybierającej wody na Łąbie. Z tego powodu wojsko, mimo wielkiego zmęczenia, wycofało się.

Kiedy trzy lata wczesniej Chrobry osobiscie dowodził oblężeniem Lubusza, ta sama Łąba też nagle wylała - zatrzymując odsiecz cesarską.

W roku 1013 ojciec ożenił Mieszka z Ryczezą, córką palatyna lotaryńskiego, Ezona, a siostrzenicą Ottona III. Małżeństwo nosiło charakter czysto polityczny i miało umocnić wpływy polskie wśród arystokracji niemieckiej.

Nie były to daremne rachuby. Wkrótce po wstąpieniu na tron otrzymał Mieszko wspaniały dar od księżnej lotaryńskiej, Matyldy (mąż jej - Fryderyk - stał w Niemczech na czele opozycji). Była to księga o liturgii kościoła katolickiego. We wstępie do niej sławi Matylda Mieszka, jego wielkie jak na owe czasy wykształcenie, znajomość łaciny i greki, zowie go królem z Bożej łaski i życzy mu zwycięstwa nad wszystkimi wrogami. Dla wyrazistości trzeba wspomnieć, że kronikarz niemiecki wyrażający oficjalne poglądy dworu cesarskiego zupełnie inaczej mówi o królestwie polskim:

Truczna pychy zalała duszę Bolesława, tak że po zgonie cesarza Henryka ośmielił się pochwycić koronę królewską na hańbę króla Konrada. Rychła śmierć ukarała tę zuchwałość. Syn jego Mieszko także buntownik, jak ojciec.

Wspomnianą księgę zdobyło malowidło, przedstawiające samą Matyldę w chwili wręczania daru Mieszkowi II, który siedzi na tronie. Jest to pierwsze znane dotąd dzieło sztuki malarskiej związane z Polską i pierwszy wizerunek naszego króla. Obraz powstał w Niemczech około roku 1027. Czworoboczna korona zdołająca głowę Mieszka jest dokładnie taka sama jak te, które w X stuleciu nosili cesarze. Przedstawione przez artystę stroje Mieszka i Matyldy są wyraźnie anglosaskie.

Księga przechowywana w bibliotece berlińskiej zaginęła w XIX w. i o m znamy tylko z reprodukcji.

Początek rządów Mieszka II zdawał się przypominać świetność poprzedniego panowania. Dwie wyprawy wojenne - z których drugą popierali Wielec - doszły, jak za Chrobrego, aż do Sali, natomiast odwetowe uderzenia Konrad ; II skończyły się niepowodzeniem. Pretendentów do władzy - Bezpryma Ottona - Mieszko wygnał z kraju. Sukcesy jego skończyły się jednak w roku 1030.

W roku 1031 spada na Polskę uderzenie z dwóch stron. Od zachodu Niemcy, wraz z którym idzie książę Otto, od wschodu Rusini Jarosława, popierający Bezpryma i znowu odbierający królestwu Grody Czerwieńskie.

Mieszko nie sprostał koalicji i musiał się schronić w Czechach (Gall zanotował nie sprawdzoną pogłoskę, że król został tam okaleczony tak samo, jak-niegdyś Jaromir). Rządy w kraju objął Bezprym, który odesłał Konradowi L' koronę ojca i brata. Insygnia władzy monarszej odwiozła" do Niemiec Ryczeza Jej samej tytuł królowej przysługiwać miał dożywotnio.

Gest Bezpryma wolno uważać za chęć wykazania uległości wobec cesarza. Możliwe jednak, iż książę, który rwał się do władzy, jako pierworodny syn Chrobrego - a więc w imię starego prawa rodowego - odsyłając koronę chciał okazać pogardę nowym zwyczajom.

Bezprym i Otto działając przeciw Mieszkowi znajdowali zapewne poparcie u części możnowładztwa. Spotężniało ono za czasów Chrobrego i korzystając z okoliczności dążyło do umocnienia swojej własnej pozycji. Mogli w tym czasie podnieść głowę potomkowie plemiennych jeszcze książątek, a także królewscy urzędnicy, pragnący dziedzicznie posiadać ziemie, którymi dotychczas tylko zarządzali. Takie rzeczy były czymś całkiem normalnym w feudalnej Europie - wielka posiadłość ziemska dawała jednocześnie władzę polityczną. O stosunkach panujących wtedy w najbardziej kulturalnych krajach niech zaświadczy poniższy tekst. Jest to projekt przysięgi dla wielkich panów feudalnych, przedłożony w roku 1023 przez biskupa z Beauvais królowi Francji, Robertowi:

Nie porwę ani wołu, ani krowy, ani żadnego zwierzęcia; nie będę chwytał ani chłopa, ani chłopki, ani sługi, ani kupca; nie będę im odbierać ich groszy ani zmuszać do wykupywania się; nie będę ich chłostać, aby im odjąć ich dobytek; od polowy marca aż do Wszystkich Świętych nie będę porywać z pastwisk ani koni, ani źrebiąt, ani klaczy; nie będę niszczyć i palić domostw; nie będę wykorzeniać i niszczyć winnic.

Wobec tak bujnych temperamentów i takich pojęć o granicach prawa niełatwo było utrzymać jedność samego państwa. Chaos, w którym zaczęła się

ograżać Polska po śmierci Chrobrego, to w ówczesnej Europie zjawisko normalne. Wyjątkiem natomiast był poprzednio u nas panujący i potem jeszcze zaprowadzany ład.

Nie umiał go utrzymać Bezprym, który objął władzę w Polsce. Rządził bardzo okrutnie i po kilku miesiącach zginął zamordowany.

W 1032 roku Mieszko wrócił do Polski. Musiał jednak ukorzyć się przed cesarzem, zgodzić się na utratę Łużyc i wyznaczyć dzielnicę bratu Ottonowi oraz księciu Dytrykowi (prawdopodobnie był to syn Świętopełka, przyrodniego brata Chrobrego).

Pomimo tylu klęsk i upokorzeń Mieszko nie zrezygnował z dążeń do ponownego zjednoczenia państwa i władzy nad nim. Po śmierci Ottona, zmarłego w roku 1033, Dytryk został zapewne wygnany. Jednakże w rok później i sam Mieszko rozstał się z życiem.

Istnieje niepewna wersja, że rządy po nim objął jego najstarszy syn Bolesław, tzw. Zapomniany, który panował krótko, odznaczył się okrucieństwem i zginął z rąk mordercy.

Spadkobiercą Mieszka był syn Kazimierz, przeznaczony przez rodziców do stanu duchownego i dlatego zwany później niekiedy Mnichem. Do historii przeszedł on jednak jako Kazimierz Odnowiciel.

Zanim dane mu było zasłużyć sobie na ten zaszczytny przydomek, musiał książę Kazimierz uchodzić z kraju. Ruszył najpierw na Węgry, później do Niemiec, gdzie przebywała jego matka, Rycheza. Był to rok 1037.

W Polsce zaczęły się dziać rzeczy, które zwróciły uwagę sąsiadów i mocno się zapisały w pamięci potomnych.

I było poruszenie wielkie na ziemiach Polski - pisze ruski kronikarz - i powstawszy ludzie pozabijali biskupów, i kapłanów, i panów swoich, i było u nich zaburzenie.

Gall ma na ten temat więcej wiadomości i rozprawia znacznie wymowniej:

I gdy tak wielkie krzywdy i klęski znosiła Polska od obcych, nie rozsądniej wszakże i sromotniej dręczoną była przez własnych mieszkańców. Albowiem niewolnicy powstali na panów, wyzwolenci przeciwko szlachetnie urodzonym, sami się do rządów wynosząc, a jednych z nich na odwrót w służbie dla siebie zatrzymawszy, innych pozabijawszy, pobrali ich żony w sprośny sposób i zbrodniczo rozdrapali dostojęstwa. Nadto jeszcze, porzucając wiarę katolicką - czego wypowiedzieć nie możemy bez płaczu i lamentu - rozpoczęli bunt przeciw biskupom i księżom Boga; niektórych z nich, jakoby godniejszą śmiercią, mieczem zgładzili, innych, jakoby godniejszych lichszej śmierci, ukamienowali.

Wybuchło więc w Polsce powstanie ludowe, połączone z próbą wytepienia chrześcijaństwa i powrotu do wierzeń pogańskich. Najsilniejszy rozruch objął Wielkopolskę i Śląsk. Najspokojniej było w Małopolsce, gdzie chrześcijaństwo docierało już w czasach księstwa Wiślan, oraz na Mazowszu, a to z przyczyn, o których za chwilę.

Jednakże to nie lud rozpoczął niszczącą państwo robotę. Dokonali tego ci, których późniejszy kronikarz nazwał „poronionymi książętami”, wspomniani już możnowładcy. Oni to na czas krótki obalili wtedy władzę centralną i samą jedność Polski. Po wygnaniu Kazimierza nikt właściwie nie rządził całym państwem. Bunt ludowy był zatem skierowany nie przeciw królowi czy księciu, lecz przeciw nazbyt już spotężniałym możnym, którzy na podległych sobie obszarach zaczęli pewnie ujarzmiać i cisnąć chłopa, przeważnie jeszcze wtedy wolnego. Przytoczony przed chwilą tekst przysięgi francuskiej wymownie świadczy o znanej prawdzie, że godna tego miana centralna władza państwowa z reguły broni prostego człowieka przed zakusami prowincjonalnych „królewiat”. Mamy wszelkie podstawy przypuszczać, że ta sama zasada odnosiła się do ówczesnej Polski.

Najspokojniej było wtedy na Mazowszu. Tak nawet spokojnie, że tłumnie chronili się tam zbiegowie z innych dzielnic i wkrótce zabrakło dla nich miejsca. Władzę pochwycił tam Masław czy Mojsław, dawny cześnik, a więc urzędnik Mieszka II. Jedyny to z „poronionych książąt”, którego imię znamy. Nie musiał być przeciętną osobistością, skoro utrzymał na Mazowszu spokój i rządy przez lat dziesięć. Możliwe zresztą, że w tej dzielnicy ludność miała mniej powodów do niezadowolenia i zachowywała się spokojniej.

W roku 1038, korzystając z osłabienia Polski, uderzył na nią książę czeski Brzetysław I. Nie oparło mu się wyludnione Gniezno. Czesi zabrali stąd relikwie św. Wojciecha, krzyż złoty ofiarowany ongi przez Mieszka I, a ważący trzy razy tyle, co jego własna osoba, złote tablice wysadzane klejnotami i mnóstwo innych kosztowności. Kościół w arcybiskupim grodzie popadł w taką ruinę, że zagnieździły się w nim dzikie zwierzęta.

Woje czescy zburzyli w Poznaniu sakralne budowle wzniesione przez Mieszka I na uroczystość chrztu oraz splądrowali jego grobowiec. Przypadek sprawił, że pozostał niezbity dowód tego ich uczynku. Aż do naszych dni przeleżała wśród ruin moneta czeska z imieniem Brzetysława I zgubiona widać przez jednego z napastników.

Brzetysław zrujnował również świetny zamek i kościół kamienny na wyspie Jeziora Lednickiego w Wielkopolsce. Z Giecza, którego ludność poddała się bez walki, przesiedlił licznych rzemieślników do Czech, do miej-

scowos'ci zwanej odtąd Hedczany. Oderwał od Polski i obsadził załogami Śląsk.

Jeśli przypomnieć jeszcze, że w tym samym czasie spadły na Polskę najazdy Prusów i Pomorzan - obraz katastrofy będzie zupełny. Państwo przestało włas'ciwie istnieć.

Rok następny - 1039 - przynosi raptowną zmianę. Książę Kazimierz wkra-
cza do Polski od zachodu, wspierany przez oddział pięciuset rycerzy niemiec-
kich, przydany mu przez samego cesarza. Od wschodu popiera go władca
Kijowa, Jarosław, ten sam, przeciw któremu wyprawiał się ongi Chrobry. Bez
specjalnego wysiłku zajmuje Odnowiciel Wielkopolskę i dawną ziemię Wisłan
wraz z Krakowem. Wolno przypuszczać, że możnowładztwo tych dzielnic,
surowo pouczone przez bunt ludowy, chętnie przyjęło wracającego Piastowi-
cza.

Warto się zastanowić nad przyczynami tak nagłej odmiany na lepsze. Pań-
stwo polskie istniejące od paruset lat co najmniej, musiało się już stać ważnym
czynnikiem równowagi politycznej, skoro w odbudowywaniu go dopomogły
mocarstwa ościenne - Niemcy i Ruś. Widocznie ład, mozolnie budowany od
czasów Ziemowita, stanowił dużą wartość natury międzynarodowej, chaos
natomiast - jaki po Mieszku II zapanował między Bugiem a Odrą - zagrażał
także interesom sąsiadów. Silna władza w ręku gnieźnieńskiego księcia czy
króla mogła być niebezpieczna dla tych lub owych pogranicznych prowincji
Niemiec i Rusi. Zagłada jego państwa wywoływała stan anarchii. Okazało się,
że porządek i spokój w tych stronach mogą utrzymać tylko sami Polacy i nikt
inny tego za nich zrobić nie potrafi. Polska była po prostu potrzebna Europie
jako czynnik równowagi, co musiały rozumieć wybitne umysły polityczne.
Kazimierza Odnowiciela zdecydowanie poparł Henryk III, uważany za naj-
większego z cesarzy niemieckich. Od wschodu dostarczył mu pomocy Jaro-
sław, nie bez przyczyny pewnie zwany przez historyków ruskich Jarosławem
Mądrym.

Jeśli w wypadkach 1031 r. dopatrywać się dalekiego pierwowzoru rozbio-
rów Polski, to jej odbudowa w osiem lat później jeszcze lepiej świadczy o
międzynarodowym znaczeniu naszego państwa, o tak wcześniej rozumianej
niezbędności jego istnienia.

Sojusz z Kijowem stał się trwałym czynnikiem w polityce Kazimierza
Odnowiciela, który pojął za żonę siostrę Jarosława, Dobfoniegę.

Od czasów Kazimierza stolicą Polski został Kraków. Istnieją domysły, że już
za Chrobrego Wawel pełnił tę funkcję, gdyż Bolesław chętnie tam prze-
bywał.

Jednakże dopiero za Odnowiciela osrodek rządzenia przeniósł się na dóbr? do głównego grodu Małopolski.

Gniezno i Poznań były wtedy, jak już wiemy, zniszczone. Kraków unikł tego losu. Chrześcijaństwo miało tu stare tradycje, a odbudowa niezależnej organizacji kościelnej w Polsce zaliczała się do głównych trosk Kazimierza. W jego czasach powstało arcybiskupstwo krakowskie. Godność metropolita otrzymał Aaron, poprzednio mnich benedyktyński z klasztoru pod Kolonia gdzie arcybiskupem był wuj Odnowiciela, Herman. Wtedy prawdopodobnie założony został sławny klasztor benedyktynów w Tyńcu.

Nie można wątpić, że odnawiając świecka i kościelna organizację Polskę korzystał książę z wiedzy i doświadczenia, które zebrał podczas pobytu na Zachodzie, a także z poparcia osób możnych, takich jak arcybiskup Herman.

Z zagadnień politycznych na plan pierwszy wybijały się wtedy sprawy Śląska, zabranego przez Czechy, oraz Mazowsza i Pomorza, które zerwały związek z państwem.

Kwestia Śląska wyglądała źle. Cesarz Henryk III uznał fakt dokonany przez Brzetysława, czyli przyłączenie go do Czech. Z Mazowszem też nie szło łatwo i na odzyskanie go trzeba było czekać całych dziesięć lat. Dokonano go z pomocą ruską.

Przymierze z Kijowem wzmocniło się dzięki małżeństwu siostry Odnowiciela, Gertrudy, z Izasławem, synem Jarosława Mądrego. W 1047 roku korzystając z posiłków ruskich uderzył książę na Mazowsze. Doszło do krwawej bitwy „na przepas'cistym brzegu rzeki”, zapewne Wisły.

Taktyka wojenna była wtedy zupełnie inna niż dziś. W czasie darcia wódz wojska musiał sam walczyć jak żołnierz, i to w pierwszym szeregu. Tak w danym wypadku postąpił i Kazimierz. Bił się tak mężnie, że się cały krwią ubroczył, s'ciągał Mazowszan tak zapamiętale, że sam popadł w niebezpieczeństwo. Od śmierci ocalał go prosty chłop, powołany wraz z innymi na wyprawę. Książę okazał mu wdzięczność, „bo i gród mu nadał, i pod względem godności wyniósł go między dostojniejsze rycerstwo”.

W czasie tej wojny zginął Masław. Zwycięstwo Kazimierza było zupełne i przesądziło o losie Mazowsza. Zaraz potem ponieśli również klęskę Pomorzanie, ciągnący Masławowi na odsiecz. Obie dzielnice powróciły do jedności, z państwem.

W trzy lata później - w roku 1050 - Kazimierz uderzył na Śląsk i zajął go zbrojny:, także i tutaj przywracając jedność państwową. Gniew Henryka III ułagodził obietnicami uległości. Ostatecznie w roku 1054 cesarz orzekł na

zjeździe w Kwedlinburgu, że Śląsk ma pozostać przy Polsce, która jednak winna będzie co roku płacić Czechom odszkodowanie.

Kazimierz Odnowiciel zmarł w Poznaniu w listopadzie 1058 r. w wieku zaledwie czterdziestu dwóch lat. Czyny wielkich poprzedników i następców przysłoniły, usunęły w cień jego postać. Niesłusznie, bo dzieło tego człowieka godne jest uznania, a nawet podziwu.

Odnowiciel nie zdołał wyzwolić się z zależności od cesarstwa. Ale było to w tym czasie zupełnie niemożliwe. Niemcy stały bowiem u samego szczytu potęgi. Umiał za to w warunkach ogromnie trudnych ponownie zjednoczyć swoje księstwo i strzegąc się wojny z cesarstwem, która mogła przynieść tylko klęskę, wybitnie poprawić położenie Polski. Potrafił nie tylko zabezpieczyć się z drugiej strony - od wschodu - ale uzyskać czynną pomoc Rusi Kijowskiej. Opierając się na tym przymierzu odzyskał dla Polski cały bieg Wisły oraz Pomorze.

Nie brakowało mu ani talentu wodzą, ani odwagi osobistej. Ale sprawy wojny były u niego całkowicie podporządkowane rozumowi męża stanu, który dąży do rzeczywistych korzyści i nigdy ich nie poświęca dla efektu, sławy bitewnej, patetycznego gestu i tym podobnych mgławic.

Jak wiemy, Kazimierz w młodości przygotowywał się do stanu duchownego. Księża i mnisi stanowili w tym czasie jedyną warstwę społeczną, która niejako zawodowo zajmowała się wiedzą, uprawiała naukę i literaturę. Dziedziny te na pewno nie były obce Kazimierzowi, skoro już ojciec jego, Mieszko II, był człowiekiem naprawdę wykształconym.

Zaprawa w pracy umysłowej przydała się Odnowicielowi Polski.

IV

Kazimierz Odnowiciel miał czterech synów: Bolesława, Władysława Hermana, Mieszka i Ottona. Dwaj ostatni wcześniej zmarli i nie odegrali roli w dziejach. Władysław Herman otrzymał w zarząd dzielnicę, przypuszczalnie Mazowsze. Władzę nad całym krajem objął pierworodny, Bolesław, zwany później Śmiałym lub Szczodrym.

Jeśli kiedykolwiek osobowość panującego wpłynęła decydująco na losy podległego mu kraju, to na pewno było tak w wypadku Bolesława II. Można w nim podziwiać męstwo, energię i wielki talent. Ale gniew jego nie znał hamulca, a pycha granic. Jeśli patrzeć na główne linie polityki, umieszczając je

na tle zagadnień europejskich - wolno uznać Bolesława za umysł niemal genialny. Ale wykonanie szczegółów godne bywało szaleńca i ostatecznie wszystko popsulo.

Zaraz na początku swego panowania wyprawił się książę na Czechy i obieął Hradec. Oprócz własnej drużyny s'ciagnął też posiłki pomorskie. Wszystko mogło być dobrze, gdyby nie „lekkomyślne niedbalstwo” samego Bolesława, który wpadł w jakieś zasadzki czeskie i ledwie z nich uszedł.

Niepowodzenie miało poważne skutki. Wyzyskując osłabienie Krakowa, Pomorze Zachodnie usamodzielniało się, a zajęty gdzie indziej Bolesław nie mógł przywrócić go do uległości.

Był on synem księżniczki kijowskiej, Dobroniegi, i mężem Rusinki. Dwukrotnie wyprawiał się do Kijowa i zajmował go, wprowadzając na tron tamtejszy własnego wuja, księcia Izasława, wypędzonego przez współzawodników. Śmiały - podobnie jak i Chrobry - ani myślał o podbijaniu i zaborze stolicy Rusi. Brał tylko stamtąd wielkie łupy - co w owych czasach robili absolutnie wszyscy, gdzie, kiedy i jak się tylko dało - wzmacniał swe wpływy u sąsiada, ale o zniszczeniu państwowości ruskiej nie myślał, skoro popierał najstarszego z kijowskiej dynastii, przedstawiciela tradycji jedności tamtejszego księstwa.

Po pierwszej udanej wyprawie, w roku 1069, Izasław prosił Bolesława, „by wyjechał naprzeciw niego i oddał mu pocałunek pokoju dla okazania czci jego narodowi”. Śmiały zgodził się, ale zażądał grzywny złota za każdy krok swego konia podczas uroczystości, a w najbardziej podniosłym momencie nie zsiadł z wierzchowca, lecz chwycił Izasława za brodę i wytargał ją na oczach wszystkich kijowskich dostojników. Łatwo pojąć, jak bardzo podniosło to powagę Izasława, jak przychylnie usposobiło jego samego i Kijowian!

Podczas wyprawy na Pomorzan rzucił swe ciężkozbrojne rycerstwo wpływ przez głęboką rzekę i bardzo wielu wytopił. Od tej pory pancerze miały się stać w Polsce niepopularne.

Wracajmy jednak do głównych zagadnień politycznych epoki.

Za panowania Bolesława Śmiałego dokonywała się wielka próba sił między cesarstwem a papieżem, zakończona zwycięstwem tego ostatniego. Nie żył już Henryk III, który w roku 1046 po prostu mianował uległego sobie papieża Klemensa II, a zdetronizowanego jego poprzednika uwięził w Niemczech. Dziedzicem korony niemieckiej został sześćioletni Henryk IV i sam jego wiek ogromnie ułatwił kurii rzymskiej walkę o wyzwolenie spod wszechmocy cesarskiej.

W Kościele zdecydowanie wziął wtedy górę prąd reformatorski, trwający

- Ż od dawna, a zapoczątkowany przez klasztor benedyktyński w Cluny we Francji i stąd zwany ruchem kluniackim. Zmierzał on do przywrócenia silnej władzy centralnej papieżu, do uniezależnienia ich i całej hierarchii od władzy świeckiej, do zniesienia tak zwanego s'więtokupstwa (symonii), czyli zwyczaju nabywania godności kościelnych za pieniądze, i do ogólnej poprawy aż nazbyt rozluźnionych obyczajów duchowieństwa. Najlepszym wyrazicielem tego kierunku był syn tokańskiego chłopa, Hildebrand, który jako Grzegorz VII, okazał się jednym z największych papieży. Cele jego polityki doskonale wyraża dokument *Dictatus papae*, dotychczas przechowywany w Bibliotece Watykańskiej. Punkt .XII tego edyktu głosi, że papież ma prawo składać z tronu cesarzy.

Dictatus papae ogłoszono w roku 1075. Trzydzieści lat wcześniej, jak pamiętamy, Henryk III samowolnie mianował papieża. Stosunki uległy więc radykalnej zmianie. Papiestwo głosi teraz zasadę wyższości władzy duchownej nad świecką.

Mając taki program potrzebował Rzym sojuszników. Stały się nimi państwa, którym wzmoczenie politycznego znaczenia papiestwa groziło o wiele mniej niż potęga cesarzy. Na zachodzie Europy była to Hiszpania. Na wschodzie Węgry i Polska. Czechy natomiast pozostawały sprzymierzeńcem cesarzy niemieckich.

Na tym tle stają się dopiero zrozumiałe czyny Bolesława Śmiałego, który znajdował się w trwałym sporze z cesarstwem i Czechami, był natomiast przyjacielem Węgier. Popierał tam Belę I, potem jego synów - w szczególności Geję - a w roku 1077 osobiście wprowadził na tron w Budzie Władysława, o którym Gall pisze, że „od dzieciństwa chowany był w Polsce i pod względem obyczajów i życia stał się Polakiem”.

Stosunki z Czechami były złe. Bolesław nie płacił im czynszu za Śląsk, wiódł przeciwko nim wyprawy wojenne, w czasie których korzystał z posiłków ruskich. Odwetowe uderzenie Henryka IV na Polskę nie udało się ze względu także na niepokoje w samych Niemczech. Śmiały poparł zbuntowanych Sasów, zajmując w ten sposób zupełnie niedwuznaczne stanowisko w wielkim sporze politycznym obchodzącym całą Europę. Wystąpił jako jeden z głównych sojuszników papieża. Legatów jego zaprosił do Polski w roku 1075. Prawdopodobnie założyli oni biskupstwo w Płocku.

Tymczasem walka cesarza z papieżem szybko zbliżała się do punktu szczytowego. W roku 1076, wtrącając się do sporu między Henrykiem IV a książętami niemieckimi, Grzegorz VII sięgnął po straszną broń, której jego

poprzednicy nie używali. Wyklął cesarza i zwolnił poddanych od obowiązku posłuszeństwa.

W średniowieczu religia uświęcała ustrój państwowy i rozciągała swój wpływ na wszystkie czyny człowieka. Władca „związany kłętą i złożony z godności” popadał w okropne położenie, bo jego przeciwnicy - nawet tacy, co sami byli wrogami Kościoła - zyskiwali znakomitą pomoc w działaniu. Toteż książęta niemieccy oburącz uchwycili okazję. Zaprosili Grzegorza VII do Niemiec dla rozśądzenia sporów.

Do tego Henryk IV dopuścić nie mógł. Z niewielkim orszakiem ruszył przez Alpy na spotkanie papieża, który zatrzymał się w zamku Canossa, należącym do Matyldy, hrabiny tokańskiej. 25 stycznia 1077 roku Henryk IV samotnie stanął pod murami warowni, prosząc o przebaczenie.

Przez trzy dni - pisał później papież do biskupów niemieckich - stojąc u bramy zamku, zdjawszy szaty królewskie, bosy, we Włosienicy, nie pierwiej przestał błagać z wielkim płaczem zmiłowania apostolskiego i przebaczenia, aż u wszystkich, którzy tam przybyli i do których uszu one jęki doszły, wzbudził taką litość i takie współczucie, że wstawiając się za nim z wielu prośbami i łzami wszyscy dziwili się niezwykłej zatwardziałości mego serca, a niektórzy nawet wołali, że u nas jest nie surowość apostolska, ale tyrańska srogość.

28 stycznia papież cofnął kłętę. Zrezygnował też z podróży do Niemiec. Nazwa zamku Canossa stała się przysłowiowa, ale sukces polityczny odniósł cesarz, który nie dopuścił swego przeciwnika do takiego triumfu, jak wyrokowanie o wewnętrznych sprawach niemieckich. W siedem lat później Grzegorz VII umarł w Salerno, wygnany z Rzymu, gdzie rządy objął Klemens III, popierany przez tegoż Henryka IV. Ostatnie słowa Grzegorza na łożu śmierci miały brzmieć: „Miłowałem sprawiedliwość, a nieprzyjacielem byłem nieprawości, dlatego umieram wygnanicem.”

Jak przed chwilą była mowa, pokuta cesarza pod murami Canossy rozpoczęła się 25 stycznia 1077 roku. Równy miesiąc wcześniej, w pierwszy dzień Bożego Narodzenia 1076 r., arcybiskup Bogumił ukoronował w Gnieźnie Bolesława II na króla Polski.

Polityka Śmiałego, polegająca na wytrwałym trzymaniu się obozu antycesarskiego, przyniosła owoce. Odzyskana została godność królewska stracona czterdzieści lat wcześniej, w dniach najgorszej klęski. Polska wracała w Europie na miejsce wywalczone przez Mieszka I i Bolesława Chrobrego. A ponadto jeszcze zyskiwała poparcie jednej z dwu potęg politycznych Zachodu, gdyż koronacja odbyła się za zgodą papieża.

Wszystko to przepaść miało wkrótce w katastrofie, do której przyczynił się

zatarg króla z polskim możnowładcą ze stanu duchownego. Wbrew stwarzanym później pozorom, zdarzenie nosiło charakter czysto polityczny i nie miało nic wspólnego ze sprawami wiary.

Gall, który pisał niemal współcześnie i wiedział o wszystkim od s'wiadkow, wyraził się bardzo oględnie:

Jak zaś król Bolesław z Polski został wyrzucony, dużo byłoby o tym opowiadania, lecz to powiedzieć wolno, że nie powinien był pomazaniec na pomazańcu jakiegokolwiek grzechu cielesnie mścić. To bowiem wiele mu zaszkodziło, gdy przeciw grzechowi grzech zastosował, gdy za zdradę wydał biskupa na obcięcie członków. Ani bowiem zdracy biskupa nie usprawiedliwiamy, ani króla mszczącego się tak szpetnie nie zalecamy - lecz tu w środku poniechajmy i opowiedzmy, jak został przyjęty na Węgrzech!

Sprawa wydaje się jasna: Gall nie chce wyrażać się obszerniej. Jak tylu pisarzy przed nim i po nim, ze względów politycznych nakłada sobie tłumik i nie wyjawia tego, co wie. Działo się tak dlatego, że Gall żył na dworze księcia, którego rodzony ojciec doszedł do władzy wskutek „wyrzucenia z Polski” króla Bolesława Śmiałego. W tych warunkach nawet przytoczone przed chwilą rozważne zdania są pięknym s'wiadectwem prawdomownos'ci i odwagi naszego kronikarza, który nie kadił ojcu swego chlebobdawcy, wręcz przeciwnie - dawał do zrozumienia, że... wiele byłoby do powiedzenia... Gall nie mógł napisać pełnej prawdy. Chwała mu i za to, że nie skłamał.

Przywrócenie tytułu królewskiego i wzrriocnienie władzy Bolesława nie mogło odpowiadać interesom możnowładztwa, które uknuło spisek lub w jakiś' inny sposób objawiało swe niezadowolenie. Uczestniczył w tym biskup krakowski (dopiero w sto przeszło lat później inny kronikarz wymienił jego imię: Stanisław). Król uznał to za zdradę i ukarał go w typowy dla średniowiecza sposób - ćwiartowaniem. Wyrok wykonano natychmiast i nie na Skałce - jak chce legenda - lecz na Wawelu.

Jeśli chodzi o polityczną ocenę czynu, fatalny błąd króla polegał na tym, że zbyt wysoka była godność skazanego. Okrucieństwa w ogóle, a w szczególności te, które popełniano na ludziach niższego stanu, nie gorszyły wtedy nikogo. Tego rodzaju postępek króla rozjątrzył możnych, z których każdy mógł się teraz spodziewać podobnego potraktowania. Podnieśli więc bunt, wysuwając do władzy młodszego brata Bolesławowego, księcia Władysława Hermana. Śmiały wraz z żoną i synem Mieszkiem musiał uchodzić na Węgry. Był to rok 1079.

Katastrofa Bolesława, w której przygotowaniu maczał, jak się zdaje, palce księżę Wratysław czeski - żonaty z jego rodzoną siostrą - stanowiła duży

sukces cesarza, gdyż zabezpieczała wschodnią granicę Niemiec i utracąca najgroźniejszego przeciwnika w tej części Europy. Klęska Polski walnie przyczyniła się do upadku wielkiego papieża, Grzegorza VII. W kilka lat później cesarz Henryk IV mógł już sobie pozwolić na zwołanie do Moguncji synodu, który wysunął przeciw Grzegorzowi antypapieża Klemensa i wyklął piętnastu biskupów i arcybiskupów, wiernych ideałom kluniackim. Na tym samym synodzie Wratysław czeski dostał koronę królewską.

Na Węgrzech król Władysław przyjął Bolesława serdecznie i z szacunkiem należnym temu, komu zawdzięczał tron. Trzeba przypomnieć, że Władysław węgierski zalicza się w poczet świętych Kościoła katolickiego. Skoro odniósł się do Bolesława tak dobrze, to widać król polski nie uchodził wtedy za potwora moralnego ani za wyklętego zbrodniarza. Dopiero później przypisano mu to wszystko.

Fatalny charakter polskiego wygnańca raz jeszcze spowodował powikłania - właśnie na Węgrzech. Znajdując się w ciężkim położeniu i gwałtownie potrzebując pomocy, przypominał sobie Bolesław dni kijowskich triumfów. W chwili przywitania podjechał konno do stojącego pieszo króla Węgier, co w średniowieczu uchodziło za straszliwą obrazę. Władysław „odczuł [to] dosć przykro”, ale politycznych konsekwencji nie wyciągał. „Węgrzy jednak owo zajście głębiej sobie w sercu zapisali, skąd wielką Bolesław na się ściągnął nienawiść Węgrów, i stąd szybciej - jak mówią - ostatni dzień go zaskoczył.”

Bolesław Śmiały zakończył życie na Węgrzech, zanim jeszcze miał czas przedsięwziąć cokolwiek dla odzyskania tronu. Najpewniej zgładzili go ludzie nasłani z Polski. Legenda o jego pokutniczej śmierci w Osjaku to czysty wymysł, a pokazywany tam rzekomy grób polskiego króla jest bez porównania młodszy.

Pozostał na Węgrzech syn Bolesława i dziedzic jego korony, królewicz Mieszko, zrodzony z ruskiej księżniczki. Wychowywał go Władysław węgierski i

kochał go miłością ojcowską jakby syna. Sam zaś chłopiec istotnie wszystkich, i Węgrów, i Polaków, przewyższał szlachetnymi obyczajami i pięknością i myśli wszystkich s'ciagał ku sobie nadzieją przyszłego panowania, czego wyraźne były objawy. Stąd spodobało się stryjowi jego, księciu Władysławowi [Hermanowi], odwołać chłopca - pod złą wróżbą - do Polski i ożenić go - za zrządzeniem zawistnych losów! - z ruską dziewczyną.

Możemy ufać temu opowiadaniu Galla, gdyż kronikarz pisze tu o sprawach, na które zapewne własnymi oczyma patrzył.

Powrót królewicza Mieszka do Polski nastąpił w roku 1086, ślub w dwa lata

później. W roku 1089 Mieszko zmarł otruty. Dokonali tego „pewni rywale, obawiając się, by krzywdy ojca nie pomścili”.

Tak zeszła z tronu i ze świata pierworodna, królewska linia Piastów. Losy jej zadają kłam teoryjce, która głosi, że dzieje nasze nie znały zbrodni królobójstwa.

Więcej niż dwa stulecia miały upłynąć, zanim Polska znowu odzyskała koronę, której ją pozbawił możnowładczy spisek przyjaciół biskupa krakowskiego, zamach stanu wspierany zapewne przez cesarza niemieckiego i przez Czechy. Utrata tytułu oznaczającego jedność państwa sprzyjała dążeniom odśrodkowym, które mimo usiłowań najwybitniejszych dynastów piastowskich miały wkrótce zwyciężyć i stopniowo przemienić kraj w rojowisko luźnych księstw.

Koronacyjne insygnia Śmiałego, które Mieszko przywiózł z Węgier, aż do schyłku XIII wieku spoczywały bez pożytku w skarbcu wawelskim.

Gall dość obszernie opowiada o pogrzebie królewicza, a opis ten - pomimo wyraźnej przesady - mówi również wiele o ówczesnej Polsce.

Gdy zaś umarł młodzięczy Mieszko, cała Polska tak go opłakiwała jak matka śmierć syna-jedynaka. I nie tylko ci, którym był znany, lamentowali, lecz owszem i owi, którzy go nigdy nie widzieli, postępowali z płaczem za marami zmarłego. Wieśniacy mianowicie porzucali pług, pasterze trzody, rzemieślnicy swe zajęcia, robotnicy robotę odkładali z bólu za Mieszkim. Mali również chłopcy i dziewczeczki, nadto niewolnicy i służebnicy uczcili pogrzeb Mieszka Izami i płaczem. Na koniec biedna matka, gdy w urnie składano szczątki nieodżałowanego chłopaka, przez godzinę trzymaną byta jakby umarła, bez ducha i bez życia, i zaledwie po pogrzebie przez biskupów ocucona została wachlarzami i zimną wodą.

Szczegóły tej opowieści zdają się dowodzić, że autor jej był naocznym świadkiem opisywanych wydarzeń. Jeśli tak, to przytoczony urywek *Kroniki polskiej* jest pierwszym w dziejach naszej literatury reportażem. Został napisany w początkach XII wieku. Jak widać, nie było w Polsce powszechnej nienawiści do Bolesława Śmiałego i pamięci jego nie uznawano za przeklętą. Jeśli wierzyć Gallowi, królewicz Mieszko zapowiadał się świetnie, ale za krótko bawił w kraju, by dać się wszystkim poznać i zyskać osobiste sympatie. Na pogrzebie jego rozpaczali zresztą i tacy, co go nigdy na oczy nie widzieli. Osobę jego opromieniała bowiem sława wielkiego i nieszczęśliwego ojca, którego kłeskę i krzywdę naród uważał za własne.

JEDNOŚĆ BEZ KORONY

I

Dziwnie obszedł się los z synami Kazimierza Odnowiciela, bardzo nierówno wyposażył ich charaktery. Żaden z nich nie odziedziczył po znakomitym ojcu jego umiarkowania, przezorności i cierpliwości męża stanu, umięjącego... czekać.

Starszy syn - Bolesław - był, jak sięmy widzieli, zdolny, lecz zanadto energiczny i w nazbyt już gorącej wodzie kapany. Młodszy - Władysław Herman - to zupełne przeciwieństwo starszego brata, to władca-popychadło w rękę swoich i obcych, człowiek pozbawiony zarówno talentu, jak i ambicji, skłonny tylko do intryg i podstępnych okrucieństw, ociężały i schorowany.

Jego działania przeciwko Pomorzu stanowiły jedno pasmo nieudolności i niepowodzeń. Początkowo zajął je i przywrócił do łączności z państwem, ale nie potrafił dojść do ładu z mieszkańcami. Chcąc ich złamać, wydał dowódcom załóg tajny rozkaz, by w oznaczonym dniu i godzinie podpalili wszystkie miasta i grody.

Bezmyślne i nieludzkie zarządzenie wykonano. Dotychczas tylko kronika Galla s'wiadczyła, że się tak stało. Ostatnio jednak odnaleziono nowe dowody. Dostarczyły ich wykopaliska gdańskie. W głębi ziemi, w warstwie odpowiadającej schyłkowi XI stulecia, leżą zgliszcza drewnianych domów miejskich.

Nic to wszystko nie pomogło polityce Władysława Hermana. Ustanowionych przezeń wiekorządców Pomorzanie częścią wymordowali za nadużycia, uczciwszym pozwolili uciec. Odwetowe wyprawy księcia kończyły się źle. W czasie bezskutecznego oblegania Nakła - jesienią 1091 roku - wspomagane przez Czechów jego wojsko raz za razem ogarniał nocą popłoch.

Pomorze usamodzielniało się. Władztwo Hermana kończyło się na Noteci.

Miał on dwie żony, które zbiegiem okoliczności nosiły to samo imię Judyty. Zanim jednak zawarł pierwsze małżeństwo, miał już syna imieniem Zbigniew, zrodzonego „z nałożnicy”.

Judyta pierwsza była córką Wratysława czeskiego i ślub z nią umacniał w Polsce polityczne wpływy Pragi. Władysław Herman, który oczywiście ani marzył o koronacji, znowu zaczął płacić Czechom daninę ze Śląska. Istnieją domysły, że Wratysław dążył do całkowitego opanowania naszego kraju, że władał nawet Małopolską i Krakowem. W roku 1085 Henryk IV pozwolił mu ukoronować się na króla Czech i Polski. Biskup praski, będący jednocześnie kanclerzem Niemiec, zabiegał o poddanie swej władzy całej Polski południowej wraz ze stolicą oraz części zachodniej. Oddziały polskie musiały wspierać księcia czeskiego w jego walkach z Leopoldem austriackim.

Wydaje się, że Henryk IV zaczynał wtedy traktować nasz kraj jako pozostający w zależności drugiego stopnia, czyli podlegający posłusznym cesarstwu Czechom. Tak trzeba było płacić za wygnanie Bolesława Śmiałego i za pomoc, której cesarz i książę czeski udzielili jego wrogom.

20 sierpnia 1086 roku przyszedł na świat syn Władysława Hermana i Judyty czeskiej, Bolesław, któremu nadano później przydomek Krzywoustego. Matka zmarła w kilka miesięcy po połogu. Wolno przypuszczać, że troska o dobro tego spadkobiercy skłoniła Hermana do rozprawienia się z jego możliwym współzawodnikiem, Mieszkiem Bolesławowicem. W tym samym roku sprowadzono go z Węgier do Polski i wkrótce otruto.

Podanie głosi, że mały Bolesław z odrazą patrzył na hańbę rządów ojcowskich i wskutek tego nerwowo grymas wykrzywił mu usta. Nie można lekceważyć tej bajki, bo mieści się w niej słuszna ocena wydarzeń. Jeśli jednak chodzi o wyjaśnienie owego przydomka, to prawda wygląda, jak się zdaje, mniej górnio. Po prostu złośliwy wrzód jeszcze w dzieciństwie zniekształcił usta księcia.

Judyta druga - właściwie Judyta Maria — było rodzoną siostrą Henryka IV, a więc członkinią panującej w Niemczech dynastii salickiej, wdową po Salomonie, królu Węgier (którego, jako stronnika cesarza, Bolesław Śmiały uparcie zwalczał, popierając przeciw niemu kolejno: Belę I, Geję i św. Władysława). Z tego powodu dożyłotnio przysługiwał jej tytuł królowej.

Judyta salicka to osoba o bujnym temperamentem i nader swobodnych poglądach na sprawę wierności małżeńskiej. Słynęła z tego i na Węgrzech, i w Niemczech. Brat-cesarz wydał ją podobno za Władysława Hermana, bo miał dosyć skandali na własnym dworze. W Polsce faworytem jej był główny urzędnik krajowy, wszechwładny palatyn Sieciech z rodu Starzów, mężczyzna wspaniałej postaci, zdolny, energiczny, ambitny i nie przebiegający w środkach. Podejrzewano go o chęć zagarnięcia tronu. Faktem jest, że bił monety z własnym wizerunkiem i imieniem. Tworzył sobie stronnictwo, nadając

godności ludziom niskiego stanu, co musiało oburzać możnych. Polscy emigranci polityczni przebywali w tym czasie w rozmaitych krajach i stopniowo zaczęli skupiać się w Czechach.

Pierworodny syn Hermana, Zbigniew, przeznaczony do stanu duchownego i prawdopodobnie wyswięcony już na księdza, przebywał aż w Saksonii, w klasztorze żeńskim, może jako kapelan. Na pewno było to wymaganie polityczne. Godność przeoryszy owego klasztoru piastowała rodzona siostra królowej Judyty i dobrze pewnie pilnowała książęcego syna.

Na życie małego Krzywoustego knuł Sieciech zamachy. Razu pewnego, kiedy na łowach odważny dzieciak rzucił się na odyńca - jakiś nieznany rycerz próbował wyrwać mu z dłoni oszczep.

Zgromadzeni w Czechach wychodźcy postanowili działać. Zachęcał ich do tego Brzetysław, panujący w Pradze po Wratysławie. Opłaceni przez nich ludzie ukradkiem wydobyli Zbigniewa z klasztoru saskiego. Po jego stronie opowiedział się kasztelan wrocławski, Magnus, a wraz z nim magnaci, rycerstwo i pospólstwo miejskie, które o mały włos nie ukamienowało książęcego posłańca, działającego na korzyść Sieciecha. Uczestnicy buntu nie zamierzali występować przeciwko Władysławowi Hermanowi. Akcja ich godziła w zniechęconego palatyna.

Zbrojna wyprawa przeciw powstańcom nie miała powodzenia i Władysław Herman musiał uznać Zbigniewa za syna, przywracając go do praw. Jednakże następne uderzenie wojsk książęcych na Śląsk poszło lepiej. Zbigniew uciekł do Wielkopolski, gdzie ujęło się za nim liczne rycerstwo Kruszwicy. Nad Gopłem doszło do wielkiej bitwy między drużynami ojca a stronnikami syna. Zdecydowane zwycięstwo odniósł rodzic.

Tak wiele zas' rozlano tam krwi ludzkiej i taka masa trupów wpadła do przyległego grodowi jeziora - pisze Gall - że od owego czasu wzdrygai się każdy dobry chrześcijan jeść ryby z owej wody.

Przez kilka lat Sieciech więził Zbigniewa w swym zamku. Stary książę zapewnił pierworodnemu życie i... caios' członków. Za bunt groziła mu bowiem ta sama kara, która spotkała niedawno biskupa Stanisława.

W roku 1097 duchowne i świeckie możnowładztwo pod przewodnictwem arcybiskupa Marcina upomniało się o prawa więźnia. Władysław Herman musiał go uwolnić, a ponadto jeszcze wyznaczyć obu synom dzielnice. Zbigniew wziął Wielkopolskę z Kujawami, Krzywousty Małopolskę, Śląsk i ziemię lubuską. Dla siebie zatrzymał Herman umiłowane Mazowsze. Główny gród tej dzielnicy, Płock, był za jego czasów stolicą państwa.

Tak już w tym czasie zarysował się podział Polski między członków rodziny nującej. Dokonano go pod naciskiem możnowładztwa, niechętnego silnej lady centralnej. Duchownym i świeckim panom było wszystko jedno, w czym ręką ona się znajduje - Śmiałego, Władysława Hermana czy Sieciecha. Każdy był dla nich zły, jeśli tylko zanadto urósł w potęgę.. Książęta dzielnicowi osiągnąć jej nie mogli i dlatego właśnie możliwe rody wołały podział państwa od jego jedności.

Układ z 1097 r. nie zapewnił spokoju. Dalej trwały zatargi, których bohaterami byli ludzie tak bardzo różni. Stary, schorowany książę, niedołączny i słaby, z dziwnym uporem trzymający się kochanka własnej żony, Sieciecha, który właściwie tylko czekał na jego śmierć. Pierworodny - Zbigniew - zajadły, bezwzględny i pyszny, ale „dość prostoduszny i szczery”. I najwybitniejszy z nich wszystkich, dwunastoleni Bolesław, urodzony wódz i polityk, odważny jak mało kto, pobudliwy, dumny, okrutny i chytry.

Wśród czwórki wrogów dwaj - wyrostek z krzywą gębą i dybiący na jego życie wojewoda - to umysły i charaktery naprawdę niezwykle, zdolne do rządzenia państwem.

Za nimi wszystkimi dyskretnie schowana przez kronikarza w cień kobieta - siostra cesarza, wdowa po królu, małżonka księcia. Znikła z widowni bez śladu wtedy właśnie, kiedy Sieciech przegrał ostatnią stawkę, stracił władzę, znaczenie, a podobno i... oczy.

Wobec grożącego rzekomo napadu Czechów Władysław Herman wysłał przeciw nim Krzywoustego. Drużynę ze śląskiej dzielnicy sformował mu Sieciech, dobierając wyłącznie własnych zwolenników. Od udziału w wyprawie uchylił się rycerz Wojśław, wychowawca Bolesława i krewny palatyna. Już w drodze ktoś z najbliższych towarzyszy przestrzegł małego księcia, który nachmiał zawrócić, wysyłając gońców po Zbigniewa. We Wrocławiu

powołał najpierw co przedniejszych i starszych grodu, a następnie cały lud na wiec, i tam im po porządku opowiedział, Izy lejąc po chłopięcu, o zasadkach, jakie cierpiał od Sieciecha.

Walnie dopomógł mu Zbigniew, który jako „wyształcony i starszy” lepiej umiał przemówić do tłumu:

dobrze jest wiadome i obcym ludziom, i bliskim, że wyście wiele wycierpieli z powodu zdradzieckich spisków na wasze życie, knutych przez tych, którzy usiłują doszczętnie wygubić następstwo naszego rodu i dziedzictwo przyrodzonych panów rozgrabić przewrotnym sposobem

- wołał.

Na to całe pospólstwo Wrocławia, do głębi serca bólem wstrząśnione, przez chwilę zachowało ciszę, wnet jednak wybuchając wielkim głosem, powzięte w myśli postanowienie ujawniło jednomyślnie w sposób pełen gorącego umiłowania dla chłopców.

Wojsko młodych książąt spotkało się z drużynami ojca pod Żarnowcem nad Pilicą. Rozpoczęto układy. Władysław Herman uległ naciskowi i zgodził się porzucić Sieciecha, który uszedł do swego grodu nad Wisłą. Połączona armia ruszyła za nim. Pewnej nocy stary książę cichaczem, w przebraniu opuścił obóz. Wraz z trzema towarzyszami przepłynął czołnem rzekę i znowu połączył się z palatynem. Jakie tajemnicze więzy łączyły tych dwóch, raczej tych troje ludzi? W dalsze spory wdał się jako pośrednik arcybiskup Marcin. Ostatecznie Herman wygnał Sieciecha, który podobno później do kraju powrócił i został os'lepiony. Do dziś jest po nim pamiątka w postaci klasztoru w Sieciechowie nad Wisłą.

Władysław Herinan więcej już nie wyznaczał palatyna dla całej Polski i w ten sposób władza centralna u schyłku jego życia została wyraźnie osłabiona. Zresztą to samo działo się w os'ciennych państwach. Na Rusi na przykład nie utrzymała się jedność dziedzictwa Włodzimierza Wielkiego. Już około roku 1084 na Przemyślu, Dźwinogrodzie koło Lwowa i Trembowli zasiadła linia Rościslawowiczów (potomków księcia Rościslawa Włodzimierzowicza), wiodąca ustawiczne spory z książętami Kijowa i Wołynia. Rościslawowicze wadzili się i z Polską, sprzymierzali się przeciwko niej ze stepowym plemieniem Połowców, których zagon rozbił Krzywousty aż nad Wisłą.

Na korzyść Polski da się powiedzieć, że jedność państwa utrzymywała się u nas dłużej niż gdzie indziej. Kraj miał się jeszcze wspaniale podźwignąć ze słabości, w jaką popadł za rządów Władysława Hermana.

Niefortunny książę zmarł 4 czerwca 1102 r. Przez pięć dni arcybiskup odprawiał modły przy trumnie, czekając na przybycie synów, którzy jednak zamiast zająć się pogrzebem ojca wszczęli zajadły spór o skarb i insygnia władzy.

Władysława Hermana pochowano w katedrze płockiej, wzniesionej przez Bolesława Śmiałego.

II

Młodzi książęta podzielili kraj między siebie. Krzywousta włądała Małopolską, Sandomierszczyzną i Śląskiem, Zbigniew Wielkopolską, Kujawami i

Mazowszem. Starszego z nich popierało możnowładztwo, młodszego zaś rycerstwo, spragnione czynnej polityki dającej możliwość brania łupów i wybicia się-

Krzywousty nawrócił do tradycji najwybitniejszych przodków. Zawarł przymierze z Kolomanem węgierskim, „wykształconym w książkowej wiedzy ponad wszystkich królów współczesnych”, oraz z Rusią. W roku 1103 ożenił się ze Zbysławą, córką Świętopełka II, księcia Kijowa.

Rozpoczęła się długa seria wypraw wojennych Bolesława Krzywoustego, kierowanych przeważnie na Pomorze. Ponowne przyłączenie tego kraju stanowiło bowiem główny cel jego polityki. Były także uderzenia na Prusy. Energia i ruchliwość tego władcy przekraczają wszelkie wyobrażenie. Potrafił w przeciągu pięciu dni - podczas wojny, krajem moczarowatym i bezdrożnym - przerzucić konną armię spod Głogowa na samo wybrzeże i szóstego dnia uderzyć z nią na Kołobrzeg. Podczas tych pochodów powstała pieśń wojenna zanotowana przez Galla:

Naszym przodkom wystarczały ryby słone i cuchnące -
My po świeże przychodzimy, w oceanie pluskające!
Ojcom naszym wystarczało, jeśli grodów dobywali -
A nas burza nie odstrasza ni szum groźnej morskiej lali,
Nasi ojce na jelenia urządzali polowanie -
A my skarby i potwory towim, skryte w oceanie!

(przel. R. Gródecki)

Było w Krzywoustym coś z ducha wielkich awanturników i zdobywców. Późniejszy Cortez, który po wylądowaniu w Meksyku kazał spalić okręty, sam o tym nie wiedząc, szedł w jego ślady. Zapędziwszy się pod Kołobrzeg i ustawiwszy wojsko do ataku, miał Krzywousty przemówić doń w ten sposób: „z kraju pomocy nie będzie, nieprzyjaciel wokół, uciekać nie ma gdzie... za daleko - tylko w Bogu i w orężu nadzieja!”

W roku 1106 doszło do walki między przyrodnimi braćmi. Zbigniew nie tylko nie popierał zdobywczej polityki Krzywoustego, ale wręcz przeciwnie - sprzymierzał się z Czechami i tymi samymi Pomorzanami. Korzystając z ruskiej i węgierskiej pomocy, Bolesław rozprawił się z nim. Najpierw pozbawił go władzy nad Wielkopolską i pozostawił mu tylko Mazowsze, ale już jako zwykłe lenno rycerskie, nie zaś jako udzielne księstwo. Wkrótce potem wygnał go i z tej dzielnicy.

Jedność państwa została przywrócona. Należało ją jeszcze obronić.

Od spraw zachodniej Europy odeszliśmy w chwili śmierci Grzegorza VII na

wygnaniu w Saler.no. Przeciwnik jego, cesarz Henryk IV, niedługo cieszył się zwycięstwem. Odwrotnie - przegrał stawkę, utracił prymat nad papieżem, władztwo we Włoszech i doczekał się głębokiego rozprzężenia w samych Niemczech, a nawet niewoli u własnego syna, również Henryka. Przeżył taki triumf papieżstwa, jak pierwsza wyprawa krzyżowa i zdobycie przez nią Jerozolimy w roku 1099.

W jednej tylko sprawie Henryk IV zdecydowanie wygrał - w sprawie polskiej. Upadek Bolesława Śmiałego przyniósł Niemcom ogromne korzyści, poddał ich przemożnym wpływom kraj, który tyle dotychczas sprawiał kłopotów. Po małżeństwie Hermana z Judytą salicką „dwór polski i dwór niemiecki stały się odtąd jakby jednym domem”. Wschodnia flanka Niemiec była bezpieczna, wola cesarza sięgała aż po Bug.

W roku 1106 objął rządy Henryk V. Uległy papieżom dopóki był księciem, teraz nagle zmienił front. Zanosilo się na nowy okres walk. Chcąc do nich przystąpić, musiał przedtem cesarz zabezpieczyć sobie „drugi front”, czyli wschodnią granicę, za którą - jakes'my widzieli - wiele się zmieniło. - Kolomanowi węgierskiemu niezwykła uczoność wcale nie przeszkodziła w rządzeniu i osiągnięciu dużej potęgi. Krzywousty zaś wygnał współzawodnika, zjednoczył państwo i wykazywał niebezpieczną energię. Obaj władcy pozostawali ponadto w przymierzu.

We wrześniu 1108 r. Henryk V uderzył na Węgry. Pomagał mu „sroższy od tygrysa i dzikszys od lwa” Świętopełk czeski. Pretekstu dostarczyła sprawa brata królewskiego - Almusa - którego mądry, rozważny i bardzo bezwzględny Koloman wygnał z kraju. Wyprawa skończyła się niepowodzeniem. W roku następnym - 1109 - Niemcy rzucają się na Polskę pod pozorem ujęcia się za skrzywdzonym Zbigniewem.

Przed ruszeniem w pochód Henryk wysłał do Bolesława posłów. Domagał się podziału kraju między obu brat, rocznego haraczu oraz trzystu rycerzy. Przyjęcie tych warunków oznaczałoby uznanie zwierzchnictwa cesarskiego nad Polską. Odpowiedź Krzywoustego była krótka, całkowicie odmowna i kończyła się słowami: „Bacz zatem, komu grozisz: jeśli chcesz wojować, znajdziesz wojnę.”

Tak rozpoczęła się kampania, której sława zaćmić miała nawet wojenne triumfy Chrobrego. Pomimo że od jej czasów upłynęło lat osiemset pięćdziesiąt, nie trzeba nikomu w Polsce wyjaśniać pochodzenia nazwy Psie Pole pod Wrocławiem.

Było lato 1109 roku. Armia Henryka, któremu towarzyszyli Zbigniew i Świętopełk czeski, podeszła pod Bytom. Gród gotów był do obrony i nie dał się

askoczyć. Krzywousty nadciągnął z Pomorza, lecz nie uderzał. Strzegł tylko brodów na Odrze i czynił zasieki po lasach. 24 sierpnia cesarz przebył rzekę wpraw pod samym Głogowem, w miejscu przez nikogo nie oczekiwanym. I tu jednak zaskoczenie nie udało się. Niemcy zniszczyli tylko domostwa i szałas stojące po zewnętrznej stronie wałów i pochwytili sporo ludzi do niewoli.

Szturmy na wały Głogowa nie powiodły się, zostały odparte. Obrońcy nie zawahali się i wtedy, kiedy cesarz kazał przywiązać do machin oblężniczych wziętych poprzednio zakładników, a wśród nich syna dowódcy załogi (grodzianie musieli ich dać jako rękojmię, że wysła do Bolesława posłańców z zapytaniem o instrukcje; zakładnicy mieli być wypuszczeni bez względu na to, co odpowie książę. Krzywousty zapowiedział, że ukrzyżuje każdego, kto się podda).

Gall zostawił nam opis głównego szturm i z tej jego relacji możemy się sporo dowiedzieć o technice walk ówczesnych:

Niemcy nakręcali kusze ręczne, Polacy zaś maszyny i kuszami; Niemcy wypuszczali strzały, a Polacy strzały i inne pociski; Niemcy zataczali proce z kamieniami, a Polacy kamienie młyńskie i silnie zastrzone pale. Gdy Niemcy, zakryci przykrywkami z desek, usiłowali podejść pod mur, to Polacy sprawiali im łaźnię wrzącą wodą, zasypując płonącymi głowniami. Niemcy podprowadzali pod bramy żelazne tarany, Polacy zaś staczali na nich z góry kola, zbrojne stalowymi gwiazdami. Niemcy po wzniesionych drabinach pięli się pod górę, a Polacy, zaczepiając ich hakami żelaznymi, porywali ich w powietrze.

Odwrót cesarza spod Głogowa w kierunku Wrocławia stał się jego klęską i głęboko zdemoralizował wojsko niemieckie, które miało samo układać i śpiewać pies'ni na cześć polskiego księcia:

Bolesławie, Bolesławie, ty przestawny książę panie,
Ziemi swojej umiesz bronić wprost niezmordowanie!
Sam nie sypiasz i nam także snu nie dasz ni chwili,
Ani we dnie, ani w nocy, ni w rannej godzinie!

(przel. R. Gródecki)

Oddziały polskie napadały ze wszystkich stron. Toż samo czyniło „zawzięte chłopstwo”. Do tego doszło, że żołnierze niemieccy bali się wychodzić poza linię czat - nawet dla załatwienia naturalnej potrzeby.

Straty były duże. Codziennie

ginęło tam niemało szlachetnych mężów, których po wypruciu wnętrzości nadziewano solą i aromatami, składając na wozach, na których miał je wysłać cesarz do Bawarii lub Saksonii jako jedyny haracz Polski!

Krzywousty wynios'le odrzucił ponowne, znacznie skromniejsze warunki Henryka, żądającego już tylko okupu. Godnie zamknął kampanię zwycięstwem w pobliżu Wrocławia, po którym psy rozwlóczyły po pobojowisku ciała poległych nieprzyjaciół.

W czasie ostatecznego odwrotu wojsk cesarskich zginął Świętopełk czeski, przebity oszczepem przez kogoś ze swoich.

Jeszcze tej samej jesieni i na początku zimy dokonał Bolesław odwetowego wypadu na Czechy oraz najazdu na Pomorze, gdzie zdobył i spalił trzy grody.

Odnosząc te zwycięstwa miał Krzywousty dwadzieścia trzy lata.

Spory i walki ze Zbigniewem trwały nadal. Zaraz po Bożym Narodzeniu 1112 r. lub na początku następnego Krzywousty wezwał go do powrotu, obiecując przebaczenie oraz nadanie kilku grodów. Wygnaniec zgodził się, ale - „za podszeptem ludzi głupich” - zachował się wyzywająco. Poleciał niesie przed sobą goły miecz - który to zaszczyt przysługiwał tylko panującym - wkroczył przy dźwiękach kapeli. W trzy dni później Bolesław kazał go osłepić. Oprawcy dokonali egzekucji tak okrutnie, że jej Zbigniew nie przeżył.

W tym samym 1113 r. uczoney Koloman węgierski sprowadził z wygnania brata swego Almusa i też kazał wydrzeć mu oczy.

Krzywousty odprawił surową pokutę kościelną. Odosobnił się od ludzi, poszedł, przywdział włosienicę, pielgrzymował do klasztoru św. Idziego na Węgrzech, boszo szedł do Gniezna, do grobu św. Wojciecha. Wątpić jednak wolno, czy naprawdę sprawiły to wyrzuty sumienia. Skazanie i śmierć Zbigniewa musiały rozjrzeć sprzyjających mu możnych, szczególnie duchownych. Nie jest wykluczone, że spadła na Bolesława klątwa. Książę upokorzył się, pokutował, dał kościołom bogate dary, poszedł - słowem - do polskiej Canossy... i uniknął losu stryja, króla Bolesława Śmiałego.

Zwycięstwo nad cesarzem rozwiązało Bolesławowi ręce. Stosunki z Czechami polepszyły się, i to w sposób pomyslny dla Polski, która ostatecznie przestała płacić trybut ze Śląska. Teraz Krzywousty mógł poświęcić wszystkie siły głównemu celowi swojej polityki, to znaczy sprawie odzyskania Pomorza. Społeczeństwo udzielało mu poparcia. Zamiar ponownego opanowania wybrzeża zasadniczo odpowiadał interesom kraju, a ponadto jeszcze łupieżcze wyprawy Pomorzan dawały się wszystkim we znaki i nadojadły. Bywały niszczące i tak nagłe, że razu pewnego sam arcybiskup Marcin, zaskoczony w kościele w Spicymierzu, nie bacząc na sędziwy wiek, musiał się wdrapać na strych, stamtąd na wieżę świątyni, utaić za krokiewmi i drzeć ze strachu, bo budynek był drewniany.

Nie mamy zbyt dokładnych wiadomości o drugim okresie walk o Pomorze bo kronika Galla urywa się - niestety - na roku 1113.

Najpierw zdobył Krzywousty linię grodów leżących nad Notecią i wcielił je do swego państwa. Ten sam los spotkał Pomorze Gdańskie, które ponownie stało się zwykłą częścią składową Polski.

Gdańsk odbudował się po pożarze wnieconym z rozkazu Władysława Hermana. Znowu ulice pokryły się świeżymi dranicami. Stanęły przy nich domy o takich samych jak dawniej wysokich progach. Zmienił się jednak charakter zaludnienia właściwego miasta. O ile przedtem zamieszkiwała je ludność wolna, o tyle teraz osadzono w nim zależną, taką, która musiała słuchać rozkazów kasztelana książęcego i pracować na potrzeby grodu. Rybacy używali ogromnych niewodów, a charakterystyczne znaki na pławikach świadczą, że zorganizowani byli w stale zespoły, maszoperie. Odbywano wielkie łowy na dzikiego zwierza, przy czym część zdobyczy szła na wyżywienie ludności miasta. Dawni wolni gdańszczanie ubierali się szaro, ci natomiast, których osadzono w czasach Krzywoustego, stroili się w kolorowe pasiaki.

Naokół wałów miasta właściwego, na podgrodziach, siedzieli wolni rzemieślnicy. Każdy zawód miał osobną dzielnicę. Na przykład przy zbiegu dziesięjszych ulic Podwała Staromiejskiego oraz Igielniczej żyli garbarze i szewcy. Pod fundamentami Domu Marynarza leży pamiątka po ich warsztatach - gruby na całe metry pokład okrawków skóry, między którymi znaleźć też można piękne okazy gotowych butów.

Pomorze Wschodnie wcielone więc zostało bezpośrednio do Polski. Inny był los Pomorza Zachodniego. Krzywousty zmusił tamtejszego księcia, Świętopełka, do uznania swego zwierzchnictwa. Ugoda nie trwała długo. Zerwanie jej zakończyło się bitwą pod Szczecinem, zajęciem go i śmiercią samego Świętopełka. Syn jego i następca - Wacław I - uznał się za lennika Polski, zobowiązał do płacenia trybutu, dawania posiłków na wyprawy wojenne oraz do przyjęcia chrześcijaństwa.

Pogaństwo trwało bowiem na Pomorzu w najlepsze. W samym Szczecinie - prawdopodobnie tam, gdzie później wzniesiono zamek - stała sławna świątynia Trzygława. Pokrywały ją malowidła odporne na wilgoć i budzące podziw u obcych. Przy świątyni trzymali kapłani karego rumaka, który służył do wróżb.

W jamach wykopanych przez archeologów znaleziono warstwę spalenizny pochodząca z początków XII stulecia. Bitwa pod Szczecinem i zajęcie go przez

Krzywoustego odbyły się w roku 1121. Świątynia Trzygława niedługo przeżyła tę datę. Głowy bożyszcza odesłali misjonarze papieżowi.

W wykopaliskach szczecińskich odnaleziono mnóstwo skorup orzecha laskowego. I dziwna rzecz - żadna z nich nie była zgnieciona, wszystkie natomiast nosiły ślady ostrożnego otwierania nożem. Odkrycie to nadało pełne znaczenie krótkiej notatce kronikarza, który twierdził, iż w Szczecinie otaczano czcią „s'więty” krzak leszczyny. Widocznie orzechy szły na ofiary dla bóstw i nie wolno było niszczyć skorup. - Jeszcze raz się okazało, że nie wolno lekceważyć żadnego podania ani „bajki” odnotowanej w starych foliach, bo każda z nich może wypływać z jakiejś jeszcze nie zbadanej prawdy.

Uparte trwanie Pomorza przy pogaństwie oraz zjadłe dążenie tej dzielnicy do utrzymania odrębności można prosto wytłumaczyć. Pomorzanie byli plemieniem słowiańskim, ale warunki ich bytu różniły się od tych, jakie panowały na gospodarczym zapleczu, czyli w Polsce. Żyli przecież z morza. Handel i wyprawy korsarskie stanowiły źródło bogactw. W związku z tym ustrój polityczny i społeczny był tu inny. Książę nie posiadał silnej władzy. Nie mieli też znaczenia feudalni wielmoże - wielcy właściciele ziemscy. Warstwą najpotężniejszą była na Pomorzu kupiecka szlachta osiadła w miastach-republikach. Zaliczały się do nich nie tylko Szczecin, Wolin i Kołobrzeg, lecz także grody pomniejszych - Dymin, Uznam, Ołogoszcz, Pyrzyce i inne. Stanowienie praw i decyzje polityczne należały do rady starszych oraz - w znacznie mniejszym stopniu - do wiecu mieszkańców danego miasta. Kult pogański zrosł się z tymi porządkami, sankcjonował je, a ponadto jeszcze związany był z samym morzem. Nie bez racji biskup kołobrzesci Reinbern wrzucał w wodę kamienie naznaczone krzyżem. Widocznie stara wiara, którą zwalczał, uznawała morze za siedzibę bóstw (biskupstwo kołobrzesckie przestało istnieć już za Chrobrego).

Nic dziwnego, że mieszkańcy pomorskich miast-republik bronili się przed włączeniem ich do polskiej monarchii i przed zaprowadzeniem chrześcijaństwa. Nie świadczy to jednak wcale, że Pomorzanie różnili się od reszty kraju pochodzeniem plemiennym czy „rasowym”. Ich rachuby polityczne były zresztą całkowicie mylne, a walki o odrębność beznadziejne, gdyż tylko Polska mogła im zapewnić prawo do życia i obronić przed wynarodowieniem. Prawda ta miała się odsłonić bardzo rychło.

Pierwszą misję chrześcijańską wysłaną przez Krzywoustego na Pomorze prowadził biskup Bernard - z pochodzenia Hiszpan - który zastosował się do ewangelicznych nakazów ubóstwa. Szedł w skromnych szatach i z kilku zaledwie towarzyszami. Bogaci mieszcianie pomorscy wykpiłi go.

Wobec tego następna misja błyszczała bogactwem. Na czele jej stał Otto - biskup bamberski. Był on Niemcem, wszyscy pozostali Polakami. Wybór Ottona podyktowały względy polityczne. Chodziło o to, by nie drażnić zainteresowanych potęg. Do krajów położonych na lewym brzegu Odry zgłaszał pretensje cesarz niemiecki, Henryk V.

Godność kapelana misji piastował Polak, Wojciech, zaufany Krzywoustego i w przyszłości „pierwszy biskup Pomorzan”. Silną eskortą zbrojną dowodził kasztelan santocki Pawlik.

Pomorzanie stawiali opór. Dowodzą tego chociażby przygody, jakich doświadczył Otto w Wolinie, gdzie przyjęto go wrogo, jako burzyciela starych praw, zabraniających publicznego wyznawania chrześcijaństwa. Wyparty z domu księcia Warcisława, pobity grubą gałęzią musiał biskup uchodzić w nocy przez most na prawy brzeg Dziwny. Ostatecznie Wolin zdał się na sąd Szczecina - „matki miast” - i przyjął chrześcijaństwo.

Druga misja Ottona, podjęta w roku 1128, była wypadkiem mniej dla Polski pomyslnym, ponieważ wpływ na nią wywierał również król niemiecki - i wkrótce cesarz - Lotar III. Zbrojna wyprawa Krzywoustego w roku 1129 utrzymała księcia Warcisława w zależności i zapewniła Polsce zwierzchnictwo nad Pomorzem Zachodnim.

U schyłku rządów napotkał Bolesław III duże trudności i doznał niepowodzeń. Najpierw musiał się uporać z odnawiającą się opozycją możnowładztwa. Jeszcze w roku 1117 skazał na oślepienie wojewodę Skarbimira z rodu Awdańców. Wypadek znamieny, bo rycerz ten był niegdyś wychowawcą księcia, bardzo się odznaczył w rozmaitych wojnach i stracił na polu bitwy oko. Teraz wyrok książęcy pozbawił go drugiego.

W roku 1132 nie udała się Bolesławowi wyprawa na Węgry, zmierzająca do poparcia przychylnego Polsce kandydata na tron. W odwecie w przeciągu trzech kolejnych lat spadały na Polskę najazdy czeskie. Jeden z ruskich Rościszlawowiczów zdobył Wiślicę. Najgorsza rzecz zdarzyła się jednak w roku 1133, kiedy papież Innocenty II postanowił podporządkować wszystkie biskupstwa polskie Magdeburgowi.

Bullę w tej sprawie ogłoszono w dniu koronacji Lotara III na cesarza, co dowodzi zdecydowanego poparcia Rzymu dla polityki niemieckiej na wschodzie.

Wszystko to skłoniło Krzywoustego do ustępstw, mających na celu ratowanie rzeczy najważniejszych. W roku 1135 książę polski stanął przed cesarzem na zjeździe w Merseburgu. Został przyjęty z honorami należnymi

suwerennemu władcy, ale musiał złożyć Lotarowi hołd z Pomorza Zachodniego oraz z wyspy Rugii (której zresztą nie posiadał).

W roku 1136 Innocenty II znowu wydał bullę dotyczącą spraw polskich i zawierającą mnóstwo cennych wiadomości o niej - nawet nazwiska chłopów < osiadłych we wsiach biskupich. Nie było już w niej mowy o podporządkowaniu Polski niemieckiemu zwierzchnictwu kos'cielnemu. Głęboki manewr poli- » tyczny Krzywoustego udał się i tak niesłuchanie ważna niezawisłość polskiej) organizacji kos'cielnej ocalała.

Pomorze powróciło do Polski, chociaż nad zachodnią jego częścią rozciągało się pośrednie zwierzchnictwo cesarza niemieckiego.

Po zjeździe merseburskim Bolesław Krzywousty żył i panował jeszcze przez trzy lata. Ostatnim jego dziełem jest głos'ny testament, który jakże często i niesłusznie służy za podstawę do zarzutów przeciwko temu wybitnemu monarsze.

Miał on pięciu synów: Władysława, Bolesława o przydomku Kędzierzawy, j Mieszka zwanego Starym, Henryka oraz Kazimierza - późniejszego Sprawiedliwego - który przypuszczalnie był pogrobowcem, czyli przyszedł na świat po śmierci ojca.

Statut Bolesława Krzywoustego przewidywał, że każdy z czterech synów otrzyma dzielnicę dziedziczną w jego rodzie. Władysławowi przypadł Śląsk, Bolesławowi Mazowsze ze wschodnią częścią Kujaw, Mieszkowi - Wielkopolska z Poznaniem, Henrykowi - ziemia sandomierska. Oprócz tego wyznaczył Krzywousty dzielnicę, która nie miała być dziedziczna, lecz winna była przypadać zawsze najstarszemu księciu w całym rodzie Piastów, czyli seniorowi.

Dzielnica senioralna obejmowała: całe Pomorze, zachodnią część Kujaw i wschodnią Wielkopolskę z Kaliszem i Gniezmem, ziemię łeczycko-sieradzką i krakowską z samym Krakowem. Spójrzmy na mapę, by się przekonać, że dzielnica senioralna to pas ziemi obejmujący całą północ kraju i ciągnący się nieprzerwanie przez sam jego środek aż do Karpat. To wszystko miał zawsze posiadać najstarszy z Piastów, któremu w stosunku do pozostałych krewnych przypadały prawa księcia zwierzchniego. Dzielnicy senioralnej nie wolno było rozdrabniać.

Pierwszym księciem zwierzchnim miał być pierworodny syn Krzywoustego, Władysław, dziedziczny pan Śląska.

Zarzucano Krzywoustemu, że nie zdołał utrzymać jedności państwa i podzielił je swym testamentem, co później doprowadziło do prawdziwego rozproszkowania Polski, do jej slabos'ci i wielu klęsk. Prawda wygląda inaczej.

Testament Krzywoustego - spisany i przedstawiony papieżowi do zatwierdzenia! - to dowód wysiłku potężnego umysłu, który przewidywał przyszłość dności • ^{star}al się organizacyjnie zapobiec powikłaniom aż nazbyt dobrze znanym z doświadczenia. Twórca tego testamentu pamiętał, że Chrobry musiał walczyć z synami Ody, Mieszko II z Bezprymem i Ottonem, Śmiały z Władysławem Hermanem, a on sam - Krzywousty - ze Zbigniewem. Dlatego zawczasu wyznaczał legalny porządek dziedziczenia i sposób zachowania jedności państwa, którą to jedność zapewnić miała przemożna pozycja księcia zwierzchniego, seniora.

Trzeba uznać wielkość politycznego talentu Krzywoustego widoczną w całym jego panowaniu i w myśli przewodniej testamentu. Cel jego nie został osiągnięty, ale nie wolno tego przypisywać ani pomyłce Bolesława, ani jakimś warcholskim skłonnościami ówczesnych Polaków. Podziały państw i rozdrabnianie ich na niezliczone księstwa, hrabstwa, biskupstwa itp. to tendencja z nieprzpartą siłą występująca w całej średniowiecznej Europie - od Hiszpanii aż po Ruś - i w owych czasach najzupełniej naturalna. Ubóstwo środków komunikacyjnych, słabe związki gospodarcze między poszczególnymi regionami nie sprzyjały powstawaniu większych organizmów politycznych. Zjawiskiem normalnym był kraik mały, luźno lub nawet czysto teoretycznie podporządkowany stolicy. Taki stan rzeczy był zgodny z interesami możnowładztwa, które wszędzie wówczas było wrogiem silnej władzy monarszej.

Jak ognia należy się wystrzegać mierzenia średniowiecza dzisiejszą skalą. Dążenia ludzi ówczesnych do utrzymania odrębności regionalnych nie zasługują na bezwzględne potępienie. Państwa narodowe, nowoczesne, wyrosły z pogodzenia tendencji zjednoczeniowych z patriotyzmami lokalnymi. Ojczyzna powstała ze zrośnięcia się wielu ojcowizn. To wymagało mnóstwa trudu, a zwłaszcza czasu.

Można i należy szanować Piastów za ich zwycięstwa w wojnach. Ale co najbardziej podziwu godne, to ich wytrwale i częstokroć wieńczone sukcesami dążenia do zapewnienia Polsce jedności państwowej.

Bolesław Krzywousty umarł 28 października 1138 r. Pochowano go w katedrze płockiej, obok ojca.

WYBÓR DROGI

Trzeba wątpić, czy śmierć Krzywoustego - który według późniejszej wieści zmarł w Sochaczewie - od razu wydała się współczesnym datą graniczną. Dopiero przyszłość miała uznać, że rok 1138 oddziela niejako dzieje Polski względnie jednolitej od okresu rozbitcia dzielnicowego. Wolno jednak pójść za tradycją, która tak bardzo wyróżniła ową datę, zatrzymać na chwilę tok opowiadania o wypadkach politycznych oraz przygodach rozmaitych osób i zająć się zjawiskami innej natury.

Polska przekroczyła trudny próg, przetrwała próby, na zawsze zajęła określone miejsce wśród państw Europy chrześcijańskiej. W ten sposób wolno chyba określić zasadniczy dorobek epoki, zamkniętej dniem zgonu Bolesława III. Fakty wspierają to twierdzenie, ilustrują je nawet w sposób efektowny, jaskrawy.

Wydana u schyłku 1964 roku praca Władysława Dziewulskiego o *Postępkach chrystianizacji i procesie likwidacji pogaństwa w Polsce wczesnofeudalnej* zawiera najświeższe poglądy nauki na wspomniany w jej tytule temat. Autor nie poprzestaje na obszernym omówieniu dopiero co i w tej książce opisanego buntu pogan po zgonie Mieszka II, które to poruszenie uznaje za znacznie bardziej poważne od analogicznych zjawisk w Czechach i na Rusi. Dając wiary zwięzłej notatce kronikarskiej przekonująco dowodzi, że podobny, aczkolwiek na pewno mniejszy zryw wyznawców starej wiary widziała Polska również w roku 1022, za Chrobrego, już po zwycięstwie nad Niemcami, czyli w dniach swej chwały!

I Mieszko I, i Bolesław Wielki postępowali wobec pogaństwa oględnie, nie prowokowali, nie jątrzyli uczuć tradycjonalistycznie usposobionego odłamu poddanych. Dopiero koronacja równała się wypowiedzeniu wojny na śmierć i życie.

Według chrześcijańskiej koncepcji ustrojowej - pisze Władysław Dziewulski - królowie chrześcijańscy tworzyli wspólnie z biskupami Państwo Boże, występowali w charakterze aposto-

• reprezentantów Boga na ziemi. Ich zadaniem było doprowadzenie ludów, choćby przemocą, do wspólnoty chrześcijańskiej. W konsekwencji koronacja Chrobrego podkreśliła jeszcze raz ierozerwalny związek panującego z religią chrześcijańską i ciążyący na nim obowiązek całkowitego wyćpienia³ pogaństwa. Otrzymanie korony z rąk głowy hierarchii kościelnej - metropolity gnieźnieńskiego - miało wymowę niedwuznaczną, stanowiąc wyzwanie rzucone pod adresem mas pogańskich.

W trzynastu lat po koronacji-wyzwaniu przyszła odpowiedź w postaci „buntu pogańskiego”.

Próg istniał, przekroczenie go należało do zadań koniecznych, lecz bardzo poważnych. Pomimo to wolno autorowi niniejszej książki podtrzymywać twierdzenie wysunięte w *Mysłach o dawnej Polsce*. Państwo przekroczyło historyczną granicę, doznało metamorfozy, nie przestając być sobą. Doznało bolesnych wstrząsów, które w niczym jednak nie przypominały trzęsienia ziemi. Zadanie zostało rozwiązane w sposób nie tylko pomyślny, lecz także nie najbardziej bolesny.

Od chwili chrztu do zgonu Krzywoustego upłynęły sto siedemdziesiąt dwa lata. Kiedy Bolesław III żegnał się ze światem, pożółkł już trochę pergamin zaginionego, niestety, oryginału pierwszego dzieła literackiego, napisanego w Polsce, dotyczącego jej spraw, dziejów, a może jeszcze bardziej - przyszłości. Książka, o której mowa, powstała przecież gdzieś przed rokiem 1115. Półtora wieku wystarczyło więc, by kraj dojrzał do roli areny wystąpień pisarza i myśliciela, reprezentującego najbardziej nowoczesne prądy w chrześcijaństwie zachodnim. Sto pięćdziesiąt lat to w danych okolicznościach i dla danych spraw nie taki znowu długi okres.

Mowa była o kronice bezimiennego autora, zwanego tradycyjnie Gallem lub Anonimem.

Trzej kronikarze odwołali już całkowicie mylnie twierdzenie poprzednich wydań *Polski Piastów* przypisujące temu człowiekowi węgierskie lub południowosłowiańskie pochodzenie. Czas był najwyższy wycofać się z fałszywych ścieżek! Pierwszy w 1965 roku numer „Przeglądu Historycznego” przyniósł rewelacyjną rozprawę Danuty Borawskiej, która dopatruje się w naszym Anonimie wygnanego z ojczyzny Wenecjanina, przypuszcza nawet, że tajemniczym pisarzem był biskup krakowski, Maur, zmarły w roku 1118 i pogrzebany na Wawelu. Śmiała próba rozwiązania zagadki od razu zrodziła nową: czemuż Maur-kronikarz umieścił Maura-biskupa wśród osób, którym dedykował swe dzieło?

Słowa te pisane są w sierpniu 1965 roku, na dyskusję uczonych trzeba jeszcze poczekać.

Maur czy kto inny, Wenecjanin, Francuz czy Flandryczyk - na pewno przybyszem z Zachodu był tajemniczy osobnik, który o sobie samym powiedział tylko: „...ja, pielgrzym między wami i wygnaniec”. Nikt w ogóle nie wątpi, że należał do stanu duchownego.

Badacze współcześni nie podzielają przypuszczeń swych sławnych poprzedników, Tadeusza Wojciechowskiego i Romana Gródeckiego. Twierdzą, że Anonim zjawił się w Polsce późno, dopiero za Krzywoustego, może nawet po zakończeniu wojny z Niemcami. Dowodów rozstrzygających brak, wolno więc nie kwapić się z porzucaniem starych poglądów, za którymi wiele rzeczy przemawia. Obaj wspomniani uczeni głosili, że Gall był na Węgrzech wychowawcą królewicza Mieszka Bolesławowica, z nim razem przyjechał w roku 1086 nad Wisłę, patrzył na tragiczną śmierć chłopca i na jego pogrzeb. Jeśli tak było, miał wiele czasu na zapoznanie się z Polską, na zżycie się z nią. Kronika, którą nam w spadku pozostawił, zdradzać się zdaje wyraźne ślady obu tych procesów, umysłowego i moralnego. Polska nie była swemu najwcześniejszemu historiografowi obojętna. On miał dla niej serce, czuł jej sprawę. I znał ją dobrze, może nawet jej język. Wcale nie dziwne, że zostawił nam łaciński przekład cytowanej powyżej w polskim tłumaczeniu piosenki, śpiewanej w roku 1109 przez pokonanych żołnierzy niemieckich. Jej treść miała wymowę polityczną. Ale inna, wcześniejsza, wyrażała tylko uczucia wojów Krzywoustego, zdobywców Wybrzeża:

Naszym przodkom wystarczały ryby słone i cuchnące -
My po świeże przychodzimy, w oceanie pluskające!
Ojcom naszym wystarczało, jeśli grodów dobywali -
A nas burza nie odstrasza ni szum groźnej morskiej fali.

Na to wygląda, że kronikarz nie tylko opisywał dzieje Polski, lecz podzielał także uniesienia ich autorów.

W całej swej książce nie podał Anonim ani jednej daty rocznej, Krzywoustego wychwalał ponad miarę, rozmaite jego mowy układał dokładnie na wzór oracji Rzymian starożytnych. Ale nikt go dotychczas nie przyłapał na kłamsctwie. Ostrożne zdania, poświęcone sprawie zatargu króla Śmiałego z biskupem Stanisławem, uznać wolno za moralną legitymację pisarza, który stroni od fałszerstw wtedy nawet, kiedy względy polityczne nie pozwalają na powiedzenie pełnej prawdy.

Gall pisał po łacinie, prozą rymowaną i rytmiczną. Najnowsze badania wykryły rzecz niezwykłą. Ten sposób wypowiedzania się wtedy właśnie wchodził w użycie na dworze papieskim -i w całej Europie nie ma pisarza, o którym

można by było twierdzić na pewno, że wyprzedził naszego Anonima. Nigdy się ^{pe_w} nie dowiemy, gdzie - w którym mieście i szkole - nauczył się on sztuki pisarskiej. Pozostaje za to faktem, że pierwsza książka, napisana w Polsce przez cudzoziemca, o jej sprawach opowiadająca wszystkim umiejącym po łacinie, zaliczała się do europejskiej awangardy literackiej.

Na tym się jednak nowatorstwo Gallowe wcale nie kończy.

Wszystkie rozdziały i zdania dotyczące Rusi tchną głęboką niechęcią, jeśli nie odrazą nawet, lecz do wypraw orężnych na wschód wcale nie nawołują. Zatargi polsko-niemieckie stuszował za to nasz dziejopisarz do granic możliwości, pomijał to, co po obu stronach granicy mogło ożywiać złe wspomnienia, jątrzyć i utrwalać wzajemną niechęć. Wojnę z roku 1109 zaliczył wprost do grzechów, wyraźnie bolał nad tym, że cesarz Henryk V tak szkodliwe przedsięwzięcie sprowokował i rozpoczął, przeszkadzając przez to Krzywoustemu w działaniach przeciwko pogańskim Pomorzanom.

Anonim należał więc do ludzi głoszących jedność zachodniego chrześcijaństwa, które rzuconymi w roku 1054 kłótniami legatów papieskich odgradziło się od Bizancjum i ludów kulturalnie oraz wyznaniowo mu podległych, a w roku 1096 wysłało tłumy swego rycerstwa do Palestyny, na pierwszą krucjatę. Naszą najwcześniejszą kronikę pisał człowiek żyjący w początkowej, najbardziej żarliwej dobie wypraw krzyżowych. Zapominając o tej okoliczności nie pojmiemy treści bezimiennnej książki. Takie jak ona utwory my dziś zaliczamy nie do dziejopisarstwa wcale, lecz do publicystyki historycznej.

Gall pragnął pokazać zachodniemu, łacińskiemu światu, że Polska Piastów przynależy doń duszą i ciałem. Przywiązana do idei własnej niezawisłości, gotowa bronić jej aż do ostatka, wcześniej - za Chrobrego - zawarła szczery sojusz ze świętym cesarstwem, a w chwili obecnej - za Krzywoustego - prowadzi nieustępliwą walkę z północnym, to znaczy pomorskim pogaństwem. Na swój sposób w wyprawach krzyżowych uczestniczy.

Wiele stron poświęcił bezimienny mnich opisom walk Polaków z Pomorzanami, lecz ani jednego zdania sprawie przyszłej przynależności politycznej ich kraju. Nad Bałtykiem winien zatryumfować krzyż! - to jedno hasło interesuje naszego pisarza-ideologa.

Wolno więc uznać, że kronika Anonima godnie przypieczętowuje półtora wieku trwający rozdział dziejów, podczas którego Polska Piastów dokonała zdecydowanego wyboru, na dobre się przyłączyła do zachodniego, łacińskiego chrześcijaństwa. Nie zapomnijmy jednak czasem o jej położeniu na samiułetnich krancach-peryferiach świata katolickiego. Zastrzeżenie niezbędne dla

podparcia tezy, że w danych okolicznościach sto pięćdziesiąt lat nie było okresem zbyt długim.

Wkrótce po zgonie Krzywoustego biskup krakowski, Mateusz, wysłał do św. Bernarda z Clairveaux list, w którym pisał o potrzebie zwalczania błędnych wierzeń „bezbożnych Rusinów”, lecz informował ponadto, że istnieją liczne rzesze Słowian, którzy nie przyłączyli się ani do greckiego, ani do łacińskiego wyznania i chwalą Boga chrześcijan na swój sposób. Biskup pisał o utrzymującym się wówczas przy życiu obrządku słowiańskim.

Polska piastowska miała więc rzeczywiście możliwość wyboru. Ten, którego dokonała, bywał częstokroć mocno krytykowany. Zwłaszcza obrządek słowiański wzbudza tęsknoty, płynące z przeświadczenia, że przyjęcie go zapewniłoby nam obfitsze łaski historii.

W rozdziale traktującym o kulturze wolno zwięźle potraktować motyw polityczny. Przyjęcie wyznania panującego w Niemczech świadczy o rozumie tych, co rozstrzygali. Cesarstwo utraciło oręż ideologiczny, zanim się z państwem Mieszka zetkną i zetrzeć zdążyło.

Hierarchia kulturalna ówczesnego świata da się określić zupełnie ściśle. Najwyżej stały kraje mahometariskich Arabów. Godny wielkiego szacunku poziom reprezentowało Bizancjum. W porównaniu z nim Zachód Europy w wieku X wcale dokonania nie błyszczał. Poważni uczeni nie wahają się mianować go biednym kopciuszkim. Mieszko I umieścił swych poddanych w towarzystwie dobrze dobranym, właściwym. Na pewno prymitywniejsi i mniej oświeceni od wschodnich Niemców, zbytnio jednak ówczesni Polacy od nich się nie różnili. A zwłaszcza już obyczajem!

My dzisiaj jasno zdajemy sobie sprawę, że rok 966, nie będąc świtem naszej historii, rozpoczął zupełnie nowy jej rozdział. Lecz ci, co posłuszni rozkazowi księcia chrzest od razu przyjęli, nie odnieśli chyba wrażenia, że przesadzają przepaść. Granice epok dziejowych tylko w podręcznikach zawsze wyglądają jaskrawo. Jeśli nie wykreśla ich katastrofa, praktyka dnia powszedniego nie doznaje odmiany i ludzie gładko biorą zakręty. Szczególnie zaś wtedy, kiedy to, co jest po drugiej stronie, to nowe i dotychczas obce, nie tylko zbytnio nie razi, lecz na odwrót, zdecydowanie zalatuje czymś dobrze znanym.

Biorąc z grubsza - i powtarzając za Jerzym Kłoczowskim, który o tym pisał ostatnio w znakomitej książce o *Wspólnotach chrześcijańskich* - ludzie Zachodu dzielili się wówczas na trzy kategorie: intelektualistów, to znaczy duchowieństwo, wojowników i lud. Tej pierwszej grupy w państwie Mieszka w ogóle brakowało, a tylko jej członkowie byliby zdolni do oceny

- „ty nowości, przynoszonych przez chrześcijaństwo. Dla pozostałych, dla «rojów i ludu, decydującą rolę grać musiał obyczaj głosicieli nowej wiary.

Czytajmy uważnie kronikę Niemca, biskupa Thietmara, której ostatnie zdania napisane zostały u schyłku roku 1018. Nowy przekład, dokonany w r. 1953 przez Mariana Zygmunta Jedlickiego, ułatwi lekturę.

Cóż za barbarzyńcą był człowiek biegle znający łacinę, zdolny do napisania literacko cennej i arcyciekawej książki, dostojnik stojący blisko samej osoby cesarskiej! Ten biskup zwalcza bożki pogańskie, lecz o ich realnym istnieniu zdaje się wcale nie wątpić. Magii od religii odróżnić zupełnie nie potrafi. Moralnie aprobejuje i zatwierdza całe okrucieństwo porządków, panujących w imperium Ottona Wielkiego,

Thietmar należał do elity ówczesnych „intelektualistów”. Czytał, co wtedy do przeczytania było, i sam pisał. Inni biskupi - a więc, formalnie rzecz biorąc, również członkowie tej samej grupy ludzi oświeconych - po pióro nie sięgali, nad podziw sprawnie władali za to orężem.

Ci, którzy przybyli do Polski w celu głoszenia nowej wiary, na pewno stali niżej od Thietmara pod względem umysłowym. Żaden nie zostawił nam w spadku grubej księgi własnego autorstwa. Świeżo ochrzczeni Polanie nie mogli się czuć zbyt obco w ich obliczu i towarzystwie. Najgorsze bestialstwa zyskiwały poklask owych kapłanów, jeżeli służyły utwierdzeniu porządku chrześcijańskiego.

Z dużą dozą prawdopodobieństwa wolno przypuścić, że nie tylko czescy, ale także niemieccy duchowni, nawet księżniczki germańskie poślubiające Piastów, że wszyscy słowem ci przybysze nie zostali nazbyt zdegradowani faktem wyjazdu na stałe do Polski.

Stara legenda głosi, że Bolesław Chrobry ujrzał światło dzienne na Ostrowie Jeziora Lednickiego w Wielkopolsce. Najpóźniej na przełomie X i XI stulecia stanął tam kamienny kościół chrześcijański i zbudowany z tegoż samego materiału (a po części nawet ze sztucznego kamienia) piętrowy zamek, kryty ołowianymi płytkami. Zdobiący ściany jasny tynk, wskutek przymieszki tlenku żelaza, pod działaniem wilgoci nabierał zabarwienia różowego. Ruiny tych gmachów istnieją, mnóstwo ludzi je oglądało, zanim archeologowie wykryli ich dawną świetność. Ale dopiero w ostatnio minionych latach, wezwawszy do naukowych zadań płetwonurków, stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że wyspę łączył podówczas z obu brzegami jeziora drewniany most stały, długi na kilkaset metrów i tak szeroki, że mogłyby się na nim wyminąć dwa dzisiejsze samochody osobowe. Znalezione w mule dna okazałe

łodzie dębowe nie były więc jedynym środkiem komunikacyjnym, służącym rezydencji monarszej.

Nie był również wyjątkiem zamek lednicki, zburzony wraz z mostem przez Brzetysława czeskiego w roku 1039, bo szczątki podobnych znaleziono w innych miejscowościach.

Czasy Władysława Hermana zaliczają się do najnędrniejszych rozdziałów historii naszego średniowiecza. Przepadły korona i Pomorze, posłuszny wobec Niemiec, a nawet Czech, ksiązę wziąć musiał za żonę awanturnicę, której rodzony jej brat, cesarz, chciał się co rychlej pozbyć ze dworu. Przykrą prawdę śmiało rąbał Władysławowi w oczy wojownik polski, wraz z całym tłumem sobie podobnych, żałujący utraconej świetności politycznej. Działo się to w samej rezydencji Hermanowej w Płocku. Jak się ostatnio okazało, dzięki badaniom Włodzimierza Szafrąńskiego, niedołączny władca mieszkał tam w kamiennym zamczysku, którego sala główna miała ściany długie na jedenaście i dwanaście metrów. Zachowane pod ziemią odziomki jej murów zdumiały badaczy doskonałością obróbki materiału.

Wawelska krypta Św. Leonarda, cmentarz królów polskich, to pozostałość po katedrze, wzniesionej za Władysława Hermana.

W pobliskim Tyńcu stał w drugiej połowie XI wieku trójnawowy kościół kamienny. Pod jego posadzką wykryto z tamtych również czasów pochodzące groby opackie. Jeden z nich - oprócz najstarszych u nas zabytków haftu - mieścił złote okucia pastorału, patenę i kielich mszalny, typu tak rzadkiego i artystycznie cennego, że w muzeach europejskich liczono dotychczas zaledwie dwa podobne.

Kościół tyniecki stanął po buncie pogańskim, po klęsce Mieszka II i najeździe Brzetysława, który odznaczył się godnym uwagi łupiestwem i mnóstwo ruin po sobie zostawił.

Doraźne katastrofy polityczne nie były widać zdolne do gruntownego zrujnowania wcale nieźle zagospodarowanego kraju.

W jego strukturze wewnętrznej i formach organizacyjnych nic się tak znowu bardzo nie zmieniało. Nie było żadnej fali osadników obcych i wyżej cywilizowanych, nie zaszła też żadna rewolucja przemysłowa.

Chłop siedział po wsiach, uprawiał rolę i hodował stada. Władza państwowa brała odeń liczne daniny, jak „narzaz” - wymierzany w sztukach bydła, lub „powołowe” - od każdego zaprzęgu rolniczego. Najbardziej jednak obciążał go stan, zwany na Pomorzu gościtwą, a polegający na obowiązku utrzymywania posłańców ksiązęcych i samego pana, ciągle podróżującego po kraju.

Ksiązę czy król rządził mając przy sobie radę możnych, której namów albo

luchał, albo szukał oparcia w innych magnatach. Głównym jego pomocnikiem był palatyn - kmicć pałacowy - najwyższy urzędnik w państwie, w razie nieobecności suwerena. dowodzący wojskiem. Państwo dzieliło się na kilka terytoriów, którymi zarządzali palatynowie prowincjonalni, w grodach siedzieli komesowie grodowi, dla których z czasem utarła się nazwa kasztelanów.

Podgrodzia z ich rzemiosłem i handlem rozwijały się po dawnemu. Gdańsk odbudował się i rozwinął po pożarze, w Opolu nic nie świadczy o jakichś gwałtownych zmianach.

Duże różnice społeczne istniały, zaznaczając się przede wszystkim w dziedzinie gospodarczej, prawnej i politycznej. Nie sposób jednak doszukać się jakichś kulturalnych przepaści między warstwami. Ówczesne grody kasztelańskie, nawet książęce, były warowne, lecz ciasne, mieszkańcy żyli w nich równie stłoczeni, jak ci, co skromnie siedzieli po podgrodziach. Plebejscy opolanie, gdańszczanie, gnieźnianie paradowali w ozdobnym, ażurowym obuwiu, używali przyborów toaletowych, upiększali sprzęty; dzieci ich miały zabawki. Kupcząc z odległymi stronami musieli dalej sięgać myślą i wyobraźnią niż ich własne zwierzchnictwo państwowe, bo ówczesna polityka polska nie interesowała się krajami położonymi nad Morzem Czarnym.

W początkach XII wieku krakowska biblioteka katedralna liczyła pięćdziesiąt trzy tomy, co na owe czasy znaczyło dużo. Możemy śmiało przypuszczać, że podobne - zaginione bez śladu - istniały przy innych znaczniejszych w kraju kościołach, nic natomiast nie usprawiedliwiłoby domniemań, że zbyt wielu ludzi z księgozbiorów owych korzystało. Prawo do czerpania z nich wiedzy na pewno nie zaliczało się do przywilejów stanowych, nie odróżniało możnych i wojów od ludu.

Przestaliśmy się już dziwić wiadomościom o odkrywaniu coraz to nowych szczątków kamiennych kościołów, zbudowanych w najwcześniejszej dobie dziejów Polski chrześcijańskiej. Nie wszystko zniszczyły katastrofy i przebudowy, wiemy więc, że nie były to lada jakie gmachy. Na wzgórzu Lecha w Gnieźnie, głęboko pod podłogą katedry konsekrowanej w roku 1064, znalazły się resztki pięknej kolorowej mozaiki, stanowiącej ongi posadzkę tej świątyni, w której ukoronowany został Bolesław Chrobry. Ułamki barwionego szkła świadczą o istnieniu witraży, pokryta literami płyta nagrobna stanowi najstarszy znany dotychczas zabytek pisma u nas.

Pierwsi Piastowie chrześcijańscy umieli dbać o majestat nowej wiary - twierdzenie na pewno słuszne, ale na ten sam temat można powiedzieć coś więcej.

Normalnie przyjmuje się z zewnątrz takie przede wszystkim prądy i dzieła sztuki, które odpowiadają kulturze duchowej odbiorców, są dla nich zrozumiałe. Zdarzają się, oczywiście, snobistyczne polowania na nowinki, ale rezultaty ich z reguły bywają żałosne i polegają na importowaniu krzykliwej tandety. Tymczasem Polska od początku stanęła otworem dla dzieł sztuki wiele wartej.

Często się zdarzało, że kraj pierwotny wchodził w styczność z bardziej cywilizowanymi i zaczynał przyjmować od nich rozmaite dobra. Jeśli chodzi o kulturę, zawsze chłonał to, co pasowało do jego własnego poziomu.

Dochodzi się więc ostatecznie do wniosku, że najdawniejsza Polska nie była ugiem w chwili, kiedy przyszło jej się zetknąć z chrześcijańskim Zachodem. Przez setki lat rozwijała się idąc własnymi drogami, a kultura jej była znacznie starsza niż jej państwo. Była to kultura całkiem swoista, odrębna, pozbawiona związku z wielką tradycją klasyczną, ale niewątpliwie musiała dobrze już uprawić dusze ludzkie, skoro kraj szybko przyswajał rzeczy cenne.

Nie obali się tego domysłu, wskazując na podział klasowy społeczeństwa. Katedry w Gnieźnie, Poznaniu i Wrocławiu stanęły nie w grodach książęcych, lecz w podgrodziach. Nowa sztuka zagnieździła się w budowlach dostępnych wszystkim.

Przyjeżdżające do nas księżniczki niemieckie na pewno tęskniły za ojczyzną i narzekały na prymitywizm słowiańskiego otoczenia, lecz nie należy zbytnio się przejmować ich biadaniami. Papieżowi rzymskiemu posłuszni poddani Mieszka i Bolesława znaleźli się w towarzystwie właściwym.

Mrok panował w zachodnim chrześcijaństwie, kiedy Gniezno postanowiło się doń przyłączyć. Przytoczone nieco powyżej charakterystyki ówczesnych zwierzchników Kościoła oraz związane opisy ich poczynań mówią same za siebie. Ostatnie dziesięciolecie X wieku były dnem upadku, lecz zarazem dobą przełomu. Wtedy właśnie barbarzyński dotychczas Zachód zaczął się dźwigać. Mozolna początkowo wspinaczka rychło przetworzyć się miała w pęd zawrotny, najpierw ku szczytom kultury, a z czasem ku wszechpotędze politycznej. Start do kariery niebываłej w całej historii powszechnej przypadł na te czasy, w których nieznanymi rzemieślnicy układali w Gnieźnie posadzkę kościelną z pokrytych kolorowym szkliwem płytek glinianych. Nie zlorzeczmy Piastom za sprowadzenie nad Wartę tych, a nie innych majstrów.

Nie było państwa polskiego na mapie Europy wtedy, gdy doszła ona do takiej potęgi, że interesy i dzieje powszechne utożsamiała po prostu z własnymi. Katastrofa polityczna nie przekreśliła jednak naszego udziału ani dorobku w historii kultury tego kontynentu. Uczestniczyliśmy we wszystkich jej rozdzia-

łach, poczynając od owego, który upamiętniają surowe mury kościołów, wzniesionych w stylu romańskim. Byliśmy napierw tylko uczniami, lecz po upływie stuleci nadszedł czas twórczego, na równi z innymi, udziału w nieustannej pracy myśli, w zuchwalstwie zmieniających się idei, pomysłów i programów, prawd i herezji. Dno naszego upadku narodowego nastąpiło wtedy, kiedyśmy popadli w umysłowy zastój, uwierzyli w osiągniętą doskonałość i od fermentów zaczęli stronić. Istota poprawy, czyli wielkiego przewrotu umysłowego Wieku Oświecenia, to właściwie nic innego niż powrót na drogę wybraną w wieku X, ponowne opowiedzenie się po stronie krnąbrnych, wiecznie nieposłusznych, spragnionych nowości i odmian, tych słowem, co ośmielają się „być mądrymi”, myśleć samodzielnie.

Rozpoczęty niniejszym tomem cykl książek chce po literacku opowiedzieć o dziejach Polski i sfederowanych z nią później narodów. Zdaniem autora historia sama sobie sens nadaje, tworząc wartości, które zasługują na wierność. W polskim wypadku ów sens polega nie tylko na zabezpieczeniu materialnego bytowania potomków plemion piastowskich. W XIX stuleciu wcale nieźle powodziło się tym wśród nich, co się uznali za lojalnych poddanych obcych imperatorów. Gospodarka typu feudalnego rozwinęłaby się u nas w średniowieczu i wtedy, gdyby germańskim margrabiom pogranicznym udało się podbić obszar nadwiślański. Całkiem dobrze rozwinęła się wszak na Pomorzu Zachodnim. Nie rozwinęła się natomiast miejscowa, zachodniopomorska odmiana kultury europejskiej.

Z punktu widzenia tego interesu powszechnego, który nie przemija, istnienie państwa polskiego sens miało, opłaciło się. Wewnątrz jego granic znalazła przychylną glebę odrośl kultury łacińskiej, dostatecznie mocna, aby przetrwać upadek samego królestwa w XVIII wieku. Poważną jej zasługą było to właśnie, czego wielu Polaków tak bardzo się wstydzi: prowincjonalny charakter. Peryferia wyznaczają przecież granice zasięgu.

Opowiadanie o dziejach politycznych doprowadzone zostało do roku 1138, po którym nastąpił okres rozbitcia dzielnicowego, mający w naszej tradycji opinię nieszczególną. Kraj zaczął się rozpadać na coraz drobniejsze księstwa, doznał dotkliwych strat terytorialnych. Bolesław Chrobry był na pewno słabszy od Henryka II, miał natomiast w swym państwie znacznie więcej władzy niż tamten w cesarstwie, która to okoliczność rozstrzygnęła o wyniku starć wojennych. Teraz, kiedy centralna władza w Polsce zważyła, a później na czas pewien nawet zanikła, musieliśmy odczuć skutki nierówności sił fizycznych.

Z samych początków epoki rozbitcia dzielnicowego, którą tradycja upiera się

ogłaszać za czasy wszechstronnej mizierii, pochodzą pewne zabytki I kultury.

Przede wszystkim słynne Drzwi Gnieźnieńskie, szczęśliwie ocalałe ze wszystkich katastrof i do dziś' znajdujące się na swym właściwym miejscu - w archikatedrze. Wykonano je zapewne za rządów trzeciego z synów Krzywou-
• stego - Mieszka, zwanego Starym - a już na pewno w tym samym stuleciu XII.

Pochodzenie pamiętki tłumaczono dawniej w sposób nie tylko mylny, lecz całkiem fantastyczny. Utrzymywała się wersja, że Polacy złupili je w Kijowie!

Dziś' wiemy, do jakiej szkoły artystycznej zaliczali się twórcy Drzwi. Ojczyzną tego kunsztu był kraj położony nad rzeką Mozą, dzisiejsza Belgia i północno-wschodnia Francja. Nie musi to oznaczać, że książę polski nabył tam cenne dzieło i kazał przywieźć je do Gniezna. To tylko sami artys'ci tam się kształcili lub pochodzili stamtąd, w każdym razie należeli do zespołu twórców określanego teraz jako szkoła mozańska.

Bo same Drzwi są po prostu naznaczone polskością. Ich osiemnaście płaskorzeźbionych i odlanych w brązie scen to dzieje żywota św. Wojciecha, zwłaszcza jego misji wśród Prusów, męczeństwa, wykupienia zwłok i powrotu relikwii do Polski. Pojawia się tam i postać Bolesława Chrobrego. Wygląd ludzi, szczegóły ich strojów są polskie. Na tej samej Górze Lecha, gdzie stoi ozdobiona Drzwiami katedra, znajdowano w wykopaliskach obuwie takie właśnie, jakie przedstawili artyści.

Kim byli? Do jakiej narodowości się zaliczali? Najłatwiej powiedzieć, że książę lub biskup sprowadził ich znad Mozy. Lecz w takim razie czy owe szczegóły byłyby aż tak bardzo wierne? Czy Francuz albo Belg nie wyposażyłyby rzeźbionych postaci w stroje, jakich używano w jego rodzinnym kraju? W dawnych czasach nie tak znowu bardzo dbano o autentyzm. Autor wspomnianego wizerunku Mieszka II ani się zatroszczył, jak naprawdę ubiera się polski król. Wpakował mu na głowę koronę cesarską, przydał do niej anglosaską tunikę oraz płaszcz. I na samych Drzwiach Gnieźnieńskich zauważyć można rzecz zagadkową: wojownicy pruscy bardzo jakoś przypominają polskich chłopów. Wolno przypuszczać, że artysta nie jeździł na studia na pruskie pogranicze, lecz posłużył się tymi wzorami, jakie znał i do których od dzieciństwa przywykł.

Twórca Drzwi Gnieźnieńskich mógł być po prostu Polakiem, wykształconym w szkołach i bractwach artystycznych Zachodu Europy. Jeśli - co ogromnie prawdopodobne - był zakonnikiem, klasztory tej samej reguły stały dlań

otworem, przełożeni zaś" mogli celowo skierować go tam, gdzie by nie zmarniały jego zdolności.

Domysł powyższy nie jest pozbawiony cech prawdopodobieństwa, trudno go jednak odmówić i innemu, konkurencyjnemu. Wyobraźmy sobie odważnego artystę, którego tak bardzo zainteresowała egzotyczność świeżo poznanej polski, że bez wahania odepchnął kanony, dawniej przyswojone wzorce. Śmiałości nie brakowało temu człowiekowi na pewno. Wśród ornamentów obramień widać całkiem nieubrane postacie, a przecież średniowieczna asceza zabraniała przedstawiania nagości.

Domysły... przypuszczenia... Pewne natomiast, że Drzwi Gnieźnieńskie, wykonane w Polsce w wieku XII i tak bardzo związane z jej historią, kulturą tamtych dni, nawet polityką, reprezentują najwyższy poziom ówczesnej sztuki europejskiej.

Przez czas bardzo długi były one zjawiskiem w Polsce odosobnionym. Innych zabytków tej samej klasy nie znaleźmy u siebie i taki stan rzeczy sprzyjał domniemaniom, że Drzwi przywieziono skądś, z zagranicy.

W lipcu 1946 roku profesor Zdzisław Kępiński postanowił sprawdzić swe podejrzenia, oparte na obliczeniach teoretycznych, a dotyczące kościoła norbertanek w Strzelnie, zbudowanego w XII wieku. W tym celu zaczął rozpruwać filary dłutami. Okazało się, że wewnątrz grubych, czworobocznych słupów znajdują się kamienne kolumny, te same, które postawiono osiemset lat temu przy budowie świątyni. Ludziom późniejszym wygląd ich przestał przypadać do gustu, wobec czego obmurowali je cegłami, z wierzchu dając jeszcze warstwę sztucznego marmuru. O wszystkim tym gruntownie potem zapomniano.

Kolumn tych jest w Strzelnie cztery, każda wysoka na tyleż metrów, walcowata, o przekroju sześćdziesięciu dwóch centymetrów. Dwie z nich od góry do dołu pokrywa rzeźba - postacie biblijne i alegoryczne oraz motywy roślinne. Trzecią ozdabiają skręty spirali, czwarta pozostała gładka, malowana. Kamień pochodzi z niedalekich pokładów. Twórcy kolumn byli nie lada znawcami materiału, skoro nie rzeźbili tych dwóch słupów, w których kamień jest z natury słabszy.

Kolumny ze Strzelna - na pewno wykonane na miejscu - również zaliczają się do szkoły mozańskiej i, tak samo jak Drzwi Gnieźnieńskie, stoją na najwyższym poziomie sztuki ówczesnej.

Nikt nam nie powie, ile podobnie świetnych zabytków owej epoki zniszczało lub przepadło. W przeciągu ośmiuset lat burzliwej historii nie brakło po temu ani czasu, ani okazji. I na strzelneńskich kolumnach widnieją ślady uszkodzeń,

zadanych umyślnie. Jest to zapewne robota protestanckich żołnierzy szwedzkich, którzy kalecząc wspaniałe rzeźby, chcieli zwalczać „papizm”.

Niepodobna odgadnąć, ile nie wykrytych jeszcze dzieł sztuki chowa się gdzieś pod ziemią lub w murach. O prawdzie tego twierdzenia powinno nas było raz na zawsze przekonać doświadczenie, jakiego Zespół Badań nad Polskim Średniowieczem dokonał niedawno temu w kolegiacie wiślickiej.

Archeologowie, wspomagani przez specjalistów z Politechniki Warszawskiej, zdjęli tam posadzkę, pod którą - tuż, płytko! - zalegał istny cmentarz starych szkieletów. W pobliżu jednego z ołtarzy bocznych, na głębokości czterech metrów, pod potwornie ciężką warstwą ziemi przemieszanej z bryłami muru i kamieniem, pokazała się, cudem jakimś ocalała, duża, pozioma płyta gipsowa. Ongi, przed ośmiuset laty, zdobiła ona podłogę krypty podziemnej istniejącego tu wtedy kościoła. Z oczu i pamięci ludzkiej znikła w początkach XIV stulecia, podczas gruntownej przebudowy świątyni.

Na różowawym tle gipsu widnieje arcydzieło. Ostrzem narzędzia wrytował artysta ornament, obramiający cały prostokątny obraz i dzielący go na dwa pola, gdzie pomieścił sześć postaci. Bruzdy rysunku nasycił ciemnym barwnikiem. Zakrzepł, utrwalił się wizerunek ludzi, wznoszących oczy i dłonie ku wieńczącemu kompozycję Drzewu Życia, mistycznemu równoważnikowi krzyża, strzeżonemu przez dwa lwy-demony. Z łacińskiego napisu ocalał tylko początek:

„Ci pragną być podeptani, aby mogli być podniesieni do gwiazd i jedno-
cześnie...”

Podobizny ludzi bezimiennych... Wygląd szat czworga spośród nich - brodatego mężczyzny, kobiety, młodzieńca i dziecka - zdaje się zdradzać stan książęcy. Dostojnie również wygląda książdz, strój widniejącego obok starego ślepcy jest o wiele skromniejszy. Bardzo prawdopodobne, że wizerunek przedstawia najmłodszego spośród potomków Krzywoustego, pana Wiślicy, księcia Kazimierza zwanego Sprawiedliwym, jego żonę, Helenę z księżąt ruskich oraz synów - Leszka Białego i Konrada Mazowieckiego.

Płyta wiślicka powstała w wieku XII. Jest rówieśnicą Drzwi Gnieźnieńskich oraz kolumn ze Strzelna i zupełnie tak samo jak one mogłaby stanowić chlubę każdego ze starych grodów niemieckich, francuskich czy włoskich. Nie ustępuje wcale licznie tam zachowanym zabytkom sztuki.

Stworzyło ją na pewno bractwo artystów-rzemieślników. Wolno wątpić, czy odbyło ono trudną podróż z Zachodu lub uformowało się w Polsce dla wykonania jednej tylko płyty. Materiał równie kruchy jak gips mógł przetrwać osiem wieków dzięki niezwykłej łasce losu. Podziękujemy mu kornie i nie

ośmielajmy się nawet marzyć o odkryciu innych śladów działalności owego bractwa.

Zmusimy za to do wysiłku własną wyobraźnię, założmy, że znikły wszelkie dokumenty pisane, nic nie wiadomo o rozbiciu dzielnicowym i jakiś imaginacyjny dziejopisarz musi wygłosić naukową opinię o epoce, która w niedużym kraju pozostawiła po sobie Drzwi Gnieźnieńskie, kolumny ze Strzelna i płytę wiślicką. Zdanie jego brzmiałoby na pewno entuzjastycznie, sławiłoby wielkość tamtych dni.

Wiedza o historii jest względna, lecz tylko do pewnego stopnia. W danym na przykład wypadku nie ulega wątpliwości, że pomimo popadnięcia w słabość polityczną czyniła Polska bardzo znaczne postępy na drodze obranej w roku 966.

ROZBICIE DZIELNICOWE

I

Nie jest zbyt ważne, czym kierował się Krzywousty wyznaczając najstarszemu z synów właśnie Śląsk na dzielnicę dziedziczną. Pewnie chciał wzmoczyć jego potęgę, dając mu ziemie tak zasobne. W każdym razie decyzja ta nie pozostała bez nieprzewidzianego wpływu na późniejsze dzieje tego kraju i całej Polski.

Władysław II, zwany niekiedy Władysławem Wygnańcem, wśród pięciu synów Krzywoustego zajmował stanowisko poniekąd odosobnione - był przyrodnim bratem młodszych książąt. Rodził się z księżniczki ruskiej, Zbysławy, gdy tamci pochodzili z drugiego małżeństwa Bolesława III, zawartego z Niemką, Salomeą, hrabianką Bergu. W feudalnej Europie takie rzeczy liczyły się, i to bardzo. Faktem jest, że młodszy książęta aczkolwiek walczyli ze sobą, to jednak nigdy tak zajadłe jak z Władysławem, przeciwko któremu utworzyli wspólny front. (By zdać sobie sprawę z dynastycznych powiązań Piastów, warto wspomnieć, że Krzywousty oprócz synów także miał liczne córki; z nich Adelajda wyszła za księcia Albrechta II Babenberga, Ryksa za Magnusa, króla duńskiego, potem za Włodzimierza, księcia nowogrodzkiego, i po raz trzeci za Swerkerę I, króla Szwecji, Judyta najpierw za króla Węgier, Gejzę II, potem za Ottona I, margrabiego brandenburskiego.)

Sam Władysław II żonaty był z Niemką, Agnieszka, przyrodnią siostrą króla Konrada III. Oskarżano ją, jak się zdaje wcale nie bez racji, o wygórowane ambicje i zły wpływ na męża. Zastanawiając się nad jej rolą mistrz Wincenty Kadłubek snuje rozważania, że „pierwej bys' ugłaskała piekielne furie, niżbys' przebłagała srogosć niewies'cia”.

Objąwszy Śląsk i dzielnicę senioralną stał się Władysław rzecznikiem jedności państwa. Walki między nim a braćmi trwały od roku 1141 przez pięć lat. Obie strony sięgały po pomoc ruską, zawierając sojusze z różnymi liniami tamtejszych książąt. I tak sprzymierzeńcem Władysława był Wsiewołod Ole-

gowicz, ksiązę Kijowa, braci zaś* wspierali panujący bardziej na północy potomkowie Włodzimierza Monomacha.

Przeszkodą, na jakiej się potknął pierwszy ksiązę zwierzchni, była nie siła młodszych braci, lecz możnowładztwo polskie, zasadniczo niechętne wzmocnieniu władzy centralnej. W roku 1145 nastąpiła katastrofa Piotra Włostowica, wielkiego magnata i bogacza śląskiego, legendarnego fundatora kilkudziesięciu kościołów. Przez żonę, księżniczkę ruską, wypadał on Władysławowi wujem i przez długi czas zaliczał się do jego wiernych sprzymierzeńców. Podejrzewając go o zdradę i działając pod wpływem zjadłej Agnieszki, ksiązę skazał go na oślepienie, ucięcie języka i wygnanie z kraju. Wyrok wykonano. - Podanie z uporem głosi, że Piotr naraził się księżnej niechcący, żartując na temat jej rzekomej niewierności.

Jeśli tak działo się we własnej dzielnicy Władysława II, to cóż dopiero mówić o możliwych w reszcie Polski. Na czele ich stał arcybiskup gnieźnieński Jakub ze Żnina i wojewoda Wszebor. Kiedy Władysław, pragnąc ostatecznie pognać braci, obiegił Poznań, arcybiskup zjawił się w jego obozie i rzucił nań klątwę za najazd. Odniosłszy w dodatku porażkę w bitwie, uszedł Władysław do Niemiec, gdzie zaczął zabiegać o pomoc. Wkrótce młodszy ksiązęta zdobyli Kraków, którego broniła Agnieszka. I ona wraz z dziećmi ruszyła w ślady męża.

Ksiąciem zwierzchnim z tytułu starszeństwa został Bolesław Kędzierzawy, który przyłączył Śląsk do dzielnicy senioralnej.

W sierpniu 1146 r. ruszył na Polskę cesarz niemiecki Konrad III. Krzywdą wygnańca stanowiła tylko pozór, w istocie chodziło o rozciągnięcie zwierzchnictwa na nasz kraj. Na umocnionej zasiekami granicy wojska cesarza zatrzymano. Polskim ksiązętom udało się ponadto dojść do porozumienia z uczestniczącymi w wyprawie margrabiami, którzy podjęli się pośrednictwa. Konrad poprzestał na okupie oraz obietnicy stawienia się w roku przyszłym na sąd, który miał rozstrzygnąć sprawę Władysława. Nigdy do tej rozprawy nie doszło, bo cesarza interesowały w tym czasie inne zagadnienia.

Konrad III to pierwszy panujący z rodu Hohenstaufów. Z biegiem czasu wśród władcSw tej dynastii krystalizuje się nowy program polityczny. Jest nim myśl o stworzeniu powszechnego cesarstwa, którego ośrodek znajdowałyby się jednak nie w Niemczech, lecz we Włoszech. Zainteresowania Hohenstaufów kierowały się coraz bardziej na południe.

Byłaby to okoliczność dla Polski ze wszech miar pomyślna, gdyby nie to, że tradycje niemieckich podbojów na wschodzie odziedziczył kto inny, znacznie groźniejszy od cesarzy, zawsze bądź co bądź zajętych na wszystkich rubieżach

państwa. *Drang nach Osten* stał się odtąd wytyczną polityki pogranicznych margrabiów, myślących przede wszystkim o nim jednym i w działaniu samodzielnych.

Pragnąc związać się z obozem antycesarskim polscy książęta wydali nieco później swą siostrę, Judytę, za wspomnianego już młodego pana niemieckiego, Ottona. Na nic się nie przydały te rachuby. Ojciec owego Ottona to człowiek, który ponuro się zapisał w naszych dziejach - margrabia Albrecht Niedźwiedź. On sprawił, że zniemczyła się słowiańska ziemia, na której leży Berlin. Gorszy od niego był tylko jeden - współcześnie, lecz dalej ku północy działający margrabia Henryk Lew, kat Obodryców, okrutnik nawet na owe czasy zupełnie wyjątkowy. Jego właśnie Adolf Hitler uznał za sztandarową postać, za coś w rodzaju patrona swej partii.

W roku 1147 Konrad III wyruszył na wyprawę krzyżową do Palestyny, gdzie utworzone po pierwszej krucjacie Królestwo Jerozolimskie zaczęło doznawać klęsk od muzułmanów. Tamże pociągnął król Francji, Ludwik VII; Razem z niemieckim rycerstwem wybrał się i polski wygnaniec, Władysław II.

Pod wpływem namiętnej wymowy i działalności twórcy zakonu cystersów, św. Bernarda z Clairvaux - o którym mówiono, że więcej wtedy znaczył w Europie niż papież i cesarz razem wzięci - sprawa krucjat stała się ważna dla wszystkich państw katolickich. Legat papieski Humbolt wezwał do nich Niemców wschodnich oraz Polaków. Nie zmuszał ich jednak do zbyt dalekiego marszu. Bernard z Clairvaux uznał, że wystarczy, jeśli Sasi uderzą na trwających w pogaństwie Słowian Połabskich.

W przedsięwzięciu tym sprzymierzonych z Sasami książąt polskich reprezentował Mieszko Stary, trzeci syn Krzywoustego. W czasie akcji przyszło mu zetknąć się pod Szczecinem z dawnym powiernikiem ojca - biskupem Pomorza Wojciechem. Niestety, spotkali się nie jako sprzymierzeńcy.

„Sascy krzyżowcy” zbierali się w Magdeburgu. Książę Obodrytów, Niklot, nie czekał, aż ukończą przygotowania, lecz od strony morza na lekkich statkach wojennych uderzył na niedawno założoną Lubekę, spalił flotę niemiecką i zdobył miasto. Część wyprawy zwróciła się przeciw niemu. Po walkach pod Dobinem Niklot musiał przyrzec przyjęcie chrześcijaństwa, któremu zresztą i dawniej sprzyjał, oraz uznać zwierzchnictwo Henryka Lwa. Z podbojów tego księcia wywodzi się niemiecka Meklemburgia.

Główne siły krzyżowców pod wodzą legata papieskiego Anzelma, biskupa Hawelbergu, pociągnęły z Magdeburga w kierunku Pomorza Zachodniego, tępiąc słowiańską ludność na lewym brzegu Odry. Szło z nimi pięciu biskupów niemieckich, Albrecht Niedźwiedź, trzech książęta czescy i Mieszko Stary. Jego

udział w tym niemieckim przedsięwzięciu tłumaczą niektórzy chęcią pilnowania interesów polskich lub zmuszenia do uległości Pomorza Zachodniego które korzystając z zamieszek w Polsce usamodzielniało się.

Kiedy armia podeszła od zachodu pod Szczecin, na murach jego pojawiły się krzyże, a jako pokojowy pośrednik wyszedł ku „krzyżowcom” katolicki biskup Wojciech. Wyprawa zawróciła za Łabę.

W roku 1148 przybył do Polski legat papieski Gwido, próbując zmusić książąt do ponownego uznania władzy wygnanego Władysława. Ponieważ napotkał opór, rzucił na kraj klątwę kościelną. Potwierdził ją w osobnej bulli papież Eugeniusz III, zakazując odprawiania obrzędów religijnych w całej Polsce. Nic nie pomogło. Episkopat polski twardo i solidarnie stał po stronie młodszych książąt przeciw Władysławowi.

W tym czasie, dzięki rodzinnym kombinacjom, Albrecht Niedźwiedź osiągnął duży sukces. Postanowiono, że syn jego Otto - parokrotnie już wspomniany mąż księżniczki polskiej Judyty - zostanie spadkobiercą Przybysława Henryka, ostatniego słowiańskiego księcia Brenny, czyli Brandenbura. Stało się to z krzywdą księcia Jaksy z Kopanicy (dziś Koepenick nad Sprewą na wschód od Berlina), który aż do roku 1157 zaciekle bronił swych praw, korzystając z pomocy polskiej. Jaksza prawdopodobnie schronił się w Polsce, natomiast Albrecht Niedźwiedź opanował ziemię breńską, siedzibę słowiańskiego plemienia Stodoran. W drugiej połowie tegoż XII stulecia Niemcy stopniowo podbili cały kraj między Sprewą a Odrą. Tak powstała Marchia Brandenburska, która odegrać miała fatalną rolę w dziejach Polski i Europy-

Ponieważ mowa o sprawach krajów i państw ościennych, trzeba wspomnieć i o tym, co się współcześnie działo na wschód od Polski.

W roku 1147 po raz pierwszy kroniki wymieniają nazwę Moskwy. 4 kwietnia tego roku właściciel jej, książę suzdalski Jurij Włodzimierzowicz Dołgoruki, spotkał się tam ze swym sprzymierzeńcem, kniazem Swiatosławem Olegowiczem. Ów Jurij Dołgoruki otrzymał Suzdal od ojca, Włodzimierza Monomacha, księcia Kijowa. Ziemie te, oddzielone od Rusi Kijowskiej olbrzymimi lasami i zwane stąd Zalesiem, zaczęły się szybko zaludniać i rozwijać. Chronili się tam uchodźcy z południa, gdzie ciągle trwały niepokoje i walki. Sam Dołgoruki został potem księciem kijowskim, ale syn jego, Andrzej Bogolubski, postanowił przenieść stolicę na północ, do Włodzimierza nad Kłazmą. W roku 1169 zdobył i spalił Kijów, którego znaczenie odtąd słabnie. Księstwo włodzimiersko-suzdalskie rządzone w sposób absolutny rozwijało⁵¹ się coraz silniej i stopniowo wybijało na plan pierwszy. Polska miała

się z nim zetknąć dopiero później, za pośrednictwem Litwy. Wracajmy jednak do spraw polskich.

Władysław Wygnaniec powrócił z wyprawy krzyżowej i znowu wszczął zabiegi o Wrocław i Kraków. Sprawę jego poparł następny cesarz z dynastii Hohenstaufów. Był nim bratanek Konrada III, Fryderyk I Barbarossa, czyli Rudobrody. Postać jego umiłowały legendy. Podczas trzeciej wyprawy krzyżowej - 10 czerwca 1190 r. - Rudobrody utonął w syryjskiej rzece Salef. Podanie niemieckie głosiło, że śpi gdzieś w górach razem ze swymi rycerzami i w odpowiedniej chwili powróci z mieczem w ręku.

Barbarossa, który interesował się przede wszystkim polityką włoską, postanowił wyzyskać pretensje Władysława jako okazję do utwierdzenia wpływów niemieckich na wschodzie. W roku 1157 przekroczył granicę i dotarł z wojskiem aż do Krzyszkowa pod Poznaniem. Pamiętamy, że w roku 1005 równie daleko zapędził się cesarz Henryk II, ale tym razem wyniki wojny były zupełnie inne niż za Chrobrego.

Bolesław IV Kędzierzawy, będący zwierzchnim księciem Polski, musiał stawić się w obozie cesarskim w Krzyszkowie, złożyć Rudobrodemu hołd, obiecać wierność, zapłacić duży okup i przyrzec zjawić się na sąd.

Pomimo zwycięstwa Niemiec Władysław II już nie powrócił do Polski. Umarł w roku 1159, w Niemczech. Rudobrodemu pilno było znowu do Włoch i dlatego nie dopilnował warunków umowy. Obdarzył natomiast koroną księcia czeskiego Władysława, co niedwuznacznie oznaczało, że państwo to znowu wysuwało się przed Polskę w hierarchii politycznej.

Skutki walk i układów, jakie Polska toczyła lub zawierała z Niemcami po śmierci Krzywoustego, były ujemne. Istota zła nie na tym polegała, że Kędzierzawy upokorzył się w Krzyszkowie, czego ostatecznie nie mógł uniknąć. Prawdziwą klęską był podbój ziem zachodniosłowiańskich dokonany przez Albrechta Niedźwiedzia i Henryka Lwa oraz osłabienie wpływów polskich na Pomorzu Zachodnim, które musiało coraz bardziej liczyć się z Niemcami.

W roku 1163 powrócili na Śląsk synowie Władysława Wygnańca, Bolesław Wysoki i Mieszko Płatonogi. Kędzierzawy zatrzymał jednak niektóre tamtejsze grody, pragnąc może w ten sposób zabezpieczyć śląskich wielmożów przed zemstą ze strony synów wypędzonego księcia. Władysławowice zajęli jednak te fortece. Drużyny ich składały się przeważnie z Niemców. W odwecie zostali ponownie wygnani ze Śląska i znowu tam wpuszczeni w roku 1173, kiedy Barbarossa zagroził wojną. Najstarszy z książąt śląskich, Bolesław Wysoki, zobowiązał się płacić mu trybut.

Śląsk podzielono. Bolesław Wysoki wziął Wrocław. Mieszko Płatunogi - Racibórz, a najmłodszy z Władysławowiczów, Konrad (który był kulawy, ale to się jakoś nie upamiętniło w przydomku) - Głogów. Do dzielnicy raciborskiej przyłączono wtedy kasztelanie bytomską i os'wiecimską, aż dotąd stanowiące część składową ziemi krakowskiej.

Tak wskutek dynastycznych powikłań dokonywało się faktyczne wyodrębnienie Śląska. Nie odbiło się ono w żadnym akcie ustawodawczym, ale staowało smutną rzeczywistością. Zaczęło się od tego, że dziedzic Śląska był odosobniony w rodzinie, jako brat przyrodni. O prawa jego upominali się zbrojnie cesarze niemieccy. Potomkowie Wygnańca powrócili na Śląsk także wskutek nacisku niemieckiej broni i polityki. Od południa i południowego zachodu dzielnica graniczyła z uległymi Niemcom Czechami, od północnego zachodu coraz głębiej w kierunku ujścia Warty przenikali margrabiowie brandenburscy. Wszystko to ponuro wróżyło o przyszłości.

Na razie jednak Śląsk, którego możnowładztwo pogodziło się ze swymi słabymi książętami, pod względem gospodarczym i kulturalnym rozwijał się wspaniale, korzystając ze współpracy i wzorów bynajmniej jeszcze nie niemieckich, lecz romańskich. Opat klasztoru założonego przez Piotra Włostowica „na Piasku” co roku wędruje na zjazd swego zakonu do Arrovaise we Francji, skąd przybyli wrocławscy mnisi. Biskup Walter z Malonne, po dzisiejszemu Belg, władający w latach 1149-1169, buduje kamienną katedrę, której szczątki odnaleziono w ziemi głęboko pod posadzką obecnej świątyni na Ostrowie Tumskim. Bywają we Wrocławiu kupcy mediolańscy, wrocławscy zaś mają placówkę aż w ruskim Nowogrodzie Wielkim.

Jeszcze przed powrotem na Śląsk został Bolesław Wysoki bohaterem sławnej przygody rycerskiej. Podczas oblężenia Mediolanu przez Fryderyka Barbarosę, w oczach tłumu wojsk cesarskich i zgromadzonych na murach obrońców odbył konny pojedynek z najgroźniejszym spośród wojowników włoskich. Pierwszym pchnięciem kopii zrzucił go z siodła, powalonego dobił i odtąd „tak u cesarza, jako i jego książąt, i u wszystkich rycerzy w wielkiej był czci i poważaniu”.

Szczegół dlatego wart wzmianki, że niczym w drobnym lusterku odbija się w nim okrucieństwo historii. Zwycięstw wśród takich dekoracji mógł książę Bolesław szukać tylko pod kamiennymi murami miast italskich - nie znalazłby ich pod Łęczycą. Barwny, bogaty obyczaj zachodniego rycerstwa ogarnął swym wpływem Piastów śląskich. Ród Władysława Wygnańca spokrewnił się i związał z cesarstwem Hohenstaufów, które samo ciążyło ku śródziemnomorskiemu południu, przesyconemu najwyższą wtedy w Europie kulturą. Zresztą nie

tylko cesarstwo w grę wchodziło. Ryksa, rodzona siostra Bolesława Wysokiego, poślubiła Alfonsa VII, króla Kastylii.

Stopniowe niemczenie się śląskiej dynastii i tamtejszych wielmożów to zjawisko zawile i darmo „wyjaśniać” je samymi tylko interesami stanowymi (zwłaszcza że i na Mazowszu nikt wtedy wielkich wias'cicieli ziemskich nie tępił i w prawach nie ograniczał). Wpływu na tych Polaków nie pozyskaliby pewnie barbarzyńscy margrabiowie z pogranicza, niekulturalni prostacy zajęci matactwami i rzezią, ani niemieccy biskupi ujeżdżający zdobyte wieszczce konie Wioletów. Oddziało za to na nich cesarstwo, które własnie wtedy coraz bardziej traciło swój germański charakter i samo nasiąkało dziedziczną kulturą Europy. Cudzoziemszczyzna szerzyć się zaczęła wśród śląskich Piastów w dobie wypraw krzyżowych rycerstwa wszystkich krajów Zachodu oraz włoskich pochodów Rudobrodego. Pierwsze podboje, jakich obcość dokonała na Śląsku, odbyły się w warunkach szczególnych. Starsza, bogatsza, bujniej rozwinięta kultura dowodziła swej siły przyciągania. - Taki był początek. Dalszy ciąg miał już drogę przetartą.

Rozważania te w niczym nie przeczą poprzednim wywodom o wartos'ciach kultury prapolskiej. Ona sprawiła, że wielka sztuka znad Mozy mogła się przyjmować nad Wartą. Odwrotny kierunek wpływu możliwy niestety nie był. Bolesław Wysoki mógł szybko dorównać zachodniemu rycerstwu i zasłynąć wśród niego. Jednakże to on występował jako strona biorąca. Uczył się już[^] wykształconego obyczaju. Przy najwyższym nawet szacunku dla kultury prapolskiej trudno zaprzeczać naszej młodszos'ci cywilizacyjnej.

W głębi Polski żył wtedy człowiek, który też osobiscie zetknął się z epopejami zachodniego rycerstwa. Henryk, książę Sandomierza, w roku 1154 wyprawił się do Palestyny i uczestniczył w walkach z Saracenami.

Po powrocie Henryk szerzył w Polsce wiadomos'ci o krucjatach i Królestwie Jerozolimskim. Zapoczątkowana przezeń praktyka osobistych znoszeń z Południem i całym szerokim światem urwała się nagle. Żle się stało, bo z podróży do Palestyny można było przywozić nie tylko wspomnienia przygód i zamiłowanie do obyczaju rycerskiego, lecz również wiedzę o działających tam czynnikach politycznych. W kilkadziesiąt lat później - w dobie sprowadzenia nad Wisłę Krzyżaków - brak tych wiadomos'ci fatalnie się odbił na losach Polski.

Henryk sandomierski poległ w roku 1166 czy 1167 podczas wyprawy przeciwko Prusom, kiedy przewodnicy wprowadzili wojsko w zasadzkę. Ponieważ nie zostawił dziedziców, starszy brat - Bolesław Kędzierzawy - przyłączył Sandomierz do dzielnicy senioralnej.

Takie wzmoczenie jego władzy nie mogło podobać się magnatom, którzy pod przywództwem Świętosława, syna Piotra Włostowica, oraz Jaksy z Miecnowa zaraz zaczęli upominać się o prawa najmłodszego z potomków Krzywoustego, ogrobowca Kazimierza. Miał on już wówczas lat przeszło trzydzieści, ale obywatel się bez własnego księstwa. Widocznie umiał skromniutko wyczekiwać. Zapobiegając zamieszkom Kędzierzawy oddał mu Wiślicę.

Bolesław Kędzierzawy zmarł w Krakowie w roku 1173. Starszeństwo dziedziżył po nim największy wśród pięciu braci talent polityczny i najmocniejszy charakter - Mieszko Stary, książę Wielkopolski. Możliwość władcy nie spodziewali się po nim niczego dobrego i dlatego upominali się o dzielnicę dla przornego i ustepliwego Kazimierza.

O tym, że Mieszko Stary był politykiem z prawdziwego zdarzenia, świadczy jego postępowanie w sprawie jedności państwa, skarbu książęcego oraz w sprawie pomorskiej. Mieszko stale tytułował się „księciem największym” lub „księciem całej Polski” i konsekwentnie dążył do utrzymania jedności państwa, zwołując na zjazdy panujących ze wszystkich dzielnic. Nie odbierał im ich ziem, ale żądał uległości.

Ród piastowski rósł tymczasem coraz bardziej. W chwili wstąpienia na tron krakowski miał Mieszko już tylko jednego brata - Kazimierza - lecz za to wielu bratanków. A i wnuki zaczynały się liczyć jako dziedzice.

Polityka skarbową tego księcia była bardzo celowa i bezwzględna. Budziła też żywe niezadowolenie wśród możnych. Wszelkie opłaty i kary sądowe ściągano nadzwyczaj surowo. Często następowały wymiany pieniędzy na nową monetę, co przynosiło skarbowi znaczny zysk, lecz wcale nie zawsze równało się puszczaniu w obieg grosza lichego.

Mieszko nigdy oczywiście nie słyszał o efektywnym powiedzeniu, że do prowadzenia polityki potrzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy, ale sens tej zasady znał dobrze. Musiał zdawać sobie sprawę, że tylko wtedy będzie prawdziwym panującym, jeśli skarb państwa posiadać zdecydowaną przewagę nad kiesiami możnowładztwa.

Z jego czasów zachowały się niezwykle dziwne okazy monet. Napisy na nich wykonane hebrajskimi literami głoszą po polsku: „Mszka kroi Polski”. Mennicę książęcą dzierżawili bowiem Żydzi. Mieszko opiekował się nimi. „Szkolnicy przypadkiem Żyda pobili - opowiada Kadłubek - ci sami sędziowie skazują ich na tę samą karę, sądzą ich jakby za świętokradztwo” - czyli, mówiąc prościej, wymierzają wysoką grzywnę.

O Żydach mawiało się wtedy, że są *servi camarae*, niewolnikami skarbu. Panujący zaciągał u nich pożyczki, korzystał z ich doświadczenia oraz usług w

zakresie obrotu pieniężnego i stąd jego troska o nich. O jakimś specjalnym liberalizmie trudno w ogóle mówić, chociaż z drugiej strony jest faktem, że w Polsce nie dochodziło do takich prześladowań i poniewierania ich godnością ludzką, jak na zachodzie Europy.

Mieszko powstrzymywał rozwój większej własności ziemskiej, utrudniając wielmożom werbowanie osadników oraz zajmowanie nowych pól. Dbał natomiast o wszelkie uprawnienia i źródła dochodu państwa.

Jako dziedzic Wielkopolski zżył się ze sprawami Pomorza i umiał je cenić. Dwóch synów - Władysława zwanego Laskonogim oraz Odoną - ożenił z pomorskimi księżniczkami, przy czym pierwszy z nich poślubił księżniczkę Rugii. Trzy córki - Salomea, Anastazja i Zwinisława - wyszły za książąt pomorskich.

Jak pamiętamy, Bolesław Krzywousty uzależnił od siebie władcę Szczecina Pomorza Zachodniego, Warcisława I. Po nim panował brat jego Racibor zmarły w roku 1159. Synowie Warcisława - Bogusław i Kazimierz I - podzieli kraj na część zaodrzańską, czyli dymirską lub ołogoską, i przedodrzańską szczecińską (do roku 1229 władza nad Kołobrzegiem sprawowana była wspólnie).

W dziejach Pomorza Zachodniego przyszedł okres niezwykle ważny, krytyczny. Zagrażali mu już nie tylko Niemcy, lecz także i Duńczycy, którzy zdobyli Rugię. Wiele zależało teraz od postępowania Polski.

Mieszko Stary pamiętał o wybrzeżu i jego łączności z państwem. Kiedy w roku 1177 zwołał do Gniezna wiec, obok książąt z całego kraju zjawił się tam również Bogusław I szczeciński wraz ze swymi dygnitarzami.

Jednak w tym samym roku wybuchł w Małopolsce bunt możnowładztwa, któremu przywołał biskup krakowski Gedko oraz wojewoda Stefan. Bez względu polityka „księcia całej Polski” nie odpowiadała ich interesom. Wypowiedzieli mu więc posłuszeństwo i wygnali z kraju. Mieszko ruszył do Niemiec kołatać o pomoc cesarską.

Jeszcze tylko przez cztery lata utrzymał się związek Pomorza Zachodniego z Polską. Nie mogąc liczyć na jej pomoc, pozostawiony samemu sobie musiał Bogusław szczeciński złożyć hołd Fryderykowi Barbarossie i uznać się jego lennikiem. Stało się to w roku 1181 w Li.Dece.

Postępując tak pragnął Bogusław I polepszyć swoje położenie. Jego najgorszymi wrogami byli bowiem margrabiowie pograniczni, opieka samego cesarza niemieckiego mogła poniekąd zabezpieczyć przed nimi. - W każdym razie polityczny związek Pomorza Zachodniego z Polską został zerwany i kraj ten po

raz pierwszy w swoich dziejach popadł w bezpośrednią zależność od korony niemieckiej.

Wkrótce potem Bogusław wdał się w niefortunną wojnę z księciem Rugii Jaromirem, za którym ujął się jego feudalny zwierzchnik, król duński Kanut. 20 maja 1184 r. Duńczycy zniszczyli flotę zachodniopomorską, potem zdobyli Wolin i spustoszyli wybrzeże. Bogusław musiał teraz uznać zwierzchnictwo Kanuta. Biskupstwo w Kamieniu przeszło pod wpływ duńskie, jego związek z Gnieznem przestał istnieć.

Wspomniane przed chwilą wypadki z roku 1177 miały duże znaczenie dla dziejów kraju. Moźni obalili Mieszka Starego i na jego miejsce powołali księcia Kazimierza. Zamiast zwykłego następstwa w rodzinie panującej mamy więc jakby wybór, dokonany jednak nie przez całe rycerstwo - a tym mniej przez lud - lecz przez największych magnatów duchownych i świeckich. Toteż z rządami Kazimierza zaczyna się zmierzch zasady senioratu ustanowionej przez Krzywoustego. Państwo stopniowo przemienia się w rzeszę luźnych księstw i księstewek, których władcy interesują się sprawami swoich dzielnic. Polityka ogólnopolska słabnie.

Na razie wytwarza się następujący stan rzeczy: Kazimierz rządzi w Małopolsce, Sandomierszczyźnie i na Mazowszu (właściwy dziedzic tej dzielnicy - syn Kędzierzawego, Leszek - zmarł wcześniej). Książęta Pomorza Zachodniego początkowo uznawali jego zwierzchnictwo, ale wiemy już, co się stało w Lubecie. Kazimierzowi podlega też Pomorze Gdańskie, lecz siedzący tutaj miejscowi książęta - wywodzący się od urzędnika książęcego, Sambora - stopniowo uniezależniają się coraz bardziej. Do Wielkopolski powraca Mieszko Stary, wspierany przez Pomorzan. Na Śląsku panują potomkowie Władysława Wygnańca.

Jednolity dotychczas ród piastowski dzieli się zatem na linie: małopolską, wielkopolską, pomorską, śląską. Młodszy syn Kazimierza, Konrad, da początek linii mazowieckiej.

Kazimierz miał w dziejopisarstwie polskim wyjątkowo dobre imię i „prase”, uzyskał nawet zaszczytny przydomek Sprawiedliwego. Zapewniła mu to jedna z wytycznych jego polityki, polegająca na szukaniu stałego oparcia w klerze i sprzyjaniu jego interesom (na ogół biorąc tej metody postępowania trzymali się Piastowie małopolscy i mazowieccy, wielkopolscy zaś i śląscy strzegli raczej przewagi władzy świeckiej i popadali w zatargi z Kościołem). Kronikarzami bywali wtedy wyłącznie duchowni. Tym, który szczególnie wysławiał Kazimierza, był współcześnie z nim żyjący, lecz piszący już po jego

śmierci Wincenty Kadłubek, biskup krakowski, potem skromny zakonnik klasztorze cystersów w Jędrzejowie kieleckim.

Od niego dowiadujemy się, czym zaskarbił sobie łaski Kazimierz:

pęta niewoli potargał, jarzmo poborów uciążliwych skruszył, podatki częścią zniósł, częścią zwolnił, ciężary nie tylko zmniejszył, ale nawet zupełnie usunął, musy i przmusy do szczeru zniweczył.

Ulgi te dotyczyły - rzecz jasna - tylko możliwych, nie więc dziwnego, że usiłowania Mieszka Starego próbującego wrócić do Krakowa były przez nich zwalczane.

W roku 1180 odbył się w Łęczycy wielki zjazd dostojników duchownych i świeckich. Uczestniczyli w nim ośmiu biskupów, wśród nich pomorski z Kamienia (było to jeszcze przed hołdem złożonym Fryderykowi Barbarossie i przed uznaniem zwierzchnictwa duńskiego). Kadłubek niezbyt rzetelnie przedstawia nam brzmienie uchwały powziętej przez dostojników Kościoła, ale słowa jego wiernie odtwarzają ducha czasów, w których wiara, gospodar, i polityka przeplatały się wzajemnie, a groźby kar wiecznych służyły za sprawne narzędzie do wymuszania ustępstw natury jak najbardziej doczesnej:

Ktokolwiek by biednym kmiotkom zboże czy gwałtem, czy innym sposobem zabierał albo zabierać kazał, niech będzie wyklęty; ktokolwiek do dania podwód na posyłki kogokolwiek przymusi lub przymusić każe, niech będzie wyklęty; wyjąwszy tylko jeden przypadek, tj. gdy nieprzyjaciele której prowincji zagrażają. Nie jest to bowiem niesprawiedliwością, jeżeli jakimkolwiek bądź sposobem stara się kto o ocalenie ojczyzny. I znów, ktokolwiek zmarłego biskupa zagarnie dobra lub każe zagarnąć, czyli by ksiąźciem był, czy jakąkolwiek znakomitą osobą lub urzędnikiem, bez wszelkiej różnicy niech będzie wyklęty. Ale i ten, kto zabrane dobra kościelne przyjmie, a zabranych zupełnie nie zwróci albo za zupełne ich oddanie nie zərəczy, ten także jako wspólnik tego s'więtokradztwa zarówno ma podpadać tej samej karze.

Znaczy to, że na zjeździe w Łęczycy dobra duchowieństwa uwolnione zostały od ciężarów dwóch odwiecznych i ściśle dotychczas przestrzeganych praw. Jedno z nich głosiło, że urzędnicy ksiąźcy mogą żądać podwód i żywności w czasie podróży. Drugie - znane w całej Europie *ius spoli*, czyli prawo łupu - pozwalało księciu zabierać ruchomy majątek zmarłego biskupa.

Był to pierwszy w naszych dziejach immunitet, akt zrzeczenia się przez panującego części swych uprawnień na rzecz określonej grupy społecznej. Dlatego właśnie zjazd w Łęczycy jest wypadkiem ważnym i godnym zapamiętania. Oczywiście jest, że ulgi dotyczyły majątku biskupów, a nie chłopów

bezpośrednio, którym duchowny zwierzchnik mógł nadal wyznaczać daniny i powinności. Mówiąc obrazowo i stylem biblijnym, chodziło o to, kto będzie strzygł owieczki.

Uchwały zjazdu łęczyckiego zatwierdził papież Aleksander III, „którego boskim wyrokiem i panowanie Kazimierza zostało utwierdzone, aby woła ojcowska żadnej mu nie stawiała przeszkody”. - Owa „woła ojcowska” to testament Krzywoustego, który za rządów Kazimierza przestawał już obowiązywać.

Podział kraju na luźne księstwa odbił się mocno i na polityce zagranicznej. Każda dzielnica interesowała się sprawami bezpośrednich sąsiadów, tracąc z oczu inne zagadnienia. Dla rządzonej przez Kazimierza Małopolski ważna była Ruś - Pomorze Zachodnie jej nie obchodziło.

Sprawiedliwy żonaty był z Heleną, księżniczką kijowską. Władcy graniczących z Polską ziem zabużańskich nie zwracali w tym czasie uwagi na księstwo włodzimiersko-suzdalskie, potężniejące na dalekiej północy. Prowadzili politykę własną i nadzwyczaj pogmatwaną. Mieszając się do niej Kazimierz zdołał rozciągnąć wpływy polskie na Brześć, Drohiczyn, Włodzimierz i Halicz. W tym samym okresie w sprawy ruskie wdali się i Węgrzy, o których pomoc zabiegał jeden z wygnanych dynastów, Włodzimierz Jarosławowicz. Prośba jego odniosła dość oryginalny skutek. Bela węgierski ujął się za krzywdą, ale samego pokrzywdzonego okułał i wtrącił do więzienia, po czym zajmując Halicz ogłosił własnego syna - Andrzeja - królem halickim. Po łacinie tytuł ten brzmiał *Rex Galatiae*, od czego wywodzi się ważna ongi, a i dziś jeszcze dość popularna nazwa Galicji.

Włodzimierz zdołał jednak przekupić straż, uszedł z ciemnicy i zwrócił się o pomoc do Polski. Wojsko Kazimierza wyparło Węgrów z Halicza i przywróciło mu tron.

W roku 1191 kilkudziesięciu małopolskich wielmożów uknuło przeciw Kazimierzowi spisek, przywołując z powrotem Mieszka Starego, który zajął Kraków pomimo obrony zorganizowanej przez biskupa Pełkę. Wkrótce jednak Sprawiedliwy odzyskał stolicę, w czym dopomogli mu książęta ruscy.

Ostatnim czynem Kazimierza była zwycięska wyprawa na Jadźwingów.

Kazimierz zmarł w roku 1194, w okolicznościach tajemniczych. Było to podczas uczty.

Kiedy [...] wszyscy wspólnie się radowali - pisze Kadłubek - król, ta jedyna i szczególna gwiazda państwa, właśnie wtenczas, gdy niektóre pytania o zbawieniu duszy kapłanom zadawał, ychylszy mały puchar na ziemię upadł i umarł.

Nie był Kazimierz królem, chociaż przepełniony uwielbieniem mistrz Wincenty stale go tak nazywa. Wolno wątpić, czy podczas owej biesiady naprawdę toczyła się dyskusja o zbawieniu duszy. Nie jest wykluczone, że Kadłubek upiększył tak opowiadanie - ku zbudowaniu czytelników. Bardzo za to prawdopodobne, że Kazimierz skonał otruty.

Pomimo pokoju z Mieszkiem Starym, zawartego dzięki pos'řednictwu arcybiskupa Piotra, czasy były nadal niespokojne. Pisze wprawdzie Kadłubek, że „wszystkich przy śmierci Kazimierza jedno i to samo życzenie opanowało, to jest aby mogli z nim razem umrzeć” - aie już następne zdanie przeczy temu: „Lecz nie zbywało w tej chwili i na takich, którzy potajemnie wzdychali do tego, żeby na swoją stronę przyciągnąć panów i namiestników lub osierocony tron zająć.”

II

Możnowładztwo, które za rządów Kazimierza tak wiele zyskało, po jego śmierci dokonało następnego kroku. Idąc za zdaniem biskupa krakowskiego Pełki uznało, że ma prawo wybrać sobie księcia spośród członków dynastii Piastów.

W przemówieniu biskupa Pełki znalazło się twierdzenie stanowczo godne przytoczenia:

Nie stoi temu na przeszkodzie nawet ustawa przodków, która zastrzega, aby starszy z urodzenia zawsze miał prawo do panowania, ponieważ papież Aleksander i cesarz Fryderyk, mający władzę do nadawania i znoszenia praw, ustawę tę zupełnie znies'li, skoro obadwa za życia jeszcze starszego Mieszka - Kazimierza w tym samym rządzie ustanowili i zatwierdzili.

Jeśli nawet oracja ta jest kompozycją Kadłubka, to zawarte w niej argumenty nie zostały wzięte z powietrza, musiały mieć wtedy obieg.

Teza biskupa Pełki równała się zwykłemu przekreśleniu kierowniczych zasad polityki Chrobrego, Śmiałego i Krzywoustego, którzy żadnemu postronnemu czynnikowi nie przyznawali mocy „nadawania i znoszenia praw w Polsce”.

Zmarły Kazimierz osierocił dwóch synów, zrodzonych z Heleny ruskiej: Leszka Białego oraz Konrada, znanego w dziejach jako Konrad Mazowiecki.

Możni łatwo pogodzili się co do samej zasady wyboru panującego, ale

pokłócili w sprawie osoby. Duchowni opowiadali się za Leszkiem, s'wieccy - pod przywództwem wojewody Mikołaja - woleli znowu przyzwać do Krakowa Mieszka Starego. Na razie przeważył Leszek. Ponieważ miał dwanas'cie lat, powołano regencję, składającą się z możnowładztwa. Główne role grali w niej: księżna Helena, biskup Pełka i wojewoda Mikołaj.

Tymczasem Mieszko Stary, wspomagany przez Piastów śląskich, wystąpił zbrojnie w obronie swych praw. Druga strona przywołała na pomoc najwybitniejszego z książąt ruskich, Romana halickiego, wychowanek Kazimierza Sprawiedliwego. W roku 1195 doszło do krwawej i nie rozstrzygniętej bitwy nad rzeczką Mozgawą. Mieszko Stary został ranny, a uszedł z życiem tylko dlatego, że prosty żołnierz, który nań uderzył, w ostatniej chwili rozpoznał w nim księcia. Zginął za to przebity oszczepem syn jego, Bolesław. Roman halicki odniósł kilka ran, a oddziały ruskie ustąpiły z pola.

Jeszcze dwukrotnie możni, między którymi nie było zgody, wzywali Mieszka Starego na tron krakowski. Po jego s'mierci w roku 1202 przez kilka miesięcy panował na Wawelu jego najstarszy syn, Władysław Laskonogi, dziedziczący po ojcu energię, zdolności i szersze horyzonty polityczne, zwolennik silnej władzy książęcej, niechętny dążeniom duchowieństwa. Dla ogromnego wzrostu niektórzy zwali wtedy Laskonogiego „Wielkim”.

W tymże roku 1202, po s'mierci wojewody Mikołaja, który sprzyjał Laskonogiemu, dokonał się następny przewrót pałacowy. Leszek Biały powrócił do Krakowa z sandomierskiego wygnania (gdzie przebywał wskutek sporu swego opiekuna, wojewody Goworka, ze wspomnianym już Mikołajem). Laskonogi uszedł do dziedzicznej Wielkopolski. Nie wyrzekł się jednak myśli powrotu na Wawel. Miało mu to umożliwić przymierze ze znanym nam już Romanem halickim. W chwili jednak, kiedy książę ruski uderzył na Małopolskę, Laskonogi zajęty był gdzie indziej - odpierał najazd duński na Pomorze. Toteż hufce Leszka i Konrada, prowadzone przez wojewodę mazowieckiego Krystyna, rozbiły Rusinów w sławnej bitwie pod Zawichostem w roku 1205.

Dramatyczny przebieg starcia godzien jest wspomnienia, ponieważ dostarczył wataka pies'niom czy poematom w języku polskim. Przez setki lat śpiewano je i opowiadano na widowiskach publicznych, lecz nikt nie zatroszczył się o ich spisanie.

Książę Roman poczynał sobie bardzo lekkomyślnie. Przeprowadził się z dużym wojskiem na lewy brzeg Wisły, gdzie 19 czerwca o świcie uderzyli nań Polacy, łamiąc zacięty opór i spychając wroga w stronę rzeki. Kto miał lepszego konia lub umiał pływać, rzucał się w wodę, inni ginęli. Roman, pod którym zabito konia, przeprowadził się na jakiejś starej szkapie i poległ w czasie ucieczki. Na

prawym brzegu zbierali się ocaleni, patrząc na płynących swoich i obcych oraz na rzeź. Podmyte pewnie urwisko nie wytrzymało ciężaru tłumu pancernych jeźdźców - runęło wraz z nimi do rzeki. - Ciało Romana podjęli Polacy z pobjowiska i pochowali w Sandomierzu. Rusini wykupili je później za wielką cenę srebra, przewieźli do Włodzimierza i tam pogrzebali.

Roman, trzeba przypomnieć, występował jako sprzymierzeniec Laskonogiego. Chciał dopomóc w odzyskaniu Krakowa, co mu jednak nie przeszkadzało wojować w Polsce w sposób mocno okrutny.

Osobowość i postępowanie Władysława Laskonogiego zasługują na uwagę, ponieważ polityka jego wiąże się poniekąd ze sprawami szerszej, ogólnoeuropejskiej natury. Książę ten znajdował się w stałym sporze z arcybiskupem gnieźnieńskim - Henrykiem Kietliczem -jednostką bardzo wybitną, zażartym obrońcą praw Kościoła i zwolennikiem reform, które w zachodniej Europie wzięły górę już w czasach Grzegorza VII, ale do Polski jeszcze nie dotarły. Współzawodnikiem Laskonogiego był również jego rodzony bratanek - wnuk Mieszka Starego - Władysław Odonic, zwany przez współczesnych Płwaczem. Ten, w jaskrawym przeciwieństwie do polityki stryja, stale ulegał duchowieństwu i szukał jego poparcia.

W Rzymie rządził podówczas Innocenty III (Lotariusz hr. Segni). Mozaiki i malowidła przechowały nam jego wygląd. Gdyby nie tiara i inne oznaki godności, nikt by nigdy nie poznał, że ogląda wizerunek osoby duchownej. Innocenty III miał twarz wodza nawykłego rozkazywać i łamać wszelki opór siłą, i wykształcenia był nie tylko teologiem, lecz i prawnikiem.

Teoria, którą sam wyznawał i innym narzucał, głosiła, że wszelka władza świecka musi podlegać duchownej. Nie było więc już mowy o wyzwoleniu papieżstwa spod przewagi cesarskiej, lecz o odwróceniu tamtego porządku rzeczy - o posłuszeństwie wszystkich stolic katolickiej Europy wobec Rzymu. Innocenty III umacniał po prostu świeckie panowanie papieży nad światem. - Cesarz niemiecki złożył mu hołd i uznał się lennikiem. Okrutny i przebiegły król angielski - Jan Bez Ziemi - oddał swą koronę w ręce legata papieskiego i otrzymał ją z powrotem - ale już jako lenno.

U schyłku rządów potknął się jednak Innocenty III. W roku 1215 Jan Bez Ziemi ogłosił do dzisiaj obowiązującą Wielką Kartę Wolności, fundament swobód obywatelskich Wielkiej Brytanii. Uczynił to wbrew swej woli, zmuszony przez społeczeństwo, i ani myślał o wykonywaniu jej postanowień. Papież, jako zwierzchnik Anglii, bullą z dnia 24 sierpnia 1215 r. rzucił klątwę na szlachtę i miasto Londyn, zabronił stosować Kartę i potępił ją gwałtownie. Ale Anglicy odmówili mu posłuszeństwa w sprawach świeckich, sięgnęli po

broń przeciw Janowi, w październiku tegoż roku powołali na tron Ludwika, syna króla Francji Filipa Augusta. 2 czerwca 1216 r. Ludwik stanął w Londynie i odebrał hołd jako panujący.

Sprawa Wielkiej Karty Wolności zapowiadała, że świeckie uroszczenia papieżstwa czeka klęska. Potęga Rzymu, stojąca u szczytu za Innocentego, w kilkadziesiąt lat później miała nagle runąć w starciu z królami Francji, których władza nosiła wtedy charakter o wiele bardziej demokratyczny i ludowy, niż się to zazwyczaj przyjmuje.

Na razie jednak arcybiskup Henryk Kietlicz miał się do kogo odwoływać w sporze z Laskohogim, którego nie omieszkał obłożyć kłatwą.

Kietliczowi chodziło nie tylko o wykonywanie postanowień łączących, które złamał Laskonogi, zagarniając mienie jednego ze zmarłych biskupów. Jeszcze ważniejsze było rozciągnięcie na Polskę reform gregoriańskich, zakazujących mianowania biskupów przez panującego, nabywania godności duchownych za pieniądze i wprowadzających bezżenność duchowieństwa.

Aż do roku 1197 małżeństwa księży zaliczały się w Polsce do rzeczy zwyczajnych i uznawane były za ważne. Inaczej - ale też nie zawsze - działo się tylko z biskupami, którzy w znacznej części rekrutowali się spośród zachodnioeuropejskich zakonników. Jeszcze w połowie XIII w. żył w Wielkopolsce niejaki Ogierowicz, legalny syn biskupa włocławskiego, Ogiera.

W 1197 r. przybył do Polski legat papieski Piotr, kardynał Kapui, przywołując zakaz małżeństw księży. Duchowieństwo polskie zachowało się wobec niego spokojnie, za to czeskie omal go nie zgładziło. O synach księży czyta się w źródłach jeszcze długo potem, gdyż nowe prawo przyjmowało się powoli i z oporami.

Wynany z Gniezna przez Laskonogiego, ruszył arcybiskup Kietlicz do Rzymu, gdzie uzyskał zdecydowane poparcie papieża Innocentego. Na mocy jego postanowień doszło w Polsce w roku 1207 do pierwszego obioru biskupa przez kapitułę bez wtrącania się władzy świeckiej. Został nim Wincenty Kadłubek, kronikarz.

W roku 1210 książęta Leszek Biały, Konrad Mazowiecki i Władysław Odonic na zjeździe w Borzykowej uznali wszystkie wolności i przywileje Kościoła w Polsce. W pięć lat później wspólnie z Kazimierzem, księciem Raciborza, potwierdzili to na zjeździe w Wolborzu. Tym razem duchowieństwo uzyskało też przywilej własnego sądownictwa w oparciu o prawo kanoniczne.

W ten sposób kler zdobył w Polsce bardzo znaczną niezależność od władzy państwowej. Ponieważ zaś Leszek Biały i Władysław Odonic poddali się pod

protekcję Innocentego III (przykład ich naśladował w roku 1227 Świętopełk gdański), utrwaliła się zawisłość Polski od Rzymu.

Leszek Biały był właściwie już tylko księciem dzielnicowym, krakowsko-sandomierskim. Mazowszem rządził młodszy odcień Konrad i aczkolwiek obaj bracia dawali rzadki podówczas przykład zgody, to jednak ziemie Leszka odcięte były całkowicie od Pomorza, które winno mu być podlegać.

Mowa naturalnie o Pomorzu Gdańskim, bo Zachodnie już od dwudziestu lat pozostawało w zawisłości najpierw od cesarza, a potem od Danii.

Usamodzielnienie się książąt gdańskich było zjawiskiem ciekawym i w dziejach polskich pod pewnym względem wyjątkowym. Władzę zagarnęła tam rodzina wywodząca się, jak już wiemy, od urzędnika książęcego imieniem Sambor. Wypadki takie to chleb powszedni w ówczesnych Niemczech, gdzie rozmaici dostojnicy prowincjonalni ciągle uzurpowali sobie-rządy. Polska też się rozdrabniała na małe księstwa, ale u nas panowanie nad nimi sprawowali członkowie ogromnie już rozrodzonej dynastii Piastów. Kariera potomków urzędnika zdarzyła się w Polsce raz jeden, właśnie na Pomorzu Gdańskim.

Idąc w ślady ojca zwracał Leszek pilną uwagę na sprawy graniczących z Polską księstw ruskich. Po zabitym pod Zawichostem Romanie dziedziczyli małoletni synowie, Daniel i Wasylko. O wpływy i władzę na Rusi w dalszym ciągu ubiegali się też Węgrzy.

Po rozmaitych bitkach i układach doszło do małżeństwa królewicza węgierskiego Kolomana z córką Leszka Białego, Salomeą, którzy w roku 1214 na czas krótki osiedli na tronie w Haliczu. Daniel Romanowicz uzyskał przeciw nim poparcie innych książąt ruskich oraz bojarów i sprzymierzył się z Litwinami. Koloman musiał ustąpić z Halicza, a Leszek w roku 1219 zawarł pokój z Rusią. Smutnym spadkiem po tych kombinacjach okazały się najazdy litewskie, które odtąd raz za razem miały spadać na Polskę.

Koniec rządów i życia Leszka Białego był tragiczny.

Książę ten niczym specjalnym nie odznaczył się w dziejach Polski, ale pewne wiadomości świadczą o nim dodatnio. W dobie krucjat, kiedy ziemie pogan uważano za niczyje, a chrześcijański władca był po prostu zobowiązany do szerzenia wiary mieczem - Leszek głosił odmienny program. Nie chciał mianowicie nawracać Prusów siłą. Doradzał zakładanie w ich kraju ośrodków handlowych, co miało ułatwić przenikanie religii katolickiej drogą pokojową.

Warto zapamiętać ten szczegół. Dowodzi on, że tolerancja i skłonność do współżycia z innowiercami na ludzkich warunkach istniały już w Polsce piastowskiej i nie zanikały nawet w dobie głębokiego upadku politycznego.

Na wyprawę krzyżową Leszek nie wyruszył, wyjaśniając papieżowi, że w Palestynie brak piwa i miodu, bez których żyć nie można.

W roku 1227 wybrał się za to w kierunku Pomorza Gdańskiego, ale tam nie dojechał. Działał w porozumieniu z Władysławem Laskonogim oraz z dzieźdźcem Wrocławia, księciem Henrykiem Brodatym, o którym wkrótce pomówimy obszerniej. Przeciwnikiem ich był Władysław Odonic-Plwacz, ów znany nam już zwolennik opierania się na wielmożach duchownych. Opanowawszy północną Wielkopolskę zawarł on przymierze ze Świętopełkiem gdańskim.

Leszek Biały, Władysław Laskonogi i Henryk Brodaty obradowali w Gąsawie. Odonic, który umyślnie zwłóczył i wypatrywał sposobnej chwili, naprowadził na nich ludzi Świętopełka.

Napad przyszedł niespodziewanie, kiedy wielu z uczestników zjazdu zażywało łaźni. Leszek zdążył z niej wyskoczyć, dopadł konia i jął uchodzić w kierunku Marcinkowa. Zginął doścignięty na polach przylegających do słynnego Jeziora Biskupińskiego. Henryk Brodaty odniósł kilka ran i niechybnie straciłby życie, gdyby go nie osłonił własnym ciałem rycerz Peregryn z Weissenburga, którego pamięć sławiono odtąd jako wzór wierności i poświęcenia. Ludzie Świętopełka mordowali każdego, kto się nawinął pod nóż, nie szczędząc bezbronnym i nagich.

Stare prawo rodowe zobowiązywało Konrada Mazowieckiego do pomśzczenia śmierci brata. Nie doszło jednak do tego, bo książę z Płocka myślał przede wszystkim o spadku po zabitym.

Leszek Biały - żonaty z Grzymisławą, księżniczką łucką - osierocił półtorarocznego syna Bolesława, później nazwanego Wstydliwym. Do opieki nad nim było aż trzech kandydatów: Władysław Laskonogi, a to na mocy układu zawartego jeszcze za życia Leszka, Konrad Mazowiecki, jako rodzony stryj, i wreszcie Henryk Brodaty, proszony o to nieco później przez samą wdowę.

Możnowładztwo krakowskie po zjeździe w Cieni pod Kaliszem postanowiło powołać Laskonogiego. Zastrzeżono, że następcą tronu pozostanie małoletni Bolesław. Laskonogi musiał potwierdzić przywileje duchowieństwa oraz poprzysiąc, że będzie zachowywał „prawa słuszne i godne według rady biskupa i baronów”.

Rozpoczęła się w kraju wojna, bo Konrad Mazowiecki ani myślał zrzekać się swych planów. Ale możni krakowscy wcale nie pragnęli oglądać go na tronie, Grzymisława mogła ponadto obawiać się o życie syna, gdyż Konrad słynął z okrucieństwa. Kiedy Laskonogi nie zdołał umocnić się w Krakowie, wdowa wezwała Henryka Brodatego.

Popierające Konrada oddziały ruskie wdarły się aż pod Kalisz i na Śląsk. Henryk Brodaty dostał się do niewoli i ledwie z trudem odzyskał wolność. Laskonogi walczył zacięcie z Odonicem, którego nadal popierało duchowieństwo. Umierając na Śląsku w roku 1231 przelał wszystkie swe prawa do Wielkopolski i Małopolski na Henryka Brodatego.

Konrad Mazowiecki nie zdołał opanować na stałe Krakowa i Małopolski. Jego zaciekała walka o ten kraj dlatego tylko jest ważna i zasługuje na wzmiankę, że odwróciła uwagę księcia Mazowsza od tego, co się w spokojnej Warszawie dzieło na prawym brzegu dolnej Wisły. A urzeczywistniały się tam wiasne skutki pewnych bardzo żalonych postanowień i układów, zawartych trochę wcześniej.

Uganiający się za marzeniem o tronie Konrad ani spostrzegł, że tymczasem za jego plecami dokonywują się rzeczy, mające w przyszłości podważyć sam byt państwa polskiego.

III

W roku 1225 Konrad Mazowiecki rozpoczął układy polityczne z Zakonem Teutońskim Najświętszej Marii Panny - z Krzyżakami.

„Dzieje tragicznej pomyłki pokoleń i dzieje jakby złego sumienia ciążyć będą nad wiekami pruskiej historii” - pisze historyk prof. Karol Górski.

Pomyłka Konrada Mazowieckiego była na pewno tragiczna, jego umysłowa i polityczna nieudolność niewątpliwa. Jednakże wnioski, jakie opinia publiczna wysnuwa z faktu sprowadzenia Krzyżaków nad Wisłę, bywają zbyt pochopne. Pobieżny nawet rzut oka na okoliczności towarzyszące wydarzeniu wiele wyjaśni.

Już w XII w. zaczęła się tworzyć wielka bałtycka droga handlowa z Niemiec północnych, z Lubeki, przez Visby na wyspie Gotlandii do ujść Dźwiny i Narwy. O panowanie nad tym szlakiem toczyła się zacięta walka między Niemcami a Danią. U schyłku XII w. zakonnik Meinhard z Segeberg prowadził misję nad dolną Dźwiną i założył tam pierwsze niemieckie osiedle Üesküll. Później ruszył biskup misyjny Albert Buxhoevden, prowadząc flotę złożoną z dwudziestu trzech okrętów. W roku 1201 założył on u ujścia Dźwiny Rygę, gdzie skupiał się handel idący aż do Morza Czarnego. Albert cieszył się poparciem papieża Innocentego III, który w roku 1204 zatwierdził niemiecki

Zakon Kawalerów Mieczowych, mający na celu podbój kraju, to znaczy ziem dzisiejszej Łotwy i Estonii.

Początkowo Dania hamowała niemieckie zapędy w tamtych stronach. Król jej - Waldemar II Zwycięski - w roku 1219 wygrał bitwę z Estami, zakładając na jej miejscu Reval. Legenda głosi, że w czasie tego starcia spadła z nieba chorągiew duńska, czerwona z białym krzyżem. Ale już wkrótce Niemcy wzięli górę, zajmując Dorpat, Narwę i wyspę Ozylię.

Widzimy więc, że Niemcy bardzo wcześnie zwrócili uwagę na ziemie ludów bałtyckich oraz sąsiednich i że zaczęli je systematycznie podbijać. Wedle pojęć ówczesnych akcja ich znajdowała uzasadnienie prawne, ponieważ Bałtowie i Estowie ciągle jeszcze trwali w pogaństwie. To samo odnosiło się do sąsiadujących z Polską Prusów.

Można więc przyjąć za pewne, że gdyby nawet Konrad Mazowiecki nie zaprosił Krzyżaków, to Niemcy i tak rozpoczęliby podbój Prus, docierając do nich w ten sam sposób, w jaki dotarli do ujść Dźwiny - drogą morską. W dobie 'krucjat i zaciętego tępienia innowierców los słabych ludów pogańskich był przesądzony. Pod pozorem szerzenia prawdziwej wiary ziemie, ich i bogactwa musiały stać się łupem silnych państw Europy zachodniej. Jedną tylko Litwą uniknęła tego losu, ale o tym później.

Pamiętamy, że już Bolesław Chrobry zmierzał do ochrzczenia Prus i poddania ich wpływowi Polski. Ta sama myśl nie była obca i Krzywoustemu. Gdyby ją urzeczywistniono - dzieje tej ziemi potoczyłyby się inaczej, a lud i język pruski przetrwały, tak jak przetrwali Litwini. Polska jednak sama musiała się bronić przed ciągłymi atakami z zachodu, a potem na wzór całej średniowiecznej Europy popadła w feudalne rozdrobnienie. To dało wielką szansę zdobywczym organizacjom niemieckim, marchiom i zakonom.

Pomimo to wszystko w początkach XIII w. polityka polska w stosunku do Prus ożywiła się i zaczęła odnosić pewne sukcesy.

Świętopełk gdański opanował Żuławy i na wschodnim brzegu Nogatu zbudował gród Zantyr. Osadnicy polscy licznie przenikali na północny wschód. Zwycięzca spod Zawichosta, wojewoda Krystyn z rodu Gozdawów, stworzył system obronny przed ciągłymi napadami Prusów. Był to łańcuch niewielkich gródków wzdłuż Osy i Małej Osy, obsadzonych przez rycerzy z drużynami. Mogły one zatrzymać nieprzyjaciela aż do przybycia pomocy, którą zapewniał odwód ruchomy. Dowodził nim z Radzyna sam wojewoda Krystyn.

Misjonarze polscy zaczęli działalność na pograniczu pruskim. Początkowo kierował tą pracą arcybiskup Kietlicz.

W roku 1215 Innocenty III utworzył specjalne biskupstwo misyjne dla Prus,

które nadal zakonnikowi z wielkopolskiego Łekna, Niemcowi Chrystianowi.

W 1217 r. Konrad Mazowiecki kazał uwięzić wojewodę Krystyna, potem wydrzeć mu oczy i wreszcie zamordować. Przyczyny zbrodni nie są zbyt jasne. Możliwe, iż wojewoda, będący jednostką naprawdę wybitną, zanadto wyrósł i zaczynał brać górę nad samym księciem.

Okrucieństwo przechodzące wszelką miarę i wyobrażenie stale cechowało postępowanie Konrada. W dwadzieścia dwa lata po umęczeniu wojewody miał tego na własnej osobie doświadczyć jeden z głównych oskarżycieli Krystyna, książdz Jan Czapła, kanclerz książęcy. Konrad pomówił go o wrogie knowania i natychmiast, bez sądu i pisanego wyroku, kazał torturować i powiesić. Kilku dominikanów zdjęło ciało z szubienicy, chcąc je pogrzebać, lecz wtedy

księżna Agafia w szalonym gniewie odbiwszy je mnichom, jak druga Jezabel krwi kapłańskiej łaknąca, kazała je wrzucić na wóz, do którego zaprzężone były dwa woły, i powtórnie na szubienicy, umyślnie przy kościele Św. Benedykta wystawionej, nad Wisłą, naprzeciw kościoła katedralnego płockiego, powiesić na zastraszający przykład i zgrozę.

Za ten uczynek Kościół wyklął Konrada i obłożył diecezję płocką interdyktem. Książę ukorzył się i obdarzył arcybiskupa nowymi przywilejami. Działo się to w latach 1239-1240, kiedy Krzyżacy na dobre już wdarli się do Prus.

Śmierć wojewody Krystyna załamała bowiem stworzony przezeń system obrony pogranicza. Napady pruskie powtarzały się coraz częściej, nękały kraj, stawały się nieznośną zmurą. Nikt nie umiał poradzić sobie z nimi tak, jak przed stu laty Krzywousty załatwił sprawę pomorską. Po śmierci Leszka Białego całą uwagę zwrócił Konrad na południe, w kierunku Krakowa. Sandomierza, kwestię zaś pruską postanowił rozstrzygnąć doraźnie - cudzymi rękami.

Stwierdziwszy, że niebezpieczeństwo niemieckie zagroziłoby Prusom i bez mimowolnej pomocy Konrada Mazowieckiego, nie wolno tracić z oczu innych zjawisk. Dzieje politycznej rozgrywki o ten kraj to jedyny w swoim rodzaju obraz. Uczestniczące w niej strony były bardzo nierówne pod wielu względami, ale przede wszystkim pod względem umysłowym.

Krzyżacy, których Konrad wezwał nad Wisłę, szkolili się przedtem w polityce światowej, ogarniali myślą szerokie horyzonty. Nie mogli się z nimi równać mazowieccy i inni książęta, zajęci sporami o poszczególne gródki i dzielnice. Jednym z najgorszych następstw utraty korony i obalenia testamentu

Krzywoustego był zanik ośrodka polskiej myśli politycznej, interesującej się sprawami całego kraju, a przez to samo i Europy.

Zakon krzyżacki powstał w roku 1190 w Palestynie podczas trzeciej krucjaty i oblężenia twierdzy Akkonu. Jego właściwa nazwa brzmiała: Zakon Braci Szpitala Niemieckiego Najświętszej Marii Panny w Jerozolimie. Założyli go mieszczanie z Bremy i Lubeki dla pielęgnowania rannych i chorych, ale już w osiem lat później przekształcono go na rycerski. Wzór stanowiły dlań dawniej istniejące zakony joannitów i templariuszy, gromadzące rycerzy z zachodniej i południowej Europy, mające ogromne bogactwa i znaczenie polityczne. Biały płaszcz przekreślony czarnym krzyżem stał się znamiem wyróżniającym niemieckich rycerzy-mnichów.

Krucjaty były właściwie na wielką skalę zakrojonym i tylko pozorami religijnymi osłoniętym przedsięwzięciem kolonialnym, a Królestwo Jerozolimskie - europejską kolonią w Azji. Spotykały się tam i ścierały wpływy rozmaitych, potęg. Zetknięcie ze światem muzułmańskim, stojącym wtedy na wysokim poziomie kultury, bardzo wzbogacało umysły Europejczyków.

Zakon krzyżacki początkowo wegetował i nie mógł wystawić więcej niż dziesięciu rycerzy z pocztami. Niebawą karierę zapewnił mu dopiero czwarty z jego kolejnych przełożonych - zwanych wielkimi mistrzami - Herman von Salza, pochodzący z Turyngii. Zrozumiał on, że niemiecki zakon niewiele wskóra w Palestynie, która interesowała przede wszystkim kraje położone nad Morzem Śródziemnym. Należało więc przenieść jego działalność w takie strony, które obchodziły same Niemcy.

W roku 1211 uzyskali Krzyżacy od króla węgierskiego Andrzeja II nadanie w Siedmiogrodzie. Mieli walczyć z plemionami stepowymi, jednakże od razu zaczęli zabiegać o stworzenie tam własnego państwa. Ale Andrzej II osobiście uczestniczył w jednej z krucjat, w Palestynie był i wiele się nauczył patrząc z bliska na politykę zakonów rycerskich, osłabiających i rozsadzających Królestwo Jerozolimskie. Toteż po powrocie do kraju połapał się w zamierzeniach Krzyżaków i nie zwracając żadnej uwagi na protesty papieża wygnał ich ze swego kraju w roku 1225.

Niestety, Konrad Mazowiecki, który właśnie w tym czasie nawiązywał z Krzyżakami stosunki, nie miał okazji nauczenia się czegokolwiek, w niczym się nie orientował i działał jakby na ślepo. A grał z politykiem naprawdę niezwykłym, z samym Hermanem von Salza.

Cesarzem niemieckim był wtedy Fryderyk II z rodu Hohenstaufów, władca genialny i rządzący w sposób już prawie nowoczesny. Dla Niemiec cesarz ten to jak gdyby obcy człowiek, gdyż ośrodek jego potęgi znajdował się na Sycylii i

w Neapolu. Herman von Salza stał przy jego boku jako powiernik i najbliższy doradca. Wielkiego mistrza Zakonu wiązała przysięga posłuszeństwa w stosunku do cesarza i papieża.

Za Fryderyka II Krzyżacy odgrywali ogromną rolę polityczną. Jeden z nich zarządzał Ateacją, inni byli mężami zaufania w Palestynie. Mówiono, że całe Niemcy rządzone są według ich rad. Ich też upatrzył sobie cesarz na kierowników niemieckiej polityki na wybrzeżach Bałtyku.

Cesarstwo dożywało dni swojej wielkości i wkrótce po świetnej epoce Fryderyka II miało się załamać i utracić znaczenie na dość długi okres. Jego politycznymi spadkobiercami na wschodzie stawali się Krzyżacy. - Konrad Mazowiecki ani mógł odgadnąć, z kim się zaczynał zadawać.

W marcu 1224 r. - jeszcze przed nawiązaniem rozmów z Konradem - w Katanii na Sycylii wydał Fryderyk manifest dotyczący krajów nadbałtyckich, a więc także i Prus. Herman von Salza uczestniczył w przygotowywaniu tego aktu i wywierał bezpośredni wpływ na jego treść. Cesarz obiecywał narodom bałtyckim opiekę pod warunkiem nawrócenia się na chrześcijaństwo, przyrzekał im równe prawa z innymi poddanymi i jednocześnie uwalniał je od zależności wobec jakichkolwiek innych książąt czy królów. Równało się to ogłoszeniu zasady zwierzchnictwa cesarskiego nad krajami bałtyckimi.

W roku 1225 Konrad Mazowiecki zwrócił się do Krzyżaków proponując im, by w zamian za nadanie ziemi chełmińskiej podjęli się obrony pogranicza mazowieckiego od strony Prus. W gruncie zaś rzeczy zamierzał przy ich pomocy podbić ten kraj!

Myśl sprowadzenia mnichów-rycerzy nie była nowa. Pokazywali się już nad Bałtykiem joannici i templariusze, a nawet członkowie hiszpańskiego zakonu Calatrava. Sami Krzyżacy mieli na Śląsku wieś Lasocice koło Namysłowa, darowaną przez Henryka Brodatego, oraz szmat ziemi nad Notecią z łaski Władysława Odonica-Płwacza. Ale dopiero osiedlenie się ich nad Wisłą dawało możliwość szerokiej akcji politycznej, już uprzednio starannie obmyślonej i przygotowanej.

W marcu 1226 r. Herman von Salza otrzymał od cesarza dokument wystawiony w Rimini we Włoszech, a stanowiący podstawę działania w Prusach. Fryderyk dawał Krzyżakom na własność ziemię chełmińską (do czego nie miał prawa, bo Polska w tym czasie nie uznawała zwierzchności cesarstwa nad sobą). Pozwalał im zbrojnie wkroczyć do Prus, podbijać je i zajmować. Zatwierdzał również ich prawa państwowe, którym podlegać mieli zarówno chrześcijanie, jak i poganie.

Przywilej z Rimini wyraźnie zmierzał do utworzenia nowego państwa niemieckiego nad Wisłą, na razie na wschód od niej.

Początkowych działań Krzyżaków nie cechowała energia. Konrad wybudował dla nich na lewym brzegu Wisły zameczek, nazwany Vogelsang, w którym beczynnie osiadła nieliczna załoga. Bodziec stanowiły wypadki z roku 1228, kiedy powstał projekt zorganizowania miejscowego zakonu rycerskiego do walki z Prusami. Byli to tak zwani bracia dobrzyńscy, podlegający cystersom z Szepetala pod Włocławkiem i biskupowi Chrystianowi. Jako uposażenie otrzymali ziemię dobrzyńską położoną między Wisłą, Skrwą i Drwęcą.

W roku 1228 Krzyżacy uzyskali od Konrada ziemię chełmińską, jednakże bez praw zwierzchnich, które nadal miały należeć do księcia. Ułożyli się też z biskupem Chrystianem i w roku 1230 rozpoczęli działania wojenne, posuwając się w dół Wisły. Przekroczyli ją w roku następnym, budując w okolicach dzisiejszego Torunia mały gródek, którego strażnica znajdowała się na gałęziach olbrzymiego dębu.

Jedną z pierwszych ich ofiar stał się niejaki Pipin, siedzący w zamczku Piegza. Zbrojni mnisi schwytali go i po swojemu ukarali za to, że przyjąwszy dawniej chrzest, powrócił do pogaństwa. Rozcięto mu brzuch, przybito kiszki do drzewa i ganiano wokół, aż wszystkie wnetrznosci owinęły się na pniu.

Podboju Prus dokonali Krzyżacy sposobami, wobec których śmierć Pipina nie jest niczym wyjątkowym.

Działaniom zbrojnym towarzyszyły nieustanne zabiegi dyplomatyczne. W roku 1234 biskup Chrystian dostał się do niewoli pruskiej. Krzyżacy bynajmniej nie spieszyli z uwalnianiem go, odwrócić - wyzyskali okazję, by przedstawić papieżowi sfałszowany dokument, zwany kruszwickim, mocą którego Konrad Mazowiecki rzekomo darował im na własność ziemię chełmińską i całe Prusy. Papież ogłosił ten kraj „własnością św. Piotra” i od siebie nadał go Zakonowi. W kilka lat później - w roku 1243 - uznał Prusy za swoje lenno, w ten sposób ostatecznie umacniając pod względem prawnym państwo Krzyżaków.

W roku 1237 niemieccy Kawalerowie Mieczowi znad Dźwiny połączyli się z Krzyżakami. Ziemie bałtyckie dostały się we dwa ognie.

Niewiele wiemy o dawnych Prusach, aczkolwiek wspominał o nich już *Geograf Bawarski* w IX wieku. Jednakże między bajki trzeba włożyć opowiadania o całkowitej dzikości tego ludu. Jeśli chodzi o najważniejszą dziedzinę gospodarki, czyli o rolnictwo - Prusowie mało chyba ustępowali Polsce. Siali i zbierali zboże, hodowlę traktując jako dziedzinę ważną, lecz pomocniczą.

Ludność dzieliła się na wolne pospólstwo chłopskie i właścicieli niezbyt

wielkich majątków. To ci ostatni - pruska arystokracja - urządzali ciągle napady- na pograniczne ziemie polskie szukając łupu, a przede wszystkim niewolników. Mężczyzn zresztą przeważnie zabijano, porywana zaś kobiety i dzieci.

Podbijając kraj starali się Krzyżacy przejednywać pruską szlachtę, członków jej uznając nawet za godnych pasowania na rycerzy, oczywiście po chrzcie.

Słabą stroną Prus był ich ustrój polityczny, a mówiąc ściślej - brak takowego. Jednolitej organizacji państwowej nigdy tu nie wytworzono i po prostu nie było nikogo, kto mógłby obmyślić obronę i pokierować nią. W starciu z Krzyżakami, którzy oprócz siły materialnej rozporządzali najlepszą w całej Europie organizacją i ogromnym zasobemⁿ między politycznej, Prusowie nie mieli ani jednej szansy zwycięstwa.

Dzielili się na dziewięć plemion, z których każde zamieszkiwało osobny obszar. Były to: Pomezania nad Wisłą i Nogatem, Pomezania między jeziorem Drużnem a górną Łyną, Warmia między Zalewem Wiślanym a średnim biegiem Łyny (obszar tej prowincji nie był identyczny z późniejszym biskupstwem warmińskim), Natangia w widłach Pregoły i Łyny, Sambia na półwyspie tegoż imienia, Bareja na prawym brzegu Łyny, Skalowia nad dolnym Niemnem i Jaćwież, czyli Sudawia, na lewym brzegu Niemna nad Szeszupą i Biebrzą. To jeszcze nie wszystko! Każda z wymienionych prowincji dzieliła się na liczne okręgi grodowe, żyjące w znacznym odosobnieniu i do walki z Krzyżakami występujące przeważnie w pojedynkę.

Zakon natomiast działał systematycznieⁿ pamiętając o sposobach wypróbowanych w Palestynie. Szła wyprawa, która natychmiast po zwycięstwie budowała zamek obronny w miejscu strategicznie decydującym.

Prusowie zdobyć go nie mogli, musieli się poddać. Teraz rozpoczynała się kolonizacja kraju.

W 1234 r. założony został Kwidzyn, w trzy lata później Elbląg, co umożliwiło ściąganie z Niemiec posiłków drogą morską.

Kiedy zakładano Kwidzyn, otrzymali Krzyżacy znaczną pomoc, którą przyprowadził burgrabia brandenburski Burchard. Jesienią tegoż 1234 roku zjawily się inne posiłki. Dowodzili nimi: Konrad Mazowiecki wraz z synem Kazimierzem, Henryk Brodaty, Władysław Odonic i Świętopełk gdański. Takiej zjednoczonej potędze Prusowie nie mogli się oprzeć i ponieśli klęskę nad rzeką Dzierzgonia.

Wkrótce jednak zaczęły się pierwsze zatargi książąt polskich z Zakonem. Krzyżacy podporządkowali sobie braci dobrzyńskich i zagarnęli ich dobra, na

co nie chciał się zgodzić Konrad Mazowiecki. Skończyło się na tym, że Konrad odzyskał swoich rycerzy i ziemię dobrzyńską, ale musiał oddać chełmińską.

Mniej więcej w tym czasie, w roku 1237, po klęsce zadanej im przez Litwinów pod Szawłami, Kawalerowie Mieczowi przyłączyli się do Krzyżaków.

Pierwszym z władców polskich, który zorientował się w niebezpieczeństwie, był Świętopełk gdański. Krzyżacy chcieli mu odebrać należące doń oba wybrzeża Nogatu. Świętopełk nie czekał, aż go zaskoczą, lecz uderzył pierwszy, zamknął Zakonowi drogę wiślaną i wezwał Prusów do powstania, które też wybuchło. Walka trwała sześć lat. Przeciwno sobie miał Świętopełk Zakon, Konrada Mazowieckiego, księcia Wielkopolski Bolesława Pobożnego, dwóch własnych braci oraz papieża, który ogłosił krucjatę w Prusach. W roku 1248 stanął pokój. Świętopełk musiał oddać ziemię na prawym brzegu Wisły.

-, Podbój reszty Prus nie trwał już długo. Uderzenie wychodzące jednocześnie z zachodu i ze wschodu dało Krzyżakom Zalew Kuroński. Było to w latach 1252-1254. Wzniesiono wtedy Memelburg, czyli Kłajpedę.

W roku 1255 przybył Krzyżakom z pomocą król czeski Przemysław Ottokar II. Wspólna wyprawa dotarła do ujścia Pregoly, a postawiony tam gród na cześć dostojnego gościa nazwano Królewcem.

Podbój Prus został ostatecznie zakończony w roku 1283. Od chwili, kiedy pierwsze oddziały krzyżackie pod wodzą mistrza krajowego Hermana von Balk przekroczyły zachodnią granicę tego kraju, minęło równo pół wieku.

Między dolną Wisłą a Niemnem powstało więc nowe państwo niemieckie. Cząłko mu wtedy było do narodowego charakteru. Pragnąc wzmocnić żywioł niemiecki, sprowadzali Krzyżacy i obdarowywali przywilejami ludność z Rzeszy, nie tylko rycerzy, lecz także - a nawet przede wszystkim - mieszczan i chłopów.

Szlachta pruska, ta mianowicie, co przyjęła chrzest i nie uczestniczyła w powstaniach, zachowała prawa i stanowiła warstwę drobnego rycerstwa. Chłopsztwo pruskie, prześladowane okrutnie, popadło w ciężką niewolę i masowo ginęło. W początkowym okresie Zakon wzbraniał mu nawet zawierania małżeństw.

Ale przez długi jeszcze czas kraj nie miał charakteru niemieckiego. Z Mazowsza napłynęło wielu osadników polskich, którzy pomimo ucisku zachowali narodowość aż do naszych czasów. Leżąca nad Wisłą i Nogatem Pomezania już podczas podboju krzyżackiego była w połowie polska.

Dzisiaj o dawnej historii Prus niezbitie świadczą nazwy miejscowości, acz-

kolwiek Krzyżacy zawsze usiłowali narzucić nowe miana. Nazwy te przecho-
dziły bardzo dziwne koleje. Raz polscy przybysze przejmowali je wprost od
Prusów i polszczyli, to znów otrzymywali je w postaci już zgermanizowanej.
Bywało i tak, że dawny dźwięk pruski brzmiał w nowym słowie niemie-
ckim.

Reszel na przykład wywodzi się wprost od staropruskiej nazwy Resl, zapi-
sanej już w 1254 r., Węgorzewo zaś" pochodzi od rzeki Węgorapi, która jeszcze
w 1326 r. zwała się Wangrapia, czyli krzywa lub płynąca parowami rzeka.

Inaczej było z Olsztynem, po niemiecku Allenstein. Początek temu słowu
dała staropruska nazwa rzeki, nad którą leży miasto - Alna. W polskim język
miano to brzmiało początkowo Lana, w niemieckim - Alle.

Raz jeszcze się okazuje, że można wytepić^aaród, ale żadna siła nie zdo-
żładzić mowy ludzkiej utrwalonej na piśmie..

IV

Kiedy na północy kraju dokonywał się tragiczny w skutkach podbój krzy-
żacki, południowy zachód był widownią wydarzeń, trudną, ale wyraźną drogą
zmierzających do zjednoczenia Polski.

Myśl o nim istniała właściwie nieprzerwanie. Wprawdzie Kazimierz Spra-
wiedliwy zwichnął postanowienia testamentu Krzywoustego, ale do przywró-
cenia jedności dążył Mieszko Stary, po którym zamysły te dziedziczył Wła-
dysław Laskonogi. Pamiętamy, że umierając na Śląsku w roku 1231 zapisał or
swe ziemie i prawa Henrykowi Brodatemu.

Był to syn Bolesława Wysokiego, a więc wnuk Władysława Wygnańca
Rodził się z Niemki, Adelajdy, hrabianki Sulzbach.

Jego starszy i przyrodni brat Jarosław (urodzony z księżniczki ruskiej
Wiacesławy) został biskupem wrocławskim. Jeszcze przedtem, po zajadłych
sporach rodzinnych, których łagodzeniem zajmował się Kazimierz Sprawie-
dliwy, dano mu jako wyposażenie Nysę i Otmuchów. Jarosław nie. cierpiał
własnej familii, więc zapisał te miasta i ziemie biskupom wrocławskim, którzy
później przybrali tytuł książęcy, dbając zaś o swe dziedzictwo, rozbudowali i
ozdobili Nysę tak świetnie, że zaczęto ją nazywać śląskim Rzymem.

Śląsk ówczesny wyróżniał się od innych dzielnic polskich rozwojem gospo-
darczym, kulturą oraz bliskimi związkami z zachodnią Europą. Już Bolesław
Wysoki był człowiekiem wykształconym i otartym w świecie. Zmarł w roku
1201, przekazując rządy synowi Henrykowi, który opierając się na rycerstwie i
bogatych miastach potrafił rozwinąć i urzeczywistnić szeroki program poli-
tyczny.

Na Śląsku istniało w tym czasie sześćdziesiąt sześć grodów, otoczonych podgrodziami, czyli osadami o charakterze niewątpliwie miejskim. Potężnie rozwijało się hutnictwo oraz górnictwo. Dobywano między innymi srebro. Z tego wszystkiego - z opłat, czynszów, kar sądowych - ciągnął książę znaczne dochody. Jak mógł, ułatwiał chłopom osadnictwo. Na Śląsku najwcześniej zaczęli wieśniacy spłacać powinności nie w naturze, lecz gotowym pieniądzem, który to system był bez porównania dogodniejszy i sprzyjał gospodarce.

Henryk ożenił się z Jadwigą, którą jeszcze w tym samym stuleciu XIII Kościół zaliczył w poczet świętych. W chwili ślubu oblubienica miała dwaście wiosen, pierwsze dziecko urodziła w trzy lata później.

Św. Jadwiga była rodowitą Niemką, księżniczką Meranu. Od dziecka wychowywana najpierw we Francji, a potem nad Odrą, znała nasz język i pamięć o niej nierozdzielnie należy do polskiej tradycji Śląska. Pochodziła z tegoż rodu, z którego wywodził się św. Otto - ten sam, co z rozkazu Krzywoustego chrzczył Pomorze". Jedną jej siostrą - Engeltrudis - była królową Francji, drugą - Gertrudis - Węgier.

W roku 1209 - wydawszy już na świat sześcioro dzieci - małżonkowie złożyli w katedrze wrocławskiej ślub czystości dozgonnej. Na pamiątkę tego zdarzenia książę zapuścił brodę, której nigdy nie strzygł, i stąd jego przydomek. Jadwiga rozpoczęła odtąd surowy żywot mniszki.

Jej ukochane dzieło, świetny kościół i klasztor w Trzebnicy, budowano od roku 1203. Przy tej okazji książę Henryk powziął oryginalne postanowienie: ogłosił, że wszystkie wyroki śmierci wydawane w jego państwie mają być zamieniane na przymusową pracę w Trzebnicy. Nie wiadomo, czy nie wpłynęło to na zbyt pochopne szafowanie karą główną. - Osada, która powstała przy klasztorze, otrzymała prawa miejskie w roku 1224.

Henryk Brodaty był tym panem Wrocławia, który przeniósł punkt ciężkości miasta na lewy brzeg Odry, budując tam zamek. Pierwotna, najdawniejsze czasy piastowska pamiętająca twierdza stała na cyplu Ostrowa Tumskiego, obok dzisiejszego kościoła Św. Marcina.

Mądry, ambitny i zapobiegliwy książę nie zmarnował możliwości, jakie się przed nim otworzyły z tytułu testamentu Laskonogiego oraz opieki nad małoletnim synem Leszka Białego, Bolesławem Wstydliwym, przebywającym w Sandomierzu. Konrad Mazowiecki obrzydł już Małopolsce, co też nie było bez znaczenia. W roku 1232 Brodaty przejął władzę nad tą dzielnicą, a w roku następnym zabrał się do opanowywania Wielkopolski. Rycerstwo tamtejsze podniosło właśnie otwarty bunt przeciwko Władysławowi Odonicowi, którego

stale popierał kler. Ostatecznie Henryk Brodaty zajął Poznań i Kalisz. Wprawdzie władza jego nie była jeszcze umocniona, trwał spór z arcybiskupem gnieźnieńskim Pełką i na głowę bogobojnego męża św. Jadwigi spadła klątwa kościelna, ale pokój zawarty w roku 1234 przyniósł mu bardzo znaczne korzyści: wszystkie ziemie na lewym brzegu Warty uznały go swym panem.

Tak więc u schyłku życia stary książę ujrzał się zwierzchnikiem połowy ziem polskich: Śląska, Małopolski i południowo-zachodniej Wielkopolski. Dzierżył sam Kraków, ośrodek i symbol jedności państwa! Zaraz też zaczął przemysłować o koronie królewskiej dla syna, Henryka II zwanego Pobożnym.

Henryk Brodaty umarł w roku 1238. Św. Jadwiga przeżyła go o pięć lat. Obydwoje" spoczęli w kościele trzebnickim.

Henryk Pobożny nie zawiódł planów ojca i okazał się jego godnym następcą. Dażył do zdobycia korony, ale zrećcznie zmienił linię polityczną. O ile ojciec z konieczności opierał się na porozumieniu z cesarzem, o tyle syn przerzucił się na stronę papieża Grzegorza IX, walczącego właśnie z Fryderykiem II. Papież wszak był szafarzem koron. Spór z arcybiskupem gnieźnieńskim Henryk Pobożny załagodził, a samo Gniezno przyłączył do swoich ziem. W roku 1239 pobił Brandenburczyków i arcybiskupa magdeburgskiego, obronił Lubusz i odebrał Niemcom Santok. Tego wszystkiego zdążył dokonać w przeciągu trzech lat za ledwie. Zginął wczesną wiosną 1241 r. Wypadki, którym nikt w , Polsce ani w Europie zapobiec nie mógł, przerwały świetnie się zapowiadające dzieło jednoczenia kraju pod berłem dziedziców Wrocławia.

Mowa o najeździe Tatarów. Znaczenie jego dla Polski i krajów, których historia stale przeplata się z naszą, było tak olbrzymie, że trzeba mu poświęcić sporo uwagi i cofnąć się w czasy nieco dawniejsze.

W roku 1206 kurułtaj - jakby sejm mongolski - zwołany nad rzeką Ononem, dopływem Bajkału, uznał i ogłosił niejakiego Temudżyna, syna Jesugeja, Czyngis-chanem, czyli władcą, chanem powszechnym. Wybrany miał wtedy lat pięćdziesiąt. Urodził się w roku 1155 lub 1156 w jurcie ojca, wodza jednego z plemion mongolskich. Legenda głosi, że noworodek trzymał w zaciśniętej pięści grudkę skrzepłej krwi.

Niedawno mówiliśmy o tym, że znakomicie zorganizowanym Krzyżakom wystarczyło za ledwie pół stulecia na podbój kraju położonego między dolną Wisłą a Niemnem...

W roku 1206 Czyngis-chan był dopiero zwierzchnikiem plemion mongolskich żyjących z pasterstwa i łupieżczych wypraw. Sam je zjednoczył, gdyż wcześniej osierocony utracił władzę nawet nad drużyną nukerów - wojowni-

ków - ojca i musiał zaczynać od niczego. W pół wieku po owym kurułtaju nad Ononem następcy Czyngis-chana niepodzielnie władali na obszarze od Dniepru i Donu po lewy brzeg Jangcy i Koreę włącznie, a podlegały im ponadto księstwa ruskie wraz z Kijowem i Moskwą.

Nie można zaprzeczyć, że Czyngis-chan był jednym z najbardziej genialnych wodzów i organizatorów, jakich zna historia. Ale trzeba też pamiętać, że triumfy swe w bardzo dużej mierze zawdzięczali Mongołowie umiejętnościom zapożyczonym od ludów o prastarej i niezwykle wysokiej kulturze. Jeszcze przed Temudżynem pozostawali w ciągłych stosunkach z Chinami oraz z przybyszami z krajów muzułmańskich, przeważnie kupcami. Sami Mongołowie - od jednego z plemion zamieszkałych na pograniczu Mandżurii zwani też Tatarami - nie przyjęli jeszcze wtedy wiary Mahometa i wyznawali szamanizm.

" Od Chińczyków nauczyli się administracji, która pozwalała im szybko organizować zdobyte obszary. Od nich też przejęli absolutnie nie znaną krajom europejskim technikę - maszyny oblężnicze, miotany przez nie „ogień grecki", a także pierwowzory gazów trujących oraz proch. Stamtąd, jak również od muzułmanów pochodziły takie rzeczy, jak znakomita łączność, zapewniana przez łańcuch stacji pocztowych i konnych gońców, oraz daleki wywiad, który dziś nazwalibyśmy strategicznym.

Również pod względem taktyki górowali Tatarzy zdecydowanie. Służba wojskowa stanowiła obowiązek wszystkich wolnych mężczyzn. Gpfu CZ ÍSgO istniała doborowa gwardia Czyngis-chana, chodząca w pole tylko razem z nim. Armia - w całości konna - uzbrojona była jednolicie, zaopatrywana przez doskonale działające służby, podzielona na tümeny - po dziesięć tysięcy wojowników w każdym - dalej na tysiące, setki i dziesiątki. Nieustannie ćwiczona, posiadała pełną zdolność manewrowania na polu bitwy.

Wobec takiej siły bezradne były wojska europejskie, pozbawione lekkiej kawalerii. Ciężkie rycerstwo umiało tylko szarżować na wprost i prowadzić walkę przypominającą ^{sze} reg pojedynków. Raz związawszy się z nieprzyjacielem, stawało się już niezdolne do obrotu i manewru taktycznego.

Czyngis-chan zmarł w tym samym roku, kiedy na polach koło Gąsawy zginął Leszek Biały - w 1227. Jeszcze za jego życia Mongołowie podbili północne Chiny, Syberię, Azję Środkową, dokonali kawaleryjskiego rajdu wokół Morza Kaspijskiego, przeszli Kaukaz, Krym i odnieśli pierwsze zwycięstwo nad wojskami europejskimi. 31 maja 1223 r. książęta ruscy przegrali z nimi sławną bitwę nad Kalką w pobliżu Morza Azowskiego.

Po śmierci Czyngis-chana władztwo na zachodzie odziedziczył jego wnuk

Batu, który w roku 1236 rozpoczął wojny z Rusią. Najpierw pobił mieszkających nad Wołgą Bułgarów i w roku 1237 uderzył na północ, na księstwo rzyzańskie. Zdobył Moskwę, Suzdal i Włodzimierz, którego książe, Jerzy Wsiewołodowicz, poległ w bitwie nad rzeką Sit. Tylko wiosenne roztopy ocaliły Wielki Nowogród. Zimą 1240 r. Tatarzy przeszli po lodzie Dniepr i napadli na Kijów. Nie zdołał go obronić wojewoda księcia Daniela halickiego, Dymitr. Stolica została zdobyta i doszczętnie zniszczona.

W 1241 r. nastąpił najazd na Węgry i Polskę. Z wojskiem szedł sam Batu, ale właściwe dowództwo sprawował jeden z najsłynniejszych podkomendnych Czyngis-chana, Sübeetej, zwycięzca znad Kałki.

Celem wyprawy były Węgry, których król Bela IV odmówił spełnienia żądań tatarskich, a posłów stracił. Jedna kolumna ruszyła jednak przez Polskę, chcąc może uniemożliwić jej przyjsię Węgom z pomocą. Wywiad tatarski musiał wiedzieć, że siedzący w Sandomierzu książe polski Bolesław ma za żonę królową węgierską, a Henryk Pobożny i Bela IV to cioteczni bracia.

Zgrupowanie armii dokonało się na Rusi halickiej. Siły mające iść na Polskę rozdzieliły się na dwa zagony. Jeden ruszył prosto przez Małopolskę na Śląsk, drugi opisał łuk w kierunku Łęczycy i również zawrócił ku górnej Odrze, gdzie połączył się z pierwszym.

13 lutego po krótkiej i zaciętej obronie padł Sandomierz. Pokolenia pamiętały rzeź sprawioną w mieście przez Tatarów. 18 marca rycerstwo małopolskie pod wojewodą Sulisławem zastąpiło im drogę koło Chmielnika i poniosło klęskę. W sześć dni później padł Kraków. We Wrocławiu mieszczenie sami spalili miasto na lewym brzegu rzeki i schronili się na obwarowany ostrów odrzański, gdzie ocaleli. W Opolu ludność uszła pewnie wraz z dobytkiem w lasy. W zgłiszczach ich spalonego grodu nie znaleziono bowiem szkieletów ani żadnych śladów walki.

Książę Henryk Pobożny cofnął się nieco na zachód. Czekał na posiłki czeskie, które nie przyszły. Pod jego rozkazami stłó rycerstwo śląskie, wielkopolskie, niedobitki małopolskiego, uzbrojeni chłopci i górnicy oraz nieliczne, pomocnicze oddziały Krzyżaków i templariuszy.

9 kwietnia 1241 r. doszło do morderczej bitwy pod Legnicą, przegranej przez Polaków. W decydującej fazie bitwy po stronie Tatarów „buchnęła... jakiś para gęsta, dym i wyziew tak smrodliwy, że za rozejściem się między wojskami tej zabójczej woni Polacy mdlejący i ledwo żywi ustali na siłach i niezdolnymi stali się do walki”.

Przytoczone słowa pochodzą od Długosza, który rzecz całą przypisywał czarom. A były to dobrze znane Tatarom gazy drażniące oraz dymy bojowe, z

których zastosowaniem miała się Europa ponownie zapoznać dopiero w czasie pierwszej wojny światowej[^] ale już na ogromną skalę.

Henryk Pobożny walczył do końca i poległ pchnięty dzidą pod pachę w chwili, kiedy wznosił miecz do cięcia. Głowę jego obnosili Tatarzy na pice wokół murów grodu, którego nie potrafili zdobyć. Ciało księcia odnalazła na pobojowisku wdowa po nim, Anna czeska, rozpoznawszy je po szes'ciu palcach u lewej stopy.

Przez Morawy pociągnęli Tatarzy na Węgry. Cały ten kraj dostał się w ich ręce. Król Bela uszedł na wyspy dalmatyńskie, przednie straże mongolskie docierały już do granic Austrii, kiedy przyniesiona z Karakorum wieść o śmierci wielkiego chana Ugedeja skłoniła do odwrotu.

Podział imperium, który teraz nastąpił, uczynił Batu-chana władcą jego zachodniej czes'ci, zwanej odtąd Złotą albo Siną Ordą. Państwo to dotykało Dniestru, obejmowało kraje nad dolnym Dnieprem, cały bieg Wołgi, dochodziło do Gór Uralskich i przez Stepy Kipczaackie sięgało aż do Azji Środkowej. Stolicą był Saraj położony nad Achtubą, ramieniem Wołgi.

Wiele jeszcze najazdów tatarskich miała Polska odpierać, żaden jednak nie był tak straszny i nie posiadał takiej grozy, jak włas'nie pierwszy. Wieść o nieludzkich okrucieństwach Mongołów wyprzedzała ich zagony i sprawiała, że ludność porzucała osiedla i kryła się, gdzie można. Tak się stało w Opolu, podobnie postąpili mieszkańcy Wrocławia. - Kiedy później armia Kubiaj-chana przekroczyła Jangcy i zdobyła resztę Chin, postępowanie jej cechowała powściągliwość, a nawet łagodność. Ale srogość wcześniejszych wypraw na zachód przekraczała granice wyobraźni. Szczytem wszystkiego był podbój królestwa Chorezmu, położonego nad Morzem Aralskim. Wojownicy Czyrgis-chana mordowali wtedy całą ludność miast, ciężarnym kobietom rozpruwali łona niszcząc nie narodzone jeszcze płody. Na Polskę i Węgry wiódł Tatarów ten sam Subee-tej, który zdobył Chorezm.

Taki oto czynnik polityczny wmieszał się w wieku XIII w nasze dzieje i na długi czas zdecydowanie zaciążył nad życiem państw, z którymi graniczyliśmy od wschodu.

Z dotychczasowego opowiadania jasno wynika, jak blisko Polska piastowska ^jnośćyła z Rusią, iloma węzłami łączyły się oba narody. Nie było ani jednej stolicy dzieiruCC^{wet}> na której tronie nie zasiadałyby ruskie księżniczki jako żony Piastów. Widywał je i siZ królewski Kraków. Polskie wojska chadzały do Kijowa, wzywane przez Świętopełka i ÍZSSława. Ruscy wojownicy płynęli łodziami Bugiem wspomagać Odnowiciela przłCiw Masia* 0^{wl} - Bywały i walki o takie czy inne obszary pograniczne, ale przyczyny ty^{dh} stare nigu.,⁷™ nie

stanowiła zasadnicza wrogość, taka co każe dążyć do całkowitego zniszczenia przeciwnika.

Najazd tatarski głęboko wpłynął na historyczny rozwój Rusi i naruszył ów cenny, wiekami wypracowany stan współżycia, wzajemnego zrozumienia i równowagi między nią a Polską.

Legat papieski G. Pian del Carpine, który w kilka lat po najeździe wraz z Benedyktem Polakiem wybrał się do Tatarów, naliczył w Kijowie tylko ze dwieście zamieszkałych domów. Na wielkich przestrzeniach wokół miasta nie widywał żywych ludzi, lecz rozrzucone po stepach kościotrupy. A przecież Kijów był dotychczas naprawdę wielkim ośrodkiem handlowym i nie lada jakim ogniskiem kultury. Osłabiony po najeździe Andrzeja Bogolubskiego i napadach innych rodzimych dynastów, utrzymał jednak wiele ze swego dawnego znaczenia. Dopiero chan Batu obrócił go w zupełną ruinę, za jednym zamachem burząc też i bogatą strukturę społeczną Rusi. W kraju tym, położonym nad ważnymi szlakami handlowymi, decydujące znaczenie mieli dawniej kupcy, obrotni, zamożni, ceniący wolność ludzkie miast... Nie darmo stare przysłowie niemieckie głosi: *Die Stadluft macht frei* - powietrze miejskie czyni wolnym...

Tatarzy narzucili ruskim książętom swe zwierzchnictwo. Każdy z nich otrzymywał od chana nadanie władzy, tak zwany jarłyk. Przewagę Tatarów musiał uznać nawet książę Wielkiego Nowogrodu, Aleksander Newski, który w roku 1242 pokonał niemieckich Kawalerów Mieczowych na Lodowym Pobojuwisku.

Wobec osłabienia, i to katastrofalnego osłabienia Rusi południowej tym bardziej wzrastało znaczenie północnej, również zresztą zależnej od Mongołów. Z ziem państwa włodzimierskiego wydzieliło się księstwo moskiewskie, na razie małe. Około roku 1260 objął w nim władzę syn Aleksandra Newskiego, Daniel Aleksandrowicz - założyciel tamtejszej linii książęcej.

Stosunki społeczne na północy były zupełnie inne niż w Rusi Kijowskiej. Brakło kupców i miast, zdecydowaną przewagę miało rolnictwo. Sprzyjało to oczywiście wytwarzaniu się absolutnej władzy książąt.

Zmiany zachodzące na Rusi miały jeszcze jeden ogromnie ważny skutek. Stworzyły mianowicie niezwykłą, bajeczną wprost koniunkturę dla Litwy która zaczęła zajmować wyludnione prowincje ruskie, bez specjalnego wysiłku podbijając je -jedną po drugiej. Ostatecznie Litwa zajęła kotlinę Niemna, dorzecze Dniepru i doszła do Morza Czarnego. Tak powstało olbrzymie imperium „litewskie” którym było osiemdziesiąt procent ziem i ludności ruskich państwo przy pozorach siły w gruncie rzeczy całkiem słabe.

Wszystko to dokonało się stopniowo, z czasem. Jednak omawiając skutki najazdu Tatarów trzeba od razu wybiec myślą naprzód i powiedzieć, że spowodował on zasadnicze zmiany za wschodnią granicą Polski.

Z tworzącą się pomału na północy potęgą moskiewską, która miała później przystąpić do systematycznego „zbierania ziemi ruskiej”, Polska bezpośrednich stosunków nie utrzymywała. Decydowała o tym już sama odległość.

A jakie były skutki najazdu Tatarów dla Polski?

Okrutne zniszczenie niektórych miast i dzielnic było tylko doraźnie ważne. Od dawna całkiem dobrze zagospodarowany kraj potrafił szybko odrobić straty.

Prawdziwa klęska to śmierć Henryka Pobożnego i zatarata planów zmierzających do zjednoczenia państwa pod berłem Piastów śląskich. Ziemie pracowicie złączone przez obu wrocławskich Henryków znowu powróciły do małych ksiąząt dzielnicowych. Ale - jak się to wkrótce okaże - wśród tych ostatnich wcale nie brakowało ludzi dzielnych, dalekowzrocznych i mających na oku dobro całej ojczyzny. ,

Na razie jednak - w połowie XIII stulecia rozdrobnienie Polski doszło do szczytu.

V

O Małopolskę znowu upomniał się aż nazbyt w tej sprawie energiczny i wytrwały Konrad Mazowiecki. Ale tamtejsze rycerstwo wcale nie pragnęło go za pana, przyzwało więc z Sandomierza Bolesława Wstydlwego, który dorastał już lat męskich. W roku 1243 Małopolanie rozbili pod Suchodołem drużyny Konrada, który w cztery lata później umarł.

O rok tylko przeżył go najstarszy syn, Bolesław. Dziedzina mazowiecka przypadła więc w udziale dwóm młodszym. Kujawy z Łęczycą i Sieradzem wzięły Kazimierz, rządy nad właściwym Mazowszem sprawował Ziemowit. Warto zapamiętać chwilę powstania tych księstw, gdyż oba odegrały znaczną rolę w dziejach Polski. Z Kujaw właśnie wywodził się człowiek, który ją miał zjednoczyć.

Władysław Odonic, uparty pretendent do władzy nad Wielkopolską i wytrwały klerykal, nie żył już od roku 1239. Niewiele dobrego da się powiedzieć o tym księciu, sprawcy śmierci Leszka Białego. Ale synowie udali mu się bardzo. Miał ich dwóch: Bolesława Pobożnego i Przemysła I. Potrafili oni

porozumieć się z możnowładztwem duchownym i świeckim, a także z rycerstwem i wkrótce po bitwie pod Legnicą podporządkować sobie całą Wielkopolskę. Ślązacy przez pewien czas trzymali Santok, Międzyrzecz, Zbąszyń i Kalisz, ale wycofali się stamtąd.

W roku 1253 bracia podzielili między siebie Wielkopolskę. Bolesław Pobożny osiadł w Gnieźnie, Przemysław zaś w Poznaniu i Kaliszu.

Stanowczo najgorzej wyszedł na najeździe tatarskim Śląsk. Nie tylko bowiem utracił znaczenie dzielnicy przodującej krajowi, ale sam rozpadł się na księstwa: wrocławskie, legnickie i głogowskie.

Trzeba poświęcić nieco uwagi najstarszemu z synów Henryka Pobożnego, Bolesławowi, zwanemu Łysym lub Rogatką. O! - bynajmniej nie ze względu na jego cnoty czy zdolności polityczne. Wręcz przeciwnie - był to łotr bez czci, wiary i sumienia, a jego najważniejsze posunięcie dyplomatyczne przyniosło Polsce niepowetowaną stratę.

Już w cztery lata po śmierci pobożnego ojca zasłynął Rogatka w Środzie Śląskiej, którą obiegił na czele niemieckich najemników, walcząc z bratem - Henrykiem III wrocławskim. Kilkuset mieszkańców miasta, co się schronili do kościoła, spalił w nim żywcem.

Porywał krewnych, biskupów, książąt i więził ich w zamku legnickim, wymuszając okupy. Spadały nań klątwy papieskie, z których nic sobie nie robił. Właściwy sposób porozumiewania się z nim wynalazł dopiero Przemysław Wielkopolski. Ruszył zbrojnie na Śląsk, pochwycił samego Rogatkę i tak długo trzymał w niewoli, aż tamten zgodził się wydać bratu Konradowi dzielnicę głogowską.

Legnica za jego czasów zasłynęła jako gniazdo zbója. Ożenił się z Adelajdą, córką księcia gdańskiego Sambora II. Stało nie było trwałe, gdyż księżna „wszetcznością gamracką męża przენiewierczego obrażona, pieszo do domu ojcowskiego odeszła”. Z Legnicy do Gdańska! - Z innej żony, Niemki, miał Rogatka dzieci - o dziwo! - udane.

Wbrew pozorom, był Bolesław Rogatka idealnym typem współczesnego Europejczyka. Od takich jak on roiło się wtedy w Niemczech, gdzie władza cesarska leżała w gruzach, a nawet sam tyfuł na długo przestał istnieć. Po śmierci Fryderyka II, który zmarł na dyzenterię 13 grudnia 1250 r., Niemcy popadły w zupełną anarchię. Okres ten w ich dziejach nosi nazwę wielkiego bezkrólewia. W tamtejszych zamkach pełno było duchownych braci naszego Rogatki, raubritterów - zbójów-rycerzy - od których nikt nie był bezpieczny.

Rogatka otaczał się Niemcami, ale zgermanizowany nie był. Trzymał na

dworze chłopca śląskiego Kwiatka, który zabawiał go opowiastkami. Mówił po niemiecku tak, że otoczenie miało setną uciechę.

Ojciec przeznaczył mu Wrocław, ale Rogatka zamienił się z bratem Henrykiem na jego Legnicę. Potem pożałował decyzji i zażądał jej skasowania. Henryk odmówił i Rogatka kilkakrotnie - lecz bezskutecznie - oblegał Wrocław. Kiedy mu zabrakło pieniędzy na jedną z tych wypraw, uzyskał je, sprzedając w roku 1250 margrabiemu brandenburskiemu ziemię lubuską. To właśnie „posunięcie polityczne” stało się dla Polski prawdziwą katastrofą.

Marchia Brandenburska nieustannie rozrastała się ku wschodowi. Istniał już Berlin, założony w roku 1231. W rok potem powstała Spandawa. Nabycie za pieniądze ziemi lubuskiej było sukcesem niezwykle ważnym.

Kraj ten leżał u ujścia Warty do Odry. Prowadziły tędy główne drogi ze Śląska i Wielkopolski na Pomorze Zachodnie, które zostało teraz odcięte od reszty Polski.

Brandenburgcy przekroczyli więc Odrę, rozpoczynając w roku 1253 budowę Frankfurtu. Nad dolną Wartą założyli tak zwaną Nową Marchię. Główny jej gród - Landsberg, czyli Gorzów - stanął w roku 1257 na wprost Santoka, zwanego kluczem królestwa polskiego.

Nabycie ziemi lubuskiej i Nowej Marchii nie tylko odcinało Pomorze Zachodnie, lecz wytyczało również Niemcom drogę dalszego marszu. Wiesz on musiał wzdłuż Noteci prosto ku Wiśle, na której prawym brzegu umocnili się już Krzyżacy. Dążenie obu tych państw germańskich do zetknięcia się było tendencją łatwą do przewidzenia i zupełnie zrozumiałą. Urzeczywistnienie tego celu całkowicie odepchnęłoby Polskę od morza.

" Pierwsze znane w historii starcie Polaków z Niemcami rozegrało się, jak pamiętamy, w roku 972 właśnie u spływu Warty i Odry. Mieszko I i Czcibor pobili wtedy pod Cydzyną wojsko margrabiego Hodona. Rozmaicie później układały się stosunki Polski z cesarstwem - walki następowały po układach, oba kraje widywały zwycięskie armie przeciwnika. Jednakże przez trzysta lat potrafiła Polska upilnować swojej zachodniej granicy na Odrze. Dopiero nieszczęsna sprzedaż ziemi lubuskiej dokonała wyłomu, i to niestety trwałego.

Brandenburgcy nie poprzestali na Lubuszu i Nowej Marchii. W roku 1266 zdobyli Santok, a w 1271 weszli do Gdańska.

Tak wielkie sukcesy zawdzięczali nie tylko własnej sile i bezwzględnej polityce, lecz również ujemnym zjawiskom zachodzącym wewnątrz Polski. Podzielony na drobne księstwa kraj nie mógł się zdobyć na skuteczną obronę. W roku 1251 zdarzyła się niebываła historia. Luźny oddział niemiecki dowie-

dział się od pastucha, że grodu w Zbąszyniu strzeże w tej chwili załoga składająca się z trzech chłopów, i naturalnie zajął twierdzę.

Fatalną rolę odegrały też zakony joannitów i templariuszy. Hojnie poprzednio obdarowywane przez piastowskich książąt i możnowładztwo, teraz zdradzały swoich dobroczyńców. Posiadłości tych mnichów-rycerzy łatwo stawały się typową „piątą kolumną” wewnątrz Wielkopolski. Brandenburczycy mieli w nich sprzymierzeńców w środku kraju, na który napierali.

Spory między polskimi książętami nadal dostarczały Niemcom doskonałych okazji. Tak właśnie było z Gdańskiem.

W 1266 roku zmarł książę Świętopełk (który ongi pierwszy porwał się do walki z Krzyżakami i wspomagał Prusów). Synowie jego zaraz rozpoczęli kłótnię o spadek. Dziedzic Gdańska Ms'ciwoj, nie mogąc sobie poradzić z bratem Warcisławem ze Świecia, uznał się lennikiem Brandenburgii i poprosił ją o pomoc. Margrabiowie siłą zajęli Gdańsk i Tczew. Poparł ich patrycjat, czyli kupiecka arystokracja tych miast, składająca się w tym czasie już z Niemców. Taki obrót sprawy otrzeźwił Ms'ciwoja, który zwrócił się o ratunek do Wielkopolski.

Jak już wiemy, po śmierci Odonica-Plwacza stosunki w tej dzielnicy zaczęły się odmieniać na lepsze. Ważną, aczkolwiek wcale nie wyłączną rolę odegrali w tym wspomniani już książęta - ludzie zdolni, dzielni i wykształceni. Po rychłym zgonie Przemysła I Bolesław Pobożny zjednoczył całą Wielkopolskę.

Najazd tatarski nie dotknął tego kraju, który rozwijał się dobrze. Powstawały liczne miasta i w XIII w. wiele z nich otrzymało samorząd. Zakładano nowe wsie. Moźnowładztwo świeckie nie miało zbyt wielkiego znaczenia, z wyjątkiem takich rodów, jak Nałęczycze i Zarebowie. Za to średnie i drobne rycerstwo było liczne i skłonne do popierania książąt przeciwko wielkim panom.

Rozwój wewnętrzny Wielkopolski, wzrost zamieszkalności i kultury, w połączeniu z naciskiem niemieckim idącym z dwóch stron - od Odry i Prus - sprzyjał obudzeniu patriotyzmu i mądrej polityce.

Bolesław Pobożny usłuchał wezwań księcia Ms'ciwoja. W roku 1272 ruszył zbrojnie na Pomorze, zdobył szturmem Gdańsk i wyparł stamtąd Niemców. Później walczył z Brandenburgią nad Odrą i odzyskał Santok.

Umierając przekazał Bolesław Wielkopolskę najwybitniejszemu człowiekowi z tej linii Piastów, swemu bratankowi Przemysłowi II. Był to syn Przemysła I i córki Henryka Pobożnego poległego pod Legnicą, Elżbiety.

Nic szczególnie ważnego nie działo się wtedy na Mazowszu, którym rządili spadkobiercy Konrada - Kazimierz i Ziemowit.

Pod względem społecznym i gospodarczym Mazowsze było najbardziej zacofaną dzielnicą Polski, toteż słabo działały tutaj takie czynniki, jak rozwój rzemiosł, handlu i miast, które gdzie indziej sprzyjały myślowi o zjednoczeniu kraju i zaprowadzeniu w nim ładu. Za to zagrożenie od zewnątrz było wielkie i ono właśnie musiało skłaniać rycerstwo mazowieckie do zastanawiania się nad położeniem.

Krzyżacy kończyli podbój Prus i daremnie się okazały wszelkie rachuby, że przy ich pomocy uda się Mazowszanom opanować tę ziemię. Rosło ponadto niebezpieczeństwo litewskie. Najazdy stawały się coraz częstsze i groźniejsze. W roku 1262 w walce z Litwinami zginął książę Ziemowit (od którego wywodzi się linia mazowiecka istniejąca do XVI wieku), a syn jego - Konrad - dostał się do niewoli. W roku 1294 Litwini dotarli aż do Łęczycy, gdzie spalili gród wzniesiony jeszcze przez Krzywoustego w czasie zatargów ze Zbigniewem. W bitwie stoczonej z nimi nad Bzurą poległ książę łeczycki Kazimierz II.

Niebezpieczeństwo litewskie skłaniało władców Mazowsza do utrzymywania dobrych stosunków z Rusią, zwłaszcza z książętami z linii włodzimiersko-halicckiej.

Od strony Litwy starano się zresztą zabezpieczyć i w inny sposób, wyzyskując okazję, jaką w roku 1251 stworzył chrzest jej wielkiego księcia, Mendoga.

Około roku 1240 opanował on władzę nad całą Litwą i rozpoczął energiczne podboje. Zagrożony przez koalicję Krzyżaków i Rusi oraz przez bunt wewnętrzny, zdecydował się przyjąć chrzest. Krzyżacy, dążący oczywiście do rozszerzenia swych wpływów, wyjednali mu nawet u papieża koronę królewską; którą Mendog przywdział w roku 1253.

Korzystając ze sposobności arcybiskup gnieźnieński wyświęcił polskiego dominikanina Wita na pierwszego biskupa litewskiego. Zamiar poddania Litwy oddziaływaniom Polski tym razem spełził jeszcze na niczym. Krzyżacy nie przepuścili Wita na Litwę, a "chrześcijaństwo nie przyjęło się tam. W 1263 roku Mendog wraz z dwoma synami został zamordowany przez współzawodniczących z nim książąt, Trojnata i Dowmonta.

Sprawy wschodnie żywo interesowały w tym czasie i Małopolskę. Trudno zresztą było o nich zapomnieć, skoro same się przypominały ciągłym niebezpieczeństwem.

Mniej groźna była Litwa. Napady z jej strony dokuczały mocno i wiele kosztowały, zwłaszcza od roku 1264, kiedy to Polacy pobili Jadźwingów i zabrakło przegrody między naszą wschodnią granicą a ziemiami Mendoga.

Stosunki na rubieży stały się tak niepewne, że wypadło na przykład przenieść żeński klasztor z Zawichostu w bezpieczniejsze miejsce, do Skały.

W przeciągu piętnastu lat po zwycięstwie nad Jadźwingami sześciokrotnie najeżdżali Litwini na ziemie polskie.

Wyprawy ich były jednak nieznacznymi przykrościami w porównaniu z grozą i zniszczeniem, jakie siały zagony tatarskie.

Wielkie uderzenie przyszło zimą 1259 r. Był to jeden z pierwszych uczynków nowego władcy Złotej Ordy, Berke-chana, który objął rządy rok czy dwa lata wcześniej, przyjął islam i szerzył wśród Tatarów wiarę Mahometa. Ofiarą padł tym razem Lublin, potem Sandomierz i Kraków, gdzie ocalał tylko Wawel. Tatarzy doszli aż do Bytomia, znowu strasznie niszcząc kraj i uprowadzając mnóstwo ludzi w jasyr.

Księstwa ruskie nie chroniły już Polski od wschodu. W roku 1259 oddziały Lwa halickiego musiały iść razem z ordą. Jak wielka była za Bugiem przewaga tatarska, świadczy chociażby to, że kiedy w roku 1261 namiestnik chański Burundaj kazał Rusinom spalić grody, rozkaz natychmiast wykonano. Posłuchano go również wtedy, gdy nazajutrz - niezadowolony widać ze skutków pożaru - kazał porozkopywać wały Włodzimierza.

W tym czasie lub nieco wcześniej, w każdym razie w epoce najazdów tatarskich, przyszedł kres i na Grody Czerwieńskie, widownię najwcześniejszych kontaktów polsko-ruskich. Opustoszały i zniszczeniu uległy Wołyń i sam Czerwień. Następne pokolenia znały ich imiona już tylko z coraz to mętniejszych pogłosek.

W Krakowie od roku 1243 rządził syn Leszka Białego, Bolesław Wstydlivy. Książę ten miał sporo kłopotów z buntami świeckiego możnowładztwa, do którego przyłączył się biskup krakowski, osławiony Paweł z Przemankowa. Jego udział w akcjach magnatów to zjawisko ciekawe, bo Bolesław Wstydlivy stale opierał się na duchowieństwie i obdarzał je bardzo rozległymi przywilejami. Na przykład w roku 1255 rzekł się niemal całkowicie władzy nad ludźmi wolnymi, zamieszkującymi dobra biskupów krakowskich.

Za to panów świeckich starał się Bolesław ograniczać. Pragnął więc osłabić wdzo mocne stanowisko wojewodów krakowskich, zwiększając znaczenie niejscowego kasztelana. Przyniosło to zamierzony skutek i odtąd aż do rozporów Polski w wieku XVIII kasztelan, czyli „pan” krakowski, był zawsze iważany za najwyższego świeckiego dostojnika królestwa, zasiadał w senacie araz na pierwszym miejscu po biskupach.

U schyłku życia wmieszał się Wstydlivy do spraw o znaczeniu szerszym,

europjskim i - jak się miało w przyszłości okazać - bardzo ważnych dla Polski. Chodziło o Czechy.

Władcy ich, posiadający tytuł królewski zatwierdzony w początkach XIII w. przez cesarza i papieża, potrafili wyzyskać panujący w Niemczech zamęt, a nawet sami dążyli do zdobycia korony cesarskiej. Kraj ich rozwijał się pod względem gospodarczym znakomicie - zwłaszcza górnictwo w nim kwitło - ale też i niemczył potężnie, bo Przemys'lidzi chętnie sprowadzali osadników germańskich (i sami byli już prawie Niemcami). Kiedy w roku 1246 wygasła na Fryderyku Bitnym rządząca Austrią dynastia Babenbergów, królowie czescy postanowili zagarnąć ją dla siebie. Współzawodników napotykali między innymi w Węgrach,

Po stronie tych ostatnich opowiedział się spokrewniony z nimi Bolesław Wstydlivy, natomiast książęta ślascy popierali Czechów. Oddziały polskie walczyły we wrogich obozach, ale tylko tak długo, aż przeciwko Przemysłowi Ottokarowi II nie wystąpił groźny konkurent niemiecki. Kiedy to się stało - Polacy solidarnie poparli Pragę.

Po zwycięstwach nad Węgrami Czechy opanowały Austrię, sięgnęły aż po Adriatyk i stały się najpotężniejszym państwem w środkowej Europie. Przestraszeni takim obrotem sprawy książęta niemieccy obrali na swego króla Rudolfa z Habsburga. Dokonało się to 29 września 1273 r. na zjeździe we Frankfurcie. 24 października Rudolf ukoronował się w Akwizgranie i z tą chwilą skończyło się w Niemczech wielkie bezkrólewie.

Przemysł Ottokar II rychło utracił swe zdobycze, a nawet musiał złożyć Rudolfowi hołd z samych Czech i Moraw. Szykował się jednak do dalszej rozprawy, tym razem uzyskując pomoc nie tylko Ślązaków, lecz i Bolesława Wstydliwego. Umiał odwołać się do wspólnoty pochodzenia i utworzyć z Polakami wspólny front przeciwko Niemcom. Ale przegrał decydującą bitwę stoczoną pod Suchymi Krutami 26 sierpnia 1278 r. i sam w niej poległ z rąk rycerzy austriackich.

Rudolf z Habsburga triumfował. Nie zdołał wprawdzie wyprawić się do Włoch i ukoronować na cesarza, ale zajął w Niemczech przemożne stanowisko jako król. Najważniejsze zaś, że uczynił Austrię dziedziczną w swoim rodzie, nadając ją za zgodą książąt Rzeszy swoim synom.

W ten sposób rozpoczęła się historyczna kariera dynastii Habsburgów, która opuściła tron austriacki dopiero w listopadzie 1918 r. Ostatnim czynnem ostatniego Piasta z linii małopolskiej była więc walka z człowiekiem, którego potomkowie mieli w przyszłości opanować Małopolskę i sam Kraków.

Bolesław Wstydlivy zmarł w rok po bitwie pod Suchymi Krutami. Pocho-
wano go w Krakowie u Franciszkanów.

VI

Na Bolesławie, synu Leszka Białego, wygasła więc linia Piastów małopolskich. Czemu się tak stało, to w pełni wyjaśnia przydomek księcia - Wstydlivy.

Miał on za żonę królową węgierską, Św. Kingę. Jeśli wierzyć jej żywotopisarzom, księżna opowiadała damom dworu i mniszkom o szczegółach swego pożycia małżeńskiego: „Jakkolwiek niegodna między niewiastami, u męża mego nigdy nic innego nie widziałam prócz rąk samych i twarzy.” - W drużynie Bolesława niewiele to budziło zachwytu, bo bezpotomność wodza niczego dobrego nie wróżyła wojom.

Opowieści o obyczajach tego stadła nie można wkładać między legendy. Król Władysław Łokietek, uważający się widać za znawcę w tych sprawach, twierdził później, że św. Kinga aż do śmierci pozostała dziewicą. Mąż przez całe życie nie zaznał niewiasty.

Podobnym przykładem typowej dla XIII w. ascezy była siostra Bolesława, św. Salomea, w dzieciństwie wydana za Kolomana węgierskiego i z nim razem osadzona na krótko na tronie ruskim w Haliczu. Ta para również ślubowała dozoną niewinność i wytrzymała w niej. Salomea zmarła w klasztorze w Skale, jako mniszka.

Rodzona siostra Kingi, św. Jolanta, żona władcy wielkopolskiego Bolesława Pobożnego, słynęła ze świątobliwości, będąc jednak matką licznego potomstwa.

Raz jeszcze wspomnijmy śląskie małżeństwo Henryka Brodatego i św. Jadwigi, które niemal trzydzieści lat spędziło w wyrzeczeniu i cnocie, „zrzucawszy świetne, złotem i purpurą błyszczące ubiory” i poprzestając na „wełnianej i prostaczej odzieży”. Kiedy w marcu 1238 r. stary książę dogorywał w Krośnie i słał gońców do Trzebnicy po żonę, chcąc ją raz jeszcze ujrzeć przed śmiercią, Jadwiga odmówiła przybycia obawiając się, „ażeby nie uczuła w duszy jakiej iskierki żalu patrząc na męża chorego” (ale kiedy przedtem Henryk dostał się do niewoli Konrada Mazowieckiego, Jadwiga sama wyruszyła do Płocka i wyjednała dlań uwolnienie). Nie wyszła z bram klasztoru nV j spotkanie zwłok, karciała inne mniszki, „że nieprzyzwoitą było rzeczą tak ^

iiiepomiarkowaną żałością przeciwzić się woli i wyrokom Boskim". Nie okazała żalu na wieść o śmierci syna pod Legnicą.

Ówczesne ideały nakazywały pogardę dla uczuć ziemskich i nie wolno wątpić o szczerości postępowania tych, którzy wspaniałość stolic książęcych zamieniali na życie klasztorne i wyrzekali się zwykłego ludzkiego szczęścia. Ale nie wolno też jednakowej miary przykładać do wszystkich osób owej doby i twierdzić, że tylko postacie Kingi, Jadwigi, Henryka i Bolesława reprezentują wiek XIII, epokę gotyku i najbujniejszego rozkwitu średniowiecza.

Kościół polski zasadniczo uporał się już wtedy z zagadnieniem małżeństw księży, lecz pełno było dzieci pochodzących z tych związków. Tak na przykład w roku 1257 kanonik poznański Mikołaj zapisał na Kościół wieś Rogalin, zastrzegając jednak na niej dożywocie dla swego syna, Jana. Jeszcze w chwili śmierci Wstydlfwego, w tym samym roku 1279, legat papieski zakazywał duchownym mieszkać razem z potomstwem i polecał oddawać je na służbę przy świątyniach. Sypały się dekrety synodów zabraniające księżom trzymać w domach kobiety, ale z tym nie poradzono sobie ani w XIII stuleciu, ani w obu następnych.

Za Wstydliwego do wielkiego znaczenia doszedł biskup krakowski, Paweł z Przemankowa, ten sam, co brał udział w buntach możnowładztwa świeckiego, a raz nawet sprowadził najazd litewski na Lublin. „Biada tobie, Pawle! Lepiej by było, gdybyś się nie narodził!” - miał doń raz zawołać jakiś tajemniczy głos. Biskup ten sływał z rozpusty. Utrzymywał cały harem, porwał mniszkę z klasztoru w Skale i uczynił z niej nałożnicę. Nic dlań nie znaczyło przebić rohatyną człowieka, który spłoszył zwierza na łowach.

Przeciwieństwa! Kontrasty, których jaskrawość oszałamia współczesnego człowieka.

Posłuchajmy, co o tym pisze znakomity historyk polski, Jan Ptaśnik, w książce *Kultura wieków średnich*:

Życie wieków średnich jest z jednej strony życiem nadzwyczajnej pobożności i ascezy, a z drugiej nieokiełznanej rozpusty. Na Zachodzie gorzej może było aniżeli w Polsce. Nie można wprawdzie generalizować wypadków, ale przecież dziwnym się wydaje, kiedy się czyta, jak biskup z Bazylei, Henryk (1213-1238), żyjący w czasach silnego nacisku na przestrzeganie celibatu, pozostawił po sobie 20 dzieci, a inny Henryk, biskup z Leodium, za niemoralne życie złożony z godności, morduje swego następcę i zostawia po swej śmierci 61 sierot. Za coś strasznego, grozą przejmującego i prawie nie do wiary wydawać się może wiadomość, że w XI wieku zakonnice w Bambergu z powodu skapstwa swej przełożonej płatną miłością zarabiała na chleb codzienny, a nie mniejszym obrzydzeniem ogarniać musi to, co pisze Jakub de Vitriaco (zm. 1240) o życiu współczesnego Paryża: zwykłych stosunków płciowych nie uważano tu za grzech; publiczne dziewczki ciągnęły wszędzie po ulicach i zaułkach przechodzących duchownych do swych

domów nierządu. A jeżeli wzbranił się wejść z nimi, wołały za nimi: „Sodomici!” Albowiem ten ohydny występ jak nieuleczalny trąd lub jadowita trucizna tak dalece rozszerzył się po mies'ae, że za coś przyzwoitego się uważało mieć jedną lub więcej nałożnic. Nawet w tym samym domu na piętrze były sale szkolne, a na dole mieszkania nierządnic. Na górnym piętrze mistrzowie nauczali, a na parterze nierządnice uprawiały swój brzydki proceder.

Nie wolno upraszczać! Zarówno Bolesław Wstydlivy, który dla cnoty pozwolił wygasnąć książęcemu rodowi, jak i biskupi utrzymujący haremy, to postacie prawdziwe.

Wszystko, o czym w tym rozdziale była mowa, działo się na szczytach ówczesnego społeczeństwa, wśród panujących i kleru.

Mniej więcej w połowie XIII w., więc też za czasów Wstydliviego, pewien mnich z klasztoru cystersów w Rudzie Śląskiej w powiecie raciborskim jął się pióra. Zwał się Rudolf. Nie znamy jego narodowości, ale najbardziej podobne do prawdy, że był Francuzem. Cystersi z Rudy organizacyjnie podlegali klasztorowi w Jędrzejowie kieleckim.

Brat Rudolf napisał po łacinie podręcznik dla spowiedników *Summa de confessionis discretione*. Pouczał w nim mniej doświadczonych księży, o co należy pytać przy konfesjonale Ślązaczki, które co dzień popełniają rzeczy z ich punktu widzenia słuszne i potrzebne, lecz przez Kościół potępione i uznane za grzechy śmiertelne, wyłączające ze społeczności wiernych.

Dzięki bratu Rudolfowi wiemy dziś, że kobiety śląskie nie tylko „chcą znać przyszłość, jak Bóg, zważają na sny, wierzą w znaki, robią horoskopy z ognia, leją gorący ołów, aby zbadać losy ludzi”, lecz ponadto jeszcze oddają cześć starym bożyszczom pogańskim. Hołdują więc demonom leśnym, opiekuńczym duchom domowym, kobiecemu bóstwu słońca oraz trzem żeńskim władczyniom losu ludzkiego. W XIII w., w trzysta lat po chrzcie Polski!

Brat Rudolf nie spisywał szczegółów, umyślnie pewnie stronił nawet od notowania właściwych imion owych słowiańskich bożyszcz, w księdze swej umieszczał tylko najbardziej treściwe wiadomości o istocie grzechów.

Klasztor w Rudzie, skąd pochodzi ów podręcznik dla spowiedników, zbudował książę Władysław Opolski. Archeologowie szczegółowo zbadali Opole założone w dobie chrztu Polski, a spalone w roku 1241 przez Tatarów. Wśród zwalisk drewnianego miasta znaleziono dużo amuletów pogańskich i jeden tylko krzyżyk.

W treściwych pouczeniach zakonnika znajduje odbicie duchowa kultura ludu polskiego na Śląsku. Edward Karwot - tłumacz, wydawca i badacz podręcznika - nazwał go *Katalogiem magii Rudolfa*. Jakiż to słuszny tytuł! Pisz Rudolf, że niewiasty, „aby zapewnić sobie szczęście, a także opływać w

ziemskie dobra, uprawiają przez Boga znienawidzone praktyki". Wśród pięćdziesięciu trzech przepisów spowiedniczych jeden jedyny tylko mówi o czarach mających na celu szkodzenie ludziom. Wszystkie inne dotyczą zabiegów zmierzających do zapewnienia im pomyślności i dobra. A więc magia, którą uprawiano na Śląsku, była typową „magią białą”. Zleceń jej trzymał się wiernie pogodny lud rolników, mieszkających w drewnianych, łuczywem oświetlanych domach, gorliwie opiekujący się bydłem, dbały o czystość, skoro Rudolf kilkakrotnie wspominał o kąpieli w baliach czy w specjalnych dzieżach drewnianych, o mydle, grzebieniu i miejscu ustępowym. Nieobca była temu ludowi troska o rozwój umysłowy dzieci. Istniały bowiem gusła spełniane po to, by dziecko „dobrze się uczyło”.

Aż kilkanaście punktów podręcznika mówi o magii miłosnej. Lud śląski nie uważał jej za uczucie zdrożne. Kobiety i dziewczęta tajemnymi sposobami zabiegały o wzajemność, o wzbudzenie uczucia w sercach tych, których wola rodziców przeznaczyła im na mężów. Wszelkie pojęcia o ascezie były im widać najzupełniej obce, a wolno przypuszczać, że wieści o niej wydawały się niezrozumiałe i śmieszne. Cięża, poród powszechnie uchodziły wśród ludu za rzeczy zwyczajne i nikomu do głowy nie strzeliło ogłaszać położnicę za istotę skalaną, potrzebującą oczyszczenia.

Pierwotnym wierzeniom Polaków trudno odmówić naturalności i prostoty, nawet moralnego piękna.

Wszystko to działo się dokładnie w tym samym czasie, kiedy jedni z władców krainy z nienawiści do grzechu wyrzekli się pożycia małżeńskiego, inni zaś grzęźli w rozpuszcie, łamiąc pisane i niepisane prawa. - Średniowiecze naprawdę żyło wśród niezwykłych przeciwieństw.

Jedno z nich trzeba stałe mieć na oku. Oto przez całe stulecia istniały obok siebie w kraju dwie kultury, dwa systemy wyobrażeń i dwa światy pojęć moralnych. Aleksander Brückner pisał, że Kościół:

Imponował wystawnością budynków, strojów, śpiewów; porządek liturgiczny wprawiał w podziw barbarzyńskie tłumy, których zmysły raziło wszystko: woń kadzidła, blask świec gorejących, złotolite ornaty, rzeźby dziwne, przemawiające silniej niż niezrozumiała łacina, powaga celebrantów, tajemniczość obrzędu. Wszystko było obce, łacińskie [...] przecież legat papieski polecał w r. 1248, aby kaptan po ewangelii wykladał *Wierzę w Bóg* po polsku, gdyż lud mu nie umiał odpowiadać na pytanie, w co wierzy?

- dodaje uczony.

Nowsze badania skłaniają do przekonania, że owe tłumy, „których zmysły

raziło wszystko", były znacznie mniej barbarzyńskie, niż dawniej mniemano. Dziedziczyły kulturę starą, bogatą i bardzo żywotną.

Brat Rudolf opowiada dziwne rzeczy o faktach, jakie zachodziły na samej granicy zetknięcia się starego obyczaju z nową wiarą.

Podobnie po chrzcie dziecka - pisze - nóżkami jego dotykają gołego ołtarza, sznur dzwonu kładą mu na usta, rączkę kładą na księgę, aby się dobrze uczyło, a prześcieradłem z ołtarza głaszczą jego twarz, aby było piękne.

Chrzest przyjmowano, bo tak od wieków już chcieli książęta. Ale stary obyczaj nie poddawał się, nie zanikał - usiłował przyswoić sobie nawet samą ceremonię dopuszczenia na łono Kościoła.

Dziwa opisane przez Rudolfa działy się na Śląsku, w najbardziej - obok Pomorza Szczecińskiego - zachodniej połaci Polski. Należy to wziąć pod uwagę, jeśli się chce wyobrazić sobie stosunki panujące w reszcie kraju, chociażby na Mazowszu czy Pomorzu Gdańskim. Archeologowie stwierdzili, że w tym samym XIII stuleciu w łęczyckim grodzie książęcym uprawiano kult falliczny.

Chrześcijaństwo przyszło do Polski późno. Zastało państwo już w pełni zorganizowane, obyczaje ustalone i okrzepłe. Stara kultura żyła jeszcze przez całe stulecia w sposób zupełnie samoistny. Przepojone nią tłumy najpierw traktowały to wszystko wraz z łaciną przyszło z Zachodu, jako rzeczy obce. Pomału jednak przywykały do nich, uznawały ich wspaniałość i piękno, umiłowały wreszcie z daleka przyniesiony i cudzą mową przemawiający kult. Pomimo wszystko - pozostał on czymś danym z góry w gotowej formie, systemem wierzeń, praw i obyczajów, w których kształtowaniu nikt z Polaków bezpośrednio nie uczestniczył. Żyjący na samych krańcach katolickiego świata naród musiał się po prostu dostosować, zmieszczać w już wykończonej budowli.

Przodkowie dzisiejszych Włochów, Francuzów i Niemców sami brali udział w historii papieża. Państwo Kościelne powstało w wieku VIII z łaski króla Franków. Kiedy Polska przyjęła chrzest, Kościół liczył sobie prawie tysiąc lat istnienia. Nasi książęta wysyłali już tylko poselstwa do Rzymu, uchodzącego za stolicę świata. ^/

Polacy są narodem katolickim, ale ich stosunek do wiary polega na uczuciu i przywiązaniu do tradycji. Tyle razy już pisano o braku u nas głębszych zainteresowań religijnych. I dziś' jeszcze przeciętny polski katolik nie zna większości dogmatów i wskutek tego - wzorem swego przodka z XIII stulecia - właściwie nie wie, w co wierzy. Przyczyn takiego stanu rzeczy jest na pewno

wiele. Kto wie jednak, czy u samych podstaw zjawiska nie leży ów niezbity fakt, że przez tyle wieków istniały u nas dwie wiary - rodzima, polska oraz ta druga, przybyła z daleka, mająca formy ustalone i niezmiennie, a przemawiająca w dodatku po łacinie. Było dość czasu, by w krew narodu weszło przyzwyczajenie, że ową łacińską religię należy przyjąć i pokochać, ale dociekać jej istoty nie ma potrzeby.

Los sprawił, że pierwsze słowa polskie utrwalone w piśmie brzmią tonem poczciwym i swojskim, jakoś mimo woli przypominają tę atmosferę moralną, która tchnie z paragrafów magii Rudolfa. Oto one:

DAY UT IA POBRUSA A TI POCIWAY.

Tak odezwał się chłop do żony obracającej żarna: daj, ja pomieję, a ty odpocznij.

Zdanie to pochodzi ze sławnej *Księgi henrykowskiej* przechowywanej dziś we Wrocławiu, a spisanej po łacinie w latach 1266-1270. Trafiło do niej, ponieważ stary chłop Kwiatek przytoczył je dla wyjaśnienia pochodzenia nazwy wsi Brukałice.

Księga henrykowska zawiera dokładny opis uposażenia klasztoru w Henrykowie, założonego w roku 1227 przy współudziale Henryka Brodatego. Dowiadujemy się z niej nie tylko o bogactwach zakonu cystersów, lecz również i o tym, że cały kraj wokół był wówczas rdzennie polski, chłopci dochodzili do znacznej zamożności, znajdowali zaufanie u samego księcia, niektórzy z nich siedzieli nawet w małych gródkach. Nazwiska brzmiały: Głęb, Piroisz, Kwiatek, Krzepisz, Żuk, Kołacz... Wsie zwały się: Czesławice, Muszkowice, Cienkowice, Kobyla Głowa, Ciepłowody, Targowica, Zarzyca, Rączyce, Brukałice, Skalice, Krzelków, Wadochowice...

Niewiele ze starej polszczyzny przetrwało do naszych czasów, rozpaczliwie mało! Prawie niczego nie wiemy o ówczesnej twórczości literackiej w rodzimym języku. A przecież na pewno istniała! Zaklęcia przytoczone przez brata Rudolfa to prawdziwa poezja. Kobieta chcąc uniknąć ciąży stawała przed krzakiem czarnego bzu, mówiąc doń: „Ty noś za mnie, ja będę kwitła za ciebie.”

Długosz powiada, że tragiczna śmierć księżnej poznańskiej Ludgardy, o której wkrótce będzie mowa obszerniej, dostarczyła nieznanym poetom wątku do pieśni. Śpiewano ją jeszcze w setki lat później, inscenizowano podczas widowisk. Podobnie opiewano też bitwę pod Zawichostem. O tym wszystkim dotarły do nas tylko głuche, ogólnikowe wieści. A niepodobna wszak przypuścić, że tylko te dwa wypadki zaciekały twórców. Taki domysł byłby

wręcz szczytem niedorzeczności. Pies'ni musiało być wiele, i to bynajmniej nie tylko na tematy historyczne.

Jedno, co się dochoowało w pełnej postaci, to złożone w XIII stuleciu dwie pierwsze zwrotki najstarszego polskiego hymnu narodowego:

Bogu rodzica, dziewica, Bogiem stawiana Maryja!
Twego syna, gospodzina, Maci zwolena Maryja!
Zyszczy nam, spuści nam!
Kyrie elejson.

Twego dzieła chrzes'ciciela, Bożyce!
Słyszycy głosy, pełni mysli człowiecze,
Daci raczy, jegoż prosimy!
Kyrie elejson.

Pies'ri o bogatej melodii jest rdzennie polska, na wskroś oryginalna. Najęźsi znawcy i badacze nigdzie, w żadnym języku nie znaleźli jej pierwowzoru. Jes'li ta jedyna dochoowana stała na tak wysokim poziomie, to można przyjąć za pewne, że i tamte zaginionie nie były liche. Któż może zaręczyć, czy nie było wśród nich dzieł wielkiej wartos'ci?

Zanikały utwory polskie, bo je w cień usuwała łacina. Nikt ich nie spisywał, a pamięci ludzkiej starczyło zaledwie... na stulecia. I to także potężnie przeskadzało, że niełatwo przyszło dwudziestu czterema znakami alfabetu łacińskiego wyrazić trzydzies'ci szes'c dźwięków mowy polskiej.

Około 1420 r. nieznanzy rzemieślnik beztrosko pociął i zużył na oprawę księgi teksty kazań w języku polsko-łaciriskim, spisane w wieku XIV. Owe *Kazania świętokrzyskie*, cudem później odnalezione, chlubią się mową już wyrobioną, pozbawioną gwarowych dodatków.

Literaturze polskiej pisanej po łacinie wiek XIII przyniósł nie lada dzieło. Jest nim *Chronica Polonorum* Mistrza Wincentego Kadłubka, nieraz już w tym opowiadaniu wspomniana.

Autor - wbrew dawniejszym mniemaniom, zapewne aawet nie szlachcic, syn chłopa imieniem Kadłub - zdobył na Zachodzie wykształcenie i tytuł magistra. Był pierwszym polskim biskupem wybranym w sposób kanoniczny. Na krakowskiej stolicy kos'cielnej zasiadał od roku 1207 do 1218, po czym jako zwykły zakonnik przebywał w Jędrzejowie i tam zmarł w roku 1223.

Jego stan i godnos'c wyjas'niaja ducha *Kroniki*. Kadłubek chwali tych władców, którzy nie tylko sprzyjaja klerowi, lecz ulegaja mu. Innych niemiłosiernie potępia.

Jakes'my widzieli, uznaje prawo papieża do rozstrzygania o wewnętrznych porządkach w kraju.

Treść *Kroniki* jest najzupełniej niezwykła. Aleksander Macedoński i Arystoteles pisują do siebie listy dotyczące spraw polskich, jakiś' mityczny, nigdy nie istniejący Leszek II najpierw bija w wojnach samego Juliusza Cezara, a potem żeni się z jego siostrą!

„Sumienie literata średniowiecznego bywało bardzo przestronne, podawał on za prawdę sny własne” - pisze Aleksander Brückner.

Kronika Mistra Wincentego jest dziełem literackim, pełno w niej zmyśleń krasomówstwa, pouczeń, lubowania się efektami. Taka mieszanina odstręcza dziś i razi, na ludzi współczesnych autorowi oraz na wiele pokoleń późniejszych oddziaływała potężnie.

Kadłubek obficie czerpał wiadomości z wcześniejszego o stulecie Galla. Niekiedy jednak znacznie więcej od niego „wiedział” i czytelnikom do wizerzenia podawał.

Pamiętamy związane, ostrożne, lecz jakże pełne ukrytej treści uwagi Galla o skazaniu na śmierć biskupa krakowskiego Stanisława oraz o katastrofie Bolesława Śmiałego. Wobec tego posłuchajmy, co w tej samej sprawie ma do powiedzenia Kadłubek:

A gdy go [to znaczy króla] od takiego okrucieństwa świątobliwy biskup krakowski Stanisław odwieść nie mógł, zagroził mu najpierw upadkiem kraju, nareszcie dotknął go mieczem kławy. Ale on skierowany ku gorszej stronie w zaciętsze popadł szaleństwo; boć i drzewa pogięte łatwiej się złamać niż naprostować dają. Tak więc od ołtarza wśród nabożeństwa bez względu na stan, miejsce i czas porwać kazał pasterza. Lecz ile razy zuchwali trabanci wpaść próbują, tyle razy skruszeni padają na ziemię i łagodnieją. Oburzony atoli tyran łaje ich i sam świętokradzkie nań spuścił ręce, sam oblubienica z łona oblubienicy, pasterza oderwał od owczarni, sam ojca w uściskach córki i syna prawie we wnętrznościach matki zamordował. O smutne i straszne widowisko śmierci! Świętego światowy, świątobliwego bezbożny, biskupa najokrutniejszy świętokradca, niewinnego na kawałki rozszarpał; pojedyncze członki na najdrobniejsze rozsiekując cząstki, jak gdyby pojedyncze części członków ukarane być powinny byty. Sam całkiem zdumiałem, zdrętwiałem i włosy stanęły mi na głowie, że ledwo pojąć, nie dopiero wymówić, nie dopiero piórem skreślić zdołam cuda Zbawiciela nad tym świętym dokonane. Wśród opowiadania upada rozum, rozumowi służbę wypowiada mowa, a słowa nie wyjaśnia rzeczy tak, jak się miała. Ujrzano z czterech części świata czterech przylatujących orłów, które w górze krążąc, sępy i inne krwiożercze ptaki od dotknięcia męczennika odpędzały, a z wszelką czcią ciągle czuwając dzień i noc go pilnowały. Mamże nocą to nazwać czy dniem? Raczej bym to dniem nazwał niż nocą; jest to albowiem noc druga, o której napisano: a noc, jak dzień oświetloną będzie. Cudownej bowiem jasności boskie światła na tyłu zabłyśły miejscach, ile świętego ciała rozrzucono cząstek, że niebo samo zdawało się zazdrościć ziemi ozdoby i chwały, jaką ją gwiazdy i słońca promienie odznaczać się zdawały. Tą siłą cudu ożywieni i prawdziwą pobożności żarliwością niektórzy z ojców zagrzani, gotują się rozrzucone szczątki członków zebrać, przystąpili powoli i znaleźli całe ciało bez najmniejszego śladu blizn, podnoszą je, a z czcią uniesione, w mniejszej bazylice Sw. Michała, świętymi korzeniami zabalsamowane, pochowali, skąd aż do dnia przeniesienia... mocny pomienionych światła blask nie zniknął.

Jeśli zadaniem sztuki jest tworzenie w s'wiecie wyobraźni nowej, własn, j, całkowicie odrębnej rzeczywistości, która raz powołana do życia kształtuje później dusze ludzkie, to Mistrz Wincenty obowiązek artysty spełnił. Trudno oczywiście zachwycać się jego sposobem uzupełniania faktów, lecz i upraszczać nie wolno. Nie zapominajmy, że „on sam już wierzył, a przynajm.niej rozumiał, że tak jest dobrze; i to pomagało do wiary”.

Przykład Kadłubka poucza, czego dokonać może siła słowa i talent pisarza. Z człowieka współodpowiedzialnego za jedną z najgorszych klęsk Polski potrafi zrobić dobroczyńcę, a nawet patrona kraju.

Kadłubkowe poglądy na rolę dziejową biskupa Stanisława utrzymywały się długo. Wątpić o ich słusznosci zaczął dopiero wiek XIX, decydujący cios zadał im prof. Tadeusz Wojciechowski w wielkiej polemice rozpoczętej w roku 1904. Od tej pory przeważa raczej zdanie, że wiedzy o prawdzie historycznej nie należy czerpać z dzieł pokrewnych powieściopisarstwu.

Łacina przygniotła więc w średniowieczu polszczyznę, ale stosunki ułożyły się tak, że mowy Rzymian nie można uważać w naszej ojczyźnie za język obcy. Ona się dosłownie zrosła z naszą kulturą. Niebezpieczeństwo dla narodowego charakteru tej ostatniej stwarzał fakt inny. Oto w XIII stuleciu w niektórych wsiach, a już szczególnie w większych miastach polskich zaczynał brać górę język i obyczaj niemiecki. Położenie przedstawiało się groźnie. Patrząc na te sprawy z dzisiejszej perspektywy dochodzi się do wniosku, że polskość wcale nie miała wtedy pewności ostatecznego zwycięstwa nad inwazją germańskiego Zachodu. Wszystko zależało od jej własnej siły oraz od rozumu kierownictwa politycznego.

W XIII w. rozwinęła się u nas tak zwana kolonizacja niemiecka miast oraz lokowanie zarówno ich, jak i wsi na prawie niemieckim. Ogólnikowe te określenia często mylą. Po wsiach osadzono na prawie teutoriskim najczęsciej ludność polską, i sioła, do których naprawdę napłynęli Niemcy, możemy liczyć w XIII w. najwyżej na dziesiątki. Osiemdziesiąt procent dawnych podgrodzi przyjęło prawo magdeburskie, nie wolno więc mówić, że dopiero niemieccy osadnicy zapoczątkowali u nas życie miejskie. Pojawienie się ich było zjawiskiem ważnym, ale stanowiło tylko fragment od dawna trwającej historii miast polskich.

Również samo pojęcie prawa niemieckiego jest dość mętne. W gruncie rzeczy chodziło o to, że w XIII w. rozwój społeczny i gospodarczy skłonił kraj do przyjmowania norm ustrojowych powszechnie panujących w Europie zachodniej i środkowej. Gdyby naszymi bezpośrednimi sąsiadami byli na przykład romańscy Wallonowie, mówilibyśmy o szerzeniu się w Polsce prawa

wallońskiego. Kraj graniczył jednak z Niemcami, którzy parli na wschód szukając ziem mniej przeludnionych i łatwiejszych warunków bytu. Szli nie tylko do nas, lecz również do Czech, na Węgry, w kraje bałtyckie aż po Dźwinę. Nies'li ze sobą zdobycze, będące wspólnym dorobkiem Zachodu i wywodzące się jeszcze z cywilizacji starożytnego Rzymu.

Postęp był niewątpliwy. Przyjmowalis'my go jednak, niestety, w germańskim opakowaniu. Samorząd, który Bolesław Wstydlivy w roku 1257 nadał Krakowowi, przyniósł stolicy Polski wiele korzyści, uczynił z niej normalne zachodnioeuropejskie miasto. Gorzej, iż władze miejskie składały się z kupców będących Niemcami. Księgi miejskie pisano w ich języku.

Stary spór o dzieje polskich i w ogóle słowiańskich miast wszedł ostatnio w fazę nową i decydującą. Nie utraciły znaczenia wiadomości odnoszące się do czasów późniejszych. Niespornym faktem pozostaje masowy napływ zamożnego i biegłego w rozmaitych kunsztach elementu niemieckiego, który szczerze nie zapełnił górne piętra hierarchii miejskiej. Nie próbujmy zapominać, że kazania polskie wprowadziła do krakowskiego kościoła Najświętszej Marii Panny specjalna uchwała sejmowa, co stało się dopiero w roku 1537. Kiedy w stuleciu poprzednim zbierano składki na ołtarz Wita Stwosza, ofiarodawcami byli przeważnie Niemcy. (Cicho jest obecnie na ten temat, ale Józef Szujski nie zawahał się w swoim czasie pisać o tym w sposób niekiedy przesadny.) Nie stwarza to zresztą podstawy do oskarżenia ówczesnych, Janowi Długoszowi rówieśnych Polaków, o obojętność dla spraw kultury. Nagrobek Kazimierza Jagiellończyka wyrzeźbił ten sam Stwosz, którego dla Wawelu przeznaczony twór jakoś się nie spotkał z niechęcią ze strony autochtonów. Wiślica, Gniezno i Strzelno zaświadczyły zresztą, że już grubo wcześniej ludzie rdzennie miejscowi umieli wspierać twórczość, i to wielką.

Spór dotyczy tego właśnie, co było wcześniej, przed lokacją miast na „prawie niemieckim”.

Kościół Mariacki przez długi czas służył przede wszystkim niemieckiemu patrycjatowi Krakowa. Z czego wcale nie wynika, że Niemcy właśnie byli budowniczymi pierwszej świątyni w tym miejscu. Można się spierać o poglądy, kwestionować wiarygodność wywodów kronikarskich, nawet treści dokumentów. Nie sposób przeczyć wymowie materialnych dowodów prawdy. Odsłonić stare mury, zalegające pod fundamentami dzisiaj czy w XIV wieku istniejących budowli, to znaczy rozstrzygnąć spór.

Dokument lokacji Krakowa na „prawie niemieckim” pochodzi z roku 1257. Wcześniejsze miasto obejmowało obszar jakichś pięćdziesięciu hektarów i liczyło około dwudziestu murowanych z kamienia kościołów, wzniesionych w

stylu romańskim. Ten pod wezwaniem Św. Andrzeja jest najlepiej zachowanym i najłatwiejszym do zauważenia świadectwem owych lat.

Rachunek odnosił się do samego tylko miasta i pominął kos'cioly grodowe wawelskie, których było trzy. Wieża Srebrnych Dzwonów oraz krypta św. Leonarda pozostały nam w spadku po ówczesnej katedrze, zbudowanej z Władysława Hermana, a kryjącej resztki kamiennej s'wiatyni Chrobrego.

Przed rokiem 1257 istniały więc w stolicy - powtarzajmy za Andrzejem Żak' - kos'cioly: Najs'więtszej Marii Panny, Św. Wojciecha, Św. Andrzeja, Norbertanek, Św. Mikołaja, Św. Trójcy, Św. Magdaleny, wiele innych, wśród nich na Skałce. Jednocześnie Poznań i Sandomierz, Gniezno, Wrocław i Wiślica liczyły ich po kilka. Kraków grał, jak widać, rolę polskiego Rzymu, wierny by tradycji. Chrześcijaństwo zakotwiczyło się na Wawelu już zapewne w czasach wiślariskich, kiedy kraj Polan jeszcze nie my?" A o odmianie religii.

Jakże mamy nazwać warowne i rozległe osiedle, położone na bardzo ważnym szlaku handlowym, obfitujące w rzemiosła - czyli w przemysł ówczesny wytapiające u siebie surówkę żelaza, hojnie wyposażone w kamienne świątynie? - Wioską?

Kraków gra w tym wywodzie rolę zastępczo-reprezentacyjną. W nim najlepiej skryzlowały się zjawiska, występujące na całym obszarze Polski piastowskiej - od Opola, Wrocławia i Gdańska aż po Przemyśl. „Prawo niemieckie" przyszło do osiedli miejskich już istniejących, rozwiniętych i liczących swoje dzieje na stulecia. Odnosi się to w tym samym stopniu do stolicy kraju, c do Kalisza czy podupadłej później Wiślicy.

Nowe porządki przyjmowały się dlatego, że były dobrze dopasowane do istniejącego w średniowieczu sposobu wytwarzania dóbr i gospodarowania. Łatwiej przychodziło znieść osadników do nowej wsi, jeśli się im obiecało i dało samorząd, swobody, a powinności wybierało nie w naturze, lecz w pieniądzu. Rozwijające się miasta potrzebowały rynku zbytu. Stworzyć go mogły jedynie takie sioła, w których chłop sprzedawał swe plony, wskutek tego rozporządzał gotówką i kupował. I odwrotnie - zamożne, swobodnie rozwijające się miasto umożliwiło bujny rozkwit osadprodukcujących żywność.

Lokacja na prawie niemieckim i na wsi, i w mieście odbywała się w sposób mniej więcej jednakowy. Jeśli nowe osiedle zakładał na swym gruncie prywatny właściciel, musiał przedtem wystarać się o pozwolenie książęce. Potem wyszukiwał zasadzce, któremu od siebie nadawał przywilej, będący właściwie umową. Zasadzca - niemal z reguły zostający na wsi sołtysem, a w mieście wójtem - sprowadzał osadników.

Kmieć otrzymywał łąn ziemi ornej (istniały łąny chełmińskie liczące 16 9 ha oraz frankońskie - po 24,2 ha). Przez pewien czas po założeniu wsi obowiązywała wolnizna - chłopci zwolnieni byli od wszelkich opłat i powinności. Czas jej trwania był rozmaity, zależnie od warunków. Niekiedy sięgała do dwudziestu czterech lat.

Dziedzic wsi i właściciel gruntu wybierał należności przede wszystkim pod postacią czynszu pieniężnego, chociaż należała mu się i pewna dań w naturze oraz rozmaite okolicznościowe świadczenia czy dary. Folwarki były w owych czasach małe - nikt jeszcze nie słyszał o późniejszych latyfundiach - więc jeśli chłopci musieli nawet pracować na pańskiej ziemi, to najwyżej cztery dni w przeciągu roku.

Kmieć ówczesny nie był pełnym właścicielem ziemi, jednakże posiadał tak zwaną własność użytkową, cieszył się osobistą wolnością i mógł się przenosić, spełniwszy określone warunki. Sądziła go w przewidzianych terminach - na rokach gajonych - ława, której przewodniczył sołtys.

Od jej wyroków apelowało się do pana. Spory z dziedzicem rozstrzygał sąd książęcy.

Oprócz gospodarzy istnieli także po wsiach zagrodnicy. Ci posiadali mniej ziemi, zajmowali się rzemiosłem i wynajmowali do pracy nie tylko u pana, lecz także u kmieci, a zwłaszcza na folwarku sołtysa.

Ten ostatni był prawdziwym potentatem wiejskim. Miał kilka łąnów, nie płacił czynszu, pobierał 1/6 opłat należnych dziedzicowi i 1/3 kar sądowych, otrzymywał inne przywileje, a urząd swój sprawował dziedzicznie. Musiał za to stawiać się konno na wojnę. - Sołtysami bywali często i szlachcice.

Jak się już wspomniało, zakładanie wsi na prawie niemieckim wcale nie wymagało obecności Niemców. W większości wypadków i zasadzka, i kmiecie byli Polakami. Osiedlali się na nowych warunkach, które zarówno im, jak dziedzicowi przynosiły więcej korzyści.

Stosunki panujące w innych miejscowościach stopniowo, nawet bez przywilejów lokacyjnych upodabniały się do nowych norm. Wszędzie niemal czynsz pieniężny brał górę nad dawnymi daninami w naturze. Chłop z wioski pozostałej przy prawie polskim podlegał trybunałom książęcym, bo pan nie miał nad nim władzy sądowej. Osobistą wolność posiadał i był właściwie czymś w rodzaju dziedzicznego dzierżawcy. Ludność wiejska płaciła podatek państwowy zwany poradnym oraz musiała dawać dziesięcinę duchowieństwu.

Przyjęcie prawa niemieckiego i przemiany zaszły w dawnym systemie polskim znacznie polepszyły położenie wsi, przyczyniły się do wzrostu jej zamożności.

Tylko na Śląsku i na Pomorzu Zachodnim kolonizacja niemiecka wsi oznaczała napływ ludzi obcej narodowości. W innych dzielnicach zjawisko to prawie nie występowało. Zupełnie inaczej działo się z miastami. I w nich także zasadca otrzymywał przywilej lokacyjny, a potem zostawał dziedzicznym wójtem. Stanowisko to dawało nie lada znaczenie i dochody. Smutnej pamięci wójt krakowski, Albert, o którym wkrótce będzie mowa obszerniej, był kasztelanem sądeckim i żupnikiem, czyli zarządcą kopalni soli.

Podobnie jak sołtys na wsi wójt też ruszał na wyprawy wojenne, miał prawo do tej samej części czynszu z parcel budowlanych oraz do takiegoż odsetka kar sądowych.

Podlegał bezpośrednio panu miasta, którym najczęściej był książę, rzadziej biskup czy magnat. Przewodniczył ławie sprawującej nad mieszczanami sądy. Organem samorządu była obieralna rada miejska, której przewodniczył jeden lub dwóch burmistrzów.

W ustroju poszczególnych miast polskich istniały różnice. Zasadniczo wzorem dla wszystkich był Magdeburg, wytworzyły się jednak odmiany. Jedną z nich stanowiło prawo średnie obowiązujące w tych osiedlach, które czerpały przykłady ze Środy Śląskiej. Na północy występowało znów prawo chełmińskie wywodzące swój początek z Chełmna.

Głównym motorem rozwoju miast był właściwie wzrost rzemiosła, ściśle związany z udoskonaleniami w dziedzinie górnictwa, wytopu metali, z coraz szerszym wykorzystywaniem siły wodnej w warsztatach wytwórczych. Ale związki rzemieślnicze, zwane cechami, nie osiągnęły tego stopnia potęgi i znaczenia, co gildie kupieckie.

Władza państwowa rozporządzała wówczas różnymi sposobami popierania i wyzyskiwania handlu. Jednym z nich był przymus drogowy, który zniewalał kupców do korzystania z określonych szlaków, dobrze pilnowanych przez poborców ceł. Sławne prawo składu nadawane różnym miastom zmuszało znów przejezdnych kupców do wystawiania w nich swoich towarów, które miejscowi handlarze mogli nabywać hurtem.

Pomniejszych miast nasze - w szczególności na Mazowszu - zachowały polski charakter. Ale znaczniejsze korzyści ze wspomnianych przywilejów ciągnął ich niemiecki patrycjat. Zaliczali się doń najbogatsi kupcy oraz sama śmietanka rzemieślnicza, na przykład złotnicy. Za patrycjatem szło pospólstwo, obejmujące resztę kupców i samodzielnych rzemieślników. Na samym dole stał plebs, nie posiadający ani kramów, ani warsztatów. W takim Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu i w wielu innych miastach on właśnie reprezentował polskość, gdyż

wszystko, co pod względem hierarchii społecznej znajdowało się wyżej, było przeważnie niemieckie.

Wytwarzał się więc stan rzeczy niezwykle złożony. Dobro kraju wielkim głosem wolało nie tylko o sam rozwój miast, lecz również o wzmożenie ich politycznego znaczenia na wzór Zachodu. A jednocześnie narodowość większości kupiectwa i bogatszych rzemieślników stwarzała niebezpieczeństwo stopniowego podboju Polski od wewnątrz. Niemiecki mieszczanin żądał niemieckiego kazania w kościele. Drugie miejsce po łacinie zaczęła w naszych miastach zajmować mowa obca.

Wiemy ze źródeł, kto w roku 1289 piastował godności miejskie w Krakowie. Rajcami byli: Wolrad, Lupoid, Gerhard, Henryk z Dornburga, Piotr Moryc, Gotfryd z Czeskiej Wsi. Jednocześnie w ławie zasiadali: Henryk Godener, Pilgrim z Uszwi, Timo, Zygfryd, Gumpert, Reinhold, Buchel.

Takie stosunki panowały w stolicy kraju. Niemcy bowiem napływali przede wszystkim do Małopolski, znęcani jej korzystnym położeniem handlowym i bogactwami naturalnymi. Wszystkie miasta małopolskie od Krakowa przez Bochnię, Sącz, Wieliczkę aż do Sandomierza posiadały niemiecki patrycjat.

Znaczenie tego zagrożenia od wewnątrz wystąpi jaskrawo dopiero na tle stosunków z państwami ościennymi.

Międzynarodowe położenie Polski było złe, o wiele gorsze niż za najgroźniejszych cesarzy. Wprawdzie samo państwo niemieckie popadło w bezrząd i anarchię, wobec których stosunki-polskie wyglądały dość błogo, ale wokół naszych ziem powyrastały bastiony germańskie. Były odrębne, lecz połączone węzłami wielu porozumień, a przede wszystkim wspólnotą narodową i dążeniami do rozszerzania się naszym kosztem. Krzyżacy i Brandenburczycy z dwóch stron parli ku sobie, zagrażając naszemu dostępowi do Bałtyku, Pomorze Zachodnie zalewał żywiół niemiecki, na południu był mocno zgermanizowany dwór czeski, za nim Austria. Widocznie polscy książęta dostrzegali w niej niebezpieczeństwo, jeśli zdecydowali się solidarnie wystąpić przeciwko Rudolfowi z Habsburga.

A na wschodzie? Zamiast raz przyjaznych, to znów obrażonych - lecz w zasadzie całkiem z Polską dobrze żyjących księstw ruskich-najazdy litewskie i groza tatarska. Mogli sobie nabożni mnisi z Ławry Peczerskiej wyobrażać, że szatan szczególnie lubi przystrajać się w szaty polskie - zawsze Kraków potrafił się dogadać z Kijowem, dopóki ten ostatni grał samodzielną rolę polityczną. W XIII wieku zaczęło być inaczej i źle.

Takie położenie polityczne skłaniało do pilnego zastanawiania się nad przyszłością. Przede wszystkim jednak budziło z drzemki patriotyzm polski,

który tak pięknie dał się poznać za Bolesławów. Naród o całkiem odrębnej kulturze i długiej tradycji historycznej, naród pamiętający wielkość epoki Chrobrego nie mógł się czuć dobrze w czasach słabosci i poniżenia.

Kto by wątpił o istnieniu patriotyzmu w dawnej, s'reniowiecznej Polsce, ten niech sobie przeczyta, co Gall w wieku XII napisał o pasowaniu Bolesława Krzywoustego na rycerza. Uroczystości tej dopełnił Władysław Herman w Płocku w roku 1099. Jeden z obecnych wojów odezwał się wtedy w te słowa:

Książę panie, Władysławie, Bóg dobrotliwy nawiedzi! dziś' królestwo Polski i twoją staros'ę, i słabość i całą ojczyznę wywyższy! przez tego, dziś' pasowanego na rycerza! Błogosławiona matka, która takiego wykarmiła chłopca! Aż dotąd była Polska przez wrogów deptana, lecz przez tego chłopaczka będzie do dawnego przywrócona stanu!

Na te słowa - dodaje jeszcze kronikarz - wszyscy obecni strucnleli i skinęli mu, by milczał przez uszanowanie dla księcia.

Jeśli nawet Gall zmyslił to i owo - bez wątpienia prawdziwe są pojęcia, jakimi operuje, i uczucia, o których mówi. Poczucie narodowe i patriotyzm były faktami, skoro podczas wojny z cesarzem Krzywousty mówił do żołnierzy: „bądźcie też teraz przygotowani ze mną albo zginąć za wolność Polski, albo życiem jej służyć dalej!”

W XIII wieku nie brakowało wydarzeń obrażających godność narodową.

I gospodarka bardzo cierpiała na rozbiciu dzielnicowym. Rozrastały się miasta, kwitło rzemiosło, hutnictwo i górnictwo, zwiększały się obroty handlowe. W odróżnieniu od tego, co było dawniej - potrzeby ekonomiczne parły do scalenia rozerwanego terytorium państwowego, do ułatwień w dziedzinie wymiany i krążenia dóbr oraz do zaprowadzenia ładu. Nie mogli kupcy radzi patrzeć na plebejskich lub herbowych zbójów grasujących po handlowych gościńcach. Toteż miasta polskie zdecydowanie popierały dążenie do zjednoczenia królestwa. Jednakże rozmaite warstwy ich ludności w różne strony kierowały swe sympatie. Plebs chciał książąt polskiej mowy i krwi. Inaczej było z patrycjatem. Handlowa arystokracja miejska wołała, aby Fryderyk zjednoczył się pod rządami dynastii popierającej żywioł germański. To najlepiej zapewnić mogli władcy obcy.

Za programem zjednoczenia stało rycerstwo. Nie mogły go cieszyć napady nieprzyjaciół sięgające głębi kraju ani orężna przewaga wroga nad słabymi książętami. Zachodziło ponadto to samo zjawisko, które obserwowaliśmy za Krzywoustego, kiedy warstwa wojowników popierała księcia mającego szeroki program polityczny i dążącego do odzyskania Pomorza. Przy takim wodzu

łatwiej się wybić i zrównać znaczeniem z możnymi, garnącymi przywileje dla siebie.

Dawni kronikarze niewiele uwagi poświęcali chłopom. Ale i tego, co wiemy, najzupełniej wystarczy do stwierdzenia, że miłość ojczyzny istniała wśród ludu. Gdyby było inaczej, gdyby wieśniakowi obojętne było, kto nim rządzi, nigdy „zajadłe chłopstwo” nie szarpałoby tak wściekle wojsk cesarskich za Chrobrego i Krzywoustego. W owych odległych czasach patriotyzm objawił się też w postaci przywiązania do dynastii, czci i poświęcenia dla królewskiej czy książęcej krwi. - Chłopem z pochodzenia był żołnierz, który samym sobą zasłonił Kazimierza Odnowiciela w bitwie nad Wisłą. I ten także, który nad Mozgawą oszczędził życie Mieszka Starego. Chłopi opłakiwali tragiczny zgon królewicza Mieszka, syria Bolesława Śmiałego, prawowitego dziedzica utraconej korony.

Postawa ludu musiała mieć jakiś wpływ na ogólny nastrój kraju.

Jeszcze jeden czynnik nie tylko potężnie i świadomie wspierał program zjednoczenia, ale nawet w osobach niektórych swych przedstawicieli obejmował przodownictwo w tym dziele. Był nim kler polski.

Trzeba przede wszystkim przypomnieć, że w okresie dzielnicowym polska prowincja kościelna nie uległa rozbiciu i reprezentowała jedność kraju. Poczynając od Kazimierza Sprawiedliwego duchowieństwo wymuszało na książętach liczne immunitety, stało się prawdziwą potęgą, doczekało się poddania Polski pod protekcję Rzymu. W istniejącym stanie rzeczy nie miało już właściwie nic do zyskania, wiele natomiast do stracenia.

Karol Szajnocha, historyk nie podejrzany o jakikolwiek antyklerykalizm, pisze o tym bardzo wymownie:

W żadnym z krajów europejskich nie świeciła duchowieństwu tak szczęśna dola, jak w Polsce za dni Piastów. Bogate nadania dóbr ziemskich, zupełne wyzwolenie tych dóbr spod wszelkich praw książęcych, sumienne uiszczanie się narodu ze wszelkich należności duchownych, mianowicie dziesięcin, wzniosły świecką fortunę Kościoła do nader kwitnącej pomyślności. Z samego sądownictwa w wyzwolonych od władzy książęcej dobrach płynęły duchownym właścicielom i sędziom „niezmierne summy”. Dziesięcin nie pobierali nigdzie książęta tak obficie i ściśle, jak w ziemiach polskich. Ten rygor dziesięcinny miał nawet przeszkodzić korzystniejszemu rozwinięciu się rolnictwa krajowego. Trwał tak pomyślny stan aż do zalania Polski w XIII w. przez cudzoziemską teutońską, której zresztą duchowieństwo poprzednim osłabieniem władzy książęcej samo po części wrota otworzyło.

Odtąd gdzie tylko teutonizm stale wkorzenił się, tam wszędzie fortuna kościelna gwałtownego dostawała uszczerbku. Każdy znieważał księżę, zapatrujący się na tryb rządów królewskich w Niemczech, na niemiecko-rzymskich cesarzy, śmiertelnych przeciwników i pogromców wszechwładzy duchownej w Rzymie, przynosił z góry nieprzyjazne usposobienia dla duchowieństwa.

Podejmowane przezeń ściąganie osadników niemieckich, nadawane im „prawo teutońskie”, upowszechniający się z przybyszami niemieckimi obyczaj niemiecki niszczyły skarbiec kościelny, w szczególności uszczuplały główne źródło intraty duchownej, dziesięcinę. Niemiecki bowiem zwyczaj opłacał dziesięcinę w pieniądzu, a takowa przemiana ziarna w wiardunki była powszechnie poczytywana za ruinę kościołów.

Bo też opłaty pieniężne wynosiły zaledwie jedną dwudziestą dziesięciny snopowej!

Na ziemiach zajętych przez Krzyżaków księża żyli w ucisku i byli nawet zobowiązani sami stawać do pracy, jeśli zabrakło chłopskich rąk. Zdarzali się między nimi tacy, co na znak protestu wychodzili na robotę ubrani w ornaty-

Wciskający się wszędzie księża i zakonnicy niemieccy wcale nie pragnęli podlegać polskim hierarchom, woleli swoich. Korzystając ze sporu między księciem a biskupem wrocławskim, niemieccy mnisi ośmiu śląskich klasztorów franciszkańskich założyli w roku 1284 nowy dom zakonny w Żaganiu, przyłączając go samowolnie do prowincji saskiej. Przykład ich naśladowali germańscy franciszkanie z Wrocławia, Nysy, Świdnicy, Brzegu, Namysłowa, Lwówka i Złotoryi. - Wraz z Pomorzem Zachodnim odłączonym od Polski odpadło również od metropolii gnieźnieńskiej tamtejsze biskupstwo.

Na takie wydarzenia episkopat polski nie mógł rad patrzeć. W roku 1285 synody w Łęczycy i Krakowie słały do papieża wymowne skargi. Mowa w nich o tym, że „z powodu napływu narodu niemieckiego, który już w wielu częściach Polski ciężko zawładnął, nie tylko Waszej Świątobliwości, ale i nam wielka w prawach naszych dzieje się krzywda i szkoda”. Na przykład świętopietrza na rzecz papieża „niemieccy szlachta i osadnicy opłacać zgoła nie chcą”. Czytamy jednak i o tym, że „naród polski jest przezeń [to jest przez Niemców] uciskany, pogardzany, podbijany, pozbawiany chwalebnych praw i obyczajów ojczystych, w nocnej ciszy napadany we własnych dobrach”.

Nie poprzestając na skargach biskupi zaczęli działać. Synody postanowiły nie dopuszczać cudzoziemców do dostojęstw duchownych, zabroniły zatrudniać jako nauczycieli ludzi nie umiejących po polsku.

Duchowieństwo zdecydowanie stało się sprzymierzeńcem programu zjednoczenia państwa i ono właśnie bardziej niż kto inny mogło oddziaływać na umysły. Było przecież warstwą w narodzie najbardziej wykształconą, z jego szeregów wywodzili się pisarze, jak Kadłubek. Słowo kaznodziejów docierało do nie umiejących czytać, a tacy stanowili wtedy ogromną większość.

Oczywiście i wśród duchowieństwa zdarzały się niechwalebne wyjątki, jak znany nam już Paweł z Przemankowa. Toteż tacy jak on, obok części świe-

ckiego możnowładztwa i drobnych, zupełnie już prowincjonalnych książąt, to jedyni wrogowie zjednoczenia.

W XIII w. w życiu religijnym Polski wystąpił nowy czynnik, potężnie podkreślający nierozdzielność ziem dawnego królestwa. Czynnikiem tym był kult św. Stanisława. Stracony biskup za życia odegrał ujemną rolę polityczną. W paręset lat później legenda o nim walnie dopomogła krajowi. Poszły w zapomnienie i nikogo już nie obchodziły stare spory Śmiałego z możnowładztwem. Wielki talent literacki Wincentego Kadłubka stworzył i narzucił umyślnie wizję ofiary, poniesionej przez biskupa za cały kraj, nadał sprawie zupełnie nowe znaczenie, uczynił z niej ideę. Stała się ona samodzielną wartością i tak tylko powinna być traktowana. Stanisław ze Szczepanowa żywy, rzeczywisty - ten, który działał w stuleciu XI - i wyobrażenie o nim powszechnie przyjęte w wieku XIII to dwa odrębne tematy naszej historii.

Wskutek gorliwych zabiegów duchowieństwa polskiego papież Innocenty IV ogłosił biskupa Stanisława świętym, w dekreście kanonizacyjnym przytaczając wiadomości zaczerpnięte z kroniki Kadłubka. Stało się to 17 września 1253 r. Na uroczystości zjechali do Krakowa wszyscy polscy książęta i biskupi. Kościołowi polskiemu przybył jeden dla całego kraju patron, będący w dodatku rdzennym Polakiem.

Współcześni i późniejsi pisarze zaczęli rozszerzać i upiększać legendę o św. Stanisławie. Pojawiła się opowieść o wskrzeszeniu Piotrowina, o której nawet Kadłubek nie wspominał. Natomiast wśród górali tatrzańskich utrzymywało się podanie o królu Bolesławie Śmiałym, który wraz z kilkunastu rycerzami śpi w górskiej jaskini i wstanie, kiedy na Wawelu zabrzmie dzwon na trwogę.

Poprzestańmy jednak na faktach historycznych. Dążenia patriotycznej większości kleru najlepiej reprezentował i wcielał w życie arcybiskup gnieźnieński Jakub Świnka, człowiek o rozumie i charakterze prawdziwego męża stanu. To on upominał się u papieża o krzywdę narodu polskiego. On też przypuszczalnie był właściwym autorem układów między książętami, o których będzie mowa w następnym rozdziale.

PRÓBY ZJEDNOCZENIA

I

Tak się dziwnie złożyło, że niemal jednocześnie w Krakowie, Poznaniu i Wrocławiu śmierć poprzedników otworzyła drogę ludziom nowej epoki. Najpierw - w 1278 r. - rozstał się z tym światem Bolesław Rogatka i Śląsk nieco odetchnął. W roku 1279 zamknęli oczy: w Małopolsce mdły i niedołączny Bolesław Wstydlivy, w Wielkopolsce zapobiegliwy i dzielny Bolesław Pobożny. Na widownię wystąpiły teraz pamiętne postacie Henryka IV Probusa, Leszka Czarnego i Przemysła II.

Przegląd wydarzeń godzi się zacząć od dzielnicy stołecznej. Na pewien czas przed śmiercią Bolesław Wstydlivy usynowił księcia Leszka Czarnego, wywodzącego się z linii mazowieckiej. Był to wnuk Konrada Mazowieckiego, a syn władcy kujawsko-łęczyckiego, Kazimierza, i Konstancji, córki poległego pod Legnicą Henryka Pobożnego.

Tylko dziesięć lat rządził Leszek Małopolską oraz własnym, dziedzicznym księstwem sieradzkim. Połączenie tych dwu ziem w jednym energicznym ręku stwarzało podstawę do szerszych zamierzeń. Na-urzeczywistnienie ich zabrakło jednak czasu i sił. Wojował Leszek szczęśliwie i trzeba przyznać, że nie zabrakło mu po temu okazji. Kolejno odpierać musiał najazdy Tatarów i Rusinów, Jadzwingów, Litwinów i znowu Tatarów. Oprócz tego na froncie wewnętrznym walczył z buntami możnowładztwa, któremu przywodzili biskup Paweł z Przemankowa i wojewoda krakowski Janusz Starża.

Latem 1285 r. znalazł się w położeniu bardzo ciężkim. Biskup niezwykłą „burzę wzniecił” i wraz ze świeckimi magnatami opanował całą dzielnicę. W ręku księcia został tylko Kraków, o którego obronie trudno było myśleć bez pomocy z zewnątrz. Wtedy Leszek „udał się do mieszczan krakowskich niemieckiego rodu i tak żonę swoją Gryfinę, jako i zamek ich wierności i obronie poruczył”, sam zaś ruszył na Węgry po odsiecz.

Mieszczanie nie próbowali nawet bronić długich i słabych obwarowań stolicy. Wraz z rodzinami i najcenniejszym dobytkiem przenieśli się na Wawel,

skąd dali twardy odpór drużynom magnatów i idącego z nimi księcia Konrada II z mazowieckiego Czerska. Było to w lipcu. W sierpniu nadciągnął Leszek z posiłkami węgierskimi, rozbił wrogów w bitwie nad Rabą,

mieszczanom zaś krakowskim, którzy mu zamek utrzymali i żadną przeciwnością nie dali się zachwiać w przychylności i wierności ku niemu, ponadawał wiele przywilejów; a miasto Kraków obwarował walami, przekopami, wieżami i murami i samym Niemcom powierzył rządy i zwierzchnictwo nad miastem (na co sarkali wielce przeciwni temu panowie i rycerstwo, przestrzegając Leszka, ażeby kiedy przeciw niemu hardo nie wierzgnęli). Tak zaś od tego czasu książę Leszek Czarny mieszczan krakowskich Niemców miłował i poważał, że nawet włosy na ich wzór zaczęwał, a w ubiorze natito i we wszystkim stosował się do ich obyczaju.

Miasta niewątpliwie stanowiły czynnik postępu politycznego. W skomplikowanych warunkach polskich rola ich była jednocześnie dodatnia i ujemna. Jeszcze wyraźniej niż w Małopolsce występowało to na Śląsku.

Teoretycznie już od 1266 r. rządził we Wrocławiu Henryk IV, który w przyszłości uzyskać miał zaszczytny przydomek Probus, co znaczy: Prawy. Był to syn Henryka III, tego samego, który zamienił z Rogatką Legnicę na Wrocław, rządził nim przyzwoicie, zmarł zaś podobno od trucizny. Matka Probusa to Judyta, księżniczka mazowiecka.

Ponieważ Henryk IV był małoletni, właściwe rządy sprawował przez lat kilka jego stryj, arcybiskup salzburski Władysław, najmłodszy z synów Henryka Pobożnego. Za jego czasów odbył się we Wrocławiu, w obecności legata papieskiego Gwidona, prowincjonalny synod całego Kościoła polskiego. Przy okazji mieszczanie wyprosilili sobie prawo założenia nowej szkoły na lewym brzegu Odry, tłumacząc wymownie, że dzieciom niewygodnie i niebezpiecznie wędrować przez mosty na Ostrów Tumski, gdzie znajdowała się starsza uczelnia.

Synod ów upamiętnił się - niestety - nie tylko czynem tak pięknym, jak zezwolenie na założenie nowej szkoły. Legat Gwido w bardzo ostry sposób przypomniał o obowiązujących ograniczeniach Żydów. Nakazał im mieszkać tylko w getcie, nosić spiczaste czapki i inne ośmieszające znaki, zabronił chrześcijanom zadawać się z nimi i siadać do stołu, lecz jednocześnie zobowiązał izraelitów do równych z katolikami świadczeń na rzecz kleru. Prawa takie istniały w całej katolickiej Europie, ale w Polsce wazono je lekce. Zachowały się wiadomości o specjalnym piśmie papieskim, karcącym Polaków za nadmiar liberalizmu i swobodne przestawianie z Żydami.

Henryk Probus doszedł do władzy w roku 1270, lecz wkrótce napadł go i uwięził Rogatka, zmuszając do wydania spadku po arcybiskupie Władysławie

-stryju jednego, a rodzonym bracie drugiego z blisko spokrewnionych książąt Henryk IV odzyskał wolność dopiero wtedy, kiedy wdał się w sprawę jego starszy przyjaciel i protektor, potężny król Czech, Przemysław Ottokar II. Henryk przywrócił Śląskowi świetność, przypominał chwałę epoki sprzebitwy pod Legnicą. Był to człowiek wykształcony, rycerski, Europejskiy każdym calu - ale typu bardziej już nowoczesnego niż stryj-rozbójnik Rogatka. Aczkolwiek Niemcy przydomek Probus tłumaczą na *der Müde* - nie można oskarżać Henryka o nadmiar łagodności. (Karol Szajnocha posuwa się aż do twierdzenia, że książę był dobrotliwy tylko dla Niemców.) Potrafił zaprosić Przemysła II z Poznania, Henryka Grubego z Legnicy i Konrada z Głogowa, potem uwięzić ich i zmusić do wydania sobie ziemi wieluńskiej. Dwaj ostatni uznali ponadto jego zwierzchnictwo. Czynniami Probusa kierował zawsze rozum polityczny, zmierzający do ściśle określonego celu.

Walki władzy świeckiej z duchowną nie przybierały zazwyczaj w Polsce tak dramatycznych form, jak na zachodzie Europy. Wyjątek stanowią właśnie dzieje Śląska.

Przygrywką były wypadki z roku 1256. Bolesław Rogatka, pragnąc zmusić biskupa wrocławskiego Tomasza I do zmiany dziesięciny snopowej na pieniężną, pewnej październikowej nocy napadł go we wsi Górka, porwał, bosego i odzianego tylko w koszulę wsadził na ciężko chodzącego człapaka, zawlókł do swego zamku, okuł w kajdany i wsadził do lochu. Niedola biskupa wzruszyła któregoś z najmitów niemieckich, więc dał mu po drodze stare buty i szmatę do okrycia grzbietu.

V

We wszystkich kościołach ogłoszono klątwy na księcia, którymi on „jakby pomiotłem gardząc” nie ustawał w znęcaniu się, aż dopiął swego. Papież Aleksander IV kazał w Niemczech i w Polsce otrąbić wyprawę krzyżową przeciwko Rogatce, do której jednak nie doszło.

Przeciwnikiem Henryka Probusa był Tomasz II herbu Nałęcz. Spór znowu dotyczył rzeczy najzupełniej świeckich, po prostu dochodów i zakresu władzy biskupa. I tym razem książę obłożony został klątwą, której jednak nie uznali nie tylko mieszczanie i rycerstwo, lecz także część duchowieństwa, szczególnie zakony norbertanów i franciszkanów. Ci ostatni nie zawahali się głośić ludowi, że Henryka niesłusznie wyklęto, i odprawiać nabożeństw w kościele Św. Jakuba podczas interdyktu nałożonego na miasto, mimo iż papież wyraźnie zakazał wszelkich obrzędów i posług religijnych, dopóki książę przebywa w murach Wrocławia.

Szczytowy punkt walki to rok 1287, kiedy Probus obiegł Tomasza w Raciborzu. Po wyczerpaniu środków obrony biskup ubrał się w szaty pontyfikalne,

stanął na czele orszaku duchownych, kazał otworzyć bramę i procesjonalnie wyszedł z miasta, krocząc wprost do obozu zwycięzcy. Probus był prawdziwym politykiem - nie chciał przeciągać struny i zatrzaskiwać za sobą furtki. Sam ruszył na spotkanie biskupa i przywitał go ceremonialnie, przyklękając.

Pamiętką po zawartym wtedy pokoju jest wspnięcia kościół Św. Krzyża na Ostrowie Tumskim we Wrocławiu.

Dopiero umierając przyznał Henryk biskupowi wyłączne prawa do Nysy i Otmuchowa.

Trudno wydać bezstronny sąd o tych wypadkach. Biskupi chcieli stworzyć sobie istne państwo w państwie, bronili rujnącej gospodarke dziesięciny snopowej. Jednakże nie wolno zapominać, że przeciwko nim występował przede wszystkim niemiecki żywioł na Śląsku. W czasie opisanego sporu - w roku 1285 - episkopat polski słał do papieża znane nam już skargi, wskazując na poczyny Niemców i wymieniając uczynki Henryka Probusa.

Niefortunna to okoliczność, że w danym wypadku obrona polskości na Śląsku upodabniała się poniekąd do upierania się przy przestarzałych urządzeniach. Musiało jeszcze upłynąć nieco czasu, zanim do ograniczania uroszczeń kleru zabrali się Władysław Łokietek i Kazimierz Wielki, królowie Polski zjednoczonej i ulepszającej swój ustrój.

Przewodnią myślą polityki Probusa było jednoczenie Śląska i łamanie potęgi możnowładztwa, zwłaszcza duchownego. Zamiary te wspierało rycerstwo i znakomicie rozwijające się miasta.

Odzyskał Henryk ziemię kłodzką od Czech, wykupił od Brandenburczyków kros'nieriska. Zajął w ten sposób przemożną pozycję na Śląsku i był gotów do rozpoczęcia szerszej, ogólnopolskiej polityki.

Dziwne są losy życiowe tego księcia. Wychowany na mocno zgermanizowanym dworze czeskim, uległ jego wpływowi kulturalnym. Był poetą, ale pisał wyłącznie po niemiecku. W swojej dzielnicy popierał osadnictwo idące z zachodu. Ta oplątująca go niemczyzna była solą w oku Polakom. A jednak objawszy rządy we Wrocławiu i mądrze je sprawując wszedł Henryk IV na drogę polityki dla Polski pożytecznej. Rzeczywiste potrzeby kraju zdecydowanie wzięły górę nad osobistymi przyzwyczajeniami tego Piasta i całkowicie przywróciły go naszej historii. Świadczą o tym jego porozumienia i układy, wiążące się ze wszystkimi niemal ziemiami dawnego królestwa.

Z Poznania panował wtedy Wielkopolsce książę Przemysław II. Ten już we wczesnej młodości - praktykując przy boku stryja, Bolesława Pobożnego - pokazał aż nazbyt lwie pazury. Mając lat szesnaście obiegł opanowany przez

Niemców Santok, wziął go szturmem i kazał wyciąć w pień całą załogę. Tyii nielicznych rycerstwo wyprosiło od śmierci.

Osobistość i polityka Przemysła II wiązały się ściśle ze sprawami morskimi.

Smutne doświadczenia dobrze widać wpłynęły na księcia gdańskiego Mściwoja II, zwanego też Mszczujem lub Mestwinem. Pamiętał, że gdyby nie zbrojna pomoc Wielkopolski, konszachty z Brandenburczykami skończyłyby się źle i Niemcy na dobre opanowałyby Gdańsk. Miał zresztą okazję uczyć się dalej. Odzyskanie Gdańska wcale nie zażegnało niebezpieczeństwa od strony Brandenburgii, od wschodu zaś coraz bardziej zagrażali Krzyżacy, którzy w roku 1282 - w drodze układu z jednym z książąt dzielnicowych - nabyli ziemię gniewską.

Ten sam rok 1282 widział tajny zjazd w Kępnie i układ między Mściwojem a Przemysłem II. Zawarto umowę na przeżycie. Oznaczało to, że ten z książąt, który przeżyje drugiego, będzie po nim dziedziczył. Zapowiadała się wite rzecz bardzo doniosła - zjednoczenie Wielkopolski z Pomorzem Gdańskim

Przemysła interesował nie tylko Gdańsk, lecz i Szczecin. Trzeba więc te rzucić okiem na to, co się współcześnie działo albo już stać zdażyło na Pomoi Zachodnim.

Wspomniane już poprzednio zwierzchnictwo\duńskie nad tym krajem utrzymało się dość długo. Uznał je cesarz niemiecki. Wpływy polskie w Szczecinie stale popierała księżna Anastazja, córka Mieszka Starego, ma* dwóch książąt pomorskich - Bogusława II i Kazimierza II. W roku 1^o Władysław Laskonogi obronił Pomorze przed najazdem Waldemara II Zwiąskiego, króla Danii (i dlatego właśnie, jak już wiemy, nie mógł współdziałać ze swym sprzymierzeńcem, Romanem księciem Halicza, który poległ pod Zawichostem). Pomimo to więz Polski z Pomorzem Zachodnim nieustannie słabła.

Zwierzchnictwo duńskie skończyło się w roku 1227, ale zaraz przyszła zmiana na gorsze. W roku 1231 cesarz Fryderyk II uznał Pomorze za kraj podległy Marchii Brandenburskiej. Margrabiowie rozpoczęli teraz długą serię zaborczych zabiegów. Jedne, ziemie uzyskiwali drogą zamiany, inne kupowali lub po prostu zdobywali siłą. Taki był między innymi los Kostrzyna i Chojny w roku 1253.

Również stosunki wewnętrzne zmieniały się na niekorzyść polskośći. Pod względem gospodarczym kraj rozwijał się dobrze. W XIII w. aż trzynaście tamtejszych miast uzyskało samorząd. Wzrostowi ich zamożności i znaczenia sprzyjał handel. Ale zalewał te miasta żywioł obcy, zresztą nie tylko Niemcy,

lecz i Flamandowie. Miejsce polskich kasztelanów zajmowali w nich urzędnicy zwani wójtami lub burgrabiami. Należały one do Związku Hanzeatyckiego, wielkiej, polityczno-handlowej organizacji miast niemieckich, mającej swą stolicę w Lubece. Okoliczność ta w znacznej mierze sprzyjała usamodzielnianiu się miast pomorskich, ale też oddalała je od Polski.

Rycerstwo niemieckie również napływało licznie, uzyskując włości i nadania. Żywioł polsko-słowiański ustępował na wschód. Celowo nie dopuszczano go do miast.

Mściło się teraz na Pomorzu jego tak długie trwanie przy pogaństwie. Wobec braku własnego kleru katolickiego masowo przybywał niemiecki. Z licznych zakonów jedni tylko dominikanie podtrzymywali związek z Polską. W rozległych dobrach takiego klasztoru w Trzebiatowie, założonego w roku 1224, osiedlali się wyłącznie koloniści z Nadrenii i Saksonii. Zakonnikami byli tu też sami Niemcy. Po roku 1248 biskupi z Kamienia nabyli od księcia ziemię kołobrzeską. Zarząd jej przeszedł odtąd w ręce niemieckie.

Charakterystyczna dawniej dla Pomorza warstwa słowiańskiej szlachty kupieckiej zaczęła zanikać. Członkowie jej przenosili się na wieś, często emigrowali na Pomorze Gdańskie.

Duchowieństwo stanowiło na Pomorzu prawdziwą potęgę polityczną i gospodarczą. Jak wysoko pod względem ekonomicznym stały jego obszerne włości, świadczy oryginalny i jedyny w swoim rodzaju zabytek: imponująca murowana stodoła średniowieczna w podszczezińskim Kołbaczu, z powodzeniem używana po dziś dzień. Kołbacz należał do zakonu cystersów, którego bogactwa u nas w Polsce płynęły nie tyle z posiadanej ziemi, chociaż i tej mu nie brakowało, co z bankierstwa.

Pod względem politycznym położenie książąt Pomorza Zachodniego stało się wręcz rozpaczliwe. Szukali przeciwko Brandenburczykom pomocy na Zachodzie, w Lubece, w Związku Hanzeatyckim zaniepokojonym zaborczością margrabiów. Ale zaczęli też oglądać się na Wielkopolskę, z którą poprzednio potrafili wieść spory, a nawet walki orężne.

W roku 1273 książę Szczecina Barnim I wydał swą wnuczkę Ludgardę za Przemysła II. Jako sprzymierzeniec Bolesława Pobożnego uczestniczył Barnim w wojnie z Brandenburgią, uwieńczonej wspomnianym już odebraniem Niemcom Santoka i okrutną rzezią dokonaną z rozkazu Przemysła. Był zbyt słaby, nie mógł wytrwać w walce do końca i musiał zawrzeć odrębny pokój (w roku 1276), ale dał dobry przykład. Syn jego, Bogusław IV, w wojnach z Brandenburgią utracił ziemię świdwińską. Pomoc udzielona mu przez Meklemburgię, Lubekę i Rugię pozwoliła z trudem ocalić Stargard, Gryfino i

Gardziec. Okoliczności te skłoniły go do szukania sprzymierzeńców w Poznaniu i w Gdańsku.

23 listopada 1287 r. Przemysław II, Mściwój II i Bogusław IV zawarli w Słupsku traktat o wiecznym przymierzu. Zachodniopomorski książę trwał przy nim wiernie. Kiedy w przyszłości zabrakło Mściwoja i Przemysła, popierał ich politycznego spadkobiercę - Władysława Łokietka, który zabrał się do spajania ziem Królestwa.

Tak więc u schyłku XIII w. trzy główne grody polskie - Kraków, Poznań i Wrocław - znowu stały się siedzibami polityków z prawdziwego zdarzenia i ośrodkami myśli politycznej, godnej tego miana. I wtedy właśnie wtrącił się w nasze dzieje czynnik częstokroć pierwszorzędny, lecz zawsze nieobliczalny - los, zwyczajny przypadek. On sprawił, że zarówno Leszek Czarny, jak Henryk Probus i Przemysław II byli bezpotomni.

W dynastii Piastów, tak obfitej w talenty i charaktery, dziwnie szybko występowały cechy uwiadu. Rozrodziła się bardzo w stuleciu XII z czterech synów Bolesława Krzywoustego. Z czterech tylko, bo Henryk sandomierski zszedł ze świata w stanie kawalerskim. I oto już w następnych - XIII - poszczególne jej linie zaczynają wygasać jedna po drugiej.

Leszek Czarny w ogóle nie mógł mieć dzieci. Tajemnicę zdradziła podczas poufnej narady w Sieradzu księżna - Rusinka Gryfina - oświadczając zebranym wielmożom, że zdjęła czepiec mężatki i chodzi z gołą głową, jak przystało *
dziewicy. Mążonek milczeniem potwierdził jej słowa. Odbłyło się to jeszcze za życia Wstydliwego, który pogodził zwaśnione stadło. Przymusowa wstrzeżliwość nie mogła oburzać dynastii, który dobrowolnie skazał ród małopolski na wymarcie. Nie wiadomo tylko, co myślała, wyznaczając na spadkobiercę człowieka nie mogącego zostawić następcy.

Przemysław II w niczym nie przypominał Wstydliwego. Ofiarą dynastycznych j
ambicji władcy Poznania i jego nie znającej żadnych skrupułów moralnych
troski o przyszłość padła bezpłodna księżna Ludgarda, z rozkazu, a co naj-
mniej za milczącą zgodą męża uduszona przez dworki. Pisze Jan Długosz:

...pieśń między ludem jeszcze za naszych czasów śpiewana świadczyła, jako księżna [...] przeczuwając, że ją mąż zgładzić myśli ze świata, błagała go ze łzami i zaklinała, żeby niewieście i małżonce swej nie odbierał życia, ale pomny na Boga i na uczciwość tak książęcą, jako i małżeńską, pozwolił jej wrócić do ojczystego domu choć w jednej koszuli; chętnie bowiem znosić będzie los nawet najbiedniejszy, byleby jej życie darował. Mniemał Przemysław, że skryta jego zbrodnia, o której niewiele wiedziało osób, w wiecznym utonieniu milczeniu. Bóg jednak zrzucił inaczej; morderca bowiem słyszał swoją hańbę wyśpiewywaną w pieśni, która, jak wiadomo, doszła aż do naszych czasów i za wieku dzisiejszego na widowiskach publicznych powtarzaną bywa. Obwiniała

książęca Przemysława o tę zbrodnię krążąca **między gminem, ale prawdziwa pogłoska i od wielu** cierpiał nieraz przygryzki [...] i ani powaga **książęca, ani wydawane zakazy nie zdołały stłumić** tych zarzutów w ustach i sercach ludu.

Ludgarda zginęła w Poznaniu 14 grudnia 1283 r. W dwa tygodnie później Przemysł ufundował w tym mieście klasztor dominikanek, darując im wieś Piątków, Rudnicę i Zaparcice oraz Jezioro Gostynińskie. Potem ożenił się księżę ze szwedzką królową Ryksą. Dała mu - córkę, Ryksę Elżbietę, przyszłą królową Czech. Narodziny jej nie pocieszyły ojca, bo polski obyczaj nie przewidywał dziedziczenia tronu przez kobiety. Widział Poznań jeszcze i „trzecie wesele” Przemysła - z Małgorzatą brandenburską.

Pan Wrocławia - Henryk Probus - też był bezdzietny.

Jeszcze i czwarty władający współcześnie księżę piastowski dotychczas nie miał następcy. Mowa o Henryku III głogowskim, stryjecznym bracie Probusa i najpotężniejszym po nim dynastie na Śląsku. Ale Głogowczyk był najmłodszy z całej czwórki i miał jeszcze przed sobą przyszłość. Jakoż obdarzyła go ona z czasem aż pięciu synami, którzy jednak nie przysporzyli Polsce najmniejszej pociechy.

Możliwość rychłego osierocenia trzech tronów dzielnicowych oddziaływała na postanowienia ich dzierżycieli i w ostatecznym obrachunku stała się czynnikiem dodatnim. Leszek Czarny, Henryk IV Probus i Przemysł II zawarli między sobą i z Głogowczykiem układy o wzajemnym i kolejnym dziedziczeniu. Bardzo prawdopodobne, że natchnął ich tą myślą arcybiskup gnieźnieński Jakub Świnka.

Leszek Czarny zapisał Małopolskę Probusowi, po którego śmierci Kraków i Sandomierz winny były przypaść w udziale Przemysłowi II, Wrocław zaś Henrykowi III Głogowczykowi. On też w przyszłości zostać miał spadkobiercą generalnym, dziedzicem wszystkich ziem objętych umowami, a więc Małopolski, Wielkopolski i Śląska. Stać się to mogło oczywiście dopiero po zgonie Przemysła, który - jak się już wspomniało - od kilku lat był przewidziany na spadkobiercę po Mściwoju II. Układy dotyczyły więc również Pomorza Gdańskiego.

Pertraktacje rozpoczęły się w roku 1287. Uczestnicy ich byli ludźmi przewidującymi - w roku 1288 zmarł Leszek Czarny. Pochowano go w Krakowie u Dominikanów, w miejscu, które sobie upatrzył za życia.

Henryk IV Probus natychmiast wyprawił się do stolicy po swoją prawowitą własność. Dzieło jednoczenia podzielonych od tak dawna ziem polskich zostało rozpoczęte. Okazało się jednak, że wcale nie tak łatwo urzeczywistnić testament zmarłego Leszka. Polska miała się w niedalekiej przyszłości naprawdę

zjednoczyć, ale w sposób zupełnie inny od tego, jaki przewidywali czterej książęta, uczestnicy układów.

W Małopolsce natknął się Probus na współzawodników. Mniej groźny okazał się Bolesław, książę na Płocku, popierany przez biskupa Pawła z Przemankowa i możnych. Mieszczanie krakowscy otworzyli bramy przed Probusem, Bolesław uszedł z Wawelu i nie podjął walki orężnej. Zaraz jednak wystąpił i drugi pretendent, człowiek obdarzony takim charakterem i siłą woli, że podobnych darmo w całej historii polskiej ze świeca szukać.

Był nim przyrodni brat Leszka Czarnego, książę brzesko-kujawski Władysław, dla nadzwyczajnie małego wzrostu zwany Łokietkiem. Wywodził się z linii Piastów mazowieckich. Jego rodzony dziad to Konrad, który sprowadził Krzyżaków. O ojcu Łokietka, wcześniej zmarłym Kazimierzu kujawsko-łęczyckim, już wspominalis'my. Matką była Eufrozyna, księżniczka opolska.

Rola, jaką w naszych dziejach odegrał Władysław Łokietek - zjednoczyciel państwa, pierwszy król Polski pochowany na Wawelu - jest świetna. Tym bardziej musi zastanawiać jego postępowanie po śmierci Leszka-Czarnego. Można oczywiście twierdzić, że dopiero czas i ciężkie doświadczenia życiowe zmieniły później Łokietka, przerobiły warchoła na polityka, nauczyły go myśleć o całym państwie.

W takim sądzie będzie się pewnie zawierać część prawdy. Ale najwyżej część!

Historia przebiega zawsze nader powikłanymi szlakami i nikt nie może się chełpić, że dostrzegł i oszacował wszystkie. Znanе przysłowie o medalu mającym dwie strony jest tylko w przybliżeniu słuszne, bo w rzeczywistości owych „stron” bywa nieraz tyle, że policzyć ich niepodobna.

Henryk Probus to jedna z ciekawszych postaci naszych dziejów. Jego zjednoczeniowe dążenia ocenić należy dodatnio, nie zapominając jednak, że wśród czynników popierających księcia były i takie, których rola mogła budzić i na pewno budziła żywy niepokój. Gra toczyła się o narodowe oblicze przyszłej zjednoczonej Polski.

Śląskiemu dynastie gorliwie sprzyjał niemiecki patrycjat Wrocławia i Krakowa. Niemieccy mieszczanie torowali mu drogę na Wawel. Wrocław - liczący wtedy od dziesięciu do piętnastu tysięcy mieszkańców - własnym kosztem wystawił Henrykowi armię z trzech i pół tysiąca ludzi, zaopatrzoną w sto wozów ze sprzętem oblężniczym oraz w tysiąc dwieście transportowych. Na taki dar nie mógłby się zdobyć ubogi plebs. To było dzieło najbogatszych kupców, czyli Niemców.

Sprzymierzeńcem Probusa był zgermanizowany dwór czeski.

Okoliczności te bez wątpienia zrażały rycerstwo, kosym okiem patrzące na cudzoziemski zalew. Nie tylko osobiste ambicje, lecz i patriotyzm polski kierował czynami Władysława Łokietka. Zarzuca mu się brak szerszych horyzontów politycznych w tej epoce. Kto wie, czy prawda nie wygląda odwrotnie. Łokietek mógł już wtedy sięgać myśla naprzód i widzieć niebezpieczeństwo podboju Polski przez Niemców - od wewnątrz.

W XIX w. niemiecki historyk nie zawahał się napisać:

Gdyby niebiosa obdarzyły Henryka IV długowiecznością jego pradziada, Henryka Brodatego, nie byoby mu trudno przerobić ziemie krakowską i sandomierską na niemiecką Marchię Południowo-Wschodnią. -

Przypuszczenie na pewno niesłuszne. Probus nie chciał przerabiać Polski na Niemcy. W przeciwnym razie nie wyznaczałyby dziedzicem po sobie Przemysła poznańskiego. Wolno sądzić, że objąwszy rządy nad całym krajem musiałyby po prostu dostosować się do jego potrzeb i prowadzić politykę prawdziwie polską. Jednakże do germanizacji kraju niewątpliwie dążył popierający go patrycjat miejski. Współczes'ni widzieli fakty i zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństw.

Bitwy pod Skalą i Siewierzem Henryk Probus przegrał, i to z wielkimi stratami, a sprzymierzone z Łokietkiem drużyny ruskie Lwa halickiego zgodnie z odwieczną tradycją wtargnęły głęboko na zachód, pokazały się pod Nysą i Grodkowem. Sandomierza Ślązak utrzymać nie zdołał, ale zajął Kraków. Zawdzięczał to mieszczanom, którzy nocą, tajemnie otwarli mu bramy. Wkraczające oddziały Henryka omal nie pochwyliły wtedy samego Łokietka, który właśnie z kilku żołnierzami sprawdzał warty. Ocalili Władysława krakowsky franciszkanie. Przebrali go i cichaczem po sznurze spuścili z muru.

Mając w ręku stolicę kraju wysłał Henryk IV poselstwo do papieża, „ażeby mu pozwolił nosić berło i koronę i ażeby miał nazwę króla”. Ale 26 czerwca 1290 r. zmarł we Wrocławiu, jak wieść niesie, otruty pomału działającym jadem. Inicjatorem zbrodni miał być podobno człowiek wyznaczony na posła, który skradł pieniądze przeznaczone na podróż.

Pochowano Henryka we wzniesionym przezeń kościele Św. Krzyża we Wrocławiu. Ciało skrył grobowiec będący wspaniałym dziełem sztuki rzeźbiarskiej. Można go dziś podziwiać w muzeum wrocławskim i stwierdzić, że zdobiąca wieko sarkofagu podobizna śląskiego księcia ma nad lewym ramieniem tarczę z herbem królestwa polskiego - białym orłem krakowskim w złotej koronie na tle czerwonym.

Podczas uroczystości żałobnej kazał biskup Tomasz odczytać podpisany na łożu śmierci dokument księcia, mocą którego Nysa i Otmuchów przechodziły w wyłączne władanie Kosciola. Nieposłusznym zagroził klątwą.

Zgodnie z zawartym poprzednio układem Kraków i Sandomierz dziedziczyć miał Przemysław II, Wrocław zaś" przypadła w udziale Henrykowi głogowskiemu. Postanowienia te wykonano, ale księżętom polskim przybył w tym czasie nowy i groźny współzawodnik, który zdążył już nawet rozszerzyć swą władzę na szmat ziemi polskiej. W tym samym roku 1290 księżę Bytomia Kazimierz uznał nad sobą zwierzchnictwo króla Czech, Wacława II.

Tak rozpoczął się długi łańcuch wypadków, które doprowadziły do odebrania Śląska od Polski. Bo kraj ten najpierw trafił pod panowanie Czech i dopiero wraz z nimi dostał się w ręce niemieckie.

Jakemy widzieli, królom czeskim nie udało się opanować Austrii. Ich ambitne i sięgające aż do Adriatyku zamiary załamały się pod Suchymi Krętami. Przegrana bitwa nie mogła jednak zniweczyć zdobywczych dążeń pilnego i pod względem gospodarczym dobrze rozwiniętego królestwa. Odepchnięte od południa, zwracają się Czechy na wschód, w stronę Polski. Taka zmiana kursu mogła tylko cieszyć Rudolfa z Habsburga, który chętnie widział, że Przemysławidzi odwracają swe apetyty od jego dziedzictwa, Austrii. Wacław II był jego zięciem, co tym bardziej ułatwiało porozumienie.

Wacław II objął rządy w Czechach w tym samym roku, kiedy w Krakowie umarł Leszek Czarny. Jego zaborczej polityce w stosunku do Polski sprzyjał pewien pozór prawa, właściwie fikcja, ale mogąca mieć groźne skutki, jeśli ją poparł ktoś silny. A to się właśnie zdarzyło. - Henryk Probus obiecał był w swoim czasie Wacławowi, że w testamencie zapisze mu Wrocław. Ltnieważnił później to przyrzeczenie i zawarł znane nam już układy z książętami polskimi. Ale Wacław II miał przyczepkę, pozór prawny wtrącania się do naszych spraw. Uzyskał teraz przywileje cesarskie warujące mu „prawa" do całego spadku po Probusie, a więc nie tylko do Wrocławia, lecz także i do Krakowa. Pretensje jego zdecydowanie poparł niemiecki patrycjat miast czeskich, śląskich i małopolskich.

Jak się okazało, wiele racji miał Władysław Łokietek, kiedy przeciwstawiał się celom i polityce tego odłamu mieszczaństwa, które po zgonie Probusa bez żadnych wahań opowiedziało się za władcą obcym, protektorem Niemczyzny i ponadto sprzymierzeńcem króla niemieckiego.

Zgodnie z obowiązującymi umowami Przemysław II wkroczył do Krakowa. Utrzymał się w nim zaledwie przez kilka miesięcy. Wacław II był silniejszy, toteż księżę poznański musiał oddać mu Wawel i zrzec się praw do ziemi

krakowskiej. Dziwne to jednak było zrzeczenie. Przemysław II wydobyl z krakowskiego skarbcza i zabral ze soba do Poznania stare insygnia koronacyjne króla Bolesława Śmiałego. Na razie pozostawiał więc Wacławowi stolicę, ale uwoził nad Wartę rzecz niezwykle cenna, sam poświęcony znak jedności państwa.

Jeszcze przez cały rok wytrwał w Sandomierzu wspierany przez Węgrów Władysław Łokietek. Ale i on musiał w końcu ustąpić do Łęczycy.

Silną armię czeską, która wkroczyła do Małopolski, prowadził biskup bamberski Arnold. Niebawem jednak - w tym samym roku 1291 - przybył Wacław II i chcąc sobie zjednać społeczeństwo wydał w Lutomyślu przywilej, dotyczący duchowieństwa, rycerstwa i mieszczan. Przyrzekł w nim nie pobierać żadnych nowych danin ani podatków oprócz tych, co już się należały. W ten sposób i mieszczanie uznani zostali za stan cieszący się wolnością podatkową. Bez ich własnej zgody władca nie mógł narzucać im nowych ciężarów.

Przyszła teraz kolej na rozprawę z nieustępliwym Łokietkiem. Wacław obiegł go w Łęczycy i w październiku 1292 r. zmusił do poddania się, zrzeczenia się wszelkich roszczeń do Małopolski oraz do uznania swego zwierzchnictwa.

Niefortunne losy skłoniły wzajem ku sobie Przemysła II i Łokietka. Obaj używali tytułów „dziedziców Krakowa”. Przemysław zaczął ponadto posługiwać się pieczęcią, na której widniał krakowski orzeł w koronie, tylko w szczegółach rysunku różniący się od tego herbu, co zdobi sarkofag Henryka Probusa.

Takie postępowanie dobitnie świadczyło, że obaj książęta traktowali ustępstwa wymuszone przez Czechów jako tymczasowe i nie myśleli wyrzekać się swych praw. Przemysław zdecydował się nawet unieważnić poprzednie układy z Henrykiem III głogowskim i uznać swoim dziedzicem i następcą Władysława Łokietka. Jemu więc w przyszłości przypaść miała Wielkopolska, Pomorze Gdańskie i okupowana przez Czechów Małopolska. Umowa przewidywała jeszcze trzeciego spadkobiercę. Był nim młodszy brat Łokietka, Kazimierz łęczycki. Ciekawe, że wszyscy trzej książęta uczestniczący w tej kombinacji znowu byli bezdzietni, ale tylko na razie. Los miał bowiem obdarzyć Władysława Łokietka potomstwem - i to znakomitym.

II

Przekreślenie dawnych umów spadkowych godziło w interesy księcia Henryka głogowskiego, było jednak nieuniknione, bo okoliczności zmieniły

się zupełnie. Pogmatwało je wmieszanie się Wacława II w sprawy polskie.

Król czeski opanował Małopolskę i w dalszym ciągu rozszerzał swe wpływy na Śląsku. Cieszyn i Opole uznały jego zwierzchnictwo, Wrocław zaś nie wpuścił do siebie Henryka głogowskiego. Zamiast niego wezwano sprzymierzonego z Czechami Henryka Grubego, księcia na Legnicy.

Był to syn osławionego Rogatki. Na szczęście nie dziedziczył ojcowskich skłonności, rządził rozsądnie, po gospodarsku. Z żoną Elżbietą - córką wielkopolskiego Bolesława Pobożnego i św. Jolanty - spłodził aż ośmioro dzieci.

Książęta głogowscy nie poniechali zemsty za pozbawienie ich Wrocławia. W listopadzie 1293 r. nocą porwali Henryka Grubego z łaźni znajdującej się za murami miasta, nad którymś z ramion Odry. Półnagięto go zawlekli do Głogowa, gdzie

rzeczony Henryk nie tylko spętany i okuty żelzywe dźwigał kajdany, ale nadto wsadzony w klatkę żelazną zewsząd zacieśnioną i dwa tylko otwory nader wąskie mającą, jeden dla przyjmowania pokarmów, drugi dla wypróżniania żołądka, nie mógł ani siedzieć, ani stać, ani leżeć, lecz tkwił w niej prawie nieruchomy. Przez sześć miesięcy cierpiał nieszczęśliwy tak srogą katuszę, że mu barki i biodra robaćto toczyło i ropa z ciała płynęła.

Wyszedł zaś na wolność nie wcześniej, aż zapłacił ogromny okup i wydał sześć miast po lewej stronie Odry. - Tak nieludzkie traktowanie odebrało nieszczęśnikowi zdrowie. Henryk Gruby zmarł w Legnicy w lutym 1296 roku.

Wrocław omal się wtedy nie dostał pod zwierzchnictwo czeskie, którego pragnęli niemieccy patrycjusze miejscy. Zapobiegł temu inny syn Rogatki, Bolko I Surowy, założyciel linii książąt świdnickich, która najdłużej wytrzymała w wierności dla Polski. Wystąpił on jako opiekun sierot po Henryku Grubym.

Miał do tego prawo jako jego brat - rodzony wprawdzie, ale niezbyt czuły. Kiedy Henryk Gruby męczył się w kaźni głogowskiej, Bolko nie przedsięwziął się starać o uwolnienie go, aż otrzymał w zapłatę Dzierżoniów, Ja worz, Strzelce, Strzegom i Ziębice. Za opiekę nad sierotami kazał się wynagrodzić miastem Sobótką, zajadłe targując się z umęczonym bratem, leżącym już na łożu śmierci. Wymusił też na Głogowczykach powiaty bolesławiecki i chojnowski.

Bolko I był politykiem niezwykle twardym i bezwzględny, stąd też wziął się jego przydomek - Surowy. Wszelkie powinności wyduszał od poddanych

bez miłosierdzia, ale księstwo zawdzięczało mu wiele, gdyż gospodarzył pierwszorzędnie. Do dziś s'wiadcza o tym liczne zabytki s'laskie.

Obyczajów był Bolko raczej luźnych i omal nie popadł pod klątwę kościelną za wcale nie platoniczną miłosc do bratanicy, Jadwigi. Ostatecznie wydal ją za mąż za margrabiego brandenburskiego, a sam odprawił pokutę w sposób dla średniowiecza dosyć charakterystyczny: podarował zakonnicom wies' Milice. Owdowiawszy, dokonała Jadwiga żywota jako mniszka w Gnieźnie.

Syn jego i następcą, Bernard, nosił dla odmiany przydomek Statecznego. Żonaty był z Kunegundą, córką Władysława Łokietka.

W Krzeszowie koło Kamiennej Góry znajduje się kościół, będący jednym z cenniejszych zabytków architektury nie tylko na Śląsku i w Polsce, lecz w Europie. Pierwszą s'wiątynię w tym miejscu ufundował Bolko Surowy. W jednej z kaplic obecnego kościoła można oglądać grobowce jego samego oraz wnuka - Bolka II - książąt z dynastii świdnickiej, która najdłużej broniła polskości Śląska.

Tymczasem Henryk III głogowski opanował szmat kraju graniczący z Wielkopolską i bynajmniej nie wyrzekął się praw, jakie mu przypadały na mocy wielokrotnie już wspomnianych układów o dziedziczeniu. Ta jego nieustępliwa postawa miała w przyszłości odegrać znaczną rolę i stać się przyczyną wielu niepokojów.

W samo Boże Narodzenie 1294 r. umarł książę Gdańska Mściwoj II. Zgodnie z zawartą przed dwunastu laty umową Przemysł II wszedł teraz w posiadanie Pomorza Wschodniego i zjednoczył je z Wielkopolską. Łączenie ziem polskich trwało zatem pomimo tylu przeszkód.

Na politykę Przemysła wpływ wywierał, a może i kierował nią, arcybiskup gnieźnieński, Jakub Świnka. Już od roku 1293 pracowicie zabiegano o pozyskanie przychylności papieża i zgodę na koronację. W Rzymie władał wtedy Bonifacy VIII, polityk niezwyklej miary, lecz bardzo bezwzględny. Na szczęście dla Polski Wacław czeski stał po stronie jego wrogów, toteż starania Przemysława i arcybiskupa uwieńczyło powodzenie.

Stołeczny Kraków dzierżyli Czesi, ale korona Śmiałego była w Poznaniu. Arcybiskup włożył ją na skronie Przemysła 26 czerwca 1295 r. w Gnieźnie.

Po przerwie trwającej dwieście siedemnaście lat Polska odzyskała tytuł królestwa i miała koronowanego monarchę w osobie Przemysła II. Co prawda, nie rządził on na całym obszarze państwa, ale królem został w sposób wedle ówczesnych pojęć najzupełniej legalny - za zgodą papieża. A że miał dopiero trzydzieści osiem lat i odznaczał się energią całkiem nieprzeciętną, więc otwierały się widoki na przyszłość.

Na zapusty 1296 r. wybrał się król do Rogoźna, gdzie weselił się i urządzał turnieje. Rankiem dnia 8 lutego - w sam Popielec - napadły na gród drużyny brandenburskie. Nikt się tego nie spodziewał, rycerstwo i król spali jeszcze po hucznej zabawie.

A lubo król Przemysław - pisze Długosz - zbudzony zgiełkiem i rozruchem, nie wiedział, jakich i jak licznych miał nieprzyjaciół, wszelako zebrawszy odwagę, jako mąż dzielny i wielkiego serca, wraz z drużyną swoich dworzan i rycerzy, których do odporu zachęcił słowem i własnym przykładem, uderzył na napastniczą zgraję: a stoczywszy walkę, wielu poranił i trupem położył. Ale zmuszony pełnić raczej powinność żołnierza niżeli króla i wodza, pod przemagającą liczbą nieprzyjaciół, nawałem strzał i mieczów, które go zewsząd dosięgały, walcząc chwalebnie, jak na ród jego przystało, omdlał i padł na ziemię mnogimi okryty ranami. Porwali go Sasi ledwo półżywego z wielką radością i uszczęśliwieniem. Chcieli bowiem Przemysława jako na triumf żywcem do kraju swego prowadzić i tak swoim, jako i obcym ludom sprawić z niego pociechę, sobie zaś zjednać zaszczyt i wielką sławę u Niemców. Ale osłabionego mnogimi i śmiertelnymi ranami na próżno wsadzali na koń, usiłując go uwięzić do swoich; leciał bowiem z konia i już na wozie nawet wytrzymać nie mógł; mdlejący wreszcie i skonania bliski padł naziesię prawie bez duszy. Gdy więc żadnej już nie było nadziei, ażeby król dożył do dnia następnego...] na ciało spętane, poranione i już naznaczone znamieniem śmierci rzucili się z zapalczywością i zakłuli je licznymi razy.

W napadzie uczestniczyli margrabiowie brandenburscy Otto Długi, inny Otto i Jan, będący siostrzeńcem Przemyśla, syn jego rodzonej siostry Konstancji. Uporczywie utrzymywała się pogłoska, że zamach ułatwiły i brały w nim udział polskie rody Zarębów i Nałęczów. Coś w tym musiało być z prawdy, bo niepodobna przypuścić, że bez współdziałania kogoś z Polaków sami Brandenburczycy potrafiliby tak zaskoczyć Rogoźno. Według podania Zarębowie i Nałęcze utracili odtąd prawo noszenia szkarłatnych szat i stawania w jednym szeregu z pozostałym rycerstwem polskim. Dopiero Kazimierz Wielki miał zdjąć z nich tę hańbę.

Przemyśla II pochowano w katedrze poznańskiej.

Szlachta wielkopolska przyzwała teraz Władysława Łokietka. Ten akt z jej strony nosił właściwie tylko formalny charakter wyrażenia zgody na obowiązującą już umowę o dziedziczeniu, zawartą trzy lata wcześniej między nim a Przemysłem. Polska nie znała jeszcze wtedy elekcji władców.

Na czas krótki w ręku Łokietka znalazły się wcale rozległe dziedziny: Wielkopolska, Pomorze Gdańskie, księstwo brzesko-kujawskie, ziemie sieradzka i łęczycka. Ale Henryk III głogowski zaraz wystąpił z pretensjami do władzy.

Rycerstwo i możnowładztwo nie sprzyjały mu, bo zbyt wielu było w jego otoczeniu Niemców. Natomiast przeciwko Łokietkowi wystąpiło ducho-

wierstwo. W czerwcu 1296 r. doszło do tajnego układu w Kościanie, mocą którego arcybiskup Jakub Świnka i hierarchia kościelna - w zamian za wielki przywilej swobód - zobowiązali się popierać Głogowczyka. Nieco później biskup poznański, Andrzej z rodu Zarębów, obłożył Łokietka kłatwą.

Nie wiodło się Władysławowi w tym pierwszym okresie jego rządów mającym trwać tylko cztery lata. Zbyt potężni byli wrogowie, a on sam za słaby. Miał za sobą rycerstwo i szukał poparcia w miastach, posuwając się na tej drodze wcale daleko. W roku 1298 Gniezno, Kalisz, Poznań i Pzdzry zawarły konfederację w celu zwalczania rozboju i zapewnienia bezpieczeństwa na drogach. Zaraz w następnym roku Łokietek wydał dokument, w którym pozwalał karać śmiercią schwytych łotrzyków. Mieszczanie otrzymali więc prawo ścinania* rycerzy pojmanyh na gorącym uczynku.

•Nic to wszystko na razie Łokietkowi nie pomogło. Nie podniósł jego powagi i układ z Wacławem II, zawarty nieco wcześniej, w roku 1297. Ustupując wobec przemocy, powtórnie zrzekł się wtedy Władysław Małopolski, a nawet uznał nad sobą zwierzchnictwo króla czeskiego.

Kraj wielkim głosem wołał o zaprowadzenie ładu, lecz tego właśnie bezsilny Łokietek osiągnąć nie mógł. Jego plany polityczne zmuszały do wysiłku i ofiar. Drużyny trzeba było jakoś żywić, a kwatery wojska zawsze stanowiły utrapienie mieszkańców. Miary nieszczęść dopełnił jeszcze przypadek - akurat przyszedł wielki pomór na bydło.

W 1300 r. biskup poznański zwołał do swej siedziby zjazd wielmożów duchownych i świeckich. Książę w obradach nie uczestniczył. Nie było go wtedy wcale w Poznaniu. Zapadła uchwała o pozbawieniu go tronu.

Co do tego postanowienia - nie ma wśród historyków wątpliwości. Istnieje natomiast różnica zdań na inny temat: nie jest całkowicie pewne, kogo uczestnicy owego zjazdu poznańskiego postanowili powołać do władzy - Wacława II czy Henryka III głogowskiego. Wiele przemawia za tym, że biskupi stali po stronie tego ostatniego - niedawno przecież zawierali z nim umowę w Kościanie.

O władzy nad krajem rozstrzygnęła nie uchwała zjazdu, lecz zdecydowana akcja zbrojna. Król czeski ruszył w pochód i zajął ziemie polskie aż po morze. Nie zdołała mu przeszkodzić nieoczekiwana dywersja ze strony od dawna sprzymierzonych z Łokietkiem Rusinów, którzy uderzyli na Małopolskę.

Jeszcze w tym samym 1300 r. Wacław II koronował się w Gnieźnie na króla Polski i pojął za żonę Ryksę Elżbietę, córkę Przemysła II, która właśnie doszła do lat umożliwiających małżeństwo. Istnieją niezbita dowody, że obrzędy te nie wzbudziły w Polsce entuzjazmu. Arcybiskup Jakub Świnka twierdził, że

kazanie koronacyjne byłoby dobre, gdyby nie to, że kaznodzieja „Niemiec i psi łeb”. Jeden z polskich roczników powiada, iż „Wacław z wielkim wojskiem posiadał królestwo polskie wbrew Bogu i sprawiedliwości”. Inny dodaje, że „Wacław sam kazał ukoronować siebie na króla”.

Uroczystość z 1300 r. nosiła zupełnie inny charakter niż tamta sprzed czterech lat, kiedy wkładał koronę Przemysław II. Wacław dokonał ceremonii w Gnieźnie, chociaż miał w ręku i Kraków. Już sam fakt zlekceważenia stolicy Polski rzucał osobliwe światło na jego panowanie. Jeszcze ważniejsze, że pozwolenia na koronację udzielił mu nie papież, lecz król - Albrecht I Habsburg - uznając tym samym Polskę za lenno, kraj zależny od Niemiec. Ogłaszając się królem robił więc Wacław to właśnie, od czego dawne koronacje Bolesławów i niedawna Przemysła II chroniły Polskę - uznawał zwierzchnictwo Niemiec.

Wkrótce udało mu się jeszcze bardziej rozszerzyć swoja władzę na Śląsku. Po śmierci Bolka Surowego (który zmarł w 1301 roku) Wacław wziął w opiekę sieroty po Henryku Grubym, najstarszego z jego synów ożenił z własną córką i podporządkował sobie Legnicę oraz Wrocław. Tylko Henryk III głogowski - tytułujący się nadal „dziedzicem królestwa polskiego” - oraz książęta świdnickcy nie uznawali jego władzy nad sobą.

Zjednoczenie większości ziem polskich stało się faktem, ale była to typowa okupacja. Nowe rządy zupełnie nie odpowiadały prawdziwym interesom narodu, obrażały jego poczucie godności własnej i sprawowane były wyłącznie obcymi rękami.

Główną podporę tronu Wacława stanowił biskup krakowski, Jan Muskata, zniemczony Ślązak, nienawidzący polskości i Polaków. W łotrystwach znacznie przewyższał znanego nam już Pawła z Przemankowa. Taki sam rozpustnik, a ponadto jeszcze złodziej, okrutnik i łupieżca kościołów, tych mianowicie, gdzie proboszczami byli Polacy. Jego zdaniem topór żołnierski to najlepszy „klucz św. Piotra” do otwierania takich świątyń. .

Opowiadano, że stary i świątobliwy franciszkanin krakowski, Mirosław, miał raz osobliwe widzenie. Pojawił mu się Muskata w postaci stojącego na tylnych łapach wilka w szatach biskupich i z pastorałem w pysku. Miał dwie tarcze - na jednej zboczony miecz oraz napis: „Drapieżny wilku! Wyciągnąłeś miecz z pochwy i skrwawiłeś go. Miecz pomsty przebije duszę twoją.” Na drugiej tarczy można było przeczytać po łacinie: „Oto Jan, biskup krakowski”. Pogłoski o takich widzeniach zastępowały w średniowieczu publicystykę polityczną i równie sprawnie jak ona wyrażały nastroje społeczeństwa.

Rządy Wacława opierały się wyłącznie na niemieckim patrycjacie miejskim oraz na czesko-niemieckich oddziałach wojskowych, które bez litości tłumiły wszelki opór, ogarniający coraz szersze kręgi, szczególnie w Małopolsce. Ucisk dotyczył wszystkich Polaków, zarówno możnych, jak księży, mieszczan, chłopów i rycerzy. Dobrą, chociaż oczywiście wcale nie zamierzoną stroną okupacji było to, że naród żył w jednakich warunkach, zrastał się i coraz więcej serc i umysłów zwracało się ku Władysławowi Łokietkowi, który wcale nie myślał o zrzeczeniu się swych praw ani o zaprzestaniu walki:

w nieszczęściach stał nieporuszony, w upadku nie stracił serca i tym mężniej powstawał, im srożej los go nękał. Tą siłą i hartem duszy zwyciężał przeciwności i samo szczęście zmuszało do hołdowania sobie.

Pragnąc osłabić znaczenie dotychczasowych urzędników polskich wprowadził Wacław własnych - Czechów i Niemców - zwanych starostami. Ten spadek po czeskiej okupacji przetrwać miał stulecia. Tytuł starosty przyjął się. Istniał w Polsce królewskiej i w obu Rzeczpospolitych, po roku 1918 i 1945. Spolszczył się najzupełniej i całkowicie zapomniano o jego obcym pochodzeniu. Znikł w roku 1950 -w chwili reformy administracji-a razem z nim jeszcze starszy i rdzennie polski tytuł wojewody.

Wacław II opanował nie tylko Polskę, lecz podporządkowywał sobie również Węgry, dążąc do stworzenia pod swym berłem obronnego bloku w środkowej Europie. Plany te mocno zaniepokoiły przychylnych mu dotychczas Habsburgów. Potęga czeska miała jednak trwać bardzo krótko.

Wacław II zmarł 21 czerwca 1305 r. Następca jego - Wacław III - zdążył w sprawach polskich dokonać tylko jednego posunięcia, ale za to takiego, że jego złowrogie skutki udało się naprawić dopiero w półtora stulecia później. Kończąc rokowania rozpoczęte jeszcze przez ojca obiecał Brandenburczykom Pomorze Gdańskie. W zamian otrzymać miał Miśnię, potrzebną mu do dalszych przetargów z Habsburgami.

W ten sposób miał się zmarnować owoc mądrych układów Przemysła i Mściwoja II. Utracie Pomorza, która nastąpiła w kilka lat później, walcie dopomogła czeska okupacja w Polsce.

Umowę z Brandenburgią zawarł Wacław III 8 sierpnia 1305 r. Zginął niemal dokładnie w rok później, 4 sierpnia 1306 r. Było to w Ołomuńcu. Zmęczony upałem król wypoczywał w domu tamtejszego dziekana i cały dwór też drzemał. Zamachowiec wyzyskał sposobną chwilę i zabił go mieczem. Przyczyn zbrodni nigdy dostatecznie nie wyjaśniono.

Na Wacławie III skończyły się czeskie rządy w Polsce i wygasła prastara

dynastia Przemyślidów. Był to ród rdzennie czeski - spokrewniony z Piastami już przez Dobrawę - ale pod koniec bardzo zniemczony, i to właśnie zasadniczo odróżniało go od polskiej dynastii.

Trzeba jeszcze powiedzieć parę słów o losach córki Przemyśła II, Ryksy Elżbiety, wydanej za Wacława II. Po jego śmierci poślubiła Rudolfa austriackiego, przeżyła go i po raz trzeci wyszła za mąż za króla Hiszpanii. Córka z tego małżeństwa została żoną Alfonsa Aragońskiego i miała z nim liczne potomstwo. Tak więc i w żyłach władców Hiszpanii nie brakło domieszki krwi piastowskiej.



WŁADYSŁAW ŁOKIETEK

I

Wygnyany z Polski przez Wacława czeskiego, ruszył Łokietek do Rzymu, uczynkiem tym składając dowód bystrej orientacji w polityce europejskiej. Papież Bonifacy VIII nie sprzyjał czeskim rządóm nad Wisłą. Objąwszy w Kościele władzę na kilka miesięcy przed koronacją Przemysła II, jemu właśnie, a nie Wacławowi, przyznał tytuł króla polskiego. Nie uznał koronacji Wacława dokonanej w roku 1300 i otwarcie to głosił.

Powody takiego postępowania były jasne. Od XIII w. rozciągał się nad Polską protektorat papieski, przyjęty przez książąt dzielnicowych. Rzym pobierał z naszego kraju znaczne opłaty, zwane świętopietrzem. Wacław natomiast, który jako król czeski był jednocześnie wysokim urzędnikiem cesarskim - piastował godność wielkiego cześnika - chciał przerobić Polskę na niemieckie lenno, umniejszając tym samym wpływy papieża.

Władysław Łokietek wyznawał się w tych kombinacjach i wiedział, gdzie szukać poparcia. Protektorat odległego Rzymu kosztował wprawdzie sporo pieniędzy i mógł przyczynić trudności, ale był czymś bez porównania lepszym od czeskiej okupacji sprawowanej z niemieckiego upoważnienia.

Przychylność Bonifacego VIII dla niepodległości Polski jest faktem, lecz sąd o nim wypadnie niesłusznie, jeśli patrzeć będziemy z tego tylko punktu widzenia. O papieżu tym krążyło wówczas łacińskie powiedzenie: *Intrasti ut vulpes, régnas ut leo, morieris ut canis* - wkradłeś się jak lis, rządzisz jak lew, zginiesz jak pies.

O papieżu Bonifacy! Za dużo naśpiewałeś się światu, ale wierzę, że nie zejdziesz z niego tak wesoło. Jak salamandra w ogniu znajduje swe życie, tak ty swą radość i zadowolenie w złościwości. O zbrodnicza chciwości! O pragnienie bez miary! Tak wiele złota połykasz, a przecież nie możesz być zaspokojone

- pisał prawnik i poeta Jacopone da Todi, franciszkański zakonnik z tej grupy, która żądała doskonałego ubóstwa, długoletni więzień papieski.

Proroctwo co do niezbyt wesołego zgonu okazało się prawdziwe. Bonifacy VIII popadł w spór z królem Francji, Filipem IV Pięknym, który urok postaci łączył z wielkimi zdolnościami oraz brakiem jakichkolwiek skrupułów moralnych czy miłosierdzia. Chodziło o dziesięciny pobierane od duchowieństwa.

Bonifacy VIII, wzorem Innocentego III, głosił zasadę bezwzględnej przewagi papieżstwa nad władzą świecką. „Wszelkie stworzenie ludzkie poddane jest papieżowi rzymskiemu i nie można zbawionym być nie wierząc w to” - dekretował. Filipa Pięknego pozwał przed swój sąd, król zaś oskarżył papieża ni mniej, ni więcej, tylko o herezję. Zwołane w roku 1302 do Paryża francuskie Stany Generalne, w których zasiedli przedstawiciele kTera, szlachty i mieszczan, stanęły murem za swym monarchą. 7 września 1303):. wysłannik królewski, prawnik Wilhelm Nogaret, napadł papieża w zamku Anagni we Włoszech, pojmał go, żądał złożenia godności, nawet groził śmiercią. Bonifacy zniósł to wszystko mężnie, lecz uwolniony przez mieszczan niedługo przeżył zniewagę. Zmarł 11 października. - Dopiero po jego śmierci wyszedł z więzienia, by wkrótce umrzeć na wolności, Jacopone da Todi.

Następny papież - Klemens V - poprzednio biskup w Bordeaux, w ogóle nie przybył do Rzymu. Osiadł w Awinionie w południowej Francji, gdzie odąd przez lat kilkadziesiąt miała się znajdować faktyczna stolica Kościoła. Okres ten zowie się w historii niewolą babilońską papieży.

Gdy się to działo w Italii i we Francji - na wschodzie czynni byli protegowani Bonifacego VIII. Zaliczał się do nich przede wszystkim Karol Robert z francuskiej dynastii Andegawenów, panującej w Neapolu i na Sycylii. Papież wyznaczył go na króla Węgier, który to kraj uznawał za swe lenno.

W samych początkach XIV stulecia wygasła odwieczna węgierska dynastia Arpadów, wielokrotnie spokrewniona z Piastami. Na osierocony tron pchało się wielu kandydatów, między innymi Wacław II czeski.

Kilka lat trwało, zanim Karol Robert Andegaweński opanował kraj i zajął Budę, surowo karząc wrogich mu mieszczan niemieckich. Węgrzy ostatecznie uznali go swym władcą, ale służyć nie chcieli o zasadzie wyznaczania im króla przez papieży. Karol wszedł na tron dzięki wyborowi dokonanemu przez sejm.

Wokół nowego władcy zaczęła wyrastać i robić kariery nowa arystokracja. Widniał wśród niej ród Batorych.

Karol Robert był sprzymierzeńcem Władysława Łokietka, a wkrótce został nawet zięciem, poślubiwszy jego córkę Elżbietę. Na razie jednak nie mógł mu dać skutecznej pomocy, bo sam dopiero w roku 1310 włożył koronę Św.

Stefana, co ostatecznie uspokoiło podejrzliwych Węgrów, którym nie wystarczyła diadem poświęcony przez papieża. Od razu wsparli za to Łokietka zaprzyjaźnieni z nim magnaci węgierscy. Już i przedtem wychodziły stąd nagłe zagony na ziemczają klasztor bożogrobców w Miechowie, będący filarem czeskich rządów w Polsce. Teraz jednak - w roku 1304 - wzdłuż Popradu i Dunajca pociągnęła znacznie poważniejsza w skutkach wyprawa. Ponownie otworzyła ona przed Władysławem drogę do kraju.

Łokietek zaczął odbierać Czechom ziemie polskie jeszcze za życia Wacława II. W końcu 1304 r. miał Wiślicę, w roku następnym całą ziemię sandomierską. 15 maja 1305 r. był w Krakowie. W chwili kiedy szykujący się do odwetowego uderzenia Wacław III zginął od miecza skrytobójcy, Władysław Łokietek był już panem ziem: krakowskiej, sandomierskiej, sieradzkiej, łęczyckiej, kujawskiej oraz części Wielkopolski.

Resztę tej ostatniej - wraz z Poznaniem - zajął Henryk III głogowski, ani na chwilę nie wyrzekający się swych dawnych i przedawnionych praw.

Panowanie czeskie w Polsce upadło więc jeszcze za życia ostatniego Przemysłidy.

Zachowały się wieści o tym, że w wojsku Łokietka więcej było chłopów niż rycerzy. Żyją ciągle na pewno z jakiejś prawdy wywodzące się podania o wieśniakach, ukrywających księcia w jaskiniach Ojcowa. Powracającego do Polski Władysława wspierał naród.

To samo poniekąd powiedzieć można i o Henryku III. Niektórzy Wielkopoleanie od dawna upatrzili go sobie na księcia, z nim duchowieństwo zawarło w roku 1298 układ w Kościanie i jego zapewne, a nie Wacława, pragnęło w roku 1300 osadzić na tronie po złożeniu żen Łokietka. Zajęcie Poznania przez Głogowczyka to też powrót nad Wartę władzy, uważanej początkowo za zupełnie swojską.

Jednakże Łokietek zaraz dowiódł, że jest bardziej godzien władać całą Polską. Z niezwykłą energią odzyskał dla niej Gdańsk.

Na mocy nieszczęsnych paktów z Przemysłidami margrabiowie brandenburcy Otto i Waldemar z wiosną 1306 r. wkroczyli na Pomorze.

1 września Łokietek był jeszcze w Krakowie i wydawał tam przywileje dla stanów. W listopadzie zajął Świecie, a w grudniu Gdańsk. Ustanowił tam namiestnikami książąt kujawskich, Kazimierza oraz Przemysła i natychmiast powrócił do stolicy.

Miał tam dużo do roboty, bo biskup Muskata nie ustawał w knowaniach. Świadkowie, występujący potem w wytaczanych mu procesach, zeznali wiele ciekawych rzeczy. Twierdzili więc, że Muskata pragnie „usunąć księcia

Władysława z ziemi i wytepić naród polski", że

wysyłał rabusiów na łupienie, błogosławił im zobowiązując ich, aby niszczyli ziemię, język i naród polski; obcuje z tymi świętokradcami i komunikuje ich; wiele kościołów spalili, a we wszystkich grabieżach uczestniczył w łupie.

Łokietek zajmował jego grody i Muskata uszedł na Śląsk. Inna jeszcze kwestia przyciągała uwagę księcia i trzymała go na południu kraju. Rodzona siostra Łokietka, Eufemia, była żoną Jerzego I halickiego. Traf chciał, że małżeństwo to mniej więcej jednocześnie zeszło ze świata. Doceniający wagę spraw ruskich Łokietek udzielił pomocy ich synom - Andrzejowi i Lwu - którzy osiedli w księstwie halickim i pozostali wiernymi sojusznikami Polski.

^

Tymczasem na północy, nad morzem, sprawy przybieramy obrót zdecydowanie zły. Jesienią 1306 r. Łokietek pozbawił władzymożnowładczy ród Święców i złożył z urzędu jego przedstawiciela, Piotra z Nowego. Święcowie administrowali Pomorzem za Waławów. Zaliczali się do tych bardzo nielicznych rodzin polskich, którym Przemysłodzi ufali i które traktowali na równi z Czechami i Niemcami. Odsunięci od rządów i znaczenia, uknuli zdradę. W połowie 1307 r. porozumieli się z Brandenburgią i w zamian za kasztelanię słupską oraz pięć grodów przyrzekli wydać jej Pomorze. Podły targ miał być upozorowany chęcią wykonania układu, podpisanego dwa lata wcześniej przez Waławę III.

W roku 1308 margrabia Waldemar wkroczył na Pomorze i zajął je całe, z wyjątkiem samego grodu w Gdańsku, którego bronił sędzia pomorski Bogusz. Miasto Brandenburczyk opanował, gdyż niemiecki patrycjat otworzył przed nim bramy.

Państwo polskie dopiero się zrastało po paruwiekowym rozbięciu. Groźnie trzeszczały wszystkie jego spojenia, granice płonęły. Zajęty na południu Łokietek nie mógł dać pomocy, pobliska Wielkopolska znajdowała się w ręku Głogowczyków. Jedynym sprzymierzeńcem na północy był Bogusław IV szczeciński, który wiernie dochowywał układu o wieczystej przyjaźni, zawartego jeszcze z Przemysłem II i Mściwojem. Ale inna armia brandenburska uderzyła na jego ziemię i spaliła Kamień. Władca Szczecina został w ten sposób unieruchomiony, a biskup kamieński poszedł na Gdańsk razem z margrabią Waldemarem,

Sędzia Bogusz zajadle bronił grodu, ale położenie jego było beznadziejne. Łokietek kazał mu radzić sobie stosownie do okoliczności, w ostateczności zawezwać pomocy krzyżackiej. To samo zalecał przeor dominikanów gdań-

skich. Nie widząc innego sposobu, Bogusz zwrócił się do mistrza pruskiego Henryka von Plotzke z prośbą o posiłki.

Gród gdański leżał w widłach Raduni i Motławy, wały jego przylegały niemal do dzisiejszej ulicy Rycerskiej. „Odsiecz” krzyżacka pod wodzą komtura ziemi chełmińskiej, Guntera von Schwarzburg, nadszła od strony morza, idąc przez podmokłe, zalewowe tereny. Brandenburczycy ustąpili na zachód, trzymając się tylko w Sławnie i w Słupsku.

Krzyżacy najpierw obwarowali się w połowie grodu, potem wyparli Polaków z drugiej i wymogli na Boguszu pisemne zaświadczenie o oddaniu twierdzy aż do czasu, kiedy Łokietek zwróci koszty pomocy. 14 listopada 1308 r. uderzyli na miasto, tnąc w pień mieszkańców i puszczając je z dymem. Poległa w walce cała szlachta pomorska obecna wtedy w Gdańsku. Opat z Oliwy, który spieszył z religijną pociechą dla konających, mógł słuchać spowiedzi, „o ile mu na to pozwalano”.

Przez długi czas toczyły się przed sądami papieskimi rozprawy o to, co zaszło w Gdańsku 14 listopada 1308 r. Polacy oskarżali Zakon o wymordowanie dziesięciu tysięcy ludzi. Krzyżacy przeczyli temu. Twierdzili, że ukarali śmiercią szesnastu zbrojców wydanych im przez mieszczan, po czym spokojnie odeszli, a gdańszczanie z własnej i nieprzymuszonej woli spalili swe domostwa i poszli gdzie indziej.

Prawda od początku była wyraźna, ale wszystkie kropki nad i postawiła dopiero archeologia. Na grubym złożu zabytków prapolskiego Gdańska, na kolejno po sobie idących szczątkach domów i ulic, przebudowywanych pokojowo w ciągu stuleci, leży od góry równa, nieprzerwana warstwa zgliszczy. Znaleźiska dokładnie oznaczyły jej wiek - ten węgiel pochodzi z początków XIV wieku. Odszukano również szkielety oraz groty strzał, dowody stoczonej walki. Stwierdzono, że uciekający ze swoich domostw mieszkańcy pozostawiali na los szczęścia przedmioty kosztowne.

W lutym 1309 r. Krzyżacy zajęli Tczew, zmuszając mieszczan do opuszczenia go. W lipcu obiegli Świecie, które się broniło, zaopatrzone poprzednio przez Łokietka. Odsiecz polska nadeszła aż spod Sandomierza, lecz została odparta. Nie pomogło i następne uderzenie wspierane przez książąt mazowieckich. Świecie dostali jednak Krzyżacy dopiero zdradą. Przekupiony przez nich człowiek tajemnie popodcinał sznury kusz i machin bojowych. Bezradny w chwili szturmowania dowódca załogi - Bogumił - poddał gród. Wyrwał do ostatka, chociaż „pobożni bracia” grozili mu za opór strykiem.

We wrześniu 1309 r. Krzyżacy zawarli z margrabią Waldemarem układ w Słocinie, mocą którego nabyli odeń jego fikcyjne prawa do Pomorza za cenę

dziesięciu tysięcy grzywien. Poprzednio ofiarowywali Łokietkowi sumę znacznie większą, ale ten słuchać nie chciał o żadnym targu.

W ten sposób Polska odepchnięta została od morza na całe półtora wieku. Los chciał, że fatalny układ Wacława III z Brandenburgią stanął wtedy, kiedy już szła odmiana na lepsze i Kraków znalazł się w ręku Władysława Łokietka. Ostatni rok czeskiej okupacji wyrządził Polsce straszną i niepowetowaną krzywdę. Jak pamiętamy, Wacław III chciał wymienić polskie Pomorze na Miśnię. Nigdy jej królowie czescy nie dostali.

Trudno ustalić, czy istniał wtedy jakikolwiek sposób uratowania Pomorza przed zaborem niemieckim. Jeśli nieszczęście było nieujawnione, to jednak lepiej się stało, że kraj ten wpadł w ręce Krzyżaków, a nie Brandenburczyków, że zawładnęli nim Niemcy idący ze wschodu. Tego zdania jest wielu poważnych historyków.

Na Pomorzu Gdańskim Kaszubi przetrwali aż do naszych czasów, podobnie jak przetrwała polska ludność w Warmii i na Mazurach. Inny był los Pomorza Zachodniego, które bezpośrednio stykało się z ziemiami Rzeszy niemieckiej. Tam tępienie polskości miało przebieg o wiele bardziej gruntowny i skuteczny. Krzyżacy siedzieli w kraju nie tylko całkowicie sobie obcym, lecz i odległym od Niemiec, narzucali ludności swe prawo, ale bardzo często musieli zostawiać ją w zwartej masie na miejscu. Kolonistów sprowadzali z daleka, nawet morzem.

Przeciwko Krzyżakom znalazła później Polska sprzymierzeńca w Litwinach. Nie widać, kto by mógł utworzyć „drugi front” przeciwko Brandenburgii. Berlin leży na ziemi ongi słowiańskiej, ale od dawna stanowiącej składową część Niemiec, bezpośrednio zrosł się z nimi, a nawet został ich stolicą. Położenie Malborka i Królewca - miast nie należących do samej Rzeszy - było inne, bardziej niepewne. Stanowczo lepiej, że stamtąd, a nie z Szprewy przyszła okupacja Gdańska. Nie udało się Łokietkowi utrzymać dostępu do morza. Ale jego energia i nieustępliwość zapobiegły przynajmniej najgorszym skutkom czynu Wacława III - nie dopuściły do pochwylenia Gdańska przez rękę wyciągniętą z samych Niemiec. A tak mogło się stać, bo Brandenburczycy zajęli Pomorze już w roku 1306, lecz Łokietek wyrzucił ich stamtąd.

Przed chwilą po raz pierwszy w tej książce wymieniona została nazwa Malborka. Bo też dopiero w roku 1309 zaczęła się jego kariera. Wielki mistrz krzyżacki Zygfryd von Feuchtwangen postanowił wtedy przenieść stolicę Zakonu z Wenecji nad Nogat. Różne względy wpłynęły na jego decyzję, nie same tylko sukcesy nad Wisłą i w Prusach. W zachodniej Europie przyszły

właśnie bardzo niedobre czasy dla mnichów-rycerzy. Zakony ich utraciły rację bytu, bo Królestwo Jerozolimskie już nie istniało, zniszczone przez Turków. Joannici utrzymali się na Cyprze (i przetrwali do dni naszych pod postacią honorowego Zakonu Kawalerów Maltańskich), więc o nich mniej chodziło. Natomiast osiedlonymi we Francji templariuszami we właściwy sobie sposób zajął się król Filip IV Piękny. Pragnął zagarnąć na rzecz skarbu ich bogactwa. Zamiar sam w sobie nie był zły, bo z zakonów rycerskich nikt pociechy nie miał. Gorzej, iż Filip oskarżył templariuszy o kult diabła, potwornymi torturami wymuszał najbardziej nieprawdopodobne zeznania i dziesiątkami palił ludzi na stosach. Zaczęło się to w roku 1306, a skończyło w osiem lat później spalaniem wielkiego mistrza Jakuba de Molay za to, że odwołał zeznania.

Templariuszy przywiodły do nieszczęścia ich skarby. Byli oni... ubożsi i od joannitów, i od Krzyżaków. - W roku 1309 ci ostatni przenieśli stolicę do Malborka, gdzie walka z Prusami pozorowała ich rację bytu i skąd było daleko do króla Francji, trzymającego papieża w „niewoli babilońskiej”.

Malbork stanął obok warowni Zantyr, wzniesionej jeszcze przez Świętopełka gdańskiego. Gruzy jej miały podobno dostarczyć części materiału do budowy zamku krzyżackiego. Jedna z jego bram nosiła znamienne nazwę: Santor.

Zamek malborski, zaliczający się do najpotężniejszych i najwspanialszych fortec Europy, budował Ślązak - Bartosz z Ząbkowic. Robotą zaczęła się w roku 1272, w dwadzieścia lat po nabyciu Zantora za pieniądze. Sprzedawcą był książę pomorski Sambor, brat Świętopełka.

Również i Gdańsk w czasie stosunkowo niedługim doczekał się nowej warowni. Przez trzydzieści cztery lata korzystali Krzyżacy z grodu książąt pomorskich, po czym zburzyli go i postawili własny. Opasywał go potrójny prostokąt murów, dna trzech fos leżały znacznie poniżej poziomu morza. Mieszczanom niemieckim pozwolono osiedlić się w przyzwoitej odległości, na tak zwanym Prawym Mieście. Polacy siedzieli w dzielnicy Osiek. W pobliżu murów zamkowych Krzyżacy nikomu nie pozwalali przebywać.

Budowle krzyżackie przewyższały pod względem doskonałości wszystko, co dotychczas widziano w naszych stronach. Znamienne rzecz, że tylko kościoły były w Polsce równie piękne lub jeszcze piękniejsze niż w tym państwie mnichów. Zakon czerpał wzory z najbardziej pod względem kulturalnym rozwiniętych krajów Zachodu i Wschodu, znał architekturę włoską, francuską i arabską, miał gdzie wyuczyć się zarówno budownictwa, jak i organizacji. Ta

ostatnia wykształciła się ostatecznie właśnie w czasie przeniesienia stolicy do Malborka.

Na czele Zakonu stał wielki mistrz, dożywotnio wybierany przez kapitułę zbierającą się co roku w dniu 14 września. Istnieli również mistrzowie krajowi, z których do końca pozostali tylko trzech: pruski, inflancki oraz niemiecki. Każdy z nich kierował organizacją zakonną w danym kraju czy państwie. Z innych dostojników wymienić trzeba wielkiego marszałka, który pod nieobecność wielkiego mistrza dowodził wojskiem, normalnie zaś prowadził tabory, wielkiego komtura, wielkiego szpitalnika, podskarbiego fszafarza. Komturowie zarządzali okręgami i prowadzili ich oddziały wojskowe. Początkowo granice komturii wyznaczano tak, że każda z nich miała dostęp do Bałtyku, ale ten system w miarę rozrostu państwa zakonnego nie dał się utrzymać.

Stan skarbu zakonnego był tajemnicą, a pieczęć spoczywała w skrzyni o trzech zamkach. Klucze do nich miał wielki mistrz i dwaj inni dostojnicy.

Zakon dzielił się na trzy grupy: rycerzy, księży i braci służebnych. Tylko pierwsza miała znaczenie. Księży w ogóle było mało i nie grali oni żadnej roli politycznej, sami żyjąc w ucisku. Istnieli również półbracia, którymi mogli zostawać słudzy i dobrodzieje Zakonu. Wyróżniał ich szary płaszcz ozdobiony półkrzyżem - znakiem podobnym do T. Do nich zaliczyli Krzyżacy i Konrada Mazowieckiego, ale straciwszy później Pomorze, wyrzucili go ze swych serc, a z honorowej listy skreślili.

W pełni uprawnionym rycerzem zakonnym, takim, co nosił biały płaszcz z czarnym krzyżem po lewej stronie, mógł być tylko szlachcic niemieckiego pochodzenia.

Wśród Polaków rychło utarła się dla tych mnichów nazwa brodaczy. Oni sami zaś prędko zarzucili tytuł braci i kazali się mianować panami pruskiemi.

Ochotników Zakonowi nie brakowało. Z zachodu ciągle przybywali rycerscy goście, pragnący uczestniczyć w walkach z poganami. Propaganda krzyżacka była znakomita i dopasowana do umysłów ludzi ówczesnych, że trudno lepiej. Rycerstwo i dwory Europy utrzymywano w przekonaniu, iż zakon teutoriski znajduje się pod nieustanną opieką mocy nadprzyrodzonych i samego Boga. Temu celowi służyły sławne „cuda krzyżackie” powtarzające się seriami.

Pisał o nich Jan Ptaśnik w swojej *Kulturze wieków średnich*, czerpiąc wiadomości z kronik zakonnych. Dla przykładu przytoczył opowieść o pewnym Krzyżaku, który chciał porzucić Zakon i wstąpić do dominikanów, franciszkanów lub augustianów. Ale we snach pokazywali mu się święci założyciele

tych reguł i oświadczeni, że go nie przyjmą. Wreszcie pojawiła mu się Najświętsza Maria Panna, wskazała na zastęp okrytych ranami mnichów - rycerzy i zapytała: „Czyż zakon, którego rycerze dla dobra wiary zginęli i giną, można uważać za rozwiązły i rozpustny?” Niedowiarek natychmiast wyrzekł się wątpliwości i wkrótce zginął. - Innym razem Matka Boska ukazała się we śnie wodzowi wojsk węgierskich posiłkujących Władysława Łokietka i zawołała groźnie: „Czemu pustoszysz ziemię moją, krwią chrześcijan zroszoną? Jeżeli zaraz nie wrócisz, wiedz, że wkrótce złą śmiercią zginiesz.” Za pomaganie Polakom przeciw Zakonowi ukarał wtedy Bóg Węgrów klęską na Bukowinie.

Mógłby ktoś przypuszczać, że opowieści takie oddziaływały tylko na rycerstwo zachodnie, służyły za usprawiedliwienie ludziom, którzy i tak by poszli do Krzyżaków, szukając u nich sławy, łupów i bogatych darów. Wobec tego przytoczyć trzeba fragment *Dziejów polskich* Jana Długosza, dotyczący 1279 r.:

Litwini pogańscy pokonawszy w jednej bitwie Krzyżaków pruskich teutońskiego rodu, gdy między innymi brańcami znaleźli dwóch Krzyżowców, postanowili obu męczeńską zgładzić śmiercią. Przywodząc przeto swój zamiar do skutku, jednego z nich na wysokim drzewie przywiązali do własnego konia, aby go żywcem spalił razem z koniem; drugiego zaś przyprowadzili, aby był świadkiem tego widowiska. A kiedy stos podłożony zapalili, ogień ogarnął zaraz konia, który do szczytu spłonął; ponad Krzyżowcem zaś rozwarło się niebo i zstąpiła z góry jasność niebieska, która rozdzielając płomień na różne strony, ochraniała ciało Krzyżowca, tak iż pozostało nietkniętym. Potem jasność ta wróciła do nieba, z którego wyszła, a z nią razem uniosło się ciało Krzyżaka w postaci urodnej dziewicy, nie zostawiając po sobie najmniejszego nawet śladu, a to wobec wszystkich barbarzyńców, którzy na ten dziw ze zdumieniem patrzyli. Ale niewierni Litwini nie Boskiej mocy, ale czarom i urokom przypisawszy to zrządzenie, drugiego Krzyżowca wsadzili w szczelinę drzewa, siekierami i klinami rozwiedzionego na dwoje, a potem wyrwali nagle kliny; gdy więc drzewo swą przyrodzoną mocą zwarło się do kupy, ściśniony w nim męczennik gorzał podłożonym ogniem u spodu. Tego także ptak jakiś śnieżnej białości, nigdzie wpród nie widziany, wyrwał z pośrodku płomieni i unioś z sobą do nieba; na co również z osłupieniem patrząc barbarzyńcy sami wyznawali, że Bóg chrześcijan wielki jest i czcicielom swoim wielkie łaski i dobrodziejstwa świadczy.

Jan Długosz był człowiekiem wykształconym, rdzennym Polakiem, synem rycerza spod Grunwaldu. Krzyżackie łotrostwa znał dobrze i sam o nich opowiadał w dziele, z którego pochodzi powyższy opis. Byłoby zwykłym prostactwem szukać wyjaśnienia tej zagadki w samych tylko interesach stanowych, powiedzieć, że Długosz był księdzem, a Krzyżacy, bądź co bądź, zakonnikami - i na tym poprzestać. Ludzie ówczesni wierzyli nie tylko w siły nadprzyrodzone, ale i w ich bezpośrednie wtrącanie się do spraw tego padołu.

Trzeba było nadzwyczajnej mocy umysłu i odwagi osobistej, aby ośmielić się zaprzeczyć. Owa wiara w słuszność wyższego rządu, która zawsze stać miała po stronie nosicieli krzyża - nawet bez względu na ich osobiste uczynki - to fakt ułatwiający zrozumienie wielu postępków książąt i szlachty polskiej, którzy długo i w niepojęty dla nas sposób ufali Krzyżakom i wspierali ich. Zresztą - późniejsze dzieje stosunków niemiecko-polskich też dostarczyły dowodów, że w polityce ślepa wiara toruje drogę zbrodni, potrafi ją jakoś wytłumaczyć, doprowadza ludzi do zaniku instynktu moralnego.

W zakonie krzyżackim miała średniowieczna Polska przeciwnika straszniejszego nie tylko siłą oręża. Równie groźny był kredyt moralny, jakim darzono wówczas „panów pruskich”.^x

Każdy Krzyżak składał śluby ubóstwa i czystości. Skarby posiadał Zakon niezmiernie i o zyski z handlu dbał bardzo. Podczas wypraw rycerze jego masowo gwałcili kobiety. U siebie w Prusach mordowali i skazywali na śmierć mężów, by móc porwać ich żony. Nie oszczędzali dzieci. W Malborku otwarcie istniał dom publiczny. Obyczaje krzyżackie dobrze określił jeden z późniejszych wyroków papieskich przeciwko nim, zawierający słowa: „*Timoré Deipostposito ac dyabolo suadente*” - wzgardziwszy bojaźnią Boga i za podstępem diabelskim.

Przyszło nam tu rozprawiać o ponurych rzeczach dziejących się wtedy na zachodzie Europy i stamtąd ciągnących ku nam. Aby nie przeczerńać obrazu, trzeba przynajmniej napomknąć o sprawach jaśniejszych, aczkolwiek nie mających bezpośredniego związku z Polską. - 9 listopada 1315 r. górale trzech alpejskich okręgów, zwanych kantonami - Schwyz, Uri i Unterwalden - rozbili rycerstwo Leopolda Habsburga, tworząc początki wolnej Szwajcarii. Z tych czasów wywodzi się słynna legenda o Wilhelmie Tellu.

Powróćmy jednak do Polski.

Utrata Pomorza była ciosem odczutym przez cały naród, który tym bardziej skupiał się przy Łokietku, że rządy Henryka III w Wielkopolsce nie wzbudzały zachwytu. Głogowczyk miał twardą rękę, zaprowadzał tak pożądaną spokój, ale niemieckie wpływy w jego otoczeniu zrażały poddanych. Jeden ze współczesnych rocznikarzy posunął się aż do twierdzenia, że Henryk nie był zbyt przyjacielem Polaków.

Na stronę Łokietka zdecydowanie przeszedł sędziwy arcybiskup Jakub Świnka. Wcześniej już, może nawet w roku 1307, wybrał się on do Krakowa i pomagał w walkach z Muskatą. Niegodny biskup wrócił bowiem ze Śląska, nadal rył i bruździł, przez to samo przeszkadzając Łokietkowi zwracać uwagę na Pomorze. W roku 1308 Jakub Świnka od siebie wytoczył mu proces. -

Kawet biskup poznański Andrzej - ten sam, który przed kilku laty obłożył Łokietka klątwą - teraz zmienił stanowisko i zaczął go popierać.

W 1309 r. umarł Henryk III głogowski. Zostawił aż pięciu synów, których rządów rycerstwo wielkopolskie długo nie ścierpiało. Książęta ci byli bowiem zupełnie ziemni. Pisze kronikarz, że „ich trzymali i oplatali swoimi podszeptami Niemcy, tak że niczego zdziałać nie mogli, co by się nie podobało Niemcom”, którzy za mały grosz brali ziemie i miasta, a nawet radzili księżtom, by „całe plemię polskie doszczętnie wytępilli”.

Niebezpieczeństwo niemieckie miało wkrótce zagrozić i na południu kraju, w samym Krakowie.

Proces wytoczony przez Jakuba Świnkę skończył się dla Muskaty wyrokiem skazującym na zawieszenie w czynnościach kościelnych. Łokietek uwięził go u dominikanów, lecz legat papieski wystąpił w jego obronie, zażądał zwrócenia mu stanowiska i rzucił na księcia klątwę, a interdykt na kraj.

Było to wszystko tym bardziej groźne, że w roku 1310 na tron czeski wstąpił Jan z Luksemburga, rodzony syn cesarza Henryka VII. Jan uznał się oczywiście za prawowitego dziedzica Przemyślidów i używał tytułu króla polskiego-

W maju 1311 r. wybuchł w Krakowie i w Sandomierzu zbrojny bunt mieszczan niemieckich, pragnących znowu połączyć się z Czechami i oddać Polskę Janowi Luksemburskiemu. W spisku uczestniczyli i klasztor bożogrobców w Miechowie.

Mieszczanie krakowscy - pisze *Rocznik kapitulny* - trawieni szalem wściekłości germańskiej, przyjaciele zdrady, plewy ludzkie, ukryci wrogowie pokoju, podobnie jak Judasz pocałunkiem Chrystusa - zdradzili Łokietka.

Na czele rebelii stał wójt krakowski Albert. Luksemburczyk zaś przysłał starostę, swego lennika Bolesława, księcia na Opolu.

Cały rok upłynął, zanim Łokietek zdobył Kraków. Ale zemścił się srogo. Głównych winowajców, którzy nie zdążyli uciec, kazał końmi włóczyć po ulicach miasta, wieszając, łamać kołem. Woje jego ścinał głowę każdemu, kto nie potrafił poprawnie wymówić następujących słów: soczewica, koło, miele młyn. Miasto utraciło wszystkie przywileje polityczne, także i te, które otrzymało w roku 1306 od samego Władysława. Zniesiony został urząd dziedzicznego wójta. W aktach miejskich język niemiecki miał być odtąd zastąpiony łaciną. Karząc winnych, nie dał się jednak Łokietek ponieść temperamentowi: zachował w całości przywileje gospodarcze, bo wcale nie pragnął ekonomicznej ruiny Krakowa,

Albert uciekł, ale źle mu się powiodło, bo rozwścieczony Bolesław opolski przetrzymał go kilka lat w więzieniu. Jeśli wierzyć nieznanemu autorowi rozślawionej szeroko *Pieśni o wójcie Albercie*, poniewczasie skruszony dostojnik miał gorzko opłakiwać swe uczynki:

Natura niemiecka do tego mnie wiodła.
Niemiec gdziekolwiek stąpi swoją nogą,
Trzyma się stale zawsze tego godła:
Wszystkich poniżyć, nie słuchać nikogo.
Żaden natury swej zmienić nie zdoła.

Nie wiadomo, czy wójt Albert naprawdę był tego zdania. Nie można za to wątpić, że w pełni podzielał je Władysław Łokietek. JGedy w parę lat później nadawał jednemu, z zakonów kościoł parafialny w Brześciu Kujawskim, zastrzegł wyraźnie, że żaden niemiecki ksiądz świecki czy zakonny nie może przebywać ani w świątyni, ani w klasztorze.

W lutym 1312 r. rządzący Wielkopolską Głogowczycy - Henryk, Jan Przemko, Bolesław i Konrad - dokonali czynu, który od razu wywołał powstanie rycerstwa. Podzielili między siebie kraj, nie licząc się z jego tradycją, potrzebami i dążeniami. Arcybiskup Jakub Świnka rzucił na nich kłótwę, a rycerstwo pobiło ich oddziały pod Kłeckiem. Poznań opowiedział się przy nich, ale Łokietek zdobył go w roku 1314.

Data ta wieńczy jego długoletnie walki o zjednoczenie ziem polskich. Po wyparciu Głogowczyków miał Władysław w rękę Małopolskę i Wielkopolskę, ziemię sieradzką, łęczycką oraz Kujawy. Więcej osiągnąć na razie nie można było, ale zjednoczony obszar kraju stwarzał dostateczną podstawę do starań o przywrócenie tytułu królewskiego. Każdy dokument, jaki odtąd opiszczał dwór Łokietka, nieodmiennie zwał go księciem, dziedzicem lub panem Krolestwa Polskiego', pieczęć zaś przedstawiała krakowskiego orla w koronie.

II

W roku 1314, w chwili, którą możemy uznać za zakończenie pierwszego okresu starań o zjednoczenie ziem polskich, miał Władysław Łokietek około pięćdziesięciu czterech lat. Mnóstwo trudności piętrzyło się na drodze uwolnionego i połączanego nareszcie państwa. Było pewne, że Władysław nie zdaży ich wszystkich rozwiązać i usunąć. Tymczasem następca tronu liczył sobie dopiero cztery wiosny.

Był nim Kazimierz, urodzony w miasteczku Kowal na Kujawach 30 kwietnia 1310 r. -> i^ak^osz^oste dziecko z małżeństwa Władysława Łokietka i Jadwigi, córki księcia wielkopolskiego Bolesława Pobożnego i św. Jolanty. Najstarszy brat Kazimierza - Stefan - zmarł w roku 1306. Drugi - Władysław - zamknął oczy nieco później. Los sprawił, że dziedzictwo tronu przeszło na najmłodszego z rodzeństwa. Ślepy traf, który tylekroć gmatwał dzieje Polski, tym razem był dla niej łaskawy.

Można przypuszczać, że do najwcześniejszych wspomnień Kazimierza należały docierające na dwór krakowski echa wypadków z lat 1315-1317. Łokietek rozpoczął wtedy działania przeciw Brandenburgii, zakrojone na skalę od dawna w Polsce niebywałą. Sprzymierzył się z Danią, Szwecją, Meklemburgią oraz z książętami Pomorza Zachodniego, wiódł wyprawę oraz odbił dwa napady margrabiów, którzy chcieli zdobyć Wielkopolskę dla najstarszego z Głogowczyków, Henryka.

Wojny wcale nie przeszkodziły Łokietkowi w staraniach o najważniejszy cel polityczny, o koronę.

4 marca 1314 r. zmarł wybitny polityk Jakub Świnka i zabiegi u papieża musieli prowadzić jego następcy. Już 1 maja arcybiskupem gnieźnieńskim obrano przyjaznego Łokietkowi Borzysława, który zaraz ruszył do Awinionu. Nie zdążył niczego dokonać, bo właśnie po śmierci Klemensa V nastąpiło tam dość długie „bezkrólewie”. Borzysław umarł w Awinionie w roku 1317 wkrótce po wybraniu nowego papieża, Jana XXII, którego polityka miała być Polsce przychylna. W tym samym roku na miejscu - w Awinionie - arcybiskupem gnieźnieńskim mianowany został Janisław. W niedługim czasie ruszył on do Polski, wioząc warunki papieskie.

Wielki wiec zwołany do Sulejowa w czerwcu 1318 r. przyjął je wszystkie i uchwalił wznowienie królestwa. Posłem do Awinionu obrano zdolnego dyplomata, biskupa włocławskiego Gerwarda.

Jako pierwszy warunek stawiał papież uznanie zawisłości Polski od kurii rzymskiej. Dalsze wymagania dotyczyły ściąganych z kraju opłat oraz walki z herezjami. Wszystkiemu temu wiec sulejowski i sam Łokietek przyrzekli uczynić zadość. Świętopietrze miało być odtąd pobierane od głowy mieszkańca i podwyższone, a trybunały inkwizycyjne ustanowione w Polsce.

Żadne, najbardziej wysilone i kunsztowne zabiegi Krzyżaków i Jana Luksemburczyka nie przeszkodziły biskupowi Gerwardowi w wykonaniu zadania. W sierpniu 1319 r. Jan XXII wystosował do Łokietka trzy pisma - jedno jawne, utrzymane w tonie bardzo dyplomatycznym i dwa inne, tajne. Ostatecznie decyzja papieża była dla Polski pomyślna.

20 stycznia 1320 r. na głowach Władysława Łokietka i żony jego Jadwigi księżniczki wielkopolskiej, spoczęły korony królewskie. Ceremonii w katedrze krakowskiej dopełnił arcybiskup gnieźnieński, Janisław.

Godność monarsza - symbol i zwornik jedności państwa - utracona w złych dniach za Bolesława Śmiałego, na krótko wznowiona przez Przemysła II, została Polsce przywrócona. Miała przetrwać lat czterysta siedemdziesiąt pięć i upaść wraz z samym państwem. Wszystkie późniejsze koronacje - z wyjątkiem ostatniej, której król Stanisław August dokonał w Warszawie - odbywały się w tej samej katedrze na Wawelu.

Zwierzchnią władzę Łokietka uznali jego bratankowie, trzej książęta kujawscy: Leszek, Przemysł i Kazimierz. Ten ostatni pozostał na swym dziedzicznym Gniewkowie, dwóch poprzednich osadzili na Łęczycy i Sieradzu. O wiele trudniej szło mu z książętami mazowieckimi, co wiązało się bezpośrednio ze sprawą krzyżacką.

W kwietniu 1320 r. rozpoczął się w Inowrocławiu proces o zwrot Pomorza. Dypłomacja polska już od kilku lat krzątała się koło tego, zręcznie szermując wobec papieża argumentem, że zabór Pomorza umniejsza wpływy skarbu rzymskiego, ponieważ Zakon nie płaci świętopietrza. Sąd, którego skład wyznaczył papież, przesłuchał dwudziestu pięciu świadków. Pod koniec przewodniczył trybunałowi arcybiskup Janisław. Wyrok - wydany w lutym 1321 r. - nakazywał Krzyżakom zwrot Pomorza oraz wypłacenie trzydziestu tysięcy grzywien odszkodowania. Zakon nie wykonał go wcale, lecz pomimo to wynik dochodzenia był dużym sukcesem Polski na arenie międzynarodowej i bardzo ważnym wydarzeniem w stosunkach wewnętrznych. Naród zyskiwał bowiem potwierdzenie słuszności swoich żądań, a program króla wytrwale zmierzającego do odrobienia straty - powszechne poparcie.

W tym samym roku Krzyżacy odnieśli poważną korzyść. Oto nie chcący uznać władzy Łokietka książę płocki Wańko zawarł z nimi przymierze, do którego przystąpili potem dwaj jego bracia, Ziemowit i Trojden.

Dla wschodniej polityki Polski równie ważny jak i znamienny był rok 1323. Zeszli wtedy ze świata, otruci przez bojarów, siostrzeńcy Łokietka - Lew i Andrzej - władający księstwem włodzimiersko-halickim. Los ich stanowił, jak pamiętamy, jedną z najwcześniejszych trosk Władysława po powrocie do kraju. Na nich wygasł ród Romanowiczów, którego poczynania należą do najpiękniejszych kart historii Ukrainy. Trzeba chociażby rzucić okiem na te sprawy, oglądając się w tym celu wstecz.

Poległy pod Zawichostem Roman (mówiąc nawiasem, po kądzieli wnuk

Krzywoustego) był twórcą szerokiego programu zjednoczenia Rusi południowej która w rozdrobnienie dzielnicowe popadła wcześniej od Polski. Zaczął go nawet ze zdumiewającym rozmachem oraz z powodzeniem urzeczywistniać, lecz niefortunny wypad za Wisłę przyniósł mu śmierć. Synowie jego, Daniel i Wasylko, niejako podjęli polityczny spadek po ojcu. Przyszło im jednak działać w warunkach niesłuchanie trudnych, po najeździe Tatarów, którym podlegali.

W młodości Daniel bardzo się odznaczył w słynnej bitwie nad Kałką, czarny rok 1241 spędził na Mazowszu, w Wyszogrodzie nad Wisłą. Przeczekawszy burzę, rozpoczął działalność mozolną, nie wolną od dotkliwych upokorzeń, ale dla jego kraju ogromnie pożyteczną. Pojechał do chana, uznał się jego lennikiem, a potem robił, co mógł.

Spustoszona i wyludniona Ruś zdołała zatem wytworzyć dwa ośrodki, które podjęły zadanie nie tylko materialnej, lecz i politycznej odbudowy. Jednym była Moskwa, drugim graniczący z Polską Halicz.

Daniel Romanowicz w 1254 roku ukoronował się nawet na króla Rusi. Wiozącego mu koronę legata papieskiego spotkał w Krakowie, a ceremonii dopełnił w Drohiczynie nad Bugiem, na skrajnej północy swego księstwa... gdzie najdalej było od Tatarów.

Stosunki Rusi halickiej z Polską były bliskie, szczególna przyjaźń łączyła ją z Mazowszem. Ślady tego sprawiają niekiedy nieoczekiwane wrażenie: Konrad Mazowiecki ma w naszej historiografii złą sławę, ruski kronikarz wyraża się o nim dosłownie z czułością.

Kraj zaludnił się, rosła zamożność, pomimo przewagi tatarskiej i konieczności wspomaganie chana nawet w jego wyprawach na Polskę księstwo zdobywało się na własną politykę. W dziejach Ukrainy Romanowicze mogli odegrać tę samą rolę zjednoczycielską, którą w innych krajach spełniły ich narodowe dynastie.

Jak już wiemy, w 1323 roku dwaj ostatni potomkowie rodu Romana zginęli otruci. Tamtejsze bojarstwo było groźne i nie przebierało w środkach. Z jego punktu widzenia lepiej było nie mieć książąt wcale, a podlegać bezpośrednio chanowi.

Władysław Łokietek zachował się w sposób, który koniecznie trzeba zapamiętać. Zrobił wszystko, co leżało w jego mocy, by nie dopuścić do usadowienia się Tatarów w Haliczu. Słał do papieża spieszne listy, w których wymownie przedstawiał niebezpieczeństwo, zabiegał o pomoc, razem z Węgrami wyprawiał się na Ruś. Lecz najważniejsze, że walnie przyczynił się do odbudowy odrębnej władzy książęcej na wschód od Polski.

Na tron halicki wstąpił siostrzeniec zgładzonych dynastów, książę mazowiecki Bolesław, syn Trojdena. Na chrzcie prawosławnym dano mu imię Jerzego. Nie można wątpić, że to król polski zaprotegował krewniaka.

Z Polską utrzymywał Jerzy dobre stosunki. Zawierał jednak również i kilkakrotnie odnawiał układy z Krzyżakami, w drodze związków rodzinnych zbliżył się do Litwy. Z zestawienia tych faktów wynika, że pod jego berłem Ruś halicka uprawiała politykę samodzielną. Władza książęca - a więc i niezawisłość w zakresie możliwym do osiągnięcia wobec hegemonii Tatarów - została tam odbudowana naprawdę. Fakt ogromnie charakterystyczny dla tradycyjnie przezornej i pełnej umiaru polityki piastowskiej.

W tych właśnie czasach zaczęły Łokietek snuć kombinacje, w których główną rolę odgrywała osoba następcy tronu. Dwunastoletniego Kazimierza zaręczono z Juttą, córką Jana Luksemburczyka. Plan ten, mający na celu ułagodzenie wrogięgo Polsce króla czeskiego, nie został urzeczywistniony. Niedługo jednak potem przyszło piętnastolennemu królewiczowi stanąć na ślubnym kobiercu - wbrew woli serca, z rozkazu ojca i „dla dobra i pokoju Królestwa Polskiego”. Panną młodą była rówieśnica Kazimierza, Aldona, córka wielkiego księcia Litwy Giedymina, założyciela Wilna.

30 kwietnia 1325 r. biskup krakowski Nanker, herbu Oksza, ochrzcił Aldonę, nadając jej imię Anny. Ślub odbył się 16 października. Z małżeństwa tego narodziły się dwie córki, Elżbieta i Kunegunda.

Związek ów był wczesną zapowiedzią wypadków ogromnej miary, trwałego złączenia Litwy z Polską, które miało dojść do skutku u schyłku tegoż XIV stulecia. Na razie widzieć w nim trzeba przejaw dalekosiężnych zamysłów Łokietka, zmierzającego do okrażenia państwa Krzyżaków.

Annie-Aldonie niezbyt dobrze wiodło się w Polsce, którą obdarzyła dwudziestoma czterema tysiącami jeńców, wypuszczonych z niewoli litewskiej. Mąż jej nie kochał. Nie lubiła teściowa, surowa i ascetyczna królowa Jadwiga, która po śmierci męża miała dokonać życia jako mniszka w Starym Sączu. Wesoła i beztroska, a hoża i silna Litwinka przepadała za zabawami i śpiewem, z zamiłowaniem jeździła konno. Wszystko to jakoś nie pasowało do dworu Łokietka, obarczonego ciągle troskami.

Ostatnie lata rządów króla Władysława upływały wśród wojen. Nie był on w nich tylko stroną bierną, odpierającą napady.

Tak się dziwnie złożyło, że XIV stulecie oglądało wymieranie rozmaitych dynastii. Po węgierskich Arpadach zeszedł ze świata czeski Przemyslidzi, a w 1320 r. Askańczycy, ród rządzący Brandenburgią, ten sam, z którego pochodził ponurej pamięci Albrecht Niedźwiedź. W Niemczech zaczęły się rozmaite

walki o spadek, wiążące się z ogólną walką cesarzy przeciwko papieżom. Łokietek stał w obozie tych ostatnich i wystąpił czynnie.

18 czerwca 1325 r. spotkał się w Nakle z książętami zachodniopomorskimi - Wacławem IV ołogoskim, Ottonem I i Barnimem III ze Szczecina. Zawarto układ zmierzający do odzyskania poniesionych dawniej strat. Ziemie położone na zachód od Drawy miały przyspaść Pomorzu, to co leżało na wschód od niej - Polsce.

Z wiosną 1326 r. Łokietek uderzył, wsparty dużymi posiłkami litewskimi. Doszedł aż pod Frankfurt, lecz poważniejszych zdobyczy terytorialnych nie uzyskał - zajął tylko kasztelanię międzyrzecką. Przewlekającą się wojnę musiał zakończyć, a to wobec odstępstwa książąt pomorskich, którzy zawarli odrębny pokój, oraz ze względu na Krzyżaków.

Walki z nimi wznowiły się w roku 1327 (a więc na dwa lata przed końcem wojny z Brandenburgią). Była to bardzo trudna chwila dla Polski. Już w lutym Jan Luksemburczyk ruszył na Kraków. Nic mu wprawdzie nie zrobił, sam zagrożony od strony Węgier, ale idąc i wracając przez Śląsk zhołdował większość tamtejszych książąt. Uznali jego zwierzchnictwo dziedzice Cieszyna, Niemodlina, Bytomia, Koźla, Opola, Oświęcimia, Raciborza. W dwa lata później to samo uczynili książęta z Brzegu, Oleśnicy, Ścinawy i Zagania. Władca Wrocławia - Henryk VI - zapisał go Janowi w testamencie. Głogów utrzymywał swą niezależność, ale po śmierci księcia Przemka (w roku 1331) też przypadł królowi Czech. Miał on zdecydowaną przewagę materialną, tym wyraźniejszą wobec zagrożenia Polski przez Brandenburgię, Krzyżaków i Tatarów. Wątpić więc można, czy książęta śląscy zdołaliby się obronić i czy w pełni sprawiedliwe są słowa kronikarza:

Książęta śląscy raczej, podstępnie zjednani podarunkami i fałszywymi obietnicami aniżeli zwyciężeni wojennym najazdem od Jana, króla Czech, swoje księstwa śląskie wolne dotąd i nikomu niepodległe przyjęli w lenno, oddając siebie i swoje księstwa dobrowolnie Koronie Czeskiej ku hańbie i wstydu Królestwa Polski. To zaś oderwanie się ściągnęło na tych książąt wieczystą hańbę.

Obroniło swą niepodległość i w wierności dla Polski przetrwało tylko jedno księstwo, świdnickie. W roku 1326 zmarł tam Bernard Stateczny, żonaty z Kunegundą Łokietkówną. Nastąpił po nim syn - Bolko II - gospodarz i polityk bardzo wybitny, który aż do śmierci w 1368 r. nie dał się ujarzmić i wytrwał w przyjaźni dla Polski.

Przykład Świdnicy zdaje się zdecydowanie źle świadczyć o innych dzielnicach śląskich. Z tego jednak, że zachowało wolność księstwo najsilniejsze, niepodobna wysnuwać wniosku, iż to samo mogły uczynić i słabsze.

Byłoby niesprawiedliwością przemilczeć, że w 1326 r. na stolicy kościelnej we Wrocławiu zasiadł biskup krakowski Nanker herbu Oksza. Dzieje nasze z wdzięcznością wspominają winny człowieka, który zabraniał nadawania na Śląsku godności księżom nie pochodzącym z polskiej prowincji kościelnej oraz powoływania na nauczycieli ludzi nie umiejących po polsku.

Biskup Nanker nie miał łatwego charakteru. Musiał opuścić Kraków, bo Łokietek nie mógł z nim dojść do ładu. Znajdował się w stałej wojnie z rajcami wrocławskimi, zjadł broniąc praw Kościoła i popierając poborców świętopietrza. W 1328 r. niemieccy mieszczanie zbrojnie wtargnęli do katedry, zabili i poranili wiele osób z otoczenia biskupa, który szukał schronienia w Nysie. W dziewięć lat później Nanker wyklął samego Jana Luksemburczyka. Dokonał tego z niebywałą odwagą, w otoczeniu czterech kanoników, stając w obliczu króla, słynnego w całej Europie rycerza.

Mocą Wszechmocnego Boga - zawołał, podnosząc do góry krzyż - ciebie jako gwałciciela dóbr kościelnych wyklinam i za wyklętego ogłaszam, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! - Szalony i zuchwały pop! - odrzekł na to Jan - chce sam, jak widzę, śmierci. Szuka dla siebie mordercy, aby pozyskał wieniec męczeński... Niech sobie innego szuka zabójcy i tyrana, jeśli chce zostać męczennikiem.

Bardziej niż kłątwa ubodła króla Jana wiadomość, że tegoż dnia Nanker nazwał go „królikiem”, i to jeszcze w obecności rajców wrocławskich, których też wyklął, a miasto obłożył interdyktem.

Biskup Nanker zmarł w Nysie wiosną 1341 r. Chodziły pogłoski, że król Jan kazał go otruć. Zdaje się jednak, że śmierć nastąpiła wskutek zbyt ostentacyjnej pobożności. W Wielki Piątek Nanker obszedł boso wszystkie kościoły nyskie, zaziębił się i wkrótce zmarł. Zwłoki jego spoczywają w katedrze wrocławskiej.

Data zhołdowania wielu państwek śląskich przez króla Czech upamiętniła się na pierwszym dokumencie książęcym dla Wrocławia, napisanym po niemiecku. Wszystkie dawniejsze używały łaciny, która nie od razu znikła, była jeszcze stosowana przez czas długi, ale ustępowała przed naporem germańskim. Najwcześniejsza jej porażka, jako języka urzędowego, dotyczyła kwestii szczególnej. Już w 1302 roku postanowiono, że wszystkie rozporządzenia przeciwko Żydom ogłaszać należy nie inaczej niż po niemiecku. W dwadzieścia pięć lat później zabroniono używania polszczyzny w procesach o długi i ogłoszono po niemiecku taryfę celną. Postępy tej mowy wyraźnie podkreślały^{dr} wzrost znaczenia bardziej cywilizowanego elementu z Zachodu, który przynosił rozmaite umiejętności i antysemityzm także.

Ten sam rok 1327, który rozpoczął serię polskich niepowodzeń na Śląsku, widział też pierwszy akt wojny z Krzyżakami. Przerywane układami i rozejmami zmaganie wlokło się długo, przysporzyło orężowi polskiemu wielkiej chwały, jednakże w ostatecznym skutku przyniosło straty. Zakon nie tylko utrzymał Pomorze, lecz ponadto jeszcze wydarł Polsce Kujawy i ziemię dobrzyńską. Świeżo złączone królestwo było po prostu słabsze od najlepiej zorganizowanego państwa Europy.

Najpierw Łokietek skłonił do uległości książąt mazowieckich. Jednakże tylko Ziemowit i Trojden zdołali wytrwać przy Polsce, doznając w tym względzie zdecydowanego poparcia ze strony swego rycerstwa. Wariko płocki już w 1329 r. uległ przed siłą. W wielkiej wyprawie krzyżackiej wziął wtedy udział król Jan czeski, który po całej Europie nieustannie szukał guza i sławy, wszędzie błyszcząc wspianiałym męstwem osobistym. Pobity Wariko musiał uznać jego zwierzchnictwo.[^]

Właściwie Krzyżacy wybierali się wtedy przeciwko Litwie, ale Łokietek wiernie dochowywał Giedyminowi przyjaźni i przyszedł mu na pomoc, w sześć tysięcy rycerstwa uderzając na ziemię chełmińską. Wobec tego armia Zakonu zwróciła się przeciw niemu i zajęła Dobrzyń.

Walki te były chrztem bojowym dziewiętnastoletniego królewicza Kazimierza. Stary, siedemdziesiątki dobiegający król zaczynał praktycznie kształcić syna w sztuce wojowania i rządzenia. 26 maja 1331 r. uczynił go namiestnikiem Wielkopolski i Kujaw, składając z urzędu dotychczasowego starostę, Wincen-tego z Szamotuł. - W dwa miesiące później Kazimierz omal głową nie zapłacił za ów zaszczyt. Wojsko krzyżackie wdarło się wtedy do samej Wielkopolski, a Wincenty z Szamotuł doniósł jego wozom, że królewicz z nieliczną osłoną przebywa w Pyzdrach. 27 lipca oddział nieprzyjacielski uderzył na miasto, ale Kazimierz nie dał się przychwycić, zdążył Ujść.

Lipcowa wyprawa Zakonu kosztowała Polskę czterdzieści jeden spalonych wsi i miast. Krzyżacy wojowali zawsze nad wszelki wyraz okrutnie. Nie szczędzili kościołów, wdzierali się do nich nawet podczas nabożeństw i w oczach stojącego przy ołtarzu księdza mordowali wiernych, obdzierali sukien kobiety, grabili mienie. Zeznali to pod przysięgą księża-świadkowie w późniejszym procesie. Tak się działo podczas pominiętych w tym opowiadaniu walk 1330 r., nie inaczej było w trakcie starć lipcowych, stanowiących dopiero przygrywkę do wielkiego uderzenia we wrześniu 1331 roku.

I tym razem Jan Luksemburski przyrzekł Krzyżakom pomoc. Sprzymierzone armie króla czeskiego i Zakonu miały się zetknąć pod Kaliszem dnia 21 września. Jakoż komtur chełmiński Ono von Lutterberg przybył tam w ozna-

czonym czasie. Wiódł dwa tysiące ciężkiej kawalerii i około pięciu tysięcy lekkiej jazdy oraz piechoty. Szło z nim dwustu rycerzy zakonnych, a wśród nich wielki marszałek Dietrich von Altenburg, mający w przyszłości zostit wielkim mistrzem.

Przeszedłszy Wisłę około 12 września, w przeciagu dziewięciu dni zdążył; „pobożnibracia” spalić szesnaście kościołów oraz Sieradz, Uniejów, Łęczycę, Spicymierz, Wartę i Szadek - nie licząc już wsi. W Sieradzu zaszło wtedy zdarzenie przedstawione przez Henryka Sienkiewicza w *Krzyżakach*. Przet dominikanów, Mikołaj, widząc rzeź i gwałty wsamyrrykościelie, padł do nóg komtura elbląskiego i w jednej osobie wielkiego szpitalnika, Hermana von Oettingen, którego znał osobiście, ^ po niemiecku błagał o litość dla świątyni. - „*Ne prest*” - nie rozumiem - usłyszał w odpowiedzi po prusku.

Trzy dni daremnie-oblegali Krzyżacy Kalisz i nie doczekawszy się Lu semburczyka, napierani za to przez Łokietka, rozpoczęli odwrót. Król otrz mał pod Kaliszem znaczne posiłki. Przyprowadził je ten sam Wincenty Szamotuł, w którego sercu miłość ojczyzny pokonała pychę obrażonego ma? nata.

Ofiarą krzyżackiego odwrotu padły Umie, Stawiszyn, Żychlin i Konin gdzie doszło do pierwszego starcia. Otto von Lutterberg ciągnął dalej i, Radziejów, ale w trop szedł za nim Wincenty z Szamotuł, o którym napisano później, że „pragnąc zniszczyć zarzut niewierności, szpiegował bardzo przebiegle Krzyżaków”.

27 września o świcie armia krzyżacka rozdzieliła się w Radziejowie. Główne siły poszły przodem, silną straż tylną wiódł wielki marszałek. Kilka kilometrów za Radziejowem - pod wsią Płowcami - wśród wyjątkowo gęstej mgły Łokietek uderzył na oddział marszałka. Po nadzwyczaj zaciekłych atakac' kiedy padł sztandar zakonny, król otoczył Krzyżaków i zniósł ich ze szczętei Rannego w twarz Dietricha von Altenburg, a wraz z nim pięćdziesiąt sze innych „białych płaszczy” wzięto do niewoli.

Po południu zaczęły jednak nadciągać na pole bitwy główne siły krzyżackie, które zawróciły z drogi, ostrzeżone o walce. Nie chcąc oddawać jeńców, Polacy zarabali wszystkich „panów pruskich”, z wyjątkiem wielkiego marszałka, odbitego przez swoich. Ale w ręce królewskie dostało się znowu czterdziestu rycerzy zakonnych, wśród nich komtur Balgi, Henryk Reuss von Plauen. Ci zachowali życie, lecz poszli w niewoli aż do Krakowa.

Po południowe starcie pod Płowcami było krótkie i nie rozstrzygnięte. Król cofnął się. Chciał uderzyć nazajutrz, lecz Krzyżacy zostawiając poległych na pobojuwisku podjęli odwrót, zaniechali planowanego poprzednio oblężenia

Brzes'cia i następnego dnia byli już w Toruniu. Pogrzebem zabitych zajął się biskup kujawski Maciej, który naliczył pod Płowcami cztery tysiące .osiemdziesiąt siedem trupów, w tym „o wiele więcej braci i ludzi Zakonu”.

Jak Polska długa i szeroka, Płowce - od dnia rozegrania tej batalii - uchodzą za wielki triumf naszego oręża. Zachód Europy uważał, że zwyciężyli tam Krzyżacy i do dziś' często tak sądzi. Według tej wersji Łokietek pokonał straż tylną wojsk Zakonu, lecz kiedy nadciągnęły siły główne komtura Ottona von Lutterberg, chorągwie królewskie uciekły w popłochu. Pierwszy zemknąć miał z pola królewicz Kazimierz, który nie oparł się aż w Krakowie.

Poglądy takie szerzyła oczywiście propaganda krzyżacka i można je zwalczając, powołując się na jej notoryczną stronniczość. Nie będzie to jednak argument zbyt przekonujący. Krzyżacy rzeczywiście mało się przejmowali zakazem mówienia fałszywego świadectwa, lecz nigdzie nie powiedziano, że zawsze i wszędzie musieli kłamać. Argumentem rozstrzygającym - o ile takie w ogóle istnieją w historii - jest za to ich własne zachowanie się zaraz po bitwie. Kto wygrał i rozproszył siły wroga, ten się nie wycofuje z jego terytorium, ten stara się sukces taktyczny natychmiast przetworzyć w korzyść strategiczną i w ślad za tym - w polityczną. Niepodobna pojąć, dlaczego zwycięski rzekomo komtur nie dobił Łokietka. Zwłaszcza że niecierpliwie wyczekiwany sprzymierzeniec Zakonu - Jan Luksemburski - zjawił się wkrótce w Wielkopolsce, b czym za chwilę.

A cóż myśleć o niezbyt heroicznym postępku królewicza, który - użyjmy najdelikatniejszego z określeń! - pole bitwy opuścił?

Państwo polskie zaledwie przed jedenastu laty odzyskało godność królestwa. Władca jego był siedemdziesięcioletnim starcem, stał nad grobem. W całym kraju istniała jedna jedyna głowa, na którą legalnie, prawem dziedziczenia, przeniesiona być mogła korona. I ta właśnie głowa w krytycznej fazie bitwy usuwa się czy też usunięta zostaje z zasięgu mieczy krzyżackich. Postępek wcale przezorny. Na zimno widać wyrachowany, po gospodarstwu trzeźwy. Mówiący coś niecoś o umysłowości ówczesnych Polaków, nie podlegających jeszcze oskarżeniom o zamiłowanie do romantycznych gestów.

Przeciwnik uzyskał sposobność do komponowania i rozgłaszania szyderczych wierszyków. Państwo polskie ustrzegło się niebezpieczeństwa kryzysu, utraty dynastii.

Wyrażony w poprzednich wydaniach tej książki domysł, że ojciec odesłać mógł Kazimierza spod Płowiec do Krakowa, nie grzeszy przeciwko wymogom prawdopodobieństwa.

Płowce zajmują piękne miejsce w dziejach naszej wojskowości, miały też od

razu wielkie znaczenie moralne. Były wczesną zapowiedzią Grunwaldu. Ale nie zmieniły układu sił i nie mogły zapobiec stratom terytorialnym. Przyćmiły natomiast inny znakomity fragment tej samej wojny. - Jan Luksemburczyk wcale nie przypadkiem spóźnił się pod Kalisz. Zatrzymał go na Śląsku książę Bolko II świdnicki, który trwając w przymierzu z Polską stawiał zacięty opór. Szczególnie zajadłe broniła się Niemcza. Król czeski ostatecznie zdobył ją, lecz stracił cenny czas i pod Kalisz nie zdążył. Wszedł co prawda do Polski, 5 października obiegnął nawet Poznań, ale go nie zajął i musiał się cofnąć przed Łokietkiem, porzucając sprzęt bojowy. (

Należy jednak pamiętać, że koalicja nie przestała istnieć. Jej działanie zostało tylko przyhamowane.

Gdyby nie wierność księcia świdnickiego i męstwo obrońców Niemczy, rok 1331 przyniosłoby Polsce decydującą klęskę. Rozbicie samego tylko Zakonu o wiele przerastało wtedy siły króla, walka z koalicją przyprawić by go musiała o katastrofę.

W następnym roku Krzyżacy osiągnęli to, w czym przeszkodziły im chwilowo Płowce i Niemcza. Zdobyli całe Kujawy, łamiąc opór rycerstwa wielkopolskiego, którym dowodził usilnie odkupujący dawne grzechy Wincenty z Szamotuł. Łokietek z synem ruszyli na odsiecz, zamierzając najazd na ziemię chełmińską, ale Krzyżacy - podobno uprzedzeni przez zdrajców - zastąpili im drogę nad Drwęcą.

Legat papieski Piotr z Alwerni wystąpił z pośrednictwem pokojowym i zawarto rozejm. Kujawy i ziemia dobrzyńska pozostawały jednak w ręku Zakonu.

Jeszcze w tym samym 1332 r. zajął się Łokietek zdobywaniem tych zachodnich skrawków Wielkopolski, gdzie trzymali się książęta śląscy, spadkobiercy Głogowczyka, obecnie już podwładni Jana Luksemburskiego. Odzyskanie Kościana przypadło w udziale królewiczowi Kazimierzowi. I okazało się, że człowiek, który w przyszłości uzyskać miał sławę wybitnie pokojowego monarchy, posiadał aż nazbyt wiele zaciętości bojowej. Wziął gród szturmem i kazał wyciąć w pień całą załogę.

Rozejm z Krzyżakami obowiązywał do Zielonych Świąt 1333 r. Stary król nie doczekał wygaśnięcia terminu. Zmarł na Wawelu 2 marca, po siedemdziesięciu dwóch latach życia, z których czterdzieści i pięć to właściwie jeden wielki, ciągły, nieustający bój.

Prawdziwy polityk to człowiek, który uważa się za powołanego do przywództwa innym. Bez tej właściwości nikt jeszcze wybitnym mężem stanu nie został. Bywało wprawdzie wielu takich, co pchając się na szczyty legitymowali

się tylko żądzą władzy i osobistego zysku, wykazując w tym względzie nie lada upór i zaciekłość. Ale zjawisko to zostawmy w tej chwili na uboczu, bo król, o którym mowa, nie należał do tej odmiany ludzkiej. Jeśli czyjakolwiek nieuszępliwość okupiona cierpieniami i krwią tysięcy była usprawiedliwiona - to na pewno właśnie jego.

Wielu Polaków zapisanych przez historię przerastało go geniuszem. Łokietek uczył się, jak długo żył, z prowincjonalnego książątka wyrastając na polityka okiem i sercem ogarniającego cały kraj. Lecz wątpić można, czy w całych naszych - a może i nie tylko naszych - dziejach znajdzie się przykład takiej mocy charakteru. Król Władysław nie pomylił się w sądzie o własnej osobie - on naprawdę urodził się na wodza i wielkiego sługę narodu. Jego życiorys w pełni popiera dumną tezę współczesnego nam pisarza: „człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać”.

Czterdzieści pięć lat walki - klęsk, z których się podnosił, zwycięstw, które wcale jeszcze nie były ostatecznymi triumfami, i śmierć w chwili wyjątkowo mrocznej, nazajutrz prawie po utracie Kujaw, a wraz z nimi rodowej dzielnicy.

Władysława Łokietka pochowano wprost w piasku pod posadzką katedry wawelskiej, zakładając w ten sposób cmentarz królów, jakiego nie ma w całej Europie. Nagrobek zaczęto mu stawiać w kilka lat po śmierci, za świeżej pamięci. Widnieje na nim rzeźbiona podobizna króla. Był mały, silnie zbudowany. Wąs miał długi, lecz wcale nie zawadiacki, twarz zatroskana, pospolita, obwisła w starcze fałdy. Już dawno temu zauważono, że pierwszy nasz monarcha pochowany na Wawelu wygląda jak zwykły polski wieśniak w koronie.

CORONA REGNI POLONIAE

„...żyły następne dziesięciolecia tradycjami Kazimierzowymi, niewiele nowego, a jeszcze mniej dobrego przysparzając.”

Meksamier Brückner, *Dzieje kultury polskiej*, i. I

„ Wisłica, Kazimierz - murowane legendy o wielkim niegdyś wśród nas marzycielu junocnym władcy, o potężnym rozumie i niezłomnej woli.

Wały, ściskające Wisły koryto, z rozkazu wiecznotrwałego króla sypane, początek pracy, do której potomność nie dołożyła prawie nic.”

Stefan Żeromski, *Wista*

I

W kilka tygodni po śmierci Łokietka - 25 kwietnia 1333 r. - sędziwy arcybiskup gnieźnieński Janisław ukoronował w katedrze krakowskiej Kazimierza.

Czytelnik sądzi pewnie, że poprzedniemu zdaniu brak na końcu przymiotnika: Wielkiego. Ale w chwili koronacji nikt jeszcze nie przewidywał, że młodyciany król zdobędzie przydomek, który w całej naszej historii przysłu guje tylko Chrobremu.

Zaczynając rządy miał Kazimierz opinię całkiem nieszczególną. Krzyżacy i Jan Luskemburczyk starali się, jak mogli, o „złą prasę” dla niego. Sprawa rzekomej ucieczki spod Płowiec nie mogła zbytnio niepokoić Polaków, bo wielu pewnie wiedziało, jak się rzeczy naprawdę miały. Za to inny wypadek nosił cechy prawdziwego skandalu. Dwory europejskie trzęsły się od plotek i poważni ludzie w Polsce mieli powody podejrzliwie patrzeć na urwisa w koronie.

Na trzy lata przed s'miercia wysłał Łokietek syna w misji dyplomatycznej na Węgry. Panował tam nadal Karol Robert Andegaweńczyk, żonaty z rodzoną siostrą Kazimierza, Elżbietą Łokietkówną. Król węgierski był Francuzem, a dwór jego słynął z wdzięku właściwego tej nacji, która nigdy też nie odznaczała się nadmierną surowością obyczajów. Coś tam zaszło w Wyszehradzie... Niektórzy dziejopisarze kładą wszystko na karb złośliwej plotki, jeśli jednak zważyć, że i w przyszłości miał się Kazimierz wyróżniać wyjątkową wręcz czu-

los'cia na wdzięki niewieście, to przyjdzie chyba powtórzyć przysłowie „nie ma dymu bez ognia”.

Krótko mówiąc, polski "królewicz uwiódł tam podobno córkę szlachcica Klarę Zach. Co gorzej - pomawiano królową Elżbietę o ułatwienie mu tego. Burza wybuchła już po wyjeździe Kazimierza, kiedy Klara powiedziała wszystko ojcu, Felicjanowi Zach. Magnat popadł w szal. Wtargnął do sali zamkowej, gdzie przebywała cała rodzina monarsza, i rzucił się na nią z mieczem. Ciął w ramię Karola Roberta, odrąbał Elżbiecie cztery palce u prawej dłoni i dopiero sam zginął od ciosu dworzanina, Jana Cselenyi. Ćwierci zwłok królobójcy zawisły na hakach w głównych miastach węgierskich i zahuczalo w Europie. Na rodzinę Zachów posypały się wyroki śmierci i konfiskaty dóbr, okrutnie zamęczona zginęła i Klara. Ci i owi spośród jej krewnych zdołali ująć do... Polski. Łokietek nikogo z nich nie wydał, czego by pewnie nie omieszkął uczynić, gdyby własny jego synalek błyszczał jak łąza. Stary król był krewki i twardy, ale sprawiedliwy.

Zszargana opinia nie była pomyślną kartą, a zwłaszcza już w grze przeciwko Krzyżakom, którzy zawsze mieli na propagandowe usługi cale niebo, piekło i pełny wieniec cnót ewangelicznych.

O męża łaskawi i przychylni mnie i pokoleniu memu! - na łożu śmierci mówił Łokietek do małopolskich wielmożów. - Oby syn mój, wiedziony moim przykładem, takie miał u was zachowanie, jakie ja sam miewałem, i abyście go tak kochali, jak mnie miłujecie. Nawet jeśli inaczej będzie, polecam go zapobiegliwości i wierności waszej.

W słowach gasnącego króla wyraźnie czuć niepokój i troskę.

„Męże” otaczający Kazimierza, mający mu służyć radą i pomocą, to przede wszystkim członkowie rodów małopolskich, nowa arystokracja wysoko wyniesiona przez samego Łokietka. Pierwsze miejsca wśród niej zajmowali tacy ludzie, jak uczony prawnik Jarosław Bogoria ze Skotnik, późniejszy arcybiskup gnieźnieński, i Spytko z Melsztyna, kasztelan krakowski. Ale nie tylko oni i pokrewni im stopniem mieli wywierać wpływ na sprawy królestwa. W niepowrotną przeszłość odeszła już dawna Polska, słabo rozwinięta pod względem społecznym. Kazimierz obejmował rządy nad społeczeństwem stanowym, wcale bogato uwarstwionym. I chociaż przez całe życie pilnie dbał o własną władzę monarszą, nie pozwalając jej uszczuplić, to jednak musiał się nieustannie liczyć z wieloma czynnikami w swym państwie.

Stany średniowieczne to grupy ludności różniące się między sobą nie tylko stopniem zamożności i posiadaniem dóbr, lecz także - a nawet przede wszystkim - przysługującymi im prawami. Pewnie - w XIV w. jeszcze się te stany nie

zwarły na głucho, granice ich były płynne i dość łatwe do przekroczenia. Mógł szlachcic osiedlić się w mieście, zająć handlem i wejść przez to w szeregi „sławetnych”. I odwrotnie - mógł mieszczanin naoyć dobra ziemskie, posiadać prawa rycerskie i stać się w ten sposób założycielem rodziny, w przyszłości nawet arystokratycznej. Podobnie i najbardziej rzutcy spomiędzy chłopów mieli jeszcze otwartą drogę w kierunku społecznych szczytów. Lecz w zasadzie Polska ówczesna to społeczeństwo stanowe. Syn szlachcica z chwilą urodzenia stawał się dziedzicem przywilejów i powinności, jakie przysługiwały ojcu bądź obciążały go, spadkobiercą herbu. Świecenia kapłańskie nadały młodemu księdzu prawa całkiem różne od tych, które przysługiwały reszcie królewskich poddanych, prawa lepsze, zapewniające wpływy i dostojęństwo.

O duchowieństwie rozwdzić się długo nie potrzeba, gdyż nie było ono stanem dziedzicznym. Znaczenie posiadało ogromne, potęgę materialną też, lecz należy od razu wspomnieć, że Kazimierz Wielki nie uczynił nigdy niczego, co mogłoby jeszcze bardziej wzmóc siłę kleru. Dokonał za to wielu rzeczy zmierzających do jej umniejszenia. Ograniczał ją szczególnie w dziedzinie gospodarczej, odbierając dobra bezprawnie zagarnięte za poprzednich słabych władców, zniżając opłaty nakładane przez Kościół na ludność.

Stan rycerski to za Kazimierza cała składanka grup społecznych, zobowiązanych do służby wojskowej w polu. Należy bowiem odróżnić obowiązek udziału w wojnie ruchowej, w wyprawach, od służby przy obronie miast, która : to powinność obarczała mieszczan.

Na samym szczycie stanu rycerskiego stały wielkie rody magnackie. Człon- ków ich łącińskie dokumenty tego czasu zwały komesami lub baronami. Jak się ; już wspomniało, za Łokietka i Kazimierza schodzą pomału w cień dawni wielmoże, ustępując miejsca nowej arystokracji, bardziej uległej wobec monarchy, któremu zawdzięczała karierę. Stare rody niełatwo ustępowały. Zwłaszcza w Wielkopolsce stawały opór tak twardy, że najbardziej nieugięty i warcholski ich przedstawiciel, wojewoda Maćko Borkowic, zginąć musiał w lochach twierdzy olsztyńskiej skazany na śmierć głodową.

Spoczeństwo ówczesne, szlachty nie wyłączając, dalekie jeszcze było od j mniemania, że wielmożnemu panu wszystko wolno. Doświadczył tego na sobie j Wincenty z Szamotuł. Łokietek mu przebaczył i pozwolił swobodnie przeby- | wać w kraju, ale rycerstwo nie darowało i rozniosło go na mieczach. - Dopiero l w XVII stuleciu zdrajcy mieli u nas chadzać bezkarnie.]

Pod względem prawnym wielmoże wchodzili w skład szlachty, czyli tej grupy stanu rycerskiego, która miała herby i zawołania rodowe, zewnętrznie

wyróżniająca ją od reszty śmiertelników, i która - co bezsprzecznie najważniejsze - prawa swe posiadała dziedzicznie. Syn otrzymywał je po ojcu i nienaruszone przekazywał następcy. Już wtedy, zwłaszcza w Wielkopolsce, występowała szlachta chodackowa. Mógł bowiem syn rycerski zubożeć, wyzbyć się ziemi i mienia, ale nie tracił herbu i przywileju.

Niemajął wcale był ten przywilej szlachcica. Dawał mu prawo dziedziczenia ziemi, żądając w zamian służby wojskowej konno, w zbroi i z pocztem. Zwalniał folwark uprawiany bezpośrednio przez rycerza od podatków, a jego samego od obowiązku stawania przed jakimkolwiek sądem z wyjątkiem królewskiego. Pozwalał mu sądzić ludność osiadłą w jego dobrach, za zabójstwo lub zranienie szlachcica karał o wiele srożej niż za te same przestępstwa popełnione na mieszczaninie czy kmieciu.

Szlachcic też musiał dawać dziesięciny należne Kościołowi od ludności całego kraju. Ale w odróżnieniu od ludzi „podlejszego stanu” mógł sobie swobodnie wybrać księdza czy klasztor, któremu chciał płacić, nie potrzebował odwozić snopów do proboszczowskiej stodoły. Pleban winien był sam troszczyć się o transport.

Prócz szlachty istniał podówczas w obrębie stanu rycerskiego pewien przeżytek w postaci tak zwanych włodyków. Byli to wojacy niższego stopnia, posiadający pełną własność ziemi, jednakże pozbawieni herbów i zwołań. Na wyprawę stawali konno i zbrojno, służąc w pocztach królewskich czy magnackich. Podlegali sądom monarszym, ale dziesięcinę musieli osobiście odwozić, i to do własnych parafii, bez prawa wyboru. Zabójca włodyki lub ten, kto go poranił, płacił karę równo o połowę mniejszą od grzywny należnej za naruszenie cielesnej nietykalności szlachcica.

Włodycy występowali przede wszystkim w Małopolsce. Wielkopolska znała tylko podział na rycerstwo wyższe i niższe, jednak bez różnic prawnych między nimi. Na Mazowszu nazwa włodyki oznaczała po prostu szlachcica.

Jeszcze niżej od włodyków stała w ówczesnej hierarchii grupa zwana panoszami. Byli to wojownicy nie dziedziczący swoich praw i osobiście tylko zobowiązani do służby w szeregach. Rekrutowali się z sołtysów, bogatszych chłopów i rozmaitych królewskich czy magnackich pomniejszych funkcjonariuszy. Kara za zabicie lub poranienie panoszy - główszczyzna i nawiązka - była znowu o połowę mniejsza od tej, jaką nakładano, jeśli ofiarą był włodyka. Tak oto wyglądał stan rycerski za Kazimierza - od potężnego komesa aż do we wszystkim zależnego panoszy.

Za rycerstwem szli w hierarchii społecznej mieszczenie. Ci byli wtedy rzeszą luźną, wcale jeszcze nie odgrodzoną od nieherbowej reszty narodu. Nie mogli

być inaczej, bo w XIV w. nowe/miasta Ciagle powstawały, mnożyły się nawet, jak grzyby po deszczu. Za Kazimierza Wielkiego założono ich - lub obdarzono samorządem - około sześćdziesięciu i pięciu (w tej liczbie Bydgoszcz, Kazimierz, Nowy Targ, Będzin, Żnin, Koło, Wrześnię i inne). Napływali nowi osadnicy, przynosili się do miast chłopi. W tych warunkach nieustannego ruchu i błogosławionego wzrostu nie mogłyby istnieć nieszczęsne późniejsze prawa, odcinające wieśniaka od mieszczanina, zabraniające chłopu opuszczania wsi.

Mimo wszystko - mieszczenie to stan odrębny, rządzący się własnym prawem, podległy osobnym sądom. Wewnątrz dzielili się według zamożności i zawodu, bo inne były interesy i dążenia kupców, inne zaś rzemieślników. Złożoność ówczesnych stosunków miejskich jeszcze bardziej wzmacniała kwestia narodowościowa. Patrycjat był w znacznej, często nawet w przeważającej mierze niemiecki. To bardzo wpływało na politykę.

Jak określić ówczesny stan chłopski? Historycy twierdzą, że zaliczali się doń ci wszyscy, którzy nie należeli ani do duchowieństwa, ani do rycerstwa czy mieszczan. Takie określenie będzie też niewątpliwie najbliższe prawdy.

Chłopi również stanowili w owych czasach prawdziwą mozaikę grup. Najwyżej stali kmiecie, posiadacze samowystarczalnych gospodarstw, obok nich młynarze i karczmarze. Dalej szli wieśniacy słabiej uposażeni ziemią, wreszcie całkiem bezrolni oraz pańska i księża czeladź.

Nasze poglądy na stan chłopski w dawnej Polsce są zawsze zabarwione wspomnieniami o schyłkowej dobie państwa oraz o epoce porozbiorowej, kiedy istniała i dopiero stopniowo znoszona była najpierw osobista zależność wieśniaka, a potem pańszczyzna. Nie wolno jednak bezkrytycznie ulegać tym wyobrażeniom i twierdzić, że chłop nigdy w Polsce nie miał wolności i że zawsze pod batem giął kark na pańskim polu.

W XIV wieku chłop przeważnie pełnej własności ziemi nie posiadał, zależał od pana i ponosił na jego rzecz ciężary, ale w większości cieszył się wolnością, mógł odchodzić, zmieniać miejsce pobytu, a nawet i sam stan, zostając na przykład mieszczaninem. Jedynie na zacofanym Mazowszu istnieli przypisańcy, którym nie wolno było opuszczać przydzielonego skrawka gleby. Toteż w tej dzielnicy najwcześniej - właśnie w XIV wieku - ogłaszano pierwsze ustawy przeciwko zbiegostwu, tym samym dając nam poznać, że chłop niechętnie znosił jarzmo, uchylał się, jak potrafił.

Do spraw ludności wiejskiej trzeba będzie jeszcze powrócić, kiedy przyjdzie kolej na omawianie działalności Kazimierza Wielkiego w dziedzinie ustawodawstwa i prawa. Statuty króla zaświadcza, że za jego czasów stan chłopski był

brany pod uwagę w rachubach polityki monarszej, znaczył coś w kraju, liczył się. Jeszcze go wtedy szlachta nie zdołała całkowicie od siebie uzależnić i odгородzić od jakiegokolwiek opieki państwowej.

Takie było - biorąc z grubsza - uwarstwienie społeczne Polski kazimierzowskiej. Jak widzieliśmy, sporo figur stało na szachownicy, gra przedstawiała się zawile i wymagała nie lada kunsztu. I jedno już teraz trzeba powiedzieć, wyprzedzając niejako tok opowiadania: król Kazimierz stosował rozmaite metody postępowania, ale zawsze trzymał się zasady popierania słabszych przeciwko tym, co pod względem społecznym stali wyżej. Nowa arystokracja łatwiej otrzymywała łaski niż stara, wrośnięta w dawny obyczaj i okrzepła.

Miasta i chłopi mieli w nim obrońcę przed duchownymi i świeckimi wielmożami.

Dzięki temu przedśmiertne słowa Władysława Łokietka, zwrócone do „mężów łaskawych i przychylnych”, a proszące o „zapobiegliwość i wierność” względem Kazimierza, znalazły posłuch w narodzie, a nie tylko wśród jego elity, to znaczy panów rady królewskiej.

Tego, co się przed chwilą powiedziało o ustroju stanowym, nie wystarczy jednak do najpobieżniejszego choćby zapoznania się z położeniem państwa w chwili objęcia rządów przez największego z naszych królów.

Z dwu głównych dzielnic kraju sprzyjała mu bardziej Małopolska, Wielkopolska zaś trwała w nieć%ci i opozycji, którą przyszło łagodzić lub łamać. Przyczyny tego były rozmaite - o wiele większe zacofanie, nieprzychylność wobec wszelkiego rodzaju nowych prądów idących z Krakowa, ostateczna już utrata godności stołecznej dzielnicy i w związku z tym zawiść wielkopolskich panów do komesów krakowskich, stanowiących otoczenie monarchy i obsypywanych łaskami. I to także nie było bez znaczenia, że Wielkopolska poprzednio najwięcej ucierpiała od wrogów, zwłaszcza zaś boleśnie odczuwała utratę Pomorza. Domagała się odzyskania strat nie zawsze chcąc przyjąć do wiadomości, że na razie było to całkiem niemożliwe.

Wszystko to musiało zostawiać osad w duszach ludzkich, rodzić pewną niechęć i w królu. Faktem jest, że Kazimierz - dobrodziej tylu miast - nigdy niczego nie zrobił dla Poznania.

Przygadywała królowi opozycja, w Wielkopolsce śpiewano: „Nie daj, królu Kazimierzu, nie daj Niemcom pruskiemu miru, póki nie odzyszczesz Gdańska.” Żal za straconym Pomorzem był bez wątpienia słuszny, złośliwości na pewno nie.

Międzynarodowe położenie Polski w chwili objęcia rządów przez Kazimierza było wręcz okropne. Wystarczy popatrzeć na mapę: państwo nie przypo-

minało żadnej formy znanej z geometrii, stanowiło nieregularnie powyginany pas ziem, w dolnej części wybrzuszony ku wschodowi, lecz nie dosięgający Bugu. Nie posiadało źródeł Wisły ani nawet jej średniego biegu, gdyż za dolną Pilicą leżały dzierzawy książąt mazowieckich, dalej zaś siedzieli Krzyżacy. Wąską kiszka Naagnęło się od Karpat ku Noteci, której ujścia nie obejmowało.

Z wyjątkiem południowej - węgierskiej - wszystkie granice były nieustannie zagrożone przez Krzyżaków, Brandenburczyków, niemieckich królów Czech oraz Litwinów. Przylegająca od południowego wschodu Ruś halicka stanowiła bardzo wątpliwą osłonę przed Tatarami.

Takie oto dziedzictwo otrzymał po ojcu młody król. Tyle lat walczył Łokietek, aby ocalić z potopu nieszczęść państwo, którego przyszłość wcale nie przedstawiała się pewnie, a wewnętrzne i zewnętrzne położenie było bardziej niż zawiłe.

Obejmując rządy miał Kazimierz równo dwadzieścia trzy lata. Przyszedł na świat w chwili, kiedy Łokietek już władał opisanym przed chwilą obszarem. Wzrastał więc patrząc na zabiegi ojca o rzecz wielką, o koronę. Uczestniczył w przedsięwzięciach i walkach na dużą miarę. Epoki rozbitcia dzielnicowego - kiedy cała uwaga panujących skupiała się na pojedynczych zakazanych gródkach i ksiąstewkach - nie oglądał i z własnego doświadczenia nie pamiętał. Pomyślne warunki kształtowały jego umysł, który miał się okazać genialny.

Ogromnie trudne, lecz wymagające szerokiego traktowania okoliczności pozwoliły rozwinąć się temu geniuszowi i odbudować rzecz bezcenną, istniejącą w Polsce Bolesławów, ale bardzo nadwątloną w epoce dzielnicowej - ośrodek prawdziwej myśli politycznej.

II

Państwo o tak ciężkim położeniu musiało przede wszystkim... żyć. Należało za wielką nawet cenę rozerwać, a przynajmniej osłabić sojusz Luksemburgów z Krzyżakami, uniknąć zmyły wojny na dwa fronty.

W dniu koronacji Kazimierza układem podpisanym w Krakowie przedłużono rozejm z Zakonem o jeden rok. Do umowy przystąpił również i Jan Luksemburczyk. Fatalny termin Zielonych Świąt 1333 r., kiedy wygasnąć miało zawieszenie broni, przestał grozić. Niebezpieczeństwo odsunięto - na dwanaście miesięcy. Nikt chyba wtedy nie przypuszczał, że pokój od strony krzyżackiej przetrwa kilkadziesiąt lat.

Rozpoczęło się długie pasmo niezwykle zawiłych kombinacji dyplomatycznych, snutych właściwie przez całe panowanie Kazimierza Wielkiego. Niepodobna wszystkich ich tu wyliczyć, lecz dobrze będzie rzucić okiem na partnerów gry oraz na ich główne interesy, które raz pchały ich przeciwko Polsce, to znów odciagały uwagę w innym kierunku.

Najgroźniejszy z nich to zakon krzyżacki. Sprzeczność celów była tu absolutna, równała się walce o byt obu stron. Zasadniczy zamiar Krzyżaków polegał na dążeniu do utworzenia państwa niemieckiego obejmującego całe południowe wybrzeże Bałtyku od Słupska aż po, Estonię. Twór taki, gdyby powstał, musiałby po prostu zdusić Polskę i inne państwa przeważnie słowiańskie, sięgające po zaplecze portów bałtyckich, czyli po całe dorzecza Wisły, Niemna i Dźwiny. Ale to dopiero w następnym etapie. Na razie Krzyżacy zagrabiwszy Prusy i Pomorze Gdańskie umacniali tam swe rządy i jednocześnie dążyli do zdobycia wybrzeża litewskiego, co pozwoliłoby na połączenie ich zachodnich i wschodnich dziedzin w jedną całość (owe dziedziny wschodnie to podboje Kawalerów Mieczowych, którzy od roku 1237 połączyli się z Krzyżakami). Postępując bardzo ostrożnie i przezornie, Polska mogła skorzystać z tych okoliczności, zyskać czas, wzmocnić się, a nawet wytargować zwrot niektórych ziem - przede wszystkim Kujaw.

Jeśli chodzi o Niemcy właściwe - partnerów było aż trzech. Dynastie Luksemburgów, Habsbuspw i Wittelsbachów walczyły tam o pierwszeństwo, wydzierając sobie tron cesarski. Każda z nich miała swój kraj dziedziczny, o który opierała się jej potęga. Dla Luksemburgów były to Czechy, dla Habsburgów Austria i dla Wittelsbachów - sięgających w XIV w. również po Brandenburgię - Bawaria. Najbardziej zagrażali Polsce Luksemburgowie, dwa pozostałe rody stanowić mogły niekiedy korzystną przeciwwagę.

Polska w tym czasie też była dziedziczną monarchią i posiadała panującą dynastię. Lecz różnica między naszymi Piastami a tamtymi trzema domami niemieckimi była zasadnicza. Polska to - obok Francji - najbardziej na owe czasy postępowy typ ustroju politycznego - monarchia narodowa, zmierzająca do skupienia w jedną całość ziem zamieszkanych przez Polaków. U nas interes panującego i kraju - to jedno. Tam - zarówno u Habsburgów, jak u Luksemburgów i Wittelsbachów - liczy się przede wszystkim dobro dynastii. Stąd nieustanne kombinacje, układy, przetargi, zamiany - wszystkie chwiejne, chwilowe i w ostatecznym rezultacie paralizujące politykę niemiecką. Dzięki temu cesarstwo nie potrafiło rozwinąć przeciwko nam swej wielkiej przewagi materialnej. Polska miała możliwość - gry.

Dla prawdziwego męża stanu trzech skłóconych przeciwników to dobro-

dziejstwo - chociażby jedyny możliwy do osiągnięcia zysk polegać miał na /uchronieniu się od dalszych strat i wygranu na czasie.

\ Nie był wtedy dla nas żadnym sojusznikiem król Francji, także monarchii narodowej. Jak najbardziej za to nadawał się do tej roli papież, nadal rezydujący w Awinionie i uległy woli Paryża. Kazimierz Wielki umiał znakomicie wyzyskać ten atut. Nie za darmo pozwalał co roku wywozić z Polski tysiące grzywnen srebra jako dziesięcinę i świętopietrze. Wolno powiedzieć, że za pieniądze kupował sobie papieskie poparcie. Każde zmniejszenie terytorium państwowego Polski oznaczało przecież uszczuplenie dochodów Awinionu, a świętopietrza w tym czasie oprócz nas i Anglii nikt nie płacił. Umiał też Kazimierz uzyskiwać przychylność papieża widokami rozszerzenia katolicyzmu na Litwę i Ruś.

Nie można twierdzić, że wszyscy kolejni papieże postępowali wtedy w sposób dla Polski korzystny. Przeważnie jednak tak było. Wspomnijmy jeszcze partnera nam w zasadzie przyjaznego - rządzone przez Andegawenów Węgry-

Karol Robert panował tam do roku 1342, później nastąpił syn jego Ludwik, przyszyły dziedzic korony Kazimierza Wielkiego. To nie przypadek ani - tym mniej! - nieporozumienie, że władca, który w dziejach Węgier nosi miano Ludwika Wielkiego, u nas zostawił po sobie kwaśną pamięć, jako „król Lois” (z węgierskiego: Lajosz). Bo dla niego Polska była tylko dynastycznym nabytkiem, którego dobrem wolno swobodnie kupczyć.

Na razie jednak francuscy królowie Węgier dopiero się spodziewali spadku po kuzynie. Kazimierz kusił ich tym następstwem, umacniając sojusz. W początkach panowania czynił to pewnie z dość lekkim sercem. Mężczyzna wspaniałej postaci, młody, mocny, obdarzony aż nadmiernym temperamentem, płodzący dzieci na prawo i lewo, mógł liczyć, że nareszcie doczeka się legalnego syna...

Właśnie na Węgrzech zawarto pierwszy z układów mających zapewnić Polsce pokój i sam byt. Był to rok 1335. Żadna wojna dotychczas nie wybuchła, ponieważ ciągle odsuwano ją ponawianymi rozejmami. Pragnąc wywrzeć nacisk na Luksemburgów, zbliżył się Kazimierz bardzo do Wittelsbachów - cesarza Ludwika oraz jego syna, margrabiego Brandenburgii, również Ludwika. W czerwcu obie strony przyrzekły sobie pomoc, Kazimierz obiecał nawet wydać swą córkę - Elżbietę - za jednego z członków rodziny cesarskiej. To - powtarzamy - w czerwcu. W sierpniu natomiast posłowie polscy omawiają w Trenczynie na Węgrzech warunki pokoju z Janem Luksemburskim. W listopadzie sam Kazimierz w otoczeniu wspaniałego orszaku jedzie na Węgry,

by ostatecznie ów pokój zawrzeć. Od poprzednich umów z Wittelsbachami wykryca się dyplomatycznym listem, nie paląc jednak za sobą mostów.

Świetny był listopadowy zjazd monarchów, na który oprócz Kazimierza przybyli królowie Czech oraz Węgier, liczni książęta śląscy, biskupi i trzej komturowie krzyżaccy jako posłowie Zakonu. Odbywał się w tym samym Wyszehradzie, gdzie kilka lat wcześniej Kazimierz zalecał się do Klary Zäch.

19 listopada podpisano pokój. Na mocy jego warunków Jan Luksemburski za cenę dwudziestu tysięcy kóp groszy praskich zrzekał się wszelkich roszczeń do tytułu króla polskiego. Ten ostatni uznawał za to zwierzchnicze prawa Czech nad kilkunastu księstwami śląskimi.

W pięć dni po podpisaniu umowy - 24 listopada 1335 r. - zmarł we Wrocławiu ostatni piastowski dziedzic tego miasta, książę Henryk VI. Na mocy dawniej zawartych z nim układów król czeski natychmiast objął Wrocław w posiadanie i mianował tam swego starostę.

Sprawy śląskie wyglądały dla Polski zdecydowanie źle. Niezależność zachowali tam jedynie książęta z linii świdnickiej.

Wyrok, jaki w sporze polsko-krzyżackim wydali w Wyszehradzie królowie Czech i Węgier - proszeni na rozjemców - też nie brzmiał pomyślnie: Zakon winien był zwrócić Polskę Kujawy i Dobrzyń, zatrzymać zaś Pomorze jako wiekiustą jałmużnę króla Polski. Orzeczenie to miał jeszcze zatwierdzić papież.

Kazimierz nie śpieszył się z podpisywaniem dokumentów dotyczących Śląska. Godząc się na uznanie zwierzchnictwa Czech nad nim, uniknął jednak stwierdzenia, że sam się Śląska zrzeka. Zachowywał sobie możliwość działania w przyszłości.

Z Wyszehradu wyjeżdżał zdobywszy rzecz najcenniejszą: pokój z Janem Luksemburczykiem.

W czerwcu 1336 r. doszło do rzeczy pozornie dziwnej. Oto król Kazimierz zjawił się na czele kilkuset rycerzy w obozie na Morawach, gdzie stały siły Jana Luksemburskiego i Karola Roberta węgierskiego. Przybył tam, aby wziąć udział w wojnie przeciwko Habsburgom i Wittelsbachom! Tym samym Wittelsbachom, z którymi równo rok temu sprzymierzał się i obiecywał spokrewnić.

Dziwne działanie miało cel ściśle określony i ważny: chodziło o wzmocnienie pokoju z Luksemburczykiem, odwrócenie jego uwagi od granic Polski, oddalenie go od Krzyżaków, a ponadto jeszcze o pozyskanie przychylności papieża, śmiertelnego wroga Wittelsbachów. Takimi dobrze i na zimno obmyślonymi

zygzakami musiała chodzić ówczesna polityka polska, grająca na niesnaskach między dynastiami niemieckimi.

Najbardziej nieprzystawne zabiegi niewiele jednak wskórają, jeśli siły są tak bardzo nierówne 9 lutego 1339 r. podpisał wreszcie król Kazimierz w Krakowie dokument, którym uznawał przynależność Śląska do Czech i obiecywał nie dążyć do jego odzyskania. Niedaleka przyszłość miała pokazać, czy traktował to zrzeczenie jako ostateczne i czy leżało w jego mocy wygnanie Luksemburgów z nad Odry.

W 1341 r. jako zastaw za pożyczone pieniądze wziął Kazimierz ziemię namysłowską. Dało mu to cztery ważne grody śląskie: Namysłów, Kluczbork, Byczynę i Wołczyn. W trzy lata później zbrojnie zdobył Wschowę, trzymaną dotąd przez książąt głogowskich, spustoszył ich ziemie i spalił Ścinawę. Dzięki tym nabytkom zajął mocną strategicznie pozycję, szachując Wrocław, zagrożony ponadto od południa przez sprzymierzeńca Polski, Bolka II świdnickiego.

W roku 1345 wybuchła wojna z Luksemburgami o Śląsk. Zasługują na uwagę dwie nieudane wyprawy i dwa daremne oblężenia. Kazimierz głęboko wtargnął w księstwo raciborskie i szturmował Żory, a król Jan Luksemburski - od niedawna ociemniały - z dużą armią wdarł się do Małopolski i obiegł... Kraków. Mówił, że chce murów jego dotknąć dłonią. Nie zdobył miasta, w odwrocie kolumny jego doznały klęsk pod Będzinem i Lelowem, lecz pomimo to obraz nierównowagi sił był wyraźny: Kazimierza stać było najwyżej na zdobycze na Śląsku, Jan mógł bezpośrednio zagrozić stolicy Polski.

Układ zawarty w Namysłowie 22 listopada 1348 r. przywracał pokój między Piastem a Luksemburgami i pośrednio, lecz wyraźnie stwierdzał, że odzyskanie Śląska wciąż jeszcze nie leżało w mocy króla polskiego.

Władcą Czech był już wtedy syn Jana Luksemburczyka, od roku 1347 również cesarz niemiecki - Karol IV, od którego imienia najstarsza uczelnia praska zwie się Uniwersytetem Karola, a znane uzdrowisko Karłowymi Warami. Stary wróg Polski, król Jan, nie żył. Poległ w roku 1346 we Francji, w bitwie pod Crécy. Kiedy rozbici Francuzi zaczęli ustępować, ślepy Jan kazał się przywiązać do konia, stanął między dwoma rycerzami i z okrzykiem: „*Tot, Boh da, ne bude, by kr al czesky z boje utiekał*” uderzył na zwycięskich Anglików.

Zanim pokój namysłowski przypieczętował sprawy śląskie, doraźnie i tymczasowo załatwiono już i spór z Krzyżakami.

Papież Benedykt XII nie uznał wyroku wyszehradzkiego. Skłonił go do tego przychylny Polsce i skrzętnie obliczający świętopietrze nuncjusz Galhard de

Chartres. Kazimierz grał zręcznie, obiecując papieżowi połowę sumy należnej od Zakonu jako odszkodowanie. Gorliwie zabiegał też o poparcie Węgier oficjalnie już przyrzekając ich królom następstwo po sobie.

4 maja 1338 r. papież nakazał rozpoczęcie procesu, ale ton bulli z góry przesądzał wynik na korzyść Polski. Nuncjusze mieli rzucić na Zakon kłutwę i rozpatrzyć jego zbrodnie.

27 października nuncjusze Galhard de Chartres oraz Piotr syn Gerwazego — obaj Francuzi - wyznaczyli termin rozprawy, która miała się odbyć na terenie neutralnym, w mazowieckim mieście Warszawie. Nie znalazł się śmiałek, gotowy zawieźć pozew wielkiemu mistrzowi, więc odczytano go tylko w kościołach grodów położonych najbliższej granic państwa krzyżackiego: w Płocku, Łęczycy, Inowrocławiu i w Warszawie.

4 lutego 1339 r. rozpoczęto proces. Sąd zasiadał w domu wójta Warszawy, Bartłomieja. Krzyżacy przysłali posłów, którzy wnieśli protest, zapowiedzieli apelację do papieża i natychmiast wyjechali.

Postępowanie dowodowe trwało długo. Przesłuchano stu dwudziestu sześciu świadków, pochodzących ze wszystkich stanów i ziem polskich, starannie spisano ich zeznania. Ię września 1339 r. papiescy sędziowie wydali i obwieścili wyrok:

Ponieważ wiadomo nam z poprzedniego wyводу sprawy, dokładnie i pilnie przedstawionego [...] że brat Teodoryk z Altenburga, na teraz mistrz Zakonu Teutońskiego Szpitala św. Maryi [...] jako też bracia rzeczonogo zakonu [...]z potężnym wojskiem, po nieprzyjacielsku, z rozwiniętymi chorągwiami, Boga się nie bojąc, a słuchając podszeptów szatana, królestwo polskie najechali, kościoły [...] ogniem zniszczyli, a pozabierawszy z nich poprzednio księgi, kielichy, klejnoty i inne rzeczonych kościołów ozdoby, wraz z ołtarzami, relikwiami i obrazami świętych popalili ze szczeniem: przeto my rzeczonych braci mocą udzielonej nam do tej sprawy od Stolicy Apostolskiej władzy ogłaszamy niniejszym pismem za wyklętych [...]

Za czym skazujemy ich na zwrócenie rzeczonemu królowi polskiemu w całości i zupełności pomienionych ziem: pomorskiej, kujawskiej, brzeskiej, dobrzyńskiej i michałowskiej, jako też korzyści i dochodów z nich pobieranych, rzeczy zabranych, spalonych lub zatraconych; niemniej nagrodzenie szkód zrządzonych w dobrach nieruchomości, według rzetelnej ich wartości [...] Na koniec skazujemy ich na zapłacenie wydatków w rzeczonej sprawie albo z jej przyczyny przez Króla Jego Miłość Polskiego bądź jego zastępcę poniesionych [...] Działo się w Warszawie, diecezji poznańskiej, w kościele Św. Jana Chrzciciela, roku od Narodzenia Pańskiego tysięcznego trzechsetnego trzydziestego dziewiątego [...] rządów papieskich naszego Ojca świętego i Pana, z Bożej miłości papieża Benedykta XII, roku piątego, dnia piętnastego miesiąca września, około godziny wieczornej.

Wyroku nie służył żaden z przedstawicieli Zakonu, który natychmiast apelował do papieża. W dwa lata później Benedykt XII nakazał ponowne

rozpatrzenie sprawy, uznając tym razem, że Polsce należą się tylko Kujawy i Dobrzyń oraz odszkodowanie. Dyplomacja zakonna nie straciła widać czasu.)

Proces warszawski nagromadził mnóstwo bezcennych dokumentów i stanowił duży moralny sukces Polski. Nie było podówczas, niestety, żadnej siły materialnej zdolnej urzeczywistnić wyrok.

Król Kazimierz dobrze to wiedział, że Krzyżacy niczego nie wykonają inaczej niż pod przymusem, ale nie opuszczają rąk bezradnie. Próbował szachować ich od zachodu przymierzem z Piastami zachodniopomorskimi. W Szczecinie rządził wtedy Barnim III, któremu udało się poprzednio zrzucić zwierzchnictwo brandenburskie. Musiał jednak uznać się za bezpośredniego lennika cesarza. W księstwie ołogoskim - obejmującym oprócz samego Ołogoszcza także Stargard, Kamień, Kołobrzeg i Słupsk - władali trzej bracia: Bogusław V, Barnim IV i Warcisław V. Z nimi właśnie spotkał się Kazimierz 12 lutego 1343 r. na zjeździe w Poznaniu i zawarł sojusz skierowany przeciwko Krzyżakom (układ z Barnimem szczecińskim nastąpił w pięć lat później).

Książęta ołogoscy nie byli mocarzami i pomoc w sile czterystu dobrze zbrojnych rycerzy, którą przyrzekli Kazimierzowi na wypadek wojny, nie potrafiłaby przeważać szali. Ale ziemie ich okalały od zachodu pomorskie posiadłości Zakonu. Przez księstwo ołogoskie przybywały Krzyżakom posiłki z Niemiec, których trzej bracia zobowiązali się nie przepuszczać. Kazimierz Wielki rozpoczął ponadto zabiegi o podporządkowanie biskupstwa kamieńskiego metropolii gnieźnieńskiej. W kwietniu 1343 r. wydał swą najstarszą córkę - Elżbietę - za Bogusława V.

W tych staraniach i umowach widać wyraźnie zupełnie określoną myśl polityczną. Napotykając niezwalczoną na razie przeszkodę na drodze do Gdańska, nie rezygnując z jego odzyskania, polityka polska wzbogaca się o nowy kierunek: zaczyna znowu celować w ujście Odry i tamtędy szukać dostępu do morza. Zobaczymy później, jak bardzo zdołał Kazimierz zbliżyć granice państwa do wybrzeży Bałtyku.

Polityka zapoczątkowana układem poznańskim zagrażała gospodarczej pomyślności Zakonu. Wyzyskując przyjaźń z książętami ołogoskimi, mógł Kazimierz kierować handel swego kraju przez ich ziemie. Wszystko to otwierało duże widoki na przyszłość, ale w danej chwili umożliwiało tylko jedno: skłaniało Zakon do zawarcia pokoju na warunkach możliwych dla Polski do przyjęcia. Niepodobna było liczyć na silniejsze poparcie ze strony Awinionu. Nowy papież, Klemens VI, daleki był od myśli o utrzymaniu się wyroku warszawskiego, parł natomiast do zawarcia układu. 8 lipca 1343 r. rozpoczęły

ię w Kaliszu pertraktacje. Kazimierzowi Wielkiemu towarzyszył w nich zięć Bogusław V. Postanowiono, że Polska dostanie Kujawy i ziemię dobrzyńską, Zakon zaś wypłaci znaczne odszkodowanie i zatrzyma Pomorze jako jałmużnę króla polskiego. Ponieważ dokumenty wystawione przez Krzyżaków zaginęły, nie wiemy dokładnie, jakie warunki ich obarczały. Istniały jednak na pewno i wynikało z nich teoretyczne czy honorowe raczej zwierzchnictwo króla polskiego nad Pomorzem. W każdym razie Kazimierz nigdy nie przestał używać tytułu dziedzica tej ziemi i nazwę jej kazał rytować na swych pieczęciach.

Układ zatwierdzić mieli przedstawiciele rycerstwa małopolskiego, wielkopolskiego i kujawskiego. Król zażądał, aby to samo uczyniły również główne miasta polskie - Kraków, Poznań, Kalisz, Inowrocław, Brześć, Sącz i Sandomierz - podkreślając tym polityczną rolę mieszczaństwa.

Posłowie królewscy w towarzystwie komturów krzyżackich objechali kraj, zbierając podpisy.

23 lipca 1343 r. na łące pod wsią Wierzblinem, koło Inowrocławia, król polski, Kazimierz, i wielki mistrz Zakonu, Ludołf Koenig von Weizau, wręczyli sobie nawzajem obkumenty i obdarzyli się pocałunkiem pokoju. Przyrzeczonego odszkodowania nie wypłacili Krzyżacy nigdy.

Następna wojna polsko-krzyżacka wybuchnąć miała dopiero po kilkunastu latach - za Władysława Jagiełły - i ten fakt rozstrzyga o historycznej ocenie pokoju, zwanego kaliskim. Wbrew wszystkim pozorom był on ogromnym sukcesem Polski. Dał jej czas na przygotowanie Grunwaldu. Krzyżacy tym razem nie okazali się politycznymi mędrkami. Najgroźniejszego przeciwnika - Polskę - zostawili sobie na potem, zamiast załatwić się z nim w pierwszej kolejności, póki był jeszcze słaby.

Za to Kazimierz postąpił jak wielki mąż stanu, który pamięta, że umrze, wie, iż żaden człowiek wszystkiego sam dokonać nie zdąży i wobec tego powinien pracować dla następców.

Wielu ludzi współczesnych dobrze rozumiało przyczyny postępowania króla. Znamy ich opinie, ponieważ zapisał je Jan Długosz. Oto jedna z nich:

Król Kazimierz widział się pod tę porę w niebezpieczeństwie ostatecznej zagłady, gdyż bracia krzyżacy mieli dość siły, aby pół królestwa zagarnąć, a król nie zdołałby stawić oporu. I było to powszechnie wiadomą naówczas rzeczą.

Inna wypowiedź zawiera znamienity pogląd samego Zakonu:

Król obawiał się zupełnego obalenia państwa i zatury korony, gdyż bracia krzyżacy mawiali królowi w oczy: jeśli naruszysz pokój, tedy aż do Krakowa mieczami naszymi ścigać cię będziemy.

—\ Nie brakło jednak i niezadowolonych, zwłaszcza w graniczącej z Pomorzem Wielkopolsce. Byli jednak i gdzie indziej. Ich najbardziej godny uwagi przed-sjawiciel to biskup krakowski Jan Grot, postać barwna, o której koniecznie trzeba parę słów powiedzieć.

Biskup nie kochał młodego króla i ciągle pozostawał z nim w zatargach, których tło było jak najściślej materialne; dbały o kasę państwową monarcha ograniczał bowiem przywileje duchowieństwa, nakładał na jego dobra nowe ciężary. Jan Grot wcale nie taił swoich sentymentów - przerywał nabożeństwo, gdy tylko król pojawił się w katedrze. Raz nawet dopuścił się obrazy majestatu, każąc swoim pachołkom odbić i uwolnić człowieka uwięzionego w wieży wawelskiej. Była to ciężka zniewaga osobista obecnej na zamku królowej Anny-Aldony. Do najgorszych rzeczy doszło jednak później, kiedy biskup wykłął króla, dotknął diecezję interdyktem, a sam zamknął się w swojej warownej Iży. Ostatecznie Grot ekskomunikę odwołał, a król polityki nie zmienił.

Jedna tylko okoliczność nadawała temu sporowi pozór walki o zasady. Jan Grot fanatycznie, z całej duszy nienawdził Niemców i wszystkiego, co niemieckie. Pakty królewskie z Krzyżakami potępiał i jedyny spośród biskupów polskich pokoju kaliskiego nie podpisał.

Plany Kazimierza co do jego osoby zdradzają prawdziwego polityka, który nie zważa na osobiste sentymenty i umie posługiwać się ludźmi, wyzyskując cechy ich umysłu i charakteru. Król gorliwie zabiegał o to, by śmiertelny wróg Niemców Grot został biskupem - wrocławskim. Starania rozpoczął jeszcze za życia Nankera, ale nie osiągnął celu. Przeważył wpływ Luksemburgów i infułę osiągnął nad Odrą Przeclaw z Pogorzeli.

Rajcy wrocławscy musieli stanąć przed nowym biskupem boso, bez płaszczy, pasów i czapek, przeprosić go i w ten sposób zagładzić dawne zatargi. Nie należy przejmować się tym widowiskiem, które stanowiło formalność. Przeclaw z Pogorzeli, herbu Grzymała, był wprawdzie Polakiem, ale całkowicie ulegał niemieckim Luksemburgom i w ślady Nankera nie szedł.

Zdołał jednak Kazimierz sparaliżować wszystkie starania o wyłączenie Śląska z polskiej prowincji kościelnej i biskup wrocławski nadal podlegał metropolicie gnieźnieńskiemu.

Z musu zatwierdził król traktat wyszehradzki i zawarł pokój kaliski. Ani na Śląsku, ani na Pomorzu nie mógł kroku naprzód zrobić, to jednak, co można było utrzymać - utrzymał, chociażby szło o same tylko tytuły prawne i widoki na przyszłość. Za to na graniczącym i z Polską, i z Krzyżakami Mazowszu poczynił znaczne postępy.

Chcąc omówić te sprawy, trzeba wybiec o kilka lat naprzód i naruszyć trochę chronologiczny porządek opowiadania.

Piastowie mazowieccy - z których rodu wywodzili się Łokietek i sam Kazimierz Wielki - zaczęli wymierać. W roku 1350 żyli już tylko: władający Płockiem Bolesław III oraz synowie Trojdena - Kazimierz I i Ziemiowit III. Ten jeden miał synów, których potomkowie władali w Warszawie aż do XVI w. Mazowsze nie należało wtedy do państwa polskiego, a nawet przed dwudziestu przeszło laty zostało - jakżeśmy już mówili - czes'ciowo uzależnione od króla Czech. Rok 1350 dlatego jest ważny w dziejach tej dzielnicy, że wielki najazd Litwinów pod wodzą Kiejstuta skłonił wówczas książąt do szukania opieki i pomocy króla. Kiejstut spalił Warszawę i Czersk, przebył Wisłę i wtargnął daleko na zachód. Władcy Mazowsza nie dali mu rady. Dopiero król Kazimierz po błyskawicznym skupieniu i pochodzie wojsk zastąpił mu odwrót pod Żukowem koło Sochaczewa i rozbił na głowę. Zdarzyło się to 20 maja. W piętnas'cie miesięcy później osierociała dzielnica płocka. 20 sierpnia 1351 r., podczas pos'cigu za Kkjestutem na Podlasiu, poległ od strzały litewskiej książę Bolesław III.

*

Wykonując dawniejsze z nim umowy wszedł teraz Kazimierz w posiadanie Płocka, Zakroczyimiąji Wizny, unieważnił też wszystkie przysięgi złożone ongi królowi Czech, jako wymuszone siłą. Ziemiowitowi i Kazimierzowi nadał od siebie Sochaczew i przyjął od nich hołd z ziem czerskiej, rawskiej i warszawskiej. Przyrzekł im, że odziedziczą po nim kraj płocki, zakroczymski i wiski.

Obszar poddany bezpos'redniej władzy lub zwierzchnictwu króla rozszerzył się bardzo wydatnie. Odnosił dalszy sukces charakterystyczny dla Kazimierza Wielkiego sposób posuwania się naprzód krok za krokiem, stopniowego osiągnięcia doniosłych celów. Po Wschowie i innych skrawkach na zachodnim pograniczu Wielkopolski, po Kujawach i Dobrzyniu przyszła kolej na poddanie Koronie Polskiej kraju nad s'rednia Wisłą.

Warszawa przestawała więc być miastem w stosunku do reszty Polski neutralnym. Ponowne podporządkowanie jej i całego Mazowsza Wawelowi to zjawisko niezwykle ważne nie tylko jako objaw scalania kraju, lecz także jako atut w polityce wobec zakonu krzyżackiego, Litwy i Rusi.

W tej ostatniej Kazimierz Wielki już od dziesięciu lat działał bardzo energicznie.

III

Jak już wiemy, księstwem włodzimiersko-halickim od roku 1323 rządził Jerzy-Bolesław. Był to starszy brat wspomnianych przed chwilą dynastów mazowieckich, Ziemowita i Kazimierza. Z królem polskim łączyło go po dwójne pokrewieństwo: rodowe oraz przez żony - Litwinki, gdyż Eufemia, połówica Jerzego-Bolesława, to Giedyminówna, rodzona siostra Kazimierze wej Aldony.

Jerzy-Bolesław przyjąwszy prawosławie nie przestał być Polakiem i ni zerwał więzów z Mazowszem, skoro s'lub z Eufemią wziął nie na Rusi, lecz gdzieś pod Płockiem. Pomimo porozumień z Krzyżakami zachowywał wobec Polski życzliwą neutralność. Uczestniczył w zjazdach monarszych na Węgrzech i uznał Kazimierza dziedzicem swego księstwa, był bowiem bezdzielnym. Taka umowa między panującymi była w owych czasach rzeczą najzupełniej normalną i zgodną z pojęciami prawnymi. I w tej książce nieraz się wspominała o podobnych układach.

7 kwietnia 1340 r. bojarzy struli księcia. Działali w spisku z Tatarami. Trucicielstwo jako stała metoda rozstrzygania powikłań to niewątpliwy wkład tatarski w kulturę polityczną Europy wschodniej (zachodnia też nie była bez grzechu; istnieje podanie, że cesarz Henryk VII - ojciec Jana Luksemburczyka - zginął od nasyczonego jadem komunikantu, ale u Tatarów trucizna wchodziła w system). Żaden z licznych książąt ruskich, zmuszonych często jeździć do chana, nie był pewien, czy wróci. Jednym ścinano głowy, inni „z niewyjaśnionych przyczyn” umierali w Saraju lub zaraz po wyjeździe stamtąd. Nie uniknął tego losu i sławny Aleksander Newski. Zmarł nagle w Horodcu, wkrótce po bytności u chana. Sam Iwan Kalita - twórca podstaw potęgi Wielkiego Księstwa Moskiewskiego - wybierając się w roku 1338 w podróż spisał przedtem testament, zaczynający się od słów: „*ja hresznyj chudyj rab Bożij Iwan piszu duszewnuju hramotu, idia w Ordu*”. Jego szczęśliwy powrót odnotował kronikarz w sposób równie znamienity: „*prijdie iz Ordy kniaź Iwan na swoju otczinu, pożałowan byst' Bohom i carient'*” (car w danym wypadku oznacza chana).

W dwa lata po śmierci Jerzego-Bolesława rozstała się z życiem i księżna Eufemia. Bojarzy wepchnęli ją pod lód wiślany koło Zawichostu.

Kazimierz Wielki działał błyskawicznie. W dziewięć dni po zgonie Jerzego-Bolesława wojsko jego uderza na Ruś. W końcu tegoż kwietnia 1340 r. przychodzi mu z pomocą Węgrzy.

Pierwsza wojna doprowadziła do zajęcia Lwowa, który był wtedy istotną stolicą księstwa. Kazimierz zabrał stamtąd ludność katolicką oraz liczne skarby i cofnął się do Polski. Drugi wypad napotkał silny opór. Wezwani przez bojarów ruszyli też do boju Tatarzy. W styczniu 1341 r. - w samo stulecie pierwszego najazdu mongolskiego - Kazimierz rozbił ich pod Lublinem.

Operacje na Rusi zakończyły się na razie w sposób kompromisowy. Przywódca opozycji bojarskiej Dymitr Dietko uznał nad sobą łączne zwierzchnictwo Polski i Węgier oraz przyjął zarząd kraju jako starosta. Przyrzeczono poszanowanie obyczajów miejscowych oraz wiary prawosławnej. Możliwe, że już wtedy Kazimierz Wielki wcielił bezpośrednio do Polski ziemię sanocką i okolice Rzeszowa.

Księstwo ulegało jednak podziałowi, bo jego północną, włodzimierską część zajął Litwin Lubart, od dawna już siedzący w Łucku.

Decydującą rozprawę o Ruś podjął Kazimierz w roku 1349. Przygotował ją w wielkiej tajemnicy, pozorując zamiary wojenne w stosunku do Brandenburskiej, a przyjazne wobec Litwy. Uderzył we wrześniu, zajmując wkrótce całą Ruś halicką ze Lwowem, zachodni skrawek Podola, Chełm, Bełż, Brześć nad Bugiem i Włodzimierz*wołyński. Ludność ruska zachowywała się przeważnie biernie, bo też była to wojna nie z nią, lecz z Litwą.

Walki z Giedyminowiczami, ich napady na Polskę i Mazowsze oraz odwetowe wyprawy trwały długo. Fragmentem ich był także opisany już zagon Kiejstuta w roku 1350. W rezultacie król utrzymał Ruś halicką i Lwów, Litwini zaś pozostali panami Wołynia. Granice były płynne, zmieniały się w zależności od przewagi jednej ze stron. W akcji brali udział i Tatarzy. Raz walczone z nimi, to znów zawierano układy. Szerzyła się nawet pogłoska, że król Kazimierz zamierza ożenić się z Tatarką.

Jedna z ówczesnych wypraw zasługuje na uwagę, ponieważ stworzyła ważny pod względem politycznym precedens. Latem 1351 r. oddziały polskie z posiłkami węgierskimi pociągnęły przeciwko Litwie. Razem szli obaj królowie. Ale w Lublinie Kazimierz ciężko zachorował i zdawało się, że nie wyżyje. Zgromadzone rycerstwo zgodziło się na wypadek jego śmierci uznać Ludwika węgierskiego za panującego, lecz postawiło warunki. Jeśliby Ludwik mianował cudzoziemca kasztelanem - poddani mogli wypowiedzieć mu posłuszeństwo. Służba wojenna poza granicami kraju miała być opłacana żółdem.

Kazimierz wyzdrowiał i wszystko wróciło do normy. Ale pozostał przykład targowania się z kandydatem na króla i stawiania mu warunków. Trudno się zresztą gorszyć postępowaniem rycerstwa, któremu chodziło nie tylko o własne interesy, lecz i o to, że w danym przypadku owym kandydatem był

cudzoziemiec, mało się troszczący o sprawy Polski. W istniejących okolicznościach wymagania szlachty były zresztą rozsądne.

Wyprawa ta skończyła się w sposób niezwykły i mało poważny. Ludwik wiodł wojsko na północ, doszedł w okolice Mielnika nad Bugiem, kiedy w obozie jego zjawił się sam Kiejstut. Książę litewski przyrzekł nie tylko zawrzeć przymierze, ale ponadto jeszcze przyjąć chrzest wraz z całym ludem. Syt triumfu Ludwik zawrócił, uroczyście prowadząc na Węgry Kiejstuta, któremu tylko o to chodziło, żeby nieprzyjaciel odszedł od granic Litwy. Toteż po kilku dniach uciekł w lasy wraz z towarzyszami. W pościgu za nim zginął książę mazowiecki, Bolesław III.

Udali się Giedyminowi czwarty i piąty z jego siedmiu synów. Olgierd zasłużył u historyków na miano „jednego z największych statystów średniowiecza”, Kiejstut - mąż legendarnej Biruty - to postać niezwykle malownicza. Mężny, rycerski, obdarzony poczuciem humoru, a obrotny, jak mało kto. Sławna była jego ucieczka z niewoli, kiedy wydrążywszy mur żelazem uszedł z Malborka na Mazowsze, przebrany w biały płaszcz zakonny i siedząc na krzyżackim koniu. Dopomógł mu i towarzyszył młody Litwin, złapany w dzieciństwie i pozornie całkiem zniemczony. Zwał się Alf (wielki mistrz Konrad Wallenrod rządził Zakonem później, w latach 1390-1393).

Walki polsko-litewskie trwały do roku 1355. Jest to data ważna w naszych dziejach nie tylko z tego jednego względu. W styczniu 1355 r. Kazimierz Wielki ułożył się z Ludwikiem o pomoc węgierską, ponownie przyrzekając mu następstwo w Polsce po sobie. Ludwik zaś wydał w swej stolicy tak zwany przywilej budziński, w którym obiecywał społeczeństwu polskiemu rozszerzenie praw. Obwieścił więc, że nie będzie nakładał nadzwyczajnych podatków (co często czynił Kazimierz), a w razie potrzeby miasta będą je płacić tylko dobrowolnie, zrzekał się prawa stacji, to jest darmowego utrzymywania króla i dworu podczas podróży przez poddanych, zobowiązywał się zwracać rycerstwu koszty wypraw zagranicznych. - Zapowiadająca się zmiana dynastii zawczasu już oddziaływała na ustrój Polski w sensie obietnic osłabienia władzy monarszej. Powiększenie i dokładne określenie uprawnień społeczeństwa to rzecz niewątpliwie pomyślna. Gorzej, iż w danym wypadku o ustroju Polski układały się strony traktujące się nawzajem jako obce - stany królestwa polskiego rozmawiały z cudzoziemskim kandydatem na króla.

Już przedtem zgodzono się, że jeśli Kazimierzowi urodzi się wreszcie syn - Węgry będą mogły wykupić od Polski Ruś.

Wojna 1355 r. zgotowała królowi przykrą niespodziankę. Zdobył już Włodzimierz Wołyński, kiedy Krzyżacy niespodziewanie uderzyli na Mazowsze,

co nie oznaczało wojny z Polską, lecz stanowiło świadomą dywersję na korzyść Litwy. O przyczynach postępowania Zakonu przyjdzie pomówić za chwilę.

26 listopada 1355 r. umarł książę warszawski Kazimierz I. Na Mazowszu został już tylko jeden Piast - Ziemowit III - który w miesiąc później złożył polsce w Kaliszu hold lenny z całej tej dzielnicy.

Ów książę Ziemowit zasługuje na uwagę. Uczynki jego nie były wprawdzie chwalebne, ale podobno posłużyły Szekspirowi za wątek do *Zimowej opowieści*. Z pierwszej żony, Eufemii, miał Ziemowit dwóch synów panujących później na Mazowszu i dobrze znanych czytelnikom *Krzyżaków* - Janusza i Ziemowita. Owdowiawszy, ożenił się powtórnie ze słynną z urody księżniczką śląską Ludmiłą, którą bardzo kochał. Ktoś puścił po kraju plotkę o rzekomej niewierności księżny. Ziemowit dowiedział się o tym, kazał uwięzić brzemenną żonę w zamku rawskim i w kilka miesięcy po urodzeniu syna - udusić. Czynu swego podobno żałował i do śmierci odprawiał pokuty. Jednego z domniemyanych uwodzicieli schwytał, włóczył koźmi i powiesił.

Dziecko, imieniem Henryk, chowało się u niańki na wsi pod Rawą. Pewnej nocy porwało go dwóch nieznanymi jeźdźców. Nie był to jednak zamach, lecz ratunek ze strony przyrodniej siostry, księżny pomorskiej Małgorzaty, która wolała zabrać małego z%asięgu rąk słynnego ze srogości księcia.

Wątpliwości rozwiały się, kiedy Henryk podrósł i okazało się jego uderzające podobieństwo do Ziemowita III. Poniewczasie przekonany ojciec pokochał go bardzo i zapewnił mu świetną karierę. Czytelnicy *Krzyżaków* znają go również. Był to ten sam biskup płocki Henryk, o którym Maćko z Bogdarica opowiadał w Tyńcu, w gospodzie „Pod Lutym Turem”. Wysłany w roku 1392 w poselstwie do Kwidzyna, Henryk zakochał się w księżniczce litewskiej Ryngalle i nie bacząc na swój stan duchowny i biskupi ożenił się z nią. W roku następnym zginął od trucizny. Jedni posądzali o to Krzyżaków, inni samą Ryngałkę, do której to wersji przychylił się i Sienkiewicz.

Ziemowit III objął rządy nad Mazowszem w roku 1355, na długo przed zbrodnią rawską, i władając tą dzielnicą przeżył Kazimierza Wielkiego.

Po roku 1355 nastąpił okres zbliżenia Polski do Litwy, przerywany jednak rozmaitymi starciami, w których ciągle chodziło o ziemie ruskie.

Polityka Kazimierza Wielkiego wobec Rusi wywołuje dziś wiele zastrzeżeń. Ona to miała rzekomo odwrócić uwagę Polski od Śląska i Pomorza oraz przeszkodzić w ich odzyskaniu. Wspomniane już niespodziewane uderzenie Krzyżaków na Mazowsze w roku 1355 zdaje się jednak świadczyć o czymś zupełnie innym. Zakon zaniepokoiła polityka przynosząca Polsce wyraźne korzyści materialne, więc postanowił jej przeszkodzić, dokonując dywersji na

rzecz walczących z Polską Litwinów. Wielki mistrz i kapituła musieli zdać sobie sprawę, że każdy zysk skarbu królewskiego i każde wzmocnienie potencjału Polski to śmiertelna groźba dla Malborka, gdyż wytrwale skupiana przez Kazimierza siła prędzej czy później musi się zwrócić ku Bałtykowi.

Przez Ruś Czerwoną biegły niezwykle ważne szlaki kupieckie ku Morzu Czarnemu. Kto miał je w rękę, ten się bogacił i mógł prowadzić zyskowną politykę handlową, co właśnie Kazimierz Wielki z powodzeniem czynił. Zamykał na przykład drogę przed kupcami wrocławskimi, wywierając w ten sposób nacisk na Śląsk.

W chwili gwałtownej śmierci Jerzego-Bolesława sprawa wcale nie tak wyglądała, że albo będzie Ruś niepodległa, albo król polski we Lwowie. Zagadnienie przedstawiało się w postaci pytania: kto Ruś Czerwoną zdobędzie - Polska, Litwa, Węgrzy czy Tatarzy? Nie można wątpić, że tak właśnie było: od roku 1325 Giedyminowicz Lubart władał Luckiem, a w roku 1362 jego starszy brat Olgierd zdobył sam Kijów i przyłączył go do swego państwa.

Obdarzane dobrami możnowładztwo małopolskie korzystało z przyłączenia Rusi. Ale nie należy przesadzać w ocenie jego apetytów. Nawet później, w chwili zawierania unii polsko-litewskiej i potem, zainteresowania „panów krakowskich” nie sięgały nigdy dalej niż na Podlasie, Wołyń i Podole. Giedyminowicze - jakśmy widzieli - odznaczali się o wiele potężniejszym rozmachem zdobywczym. Z Wilna do Kijowa to jednak spory kawał drogi!

Znacznie natomiast bliżej z Rzeszowa do Krakowa, i ta czysto polityczna okoliczność odegrała ogromną rolę. Przecież Ruś Czerwona to kraj bezpośrednio przylegający do stołecznej dzielnicy Polski. Usadowienie się Litwinów, a zwłaszcza już Tatarów, nad górnym Wisłokiem stanowiłoby śmiertelne niebezpieczeństwo dla Małopolski. Doskonale musiał to rozumieć Władysław Łokietek, skoro zaraz po powrocie do kraju zajął się popieraniem w Haliczu przyjaznych sobie książąt ruskich, Lwa i Andrzeja.

Tak więc krajem ruskim i prawosławnym siłą zawładnął Kazimierz, król katolicki i polski.

Do naszych czasów dochował się dokument wydany przezeń w roku 1361 niejakiemu Chotkowi Bybelskiemu. Pismo zaczyna się tak:

My kroi Kazimir krakowsko) zemli, sudomirskoj zemli, syradzkoj zemli, polskij zemli, kujawskij zemli, dobrianskij zemli, pomorskiej zemli korol wielebnyj, ruskoj zemli gospodar i didycz, wiecznyj zemlam tym samoderżec.

Jak widać, w ówczesnym królestwie polskim istniały dwa języki i dwa alfabety urzędowe - łacina i ruski. Bo w Krakowie nikomu jeszcze do głowy

nie przychodziło, że można urzędowe dokumenty pisać po polsku. Takie obyczaje przejęliśmy od zachodniej Europy, która też używała łaciny. Inne były tradycje i odwieczne prawa Rusi. Zostały uszanowane.

Fakt godny zapamiętania, ponieważ panuje fałszywe mniemanie, że dopiero czasy jagiellońskie przyniosły wspaniałą tolerancję, wyrażającą się między innymi w dwóch urzędowych językach państwa. Jeden z nich uległ z czasem zmianie - łacina ustąpiła miejsca polszczyźnie. Ale ruski język trwał w dokumentach aż do samego schyłku XVII w. Brzmienie przytoczonego pisma królewskiego jawnie świadczy, że Kazimierz nie ukrywał ani narodowego charakteru, ani nazwy zajętego kraju.

Wyznaniowa polityka Kazimierza Wielkiego na Rusi pozostawała pod pilnym i potrójnym nadzorem oraz presją. Obserwowali ją biskupi polscy, łaknący rozszerzenia katolicyzmu papież, no i Krzyżacy - prawdziwi mistrzowie tajnego wywiadu, prowokacji i szantażu. Pamiętajmy przy tym o obowiązującej wtedy teorii, w myśl której szerzenie wiary nawet mieczem, nawracanie lub tępienie wszelkich pogan, heretyków, schizmatyków i kacerzy zaliczało się do świętych powinności katolickiego monarchy. Pomimo to Kazimierz Wielki żadnej walki z prawosławiem nie prowadził. Katolicyzm popierał raczej formalnie, zakładając biskupstwa przeważnie misyjne. O unii obu wyznań nawet nie myślał. Postanowił natomiast podźwignąć z rozprzężenia i upadku cerkiew prawosławną, idąc pod tym względem w ślady księcia ruskiego Jerzego I Lwowicza, który w roku 1302/1303 założył - na krótko zresztą - metropolię w Haliczu. U samego schyłku panowania, w tajemnicy przed papieżem, wysłał Kazimierz do Konstantynopola biskupa prawosławnego Antoniosa, którego w porozumieniu z bojarami wybrał na metropolitę. Antonios wioząc list królewski deklarujący przychylność dla prawosławia, ale utrzymany w tonie ostrym, przypierający patriarchę konstantynopolitańskiego Filoteja do muru. Metropolia w Haliczu powstała w kilka miesięcy po śmierci króla.

Również zamieszkali we Lwowie Ormianie - nie należący jeszcze wtedy do Kościoła katolickiego - oraz Tatarzy otrzymali swobody.

Tolerancja na Rusi Czerwonej niewątpliwie była rzetelna, skoro po wiekach rządów polskich, pomimo spolszczenia się szlachty i znacznej części mieszczaństwa, narodowość ukraińska wcale tam nie zanikła. Dla porównania warto sobie przypomnieć losy Pomorza Zachodniego.

Dzieje zrujnowanej przez Tatarów Rusi potoczyły się niefortunnymi szlakami. Wskutek zdobywczej polityki swych wielkich książąt, a w szczególności Olgierda, Litwa zapanowała na ogromnych obszarach ziem nie tylko (według dzisiejszej terminologii) białoruskich i ukraińskich, lecz także i rosyjskich.

Częściowo podbiła terytorium smoleńskie, kałuskie, tulskie i orłowskie. Olgierd - otwarcie głoszący zasadę, że „cała Rus' winna do Litwinów należeć” - sięgał jeszcze dalej. W 1368 r. stanął pod samym Kremlem.

Litwini tak mocno zagrozili wtedy Moskwie, że wielki książę Dymitr Iwanowicz nie zawahał się wyjść naprzeciw Olgierda i przywitać go w miejscu zwanym odtąd Górą Pokłonna. I tego jednak mało było zajadłemu Litwinowi. Dokonał jeszcze rycerskiego gestu - rozpędził się konno i strzaskał dzię o bramę. „Pomnij - rzekł do Dymitra - że kopia litewska skruszyła się o mury Moskwy.”

Prawdziwy sens malowniczej sceny bardzo różnił się od pozorów. Politycznie ważne było tylko to, że Olgierd Moskwy nie zdobył ani tym, ani następnym razem, kiedy znów na nią uderzył. I odtąd losy odmieniały się coraz bardziej. Wielkie Księstwo Moskiewskie przeszło do natarcia, z ogromną wytrwałością i siłą urzeczywistniając program Iwana Kality „zbierania ziemi ruskiej”. Potężnie spychana Litwa miała w przyszłości szukać pomocy w dalekiej Polsce, stopniowo ściągając na wschód wszystkie jej środki... a i to - jak się ostatecznie okazało - na próżno.

Na razie jednak walki Kazimierza Wielkiego o Ruś Czerwoną były z punktu widzenia Kremla zjawiskiem pomyślnym, ponieważ odciągały na zachód siły głównego wroga - Litwy. Polska ówczesna wcale się nie zaliczała do nieprzyjaciół Moskwy.

IV

Często szczekała oręż za Kazimierza Wielkiego, a jednak otaczająca go sława twórcy pokoju jest słuszna. Patrząc dziś z perspektywy wieków na jego dni, ma się wrażenie, że ówczesne zagony litewskie czy napady Jana Luksemburczyka to słabnące echa poprzedniej epoki, pełnej nieustannych walk w samym kraju. Panowanie ostatniego Piasta otwarło błogosławiony okres lat bez mała trzystu, podczas których żaden postronny nieprzyjaciel nie naruszył wnętrza królestwa i żadne z polskich pokoleń nie musiało wojować na własnej ziemi.

Nie przypadek wcale sprawił, że się tak stało. To wielkie i mądre prace „z rozkazu wiecznotrwałego króla” wykonane obdarzyły naród tym dobrodziejstwem. Bez nich nic by nie pomogły najpomyślniejsze koniunktury polityczne, bo słabość sama przyciąga nieszczęście jak magnes żelazo.

Za Kazimierza Wielkiego system obrony kraju uległ gruntownej i rozumnej

formie doskonale dopasowanej do charakteru i możliwości kraju. Obowiązek służby wojskowej w polu obciążył wszystkich prywatnych posiadaczy ziemi - od największego komesa i arcybiskupa aż po wójtów i sołtysów. Każdy musiał iść na wojnę we własnej zbroi, konno i z odpowiednim poczem. Tak więc wójt winien był przywieść trzech pachółków, sołtys - dwóch uzbrojonych lekko lub jednego tylko, ale za to z ciężkim orężem. Duchowni nie stawiali osobiście (choćby mieli na to ochotę, co aż nazbyt łatwo mogło się w owych czasach zdarzyć) - musieli przysyłać zastępców.

Dokonano podziału taktycznego armii. Potężne rody i wielcy panowie posiadali własne chorągwie, które można przyrównać do dzisiejszych dywizjonów czy batalionów. Pomniejsi woje służyli w chorągwiach poszczególnych ziem, przy czym obowiązkiem każdego było raz na zawsze określić swój przydział. Niekarnych, chodzących luzem, stawiano przed królem na sąd, lecz jeszcze przed wyrokiem zabierano im konie.

Kazimierz najwcześniej w Polsce zaczął używać wojsk zaciężnych. Za jego czasów - w 1366 r. pod Łuckiem i Włodzimierzem Wołyńskim - pierwszy raz odezwały się u nas „puszki”, nabijane prochem i strzelające kamiennymi kulami.

Podczas pochόδów w kmju wojsko płaciło za dostawy, a biwakowało tylko w polu. Można było żądać wyłącznie żywności i furażu, surowe kary zabraniały niszczenia zasiewów, domów, zagród i budulca.

Nowa organizacja armii, pod względem doskonałości równa krzyżackiej, zmieniła na naszą korzyść układ sił między Polską a Zakonem, co miało wyjść na jaw w stuleciu następnym, pod Grunwaldem.

Za Kazimierza Wielkiego wydano w Polsce prawo zabraniające rycerzom gry w kości o jakiegokolwiek dobra ruchome lub nieruchome. Ustawodawca miał na oku nie tyle moralność publiczną, co po prostu potencjał mobilizacyjny kraju; szlachcic, który by przegrał ziemię, przestawał być „poborowym”, wojak tracący zbroję, konia czy miecz tym samym zubażał arsenał królewski.

Tak zabiegał Kazimierz o armię przeznaczoną do działań ruchowych, przede wszystkim zaczepnych. Jeśli nieprzyjaciel wtargnął do kraju, walczyć z nim musieli wszyscy mieszkańcy, a więc także zwykli chłopci. Wielki król pomyślał i o tym, by obrony przed najazdem nie trzeba było organizować w szczerym polu i w ostatniej chwili. I to jak jeszcze pomyślał! Za jego czasów Polska przemieniła się w jeden wielki system warowny, któremu dopiero w trzysta lat później poradziły ciężkie działa króla Szwedów.

Mówiło się już przedtem, że największą zasługą czasów Kazimierza jest

ponowne stworzenie w Polsce ośrodka prawdziwej myśli politycznej. Tezę tę można kwestionować, tak czy inaczej - dodatnio lub ujemnie - oceniając rozmaite posunięcia dyplomatyczne króla. Niepodobna zaprzeczyć temu, co gołym okiem dziś jeszcze widać.

Jeśli na mapie Polski oznaczyć czerwonymi punktami zamki i inne warownie wzniesione za Kazimierza, ujrzymy rezultat rozważnego i uplanowanego działania. Materialne środki kraju zużyto w sposób znamionujący głęboką wiedzę o nim, namysł wszechstronny, spokojny i celowy. To nie była robota dla pozoru i rozgłosu. Przygotowali ją ludzie, którzy naprawdę umieli myśleć o państwie.

Na północy długie pasmo fortec broniło i tak trudnych do przebycia bagien Noteci, gdzie zagrażać mogli Brandenburczycy, a szczególnie Wisły - od strony Krzyżaków. Strefa umocniona rozpoczynała się na zachodzie od Międzyrzecza i - wymieniając tylko ważniejsze miejscowości - biegła przez Nakło, Bydgoszcz, Raciąż, Włocławek, Płock aż do Wyszogrodu.

Od zachodu strzegł kraju wał niezwykle mocny, podwójny pas twierdz kończący się na południu istnym koliskiem wokół Krakowa. Na jego szeroko rozbudowaną północną głowicę musiały natrafić zagony Brandenburczyków lub Krzyżaków, jeśliby udało im się przedrzeć przez umocnioną strefę nadwiślańską. Tu leżały między innymi Pызdry, Przedbórz i Kalisz. Dalej ufortyfikowana linia biegła wyniosłościami Jury Krakowsko-Wieluńskiej, gdzie dziś turysta podziwia cudownie położone na skałach ruiny w Bobolicach, Będzinie, Ojcowie... Krakowa strzegły: Kazimierz, Lanckorona, Wieliczka, Skawina, Ochodza, Niepołomice. Drogi z Węgier pilnował Czorsztyń, Melisztyń, Czchów...

Środek kraju, ziemie nad Wisłą i Pilicą... Przecież w tej połaci prócz Sandomierza, Żarnowca, Nowego Korczyna i wielu innych leży Kazimierz Dolny oraz Szydłów, który do dziś zachował swoje zębate, z szarego kamienia polnego wzniesione mury. Fortyfikacje tej grupy zamków zamykały drogę wdzierającym się od wschodu Litwinom. Daleko ku Dniestrowi wysunięte miasta i grody Rusi Czerwonej stanowiły przeszkodę na szlakach pochodów tatarskich.

Wiele obszarów kraju pozostawało na zewnątrz tych linii. Broniły ich pojedynce, świeżo postawione twierdze lub też stare kasztele. Jednakże zasadnicze pasy umocnień obmyślono i zbudowano tak, żeby zasłonić najżyźniejsze i najgęściej zaludnione strony. Zdzisław Kaczmarczyk, znawca dziejów Polski za Kazimierza Wielkiego, wprost mówi, że powstał wtedy u nas prawdziwy „trójkąt bezpieczeństwa”.

❦ „»»»

W przeciągu trzydziestu siedmiu lat swego panowania wznosił Kazimierz Wielki kosztem skarbu królewskiego pięćdziesiąt trzy zamki, a prócz tego dwadzieścia siedem miast opasał obronnymi murami. Poddani jego - biskupi i żonaci - dodali do tej liczby jeszcze trzynaście warowni.

Nie zapomnijmy, że za dni tego monarchy wyrosło w Polsce około sześćdziesięciu pięciu nowych miast i co najmniej pięćset wsi, że zbudowano kanał łączący Kraków z Bochnią, że w okolicach Nowego Korczyna nakazał król odwrócić i inaczej poprowadzić koryto Wisły zakładając w starorzeczu stawy rybne.

Tak tedy król ten ponad wszystkich monarchów polskich dzielnie rządził Rzeczpospolitą; albowiem jak drugi Salomon podniósł do wielkości dzieła swoje - murował miasta, zamki, domy... - pisze naoczny s'wiadek, kronikarz Janko z Czarnkowa. - Wszystkie te miasta i zamki bardzo mocnymi murami, domami i wysokimi wieżami, nadzwyczaj głębokimi rowami i innymi urządzeniami obronnymi otoczył, na ozdobę narodowi, na schronienie i opiekę królestwa polskiego. Za czasów tego króla w lasach, gajach i dąbrowach tyle założono wsi i miast, ile ich bodaj nie powstało kiedy indziej w królestwie polskim. »

„Zastawszy Polskę glinianą, drewnianą i nieschludną, pozostawił ją murowaną, ozdobną i wspaniałą” - zwięźle, jak przystało na mistrza prozy, dodaje Jan Długosz.

Dziesiątki twierdz, setki potężnych baszt, kilometry i kilometry wysokich a grubych murów obronnych! Kiedy u schyłku życia zaczął Kazimierz wznosić zamek we Włodzimierzu Wołyńskim, „trzystu ludzi codziennie i wiele sprzężajów wołów i koni dla zwożenia wapna, kamieni, cegły i drzewa prawie przez dwa lata bez przerwy pracowało”, lecz wykończyć go jeszcze nie zdążyło. Kiedy ostatnio zabrano się do odbudowy zamku w Będzinie, współczesnych nam architektów zdjął podziw. Trudno odgadnąć, w jaki sposób dźwigano na szczyt wyniosłej wieży ogromne bloki kamienne.

To wszystko dokonało się pracą mięśni, przy pomocy prymitywnych narzędzi, w kraju wyniszczonym poprzednimi wojnami, małym i zaludnionym wedle dzisiejszych pojęć zupełnie słabo. Na początku rządów Kazimierza Polska liczyła zaledwie 106 tysięcy kilometrów kwadratowych i najwyżej milion dziewięćset tysięcy mieszkańców.

Rozmach w dziedzinie budownictwa był tak wielki, że wydaje się wprost nieprawdopodobny. Pamiętnikarze, pisujący w czasach znacznie późniejszych, przyzwyczaili nas do relacji o nędzy nielicznych, sypiących się w grzyby polskich „twierdz”. Szacowni, dopiero co cytowani kronikarze - Janko z Czarnkowa i Długosz - wmówili w potomnych, że przed Kazimierzem pano-

wała u nas zupełna mizéria. Skądże więc taki nieoczekiwany wyskok, skąd osiągnięcia bez precedensu i dalszego ciągu?

Zaryzykujmy głęboki nawrót w czasie, a do pewnego stopnia i w przestrzeni. Czynność ta ułatwi bowiem ustawienie zagadnienia we właściwych proporcjach.

Bardzo długo głowili się historycy nad kwestią dziwnego zachowania się Henryka II w roku 1005 nad Odrą, koło Krosna. Cesarz długo jakoś marudził nad rzeką, aż dokonał przeprawy nagle i zaskoczył tym Chrobrego, który dowiedział się o nieszczęściu późno, od nadbiegłych z dala gońców. Tak zupełnie, jakby straż obozu polskiego oślepliły i nie zauważyły, co się dzieje.

Nie odnaleziono żadnego dokumentu, wyjaśniającego zagadkę. Rozwiązały ją dopiero wykopaliska, prowadzone przez archeologów z Zielonej Góry pod kierownictwem Edwarda Dąbrowskiego. Okazało się, że lewy brzeg Odry koło Krosna, w miejscu najdogodniejszym do przeprawy, był znakomicie, szeroko i głęboko ufortyfikowany. Henryk utknął na przedpolu wałów zaporowych i potrzebował sporo czasu, aby wyszukać sobie przejście, które leżało daleko od pozycji Bolesława.

Potem dotarł cesarz aż pod Poznań, ale go nie szturmował. Zadowolił się pokojem, który strona niemiecka sama uznawała za „niedobry”. Zachowane w głębi ziemi szczątki grodu poznańskiego wyjaśniają powściągliwość dotychczasowego zwycięzcy. Porywanie się na takie umocnienie oznaczało zbyt wielkie ryzyko. Nie mogła sobie nań pozwolić armia zapędzona w głąb obcego kraju, szarpana z boków wojną podjazdową.

Przed kilku laty Władysław Filipowiak rozkopał to miejsce, w którym w roku 972 Mieszko I stoczył pierwszą znaną z historii walkę z Niemcami i odniósł poważne zwycięstwo. Kresowy gród w Cydzyni nie ustępował potęgą poznańskiemu. Umieszczony zaś został tak, że panował nad najwygodniejszą drogą z Niemiec, osłaniał więc i zabezpieczał działania polskie na Pomorzu Zachodnim. Pod jego wałami, grubymi w podstawie na dwadzieścia pięć metrów, doznała klęski wyprawa margrabiego Hodona, mająca tym właśnie działaniom przeszkodzić.

Dygresja upoważnia do migawkowej metody argumentowania. Porzucmy więc wczesne średniowiecze i przenieśmy się w czasy bliższe dniom Kazimierza Wielkiego. Przyjrzyjmy się niektórym postępkom jego starszego kuzyna, Bolka I Surowego, księcia Świdnicy. Wjeżdżając do Wrocławia kazał on rozwalić kawał muru i dla podkreślenia swej władzy wjechał tamtędy, a nie przez bramę. Potem zaś potrafił zagarniać w charakterze podatku dwie trzecie

rocznych dochodów miasta. Dopuszczał się zatem niewątpliwego zdzierstwa i warto sprawdzić, na co mianowicie przeznaczął wyduszone z mieszczan pieniądze. Zwięźle informuje o tym *Historia Śląska*, wydana w roku 1960 pod redakcją prof. Karola Maleczyńskiego. Bolko zagroził więc od zachodu wstęp na nizinę śląską. Zbudował - „dowodnie” - nowe grody w tych oto miejscowościach: w Kliczkowie, Bolesławcu, Wleniu, Jeleniej Górze, Kamiennej Górze, Lubawie, Chocianowie, Bolkowicach, Strzegomiu, Środzie, Świdnicy, Kątach, Ząbkowicach, Dzierżoniowie, Niemczy, Ziębicach, Strzelinie, Białej, Nysie, Grotkowie, Paczkowie, w Grzmiącej oraz w Edelsteinie i Kaltensteinie na Śląsku opawskim. Oparłszy się o taki kościec obronny mógł książę skutecznie ochraniać niezawisłość kraju. Zdzierstwo, jakiego się wobec mieszczan wrocławskich niewątpliwie dopuścił, znajduje niejakie okoliczności łagodzące.

Kazimierz Wielki nie był żadnym unikatem w naszych dziejach, ukoronował tylko pradawną tradycję dynastii, z której pochodził. Budował z kamienia - z polnego częstokroć - i z cegły, bo w jego czasach drewno stanowiło anachronizm, mniej go już zresztą było niż za Chrobrego. Prace ostatniego koronnego Piasta rozsławili kronikarze, podczas gdy szczątki dokonań jego poprzedników skryła ziemia, niechętnie zdradzająca tajemnice.

Kazimierz, wielki budowniczy, powinien w naszych oczach występować jako genialny wprawdzie, lecz mimo to typowy przedstawiciel szkoły myślenia i działania politycznego. Należał on do tych władców, których interesy zamykają się w granicach ich własnych państw, utożsamiają się z nimi. Szkoła, o której się wspomniało, nie była wcale polską ani piastowską specjalnością. Podobna, lepsza, a zwłaszcza o wiele bardziej długowieczna, istniała we Francji, gdzie systematycznie kształciła ludzi z rodu Kapetyngów oraz ich doradców.

Nikt nie zdoła obliczyć kubatury samych tylko obronnych murów i ziemi poruszanej z miejsca przy wielkich budowach. Jednakże łatwo pojąć, ile pracy wypadło na każdego z królewskich poddanych. Pracy i kosztów.

Pomimo to czasów Kazimierza Wielkiego nie omroczyło wspomnienie ucisku i niedoli ludzkiej. Odrzucając na bok wszelkie podania i biorąc pod uwagę same tylko nadające się do sprawdzenia fakty, stwierdzić można, że dobrobyt ogromnie wzrastał. U schyłku tego panowania więcej było w Polsce powszechnej pomyślności niż w dniu koronacji. Ten władca przekazał wielki spadek następnym pokoleniom, ale i żyjącego, współczesnego sobie nie podeptał.

Król Kazimierz dokonał sztuki dostępnej tylko prawdziwie wielkim poh-

tykom, takim, którzy słusznie w chwale przechodzą do historii. Umiał znaleźć kompromis między koniecznościami państwa a zwykłym, ludzkim dążeniem obywateli do osobistego szczęścia. Zdołał i pierwsze osiągnąć w skali wprost niebywałej, i drugiego nie zaprzepaścić, o co zawsze łatwo. Dlatego właśnie budowla polityczna, którą wznosił, wykazała tak zdumiewającą trwałość.

Tajemnicy jego osiągnięć nie wyjaśni samo powoływanie się na rozsądną gospodarkę, politykę handlową oraz nieustanną, do najwyższego stopnia doprowadzoną troskę o skarb państwa. Król tak dbał o źródła swych dochodów, że każdemu, kto by bez pozwolenia zjawił się w kopalniach soli - stanowiących monopol monarszy - groziła kara śmierci, i to bez względu na stan i godność winowajcy. Ale te rzeczy nie tłumaczą wszystkiego. Bo nie tylko o to chodzi, że znacznie przybyło w Polsce pól uprawnych, warsztatów rzemieślniczych, kopalń i składów kupieckich. Bezcennym darem, który kraj otrzymał, było panowanie pisanego prawa. Ono stanowiło obręcz spajającą wszystkie dzieła Kazimierza w całość zdolną do rozwoju w przyszłości.

Od razu po wstąpieniu na tron zabrał się król do walki z anarchią. Jak ją tępił, niech opowie ten, co sam owe czasy widział - Janko z Czarnkowa:

Królewską uwieńczony koroną, rządził on powierzonym mu przez Boga państwem i narodem dzielnie i z pożytkiem. Albowiem, wedle proroka, miłował pokój, prawdę i sprawiedliwość: był najzarliwszym opiekunem i obrońcą dobrych i sprawiedliwych, zaś najsroższym prześladowcą złych, grabieżców, gwałtowników i oszczerców. Kto tylko popełniał lotrostwa lub kradzieże, chociażby to była szlachta, tego kazał ścinać, topić, głodem morzyć, z braćmi ich i krewnymi jednakże nie przestając jadać, pijać i sypiać, bo mając Boga za pomocnika, nie obawiał się tego, co by mu człowiek uczynił. Oszczerców zaś, gdy ich znajdował, kazał piętnować na twarzy rozpalonym żelazem. Za jego czasów żaden z potężnych panów lub szlachty nie śmiał biednemu gwałtu uczynić, wszystko się sądziło według szali sprawiedliwości.

Jak wiadomo, Maćka Borkowica okrutną śmiercią ukarał za warcholstwo król. Syna zaś Maćkowego, który uszedłszy do Brandenburgii napadał na granice i żył jak zbój, zatłukli w Rozdrażewie chłopi.

Srogość miecza królewskiego, potrzebna i konieczna w pierwszym okresie panowania dla doraźnego wytepienia rozbojów, nie mogła jednak wystarczyć. Dlatego też, zaledwie jako tako uładziwszy sprawy zagraniczne, zaraz zabrał się Kazimierz do uporządkowania praw i wymiaru sprawiedliwości. Pierwszy okres tej niezwykle ważnej pracy to lata 1346-1347, ale właściwie nie ustawała ona do końca jego rządów.

Rok 1346 widział aż trzy wiece dostojników duchownych i świeckich. Pierwszy, dla Małopolski, odbył się w marcu w Wiślicy, drugi - wielkopolski - w czerwcu w Pyzdrach, i trzeci - być może ogólnopaństwowy - w lipcu w

piotrkowie. Wielką wagę przywiązywał widocznie król do tematu obrad, skoro zdecydował się na zwołanie zjazdów, których zasadniczo unikał, jako stwarzających możliwość ograniczenia władzy monarszej. Omawiano treść ustaw, które miały przejść do historii jako piotrkowskie i wiślickie statuty Kazimierza Wielkiego, zawierające przepisy polskiego prawa cywilnego i karnego, procedury oraz organizacji sądów. Wymiar sprawiedliwości, regulowany dotąd zwyczajem, tradycją, a więc łatwo omylną i naginającą się do osobistych interesów pamięcią ludzką, miał odtąd podlegać spisany paragrafom prawa.

Statut wiślicki przeznaczony był dla Małopolski, piotrkowski dla Wielkopolski. Zachodzą między nimi charakterystyczne różnice. Pierwszy był bardziej nowatorski, drugi poprzestawał na dokładnym sformułowaniu dotychczasowego obyczaju.

Potomni uzupełnili Kazimierzowskie statuty tytuł dodatkami, że dziś trudno z tej gmatwaniny wyłuskać to, co na pewno zdołał wielki król i jego doradcy. Jednakże badacze w znacznej mierze zdołali sobie z tym poradzić.

W ustawodawstwie Kazimierza wyraźnie znać dążność do brania w ochronę strony słabszej. I to nie tylko jednostek, lecz całych grup społecznych. Przed wydaniem statutów zabójca chłopów płacił w Małopolsce karę trzech grzywien. Zwiększono ją przeszło trzykrotnie, do dziesięciu. Wielkopolska została przy starej główoszczyźnie, wynoszącej sześć grzywien (dla porównania wspomnieć trzeba, że Małopolska ceniła głowę szlachcica na sześćdziesiąt grzywien, Mazowsze czterdzieści, a Wielkopolska trzydzieści; trzydziestu grzywnami karano również za zabicie włodyki, która to grupa społeczna istniała tylko w Małopolsce; życie panoszy było znacznie tańsze, kosztowało zaledwie piętnaście grzywien).

W Małopolsce zniósł Kazimierz odwieczne prawo pozwalające panu zagarnąć mienie bezdzietnie zmarłego chłopów. Odtąd spadkobiercami mieli być najbliżsi krewni nieboszczyka, co w oczywisty sposób sprzyjało bogaceniu się wieśniaków. Statuty zabraniały również pociągania chłopów do odpowiedzialności za winy ich panów, zdecydowanie chroniły przed samowolą urzędników.

' Przepisy regulowały sposób opuszczania przez chłopów roli. W Małopolsce rocznie mogło opuścić wieś dwóch kmieci. Jeśliby jednak ziemianin popadł pod klątwę kościelną, popełnił zbrodnię lub zgwałcił poddaną - wtedy wolno było odejść wszystkim. Wielkopolska nie określała, ilu mieszkańców sioła może przenieść się co roku, wymagała jednak, by odbywało się to tylko na Boże Narodzenie. Ponadto musiał chłop spełnić określone warunki - zostawić

zagrodę w porządku, odsłużyć tyle lat, ile przedtem korzystał z wolnizny, lub zapłacić przewidziane czynsze.

Przepisy te nie czyniły Polski rajem dla chłopów, sprawiły jednak, że za rządów Kazimierza położenie ich poprawiło się wyraźnie. Wieśniak mógł się bogacić, miał dostęp do sądu monarszego, a władza ziemianina nad nim podlegała nadzorowi państwowemu.

Przezwisko „król chłopów” nadane Kazimierzowi Wielkiemu przez współczesną mu szlachtę jest pełne wymownej treści. Niestety dla Polski polegało na tym, że późniejsze wieki całkowicie zaprzepaściły dzieło rozpoczęte przez ostatniego Piasta. Następcy jego stali się już tylko królami szlachty, która odebrała chłopu wszelką opiekę państwową i pozbawiła go nawet cienia praw obywatelskich.

Również polityka społeczna króla, zniżanie opłat i dziesięcin należnych od wsi, opieka nad jej ludnością w czasie głodu i moru, dostarczanie żywności ze słynnych spichrzów kazimierzowskich oraz gorliwe popieranie osadnictwa świadczyły niezbitcie o trosce państwa o cały stan chłopski. Ceniono go jako siłę społeczną zdolną nie tylko do wytwarzania dóbr, lecz także stanowiącą przeciwwagę wobec uroszczeń wielmożów i szlachty. Tego oczywiście nikt w żadnym ówczesnym manifeście nie napisał, ale to widać z ogólnego kierunku polityki wewnętrznej Kazimierza Wielkiego.

Wymowna zresztą jest kronikarska wiadomość:

Osobliwszy w nim byt ten przymiot pokory, dla której każdemu, tak bogatemu, jako i ubogiemu, chętnie się udzielał, a którym obrażał nieraz szlachtę, sarkającą, że więcej zajmował się prostactwem wiejskim, niżli na króla przystało[...].] a kiedy się zdarzyło, że chłop skarżył na swego pana o niesłuszne wydzierstwo grosza, sam mu poddawał, azali nie mógł w kalecie poszukać krzesiwa, a skałki na polu i zemsćić się podpaleniem szlachcica, gdy innej nie było rady.

Napisał to Jan Długosz, szlachcic i kanonik krakowski. Szczególna rzecz, ale w słowach historyka nie słyhać najsłabszej nuty oburzenia na owo królewskie podżeganie.

Znamienne są też zabiegi o uporządkowanie stosunków prawnych w miastach. Wedle zwyczaju miasta osadzone na prawie niemieckim odwoływały się po ostateczne orzeczenia sądowe, zwane ortylami, do Magdeburga. Chcąc zniweczyć ten politycznie szkodliwy obyczaj, ustanowił król na Wawelu wyższy sąd prawa niemieckiego, który miał rozstrzygać w procesach sołtysów, a ponadto jeszcze wydawać porady prawne miejskim trybunałom niższej instancji. Nad nim, jako apelacyjny, stanął Sąd Sześciu Miast, wybierany spośród rajców Krakowa, Kazimierza, Sącza, Bochni, Wieliczki i Olkusza.

Rozległa działalność na polu ustawodawstwa i prawa jest charakterystyczną cechą nie tylko Kazimierzowskiej Polski, lecz i całej ówczesnej Europy. Współcześnie z naszym statutem wiślickim wychodzi w Pradze kodeks, od imienia Karola IV zwany po łacinie *Maiestas Carolina*. Królowie Francji od dawna już zwykli byli otaczać się legistami, czyli prawnikami-doradcami, ludźmi przeważnie nieszlacheckiego pochodzenia, którzy swą głęboką wiedzę zużywali na uzasadnienie i wzmacnianie władzy monarszej. Oni byli rzecznikami całkowitej niezależności królów Francji od papieża, dostarczali argumentów, zbijali tezy i uroszczenia Rzymu, a nawet w razie potrzeby energicznie działali. Legistą był Wilhelm Nogaret, sprawca zamachu na Bonifacego VIII.

I w Polsce nie brakowało wtedy prawników wykształconych na zachodnich uniwersytetach. Byli to wyłącznie duchowni. Grono ich otaczało króla i wraz z nim pracowało nad statutami. Bo wiece, o których wspominaliśmy, nosiły charakter jedynie opiniodawczy. Decyzja należała do monarchy i jego najbliższych współpracowników. Płfcsze miejsce w tym zespole zajmował arcybiskup gnieźnieński, Jarosław Bogoria ze Skotnik, wychowanek uniwersytetu w Bolonii.

Królowi i współpracującym z nim statystom nie mogło wystarczyć, że coraz więcej młodych Polaków studiuje na uczelniach zagranicznych, przywoząc stamtąd dyplomy. Wszechstronnie rozwijający się kraj potrzebował licznych pracowników umysłowych kształconych na miejscu i znających stosunki. Nie mogły ich dostarczyć istniejące podówczas w Polsce szkoły, których było około pięćdziesięciu. Najbardziej wśród nich ceniono dwie: katedralną krakowską i sandomierską.

12 maja 1364 r. ukazał się edykt królewski o założeniu w Krakowie uniwersytetu. Tegoż dnia miasto potwierdziło od siebie jego prawa i przywileje.

Karol IV uprzedził Kazimierza Wielkiego o lat szesnaście i uniwersytet krakowski jest drugą z rzędu wyższą uczelnią w środkowej Europie (we wschodniej pierwszeństwo należy się uniwersytetowi wileńskiemu, założonemu w roku 1579 przez króla polskiego Stefana Batorego). Nie można jednak przemilczeć, że do praskiej wszechnicy roszczą sobie pretensje Niemcy. - Karol IV bardzo dbał o Czechy, lecz pochodził z rodu Luksemburgów, a otoczenie jego było bardzo zgermanizowane lub całkiem po prostu germańskie.

Sławy płynącej z prastarej tradycji uniwersytetu krakowskiego nie dzieli Polska z nikim. Jego założyciel to syn Kujawiaka i Wielkopolanki.

Papież Urban V już 1 września 1364 r. zatwierdził statut wszechnicy, czego ówczesne pojęcia zdecydowanie wymagały, ale nie zgodził się na istnienie w Krakowie wydziału teologicznego. Nie chciał widocznie robić przykrości Karolowi IV, zazdrośnemu o uniwersytet praski. Kazimierz Wielki nie mógł się tym postanowieniem zbyt martwić, ponieważ zależało mu przede wszystkim na katedrach prawa. Uniwersytet jego liczył więc cztery wydziały: prawa kanonicznego i cywilnego, medycyny oraz sztuk wyzwolonych. Wbrew panującym wtedy zwyczajom król powierzył nadzór nad egzaminami nie biskupowi, lecz przedstawicielowi władzy państwowej - kanclerzowi. Jednakże papież nie chciał na to przystać i żądał pieczy kościelnej.

I jeszcze jedną oryginalną cechę posiadał pierwszy polski uniwersytet. W odróżnieniu od ówczesnej normy nie wzorował się na uczelni paryskiej, lecz brał przykłady z włoskich akademii w Bolonii i Padwie, gdzie nauka prawa stała szczególnie wysoko.

Polska z wielu względów potrzebowała wtedy dużego zastępu legistów. Za Kazimierza Wielkiego gruntownym zmianom uległa administracja kraju. Dawne księstwa dzielnicowe stały się zwykłymi „ziemiami”, a te z nich, w których poprzednio istniał urząd wojewody, dzieliły się odtąd na pewną ilość województw, rozpadających się z kolei na kasztelanie. Godności dworów książęcych przetworzyły się na urzędy ziemskie, najczęściej czysto tytularne i honorowe. Stąd właśnie wzięły się w Polsce owe rzesze cześników, podstolich, mieczników, chorążych czy wojskich oraz pojęcie, że „chart bez ogona jest jak szlachcic bez urzędu”. Wojewodowie i kasztelanowie pozostali jako najwyżsi dostojnicy danych ziem. Z czasem mieli oni wejść do senatu, a kasztelania krakowska po dawnemu uważana była za pierwszą świecką godność królestwa.

Urzędnikami mianowanymi przez samego monarchę byli starostowie, posiadający duży zakres władzy w dziedzinie administracyjnej, wojskowej i sądowniczej. Za Kazimierza kancelarią państwa zarządzał kanclerz i podkanclerzy królestwa, które to stanowisko było najwcześniejszym urzędem ogólnopolskim. Godności kanclerza i podkanclerzego dzierżyli w tym czasie wyłącznie wsięża.

Takie zmiany w sposobach zarządzania krajem wymagały oczywiście znacznej liczby ludzi odpowiednio przygotowanych. Ale wiedza i szerokie horyzonty umysłowe potrzebne były wtedy państwu nie tylko do spraw o zwykłym, małym zakresie. W czasach Kazimierza Wielkiego - i pod jego bezpośrednim wpływem - ostatecznie wykształca się nowa idea polityczna, zawiła i trudna, lecz otwierająca wielkie widoki na przyszłość. Zgodnie z

brzmieniem ówczesnych dokumentów zwiemy ją Corona Regni Polonice - Koroną Królestwa Polskiego.

Kazimierz Wielki oraz otaczające go grono myślicieli politycznych dwojako rozumie tytuł Królestwa Polskiego. W znaczeniu najprostszym i powszednim było to państwo podległe władzy polskiego monarchy, terytorium o granicach określonych umowami międzynarodowymi. W skład jego wchodziły: Małopolska, Wielkopolska, Kujawy, ziemia dobrzyńska i Ruś Czerwona. Nie należały zaś do niego: Pomorze, Śląsk, nawet Mazowsze.

Korona Królestwa Polskiego - to idea polityczna, w myśl której król polski jest prawowitym zwierzchnikiem i dziedzicem wszystkich ziem, jakie tylko kiedykolwiek do państwa należały lub są zamieszkałe przez Polaków. Źródłem tego prawa jest sama królestwość Polski symbolizująca jej historyczną jedność.

W myśl tej idei składową część Korony Królestwa Polskiego stanowi więc Mazowsze, rządzone przez książąt uznających zwierzchnictwo Krakowa. Ta sama idea strzeże nieprzedawnionych praw króla polskiego do Śląska i Pomorza, do całego biegu Odry.

Pojęcie jedności wszystkich ziem polskich żyło w umysłach ludzi ówczesnych, wyrażało się nie tylko w słowach i czynach królewskiej kancelarii. Autor dzieła o św. Jacku Odrowążu, piszący około roku 1352, powiada na przykład, iż Jacek urodził się we wsi Kamień „w prowincji królestwa polskiego”. Kamień leży w Opolszczyźnie, którą władał wtedy król Czech i cesarz Niemiec, Karol IV.

Świadkowie zeznający w procesie warszawskim 1339 r. mówili o zagrabieniu przez Krzyżaków ziem rdzennie polskich. Czynili to w sposób bardzo ciekawy, rzucający osobliwe światło na pojęcia panujące w średniowieczu. Jeden powiada więc, że Pomorze jest polskie, ponieważ miejscowa ludność uważa się za Polaków. Inny podkreśla, że ludność owa mówi językiem polskim. Trzeci przypomina, że dawni książęta tej ziemi byli Polakami. Jak widzimy, w XIV stuleciu używano argumentów, które i my dziś (może z wyjątkiem ostatniego) uznajemy za pełnowartościowe. Z takimi samymi dowodami nasze delegacje jeździły w roku 1919 na kongres do Wersalu.

Król i otaczający go statysci wyznawali te same zapatrywania. Lecz jako ci, co kierowali państwem, nieustannie dbali, by owe poglądy przetworzyć w zasadę prawną i stworzyć teoretyczne podstawy do działań, mających na celu odzyskanie strat.

Czasy Kazimierza Wielkiego to panowanie rozumu. We wszystkim niemal, co wiąże się z jego imieniem, a dotyczy polityki, znać trzeźwość, opanowanie,

rozsądek. Tymczasem zaś chwila dziejowa wybitnie tym cnotom nie sprzyjała. Zachodziły bowiem wydarzenia popychające ludzi do szaleństw, zrodzonych z rozpacz. I to wydarzenia na ogromną miarę.

W 1348 r. przysłała na Europę „czarna śmierć”. Dziś wiemy, że była to dżuma, a mianowicie ta jej odmiana, którą specjaliści zowią gruźlicą. Ludziom ówczesnym zaraza, co pochłonęła dwadzieścia pięć procent pogłowia kontynentu, wydawała się biczem Bożym karzącym ludzkie grzechy.

W Polsce epidemia srożyła się nieco mniej, więc i jej materialne oraz moralne skutki były słabsze. Pilna opieka społeczna ze strony króla, polegająca między innymi na rozdawnictwie zboża ze spichrzów państwowych oraz na dostarczaniu zubożałym pracy przy licznych budowach, znacznie łagodziła następstwa klęski. Z naszych ziem uciepiał przede wszystkim Śląsk.

Zalały go procesje biczowników, których krwawe, publicznie odprawiane praktyki miały przebłagać Boga i odwrócić nieszczęście. Biskup wrocławski Przeclaw z Pogorzeli sprzyjał temu ruchowi... dopóki nie wziął w nim góry kierunku radykalny, potępiający bogactwa i rozpustę kleru. Zapachniało herezją. Przeclaw z Pogorzeli wydał więc władzom świeckim na spalenie tego samego wrocławskiego księdza i przywódcę biczowników, któremu niedługo przedtem pozwolił swobodnie działać w diecezji.

28 maja 1349 r. rozpoczęły się we Wrocławiu pogromy Żydów, oskarżonych naturalnie o szerzenie zarazy. Poszła z dymem cała ich dzielnica, wielu ludzi straciło życie. Niedobitkom ofiarował schronienie Bolko II, obiecując otworzyć przed nimi bramy Świdnicy. I oto magistrat wrocławski, a nawet sam król i cesarz Karol IV pośpieszyli z zapewnieniami opieki i bezpieczeństwa, aby tylko zapobiec ucieczce. Łatwo wyjaśnić powód ich nagłej „troski”. Żydzi zajmowali się wtedy nie tyle handlem, co bankierstwem. Specjaliści w dziedzinie obrotu pieniądzem byli potrzebni, więc Wrocław pragnął zatrzymać ich u siebie i przeszkodzić zamiarom księcia Bolka, który starał się zręcznie wyzyskać sposobność. »

Krwawe prześladowania Żydów szerzyły się wówczas w całych Niemczech stamtąd przenosiły do Polski, w szczególności do tych miast, gdzie patrycja był niemiecki. Zdarzały się więc w Poznaniu, Kaliszu, a zwłaszcza w Krakowie - nie słyhać za to o nich w Polsce środkowej ani na Mazowszu. Ówczesna Warszawa zaliczała się do najbardziej polskich miast, było w niej najwyżej dziesięć procent Niemców.

Odpowiedzialność za te haniebne wypadki nie obciąża jednak sumieni polskiej polityki państwowej, ponieważ Kazimierz i w stosunku do Żydów uprawiał rozumną tolerancję, jaka w ogóle cechuje jego rządy i jest wyrazem

nie słabości wcale czy dojutrkowania, lecz odwrotnie - mądrej decyzji i siły-

Wielu mieszczan krakowskich zapoznało się z lochami Wawelu za udział w pogromach, miasto płaciło wysokie kontrybucje. Osiedlali się w Polsce Żydzi-uchodźcy nie tylko z Niemiec, lecz również i z Węgier, skąd ich wygnał król Ludwik (przy okazji trzeba przypomnieć, że francuski Filip Piękny zrobił w XIV w. rzecz, którą w kilkaset lat później powtórzył Adolf Hitler: kazał swoim trabantom jednego dnia aresztować wszystkich Żydów we Francji, skonfiskować ich mienie na rzecz skarbu i wygnać z granic bez prawa powrotu).

Jednakże legenda całkiem niesłusznie czyni z Kazimierza jakiegoś szczególnego opiekuna i dobroczyńcę Żydów. Król dokonał jednego - zatwierdził i rozszerzył na całe państwo przywilej dla nich, wydany w roku 1264 przez Bolesława Pobożnego, a obowiązujący dotychczas tylko w Wielkopolsce. Był natomiast Kazimierz autorem ustaw przeciwko lichwie. Rozporządzenia jego pozwalały od grzywny liczącej 48 groszy brać: w Wielkopolsce 1 grosz, w Małopolsce 1/2 grosza tygodniowo. I taki więc łaską królewską ograniczony odsetek w przeciągu roku pożyczoną sumę bądź przeszło podwajał, bądź zwiększał o pięćdziesiąt cztery procent.

V

Mogą sobie jednak historycy pisać i udowadniać co chcą, a opinia zawsze odgadywać będzie w Kazimierzu przyjaciela narodu żydowskiego. Sprawy uczucia silniej przemawiają do wyobraźni niż sucha polityka. Któż w Polsce zna imiona żon Kazimierza Wielkiego, z wyjątkiem jednej może tylko - Litwinki Aldony? Niewielu za to znajdziemy takich, co nie słyszeli o słynnej kochance królewskiej - Żydówce Esterze.

Z nią jedną nie uporał się nasz cnotliwy obyczaj dziejopisarski, nakazujący starannie przemilczać wszelkie „słabostki” wielkich ludzi, czynić z nich żywe posągi rozmyślające wyłącznie o polityce tudzież o zbawieniu duszy. W stosunku do Kazimierza Wielkiego metodę tę wybitnie rozszerzono, stroniąc od zbyt szczegółowego omawiania niektórych jego związków uświęconych sakramentem małżeństwa. Jakże było głośno przyznać, że król spoczywający na Wawelu i malowany przez Matejkę był podwójnym bigamistą, przy czym drugi z tych wypadków stanowił bigamię do kwadratu! Bo tak chyba trzeba określić ślub kościelny zawarty za życia dwóch poprzednich, legalnych i nie rozwiedzionych małżonek.

Trudno odgadnąć, dlaczego w kraju tak obfitującym w powieść historyczną nikt nie pokusił się o artystyczne przedstawienie prywatnego życia Kazimierza Wielkiego. Jakież to pasjonujący obraz! Człowiek obdarzony genialnym umysłem, potęgą fizyczną i prześladowany przez dziwne fatum. Żadna z jego trzech ukoronowanych żon nie dała mu syna, nie uczyniła tego i czwarta, też ślubna, ale pozbawiona praw monarszych. Za to z kochanki miał aż trzech. Oni oraz pięć legalnych córek oto potomstwo ostatniego królewskiego Piasta, który zszedł z tronu „bezpomnie”.

Zycie Kazimierza Wielkiego to ustawiczna walka pomiędzy trzeźwo widzianymi obowiązkami polityka a dążeniem silnego człowieka do osobistego szczęścia. I wcale nieprawda, że pierwszy wzgląd zawsze przeważał nad drugim. Miłość do czeskiej mieszcanki skłoniła monarchę do czynu wręcz szalonego.

Janko z Czarnkowa i Długosz napisali, że król był „lubieżny”. Określenie kronikarzy jakoś nie bardzo pasuje do człowieka najdalszego wprawdzie od cnoty czystości, ale i w romansach niezwykłego.

Królowa Aldona zmarła nagle jeszcze podczas procesu warszawskiego, 26 maja 1339 r. W kilka miesięcy później stracił Kazimierz matkę, królową Jadwigę.

Przez dwa lata wytrwawszy w stanie beżzennym, wybrał się król w czerwcu 1341 r. do Pragi, na ślub z najstarszą córką Jana Luksemburczyka, Małgorzatą. Narzeczona nie cierpiała oblubieńca i los oszczędził jej małżeństwa z nim. Zmarła 11 lipca tegoż 1341 r. We wrześniu zaś obchodził Poznań uroczystość zaślubin trzydziestoletniego już przeszło monarchy z narajoną mu przez Luksemburgów osiemnastoletnią Adelajdą, córką landgraфа Hesji, Henryka Żelaznego.

„Poślubię łono” miał się wyrazić Napoleon o swym małżeństwie z Marią Luizą. To samo mógłby wcześniej powiedzieć o Adelajdzie heskiej spragniony syna Kazimierz. Niestety, łono jej okazało się bezpłodne, sama zaś osoba stała się wkrótce królowi nieznośna. Przecież związał się z nią tylko ze względów politycznych, bez cienia uczucia.

W sześć lat po niefortunnych godach poznańskich rozpoczął się pierwszy z niezwykłych romansów Kazimierza. Bohaterką jego była urodziwa szlachcianka polska o dziwnym imieniu Cudki, żona Niemierzy z Gołczy herbu Mądrostka, człowieka bliskiego władcy, dworzanina i pośła do Awinionu. Królowa Adelajda powędrowała do samotnego zamku w Żarnowcu nad Pilicą. Małżonek otoczył ją dostatkiem, lecz niełaska była tak jaskrawa, odsunięcie tak krzyczące, że zaniepokojony Henryk Żelazny sam wyruszył do Polski

upomnieć się o los córki. A Cudka tymczasem dała królowi synów - Niemierzę Jana i Pełkę. Pożycie z nią trwało pięć lat i skończyło się zagadkowo - z chwilą śmierci jej męża. Wszystko zdaje się s'wiadczyć, że stroną zrywającą była - ona. Król obdarzył ją hojnie, w testamencie pamiętał o synach.

Teraz dopiero przyszła kolej na Esterkę, której postać oplatają legendy. Pochodziła podobno z krakowskiego getta i zrodziła córki, które pozostały przy Zakonie Mojżeszowym.

Ale jeszcze przedtem królewska wierność wobec cudzej żony spowodowała ostry zatarg. Było to w grudniu 1349 r. Kazimierz powrócił do Krakowa ze zwycięskiej wyprawy na Ruś i dowiedział się, że wikariusz katedralny, ksiądz Marcin Baryczka, publicznie wyrzuca mu grzeszne życie, upomina i grozi karą kościelną. W monarsze od razu odezwało się dziedziczne piastowskie okrucieństwo. 13 grudnia odważny ksiądz został uwięziony i zaraz skazany. Następnego nocy dworzanie utopili go w Wiśle pod Wawelem.

Spadła za^P na króla kłątwa. Dopiero najbliższej wiosny uproszony specjalnym poselstwempapież uchylił ją, Kazimierz zaś wystawił za pokutę kościoły w Kargowie, Wiślicy, Sandomierzu, Stopnicy, Szydłowie i Zagości.

Wiosną 1356 r. odbywał się huczny zjazd w Pradze. Osia jego były oczywiście układy polityczne między Karolem IV a władcą Polski, lecz tradycja zapamiętała przede wszystkim popisy legendarnego mocarza z Mazowsza, Stanisława Ciołka, poległego później w bitwie z Litwinami. Umiał ów Ciołek łamać po dwie podkowy na raz, wyciskać sok ze świeżo uciętej gałęzi, zanieść na wieżę dzwon, którego czterdziestu ludzi nie zdołało poruszyć z miejsca, i wiele innych zadziwiających rzeczy. W Pradze połamał żebra największemu osiłkowi wśród Czechów.

Podczas tego zjazdu poznał Kazimierz Krystynę Rokiczanę, wdowę po mieszczaninie praskim, Mikołaju. Szybko działał nasz monarcha. Bawił w Pradze od 29 kwietnia do 9 maja i zdążył w tym czasie nie tylko zakochać się, lecz wziąć również ślub - tajny wprawdzie, lecz kościelny. Udzielił go doradca i spowiednik, opat tyniecki Jan - na tę okoliczność przebrany podobno za biskupa krakowskiego. Poprzednia ślubna małżonka, królowa Adelajda, żyła i nadal przebywała w Żarnowcu. Wyjechać z Polski na zawsze miała dopiero w kilka miesięcy później, 14 września.

Silny, niepohamowany i spragniony osobistego szczęścia mężczyzna wziął tym razem w Kazimierzu górę nad politykiem. Bo z tego ostatniego punktu widzenia ślub pralki był postępkim wręcz niepoczytalnym. Syn mieszcżanki miałyby zamkniętą drogę do tronu, kościelne małżeństwo zawarte za życia legalnej żony - a więc typowa bigamia z cechami świętokradztwa - mogło co najmniej pogmatwać dalsze kombinacje dynastyczne.

Może się gorszyć, kto chce. Trudno się jednak dziwić, że postać naprawdę niezwykła nie mieściła się w powszednich ramach. Nie wiadomo, kiedy rozszedł się Kazimierz z Krystyną i czy unieważniono ich ślad. W każdym razie w siedem lat później - 25 lutego 1363 r. - biskup poznański Jan Doliwa pobłogosławił we Wschowie nowy związek królewski - tym razem z księżniczką śląską Jadwigą, córką Henryka, pana na Żaganiu. Wszystko odbyło się w najściślejszej tajemnicy. Chyba słusznie, bo małżeństwo z żyjącą ciągle nieszczęsną Adelajdą unieważnił papież dopiero w cztery lata później, jesienią 1367 roku.

Jadwiga żagańska urodziła trzy córki - Annę, zmarłą w dzieciństwie Kungundę oraz Jadwigę. Syna nadal nie było.

Król Kazimierz cieszył się ciągle pełnią sił, ale dobiegał już sześćdziesiątki.

VI

Małżeństwo z księżniczką śląską było postępkami natury czysto politycznej. Chodziło nie tylko o upragnionego następcę tronu zrodzonego z odpowiednio dostojnej matki. Brana była również pod uwagę konieczność wzmocnienia pozycji Polski na Śląsku. Ojciec Jadwigi - Henryk żagański - to wnuk owego Henryka III głogowskiego, który miał ongi dziedziczyć po Henryku Probusie i Przemysławie II. Zniemczony potężnie, władał Żaganiem i księstwem głogowskim. Ziemie jego z jednej strony dotykały Wielkopolski, z drugiej zaś - posiadłości Bolka II świdnickiego, siostrzeńca i sojusznika króla polskiego. W ten sposób, dzięki kombinacjom wzmocnionym nowym małżeństwem Kazimierza, tworzył się na Śląsku blok sprzymierzonych księstw. Na wypadek wojny z cesarzem mogła Polska liczyć co najmniej na ich życzliwą neutralność.

Ten manewr polityczny był również jakby odpowiedzią na posunięcie Karola IV, który po śmierci żony - Anny świdnickiej - ruszył w konkury do rodzonej wnuczki Kazimierza Wielkiego, szesnastoletniej Elżbiety, księżniczki zachodniopomorskiej. Ślub ich odbył się z wielką pompą w Krakowie, 21 maja 1363 r. Pomorzankę ukoronowano później w Pradze jako królową Czech, a w Akwizgranie - Niemiec, i w Rzymie - jako cesarzową.

Rodzice jej to Bogusław V ołogoski i królowa Elżbieta, pierworodna córka Kazimierza Wielkiego. Jak pamiętamy, Kazimierz sam ich skojarzył w Poznaniu w 1343 r. Małżeństwo wnuczki z cesarzem było dlań teraz z jednej strony

wydarzeniem pomyślnym, z drugiej niepokojącym, gdyż wpływy Karola IV zaczynały sięgać Pomorza Zachodniego. Stąd właśnie pospieszny, uprzedzający manewr w postaci stałdła z Jadwigą żagańską.

W katedrze praskiej zachował się nagrobek Elżbiety. Artysta uwiecznił rysy cesarzowej - bystro patrzące oczy w twarzy dużej, wesołej, o bardzo silnie zarysowanym podbródku. Elżbieta słynęła za życia z tego, że lekko łamała w rękę podkowy i rycerskie włócznie. Oryginalnym wydarzeniem był jej związek z Karolem, chuderlawym, wyrachowanym, oględnym „cesarzem klechów”. Przeżyli ze sobą lat siedemnaście i wydali na świat córkę oraz trzech synów, z których jeden - Zygmunt - został cesarzem.

Skoro się wspomniało o cesarskich godach w Krakowie, nie sposób przemilczeć wielki kongres monarchów w tym mieście, upamiętniony słynną uczcią Wierzyńkową. Było to we wrześniu 1364 r. Wawel gościł wtedy wyjątkowo liczny poczet koronowanych głów: cesarza Karola IV, jego brata Jana i syna Wacława, króla Jęgieier - Ludwika, króla Danii - Waldemara, króla Cypru - Piotra de Lusignan (z tych samych Luzynianów, których początek kariery przedstawiła Zofia Kossak w *Królu Trędowatym*), księcia Austrii - Rudolfa IV i dwóch jego braci, Albrechta III i Leopolda, margrabiów brandenburskich - Ludwika i Ottona, Ziemowita III mazowieckiego, Bogusława V ołogoskiego i jego syna Kazimierza, zwanego w polsce Kazkiem Szczecińskim, Bolka II ze Świdnicy, Władysława z Opola oraz wszystkich innych polskich książąt ze Śląska. Dostojne grono istotnie przyjęło zaprosiny rajcy krakowskiego Mikołaja Wierzyńka, który olśnił je przepychem.

Pozoru do zjazdu dostarczyła obecność króla cypryjskiego, zabiegającego o pomoc w walce z Turkami. O krucjacie nikt z owej czeredy monarchów nie myślał. W zakulisowych rozmowach badano się wzajemnie, gdyż osiã ówczesnej polityki środkowoeuropejskiej były dynastyczne kombinacje Luksemburgów, dających do opanowania rozmaitych tronów po wygasających rodach. To z jednej strony. Z drugiej zaś - działania samego Kazimierza Wielkiego, który zmierzał do rozszerzenia granic państwa i do dalszego wzmocnienia jego pozycji.

Właśnie na kilka miesięcy przed zjazdem król w tajemnicy zwrócił się do papieża Urbana V z prosbã o zwolnienie go ze wszystkich niesprawiedliwych przysiąg, jakie przedtem musiał złożyć na niekorzyść swego kraju. Inaczej mówiąc - o unieważnienie wymuszonych przez silniejsze okoliczności podpisów pod traktatem wyszehradzkim, oddającym Śląsk Czechom, oraz pod układem kaliskim, zrzekającym się Pomorza. Prosił również o także zwolnienie dla polskich książąt, co wyraźnie mierzyło w Śląsk.

Minęła już trzydziesta rocznica koronacji Kazimierza Wielkiego. Ogromnie wzmocniona Polska obierała sobie zupełnie wyraźną linię polityczną - przygotowywała się do odzyskania ziem utraconych.

Nie wiadomo, jak brzmiała odpowiedź papieża. W każdym razie przypominieć warto, że z jego punktu widzenia każde rozszerzenie granic królestwa polskiego stanowiło czysty zysk - ze względu na świętopietrze.

Kazimierz płacił je, bo tak nakazywał rozum. Prosił o zwolnienie z przysiąg, bo wymagały tego ówczesne formy polityczne. Jaki zaś był jego prawdziwy pogląd na sprawę czyjegokolwiek zwierzchnictwa nad Polską, o tym możemy się przekonać z pewnej wypowiedzi, szczęśliwym zbiegiem okoliczności zanotowanej na gorąco.

W roku 1357 poseł polski Spytko z Melsztyna bawił na dworze cesarskim i wdawał się tam w zasadnicze dyskusje. Kanclerz cesarski nie omieszkiał donieść o wszystkim wielkiemu mistrzowi Krzyżaków specjalnym listem.

Polacy - pisał - gardzą powagą cesarską i nie chcą mieć cesarza swoim rozjemcą. Należą oni do tych barbarzyńskich narodów, które nie uznają majestatu cesarzów ani prawa rzymskiego. Poseł króla Kazimierza unieważnia wszystko, cokolwiek błogiej pamięci cesarz Fryderyk i inni wysłali do zakonowi waszemu. „Czymże wasz cesarz?” - prawi ten nędznik. „Nam sąsiad, a królowi naszemu równie!” Gdyśmy przed nim wykładali prawo monarchiczne o pełności władzy cesarskiej, przypominając mu związki z cesarstwem i wysłane Polsce dobrodziejstwa przebłogiej pamięci cesarza Ottona, odparł zuchwale: „Gdzie Rzym! W czym jest ręku? Odpowiedz. Wasz cesarz niższym jest od papieża. Składa przed nim przysięgę. Nasz król ma od Boga swoją koronę i miecz swój, a własne prawa i obyczaj przodków przenosi ponad wszystkie prawa cesarskie.” - Przebóg! Cóż dla nich świat!

- żali się kanclerz przed wielkim mistrzem.

Prawo rzymskie Kazimierz uznawał, ale to prawdziwe, pamiętające starożytność i stanowiące bezcenny fundament kodeksów całej kulturalnej Europy. Najlepiej świadczy o tym pięć katedr na uniwersytecie krakowskim, z których je wykładano. Odrzucał natomiast uroszczenia współczesnych mu władców Rzymu i koronowanych tam cesarzy.

Inny jeszcze kraj wyznawał wtedy „barbarzyńskie” poglądy o zupełnej niezależności państw narodowych - Francja. Rządzili nią Kapetyngowie, ród królewski młodszy od Piastów. Założyciel jego - Hugo Kapet - ukoronowany został w Reims 1 czerwca 987 r., kiedy u nas miało się już pod koniec rządów Mieszka I. Francja bardzo ostro broniła swej suwerenności, mając za przeciwników przede wszystkim papieża. Istniała tam i przestrzegana była teoria o religijnym charakterze władzy króla, który jest nie tylko monarchą świeckim, lecz również zwierzchnikiem francuskiego kościoła. W myśl tej zasady niepo-

słuszny względem tronu biskup wykraczał przeciwko obowiązkom stanu duchownego.

Piastowie tak daleko nie szli, szukając w papieżach sojuszników przeciwko cesarzom. Ale istota rzeczy' i we Francji, i w Polsce wyglądała całkiem podobnie - chodziło o suwerennos'c państwa narodowego. Za Łokietka i Kazimierza Polska odzyskała ją w pełni.

Ostatnie lata panowania wielkiego króla cechuje w polityce zewnętrznej kierunek zdecydowany: na zachód, ku Odrze. Już tylko nieliczne działania mają na celu inne strony.

Zalicza się do nich nieudane przedsięwzięcie mołdawskie z roku 1359. Kazimierz pragnął podporządkować sobie jednego z rządzących Mołdawią wojewodów, na tej drodze szukając dostępu do Morza Czarnego. Wysłał mu więc oddziały posiłkowe, które wpadły w zasadzkę i doznały dotkliwej klęski, tracąc nawet kilka sztandarów.

W siedem lat później - jesienią 1366 r. - silnie uderzył król na władającego Luckiem księcia litewskiego Lubarta. Dobrze pod każdym względem przygotowana wyprawa trwała krótko. Wojska królewskie zdobyły Włodzimierz Wołyński, ziemię chełmską i bełską. Jednakże bezpośrednio do Polski przyłączono wtedy tylko południowy skraj Wołynia z Krzemieńcem, Boremlem i Oleskiem. Pozostałe zdobycze wzięli - jako hołdownicy Polski - dwaj książęta litewscy. Jerzy Narymuntowicz otrzymał Bełz i Chełm, Aleksander Korjutowicz - Włodzimierz Wołyński, Horodło i kraj rozciągający się na północ aż po Prypeć. Nad wszystkim tym Polska sprawowała zwierzchnictwo.

Wojna ta w zasadzie nie popsuła stosunków polsko-litewskich. Jeszcze tej samej jesieni stanął pokój. Można przypuszczać, że Olgierd, który właśnie wybierał się na Moskwę, nie chciał mieć dwóch frontów. Niespodziewane uderzenie Kazimierza i tak musiało pochłonąć sporo sił litewskich.

Zaraz po zakończeniu kampanii, w listopadzie lub grudniu 1366 r., zrobił król rzecz pozornie bardzo dziwną. Wybrał się do Malborka z wizytą. Bawił tam trzy dni, wspaniale podejmowany przez wielkiego mistrza Winrycha von Kniprode. Obejrzawszy fortecę malborską, miał w te słowa odezwać się do wodza Zakonu:

- Panie, prawie bytem oszukany przez zdrajców, których znam, że powinienem z wami się pokłócić, ponieważ brak wam zupełnie zapasów. Lecz zaiste zobaczyłem zgoia co innego, bo raczej nadmiar s'rodkow, nie my#lę więc z Wami się spierać. Ani moi ludzie nie będą mogli uwierzyć w to, co ja zobaczyłem w tym zamku pełnym zapasów, pomijając inne grody, których nie zdołałem zwiedzić.

Oświadczenie zdawałoby się wyraźne, oznaczające, że król porzuca myśl wojny z Zakonem o Pomorze. A przecież zaledwie pięć lat wcześniej - wtedy właśnie, kiedy Kiejstut wśród romantycznych przygód uciekał z Malborka i za zezwoleniem Kazimierza schronu się na Mazowszu - pospólstwo polskie w Gdańsku podniosło bunt i po ulicach miasta brzmiał jego okrzyk bojowy: Kraków!

W gruncie rzeczy wizyta króla w Malborku i jego słowa znaczyły to tylko, że Kazimierz również nie pragnie wojny na dwa fronty i chce pokoju z Zakonem, zanim nie dojrzeje wielki plan polityczny zarysowujący się już od kilku lat.

Godne uwagi jest słowo o „zdrajcach”, użyte przez króla w rozmowie z wielkim mistrzem. Kazimierz miał na myśli cesarza Karola IV i jego politykę, pragnącą uwikłać Polskę w spory i wojny z Zakonem. Przypomnijmy sobie list kanclerza cesarskiego o kłótniach ze Spytkiem z Melsztyna i wszystkie starannie w nim podkreślone akcenty antykrzyżackie. I dodajmy jeszcze, że Winrych von Kniprode uchodzi za tego mistrza, który postawił Zakon u szczytu potęgi. Z wojną przeciwko Malborkowi naprawdę nie należało się wówczas spieszyć.

Snując szerokie zamysły liczył Kazimierz przede wszystkim na współdziałanie Pomorza Zachodniego i Litwy, a uderzać chciał na razie nie na Krzyżaków, lecz na Luksemburgów. Zwracał się zdecydowanie na zachód.

Około roku 1358 zaczęto mówić w Europie o chrzcie Litwy. Obrotny Kiejstut jeździł w tej sprawie aż do Norymbergi, lecz wszystkie kropki nad i postawił dopiero Olgierd. Zażądał zwrotu zagrabionych ziem, oddania Litwie tej części Prus, która leży na wschód od Łyny i Pregoly - a więc także Królewca - oraz zaproponował, aby zakon krzyżacki przeniósł się znad Bałtyku na południe, w stepy, gdzie będzie mógł swobodnie pełnić swe powołanie, wujując z Tatarami i nawracając ich z wiary Proroka na chrześcijaństwo. Pomysł nie zyskał oczywiście poklasku w Niemczech ani u papieża. Zynił za to z Litwy naturalnego sprzymierzeńca Polski, odsuwając w cień doraźne i drugorzędne spory o Ruś Czerwoną i Wołyń.

W planach Kazimierza Wielkiego dużą, decydującą rolę odegrać miał jego wnuk, rodzony brat wspomnianej dopiero co siłaczki Elżbiety. Był to Kazimierz, zwany u nas Kazkiem Szczecińskim, od dziecka wychowywany na krakowskim dworze. Dziad pilnie czuwał nad jego losem i wcześniej upatrzył mu na żonę córkę wielkiego księcia Litwy, Olgierda. Jej pogańskie imię brzmiało Kenna, chrzestne zaś - Joanna. Ślub nastąpił w roku 1360. Potrzebne nań było specjalne zezwolenie papieża, a to ze względu na pokrewieństwo przez nieboszczkę Aldonę, babkę oblubieńca i ciotkę narzeczonej.

Miała owa Joanna młodszego o rok brata, który po litewsku nazywał się jogaiła, co Polacy przerobili później na Jagiełło i uznali za nazwisko rodowe.

Tak oto już za ostatnich Piastów ciągle splatały się losy Polski i Litwy. Na spadkobiercę Kazimierza Wielkiego od dawna przewidziany był Ludwik Węgierski. Jego słabe zdrowie i dotychczasowa bezdzietność nie wróżyły temu następstwu długowieczności. Wobec tego Kazimierz zawczasu wyznaczył mu dziedzica w osobie własnego wnuka, Kazka.

Olgierdówna Kenna-Joanna miała więc w przyszłości zostać królową Polski, a tym samym żywą gwarancją sojuszu Krakowa z Wilnem, wymierzonego przeciwko Krzyżakom. Umarła jednak wkrótce i Kazimierz Wielki zdążył ponownie ożenić wnuka z księżniczką mazowiecką Małgorzatą. Nie mógł przewidzieć, że już zarysowujące się i konieczne przymierze z Litwą przybierze nieoczekiwane kształty i że w kilkanaście lat po jego śmierci zasiądzie na Wawelu brat Joanny - Władysław Jagiełło.

Pomysły dotyczące Litwy odnosiły się jednak do dalszej przyszłości. Na pierwszym miejscu w planach króla stał bowiem wtedy kraj, którego organizacja polityczna wywodziła się z dawnych podbojów Albrechta Niedźwiedzia - Brandenburgia. O zajmowaniu Berlina Kazimierz nie myślał, wyraźnie za to zmierzał do odzyskania tego, co sto kilkanaście lat wcześniej sprzedał Niemcom złej pamięci Bolesław Rogatka, to znaczy ziemi lubuskiej i Nowej Marchii.

W Brandenburgii znowu zanosilo się na zmianę dynastii i cesarz Karol IV dążył do poddania jej swojej władzy. Zamiany te wcale nie odpowiadały interesom Polski. Nie byli z nich również zadowoleni brandenburscy wielmoże, którym dobrze się powodziło pod dotychczasowymi rządami słabych Wittelsbachów. Kazimierz umiał zręcznie grać na tych tarciach. 22 lipca 1365 r. przyjął w Krakowie hołd czterech przedstawicieli moźnej niemieckiej rodziny von Osten - spokrewnionej zresztą z wielkopolskimi magnatami - braci Dobrogosta, Arnolda, Ulryka i Bertolda. Uczynek panów von Osten oznaczał uznanie zwierzchnictwa Krakowa i przystąpienie do Korony Królestwa Polskiego. Załogi polskie wkroczyły do Santoka i Drezdenka. Był to bardzo duży sukces. Ważne pozycje strategiczne u spływu Warty i Noteci zostały odzyskane bez wojny, a wschodnia połać niemieckiej jeszcze Nowej Marchii oskrzydłona przez Polskę od zachodu.

Następne trzy lata upłynęły na gorączkowej grze dyplomatycznej. Kazimierz" Wielki zdołał umocnić związek z Węgrami i papieżem, pozyskał też przychylność potrzebującego na gwałt pomocy margrabiego Brandenburgii

Ottona V Wittelsbacha. Skutek tych zabiegów okazał się w pełni w roku 1368, obfitującym w wypadki o pierwszorzędnym znaczeniu.

W lutym, na mocy pokojowego układu z margrabią, Kazimierz włączył do Polski szmat Nowej Marchii położony między Notecią, Gwdą, Drawą i granicą Zachodniego Pomorza, obsadził załogami Czaplinek, Drahim i Wałcz.

Polska nie tylko odzyskiwała znaczną część tego, co straciła w wieku XIII, lecz rozrywała jeszcze lądowe połączenie Brandenburgii z terytorium zakonu krzyżackiego. Po tylu latach królestwo znowu bezpośrednio zetknęło się z dziedzicami Pomorza Zachodniego, a mianowicie z księstwem słupskim, którego panem został właśnie wnuk Kazimierza Wielkiego - Kazko.

Jeśli spojrzeć na mapę przedstawiającą Polskę w roku 1368, ujrzy się od razu, że na skrajnej północy obszar jej kończy się ostrym cyplem wycelowanym w Kołobrzeg. Już tylko mizernych sześćdziesiąt kilometrów dzieliło państwo od brzegu morskiego.

Taka mapa wiele powie o polityce Kazimierza Wielkiego, zdoła wytłumaczyć sens jego niedawnej wizyty u wielkiego mistrza Winrycha von Kniprode i pozorną ugodę z Krzyżakami. Widząc, że Polska nie potrafi w danej chwili sprostać potężnemu Zakonowi, omijał król jego terytorium, lecz jednocześnie oskrzydlał je od zachodu, przecinał jego lądowe połączenia z Rzeszą Niemiecką. Nie rezygnował z odzyskania dostępu do morza, ale szukał go na Pomorzu Zachodnim - Gdańskie zostawiając sobie na potem.

Drahim, Wałcz i Czaplinek to ostatnie zdobycze Kazimierza Wielkiego, który w chwili rozpoczęcia rządów władał na obszarze 106 tysięcy kilometrów kwadratowych. Zostawiał następcom Polskę nie tylko „murowaną, ozdobną i wspaniałą”, lecz także powiększoną przeszło dwukrotnie - mającą 270 tysięcy kilometrów.

W tym samym 1368 r. dobiegły pomyślnego końca ciągnące się już od dawna, a rozpoczęte od zajadłych sporów układy z biskupem lubuskim. Diecezja jego rozciągała się nad średnią Odrą i obejmowała właśnie te ziemie, które Bolesław Rogatka przefrymarczył był Niemcom. - Kościelny zwierzchnik Lubusza ostatecznie uznał Kazimierza za opiekuna i pana swojej katedry. Politycznie oznaczało to bardzo wiele - zapowiadało dalszy marsz Polski ku Odrze.

W drugiej połowie roku Kazimierz usynowił księcia Kazka i ożenił go z Małgorzatą mazowiecką, córką Ziemowita III (to ona była księżną pomorską, która kazała porwać nocą małego Henryka, pragnąc go zabezpieczyć przed zemstą okrutnego ojca). Czyn królewski wyraźnie wskazywał, kto ma odziedziczyć tron polski po chorowitym i wciąż jeszcze bezdzietnym Ludwiku

Węgiersk"¹¹ - Wyznaczenie Kazka na przyszłego monarchę było posunięciem dalekowzrocznym i mądrym. Osoba wybrańca zdawała się otwierać przed polską wspaniałe widoki - wzmocnienie związków z Mazowszem, lecz przede wszystkim dostęp do morza, bo Kazko był księciem graniczącego już z królestwem Słupska.

Kazimierz Wielki zrobił wszystko, co tylko mógł, aby wzmocnić pozycję polityczną ukochanego wnuka. Postanowił, że na czas rządów Ludwika w Polsce Kazko otrzyma w zarząd Sieradz i Łęczycę, a może i inne ziemie. Ale najbardziej genialny umysł nie wszystko zdoła przewidzieć...

Pierwsza żona Kazka - Litwinka Kenna-Joanna - już nie żyła i stosunki z jej ojczyzną wyraźnie się popsuły, lecz wcale nie z polskiej winy. W czerwcu 1368 r. Kiejstut niespodziewanie uderzył na Mazowsze, na dziedziny Ziemo-wita III, z którym niedawno zawierał układy, zowiąc go przyjacielem i ukochanym bratem. Ofiarą najazdu padły Czerwińsk, Wyszogród, Płońsk oraz Pułtusk, gdzie Litwini spalili zamek wraz z całą załogą i szukającą schronienia ludnością. Żadnych terytorialnych korzyści z tego najazdu Kiejstut nie odniósł, dał tylko dobrą okazję krzyżackiemu mistrzowi Prus, który w czasie jego wyprawy wtargnął do Litwy, „a sprawiwszy liczne morderstwa i pożogi, z mnogim gminem brańców i znacznymi łupy powrócił do kraju”.

Nieoczekiwany i - prawdę powiedziawszy - bezrozumny postępek Kiejstuta nie odwrócił uwagi Kazimierza od zachodu. Król nie myślał o wojnie odwetowej. Zrobił tylko jedno - kazał szybko wznosić murowany zamek we Włodzimierzu Wołyńskim i wyznaczył na ten cel znaczne kwoty.

Jeszcześmy nie wszystko powiedzieli o wypadkach, których świadkiem był pamiętny rok 1368.

28 lipca zmarł siostrzeniec królewski, najpotężniejszy pan na Śląsku, Bolko II świdnicki - pochowany obok dziada Bolka I Surowego we wspaniałym kościele krzeszowskim. Książę, który ongi powstrzymywał na Śląsku wojska Jana Luksemburczyka i umożliwił Łokietkowi zwycięstwo pod Płowcami, długo wytrwał w wierności dla Polski. Zmuszony przez okoliczności, Kazimierz Wielki rzekł się w swoim czasie zwierzchnictwa nad nim, lecz po jego śmierci energicznie wtrącił się do zawikłanych spraw spadkowych, grożąc nawet wojną.

Coraz wyraźniej zanosilo się na zbrojną rozprawę o Śląsk i ziemie nadodrzańskie. Obie strony wyęzwały wszystkie siły dla stworzenia przeciwstawnych sobie koalicji. W dyplomatycznych zabiegach górę brał Kazimierz, wspierany przez Węgry, papieża oraz margrabiego Brandenburgii, Ottona. Na przygotowaniach upłynął rok 1369. W następnym - 1370 - już wyraźnie

pachniało wojną. Karol IV nakazał budowę mostu strategicznego przez Odrę na pograniczu Śląska i Brandenburгии i osobiście doglądał roboty. Polski starosta z Wielunia rozpoczął akcje zaczepne.

Zimę spędził król Kazimierz w Krakowie, na przedwiosniu ruszył z całym dworem do Wielkopolski. Dawne, niechętne nastroje tej dzielnicy wobec monarchy uległy znacznej i dodatniej zmianie. Nastąpiło powszechne uspokojenie, łotrów wytepiiono, dobrobyt nieustannie wzrastał. Wielkopolscy komesowie przekonali się, że zamiast dąsać się na króla, lepiej jest współzawodniczyć z Małopolanami o jego łaski. Zdecydowany zwrot Kazimierza w kierunku zachodnim zjednywał mu tutejsze serca i umysły czułe na wszystko, co dotyczyło niemieckiego niebezpieczeństwa.

W Wielkopolsce, w bezposrednim pobliżu teatru nadciągającej wojny, spędził król wiosnę i lato. Ledwie zapowiadała się jesień, kiedy wyruszył na wschód, w Sandomierskie. Sześćdziesiąty rok życia nie osłabiał jego łowieckich namietnosci.

Wśród towarzyszących mu dworzan był człowiek sprawnie i z pasją parający się piórem. Książd Janko z Czarnkowa, podkanclerzy królestwa - podobno syn wójta czarnkowskiego - posiadał bojowy temperament publicysty. Zajadły, nie stroniący od osobistego ryzyka i awantury, szerokie zainteresowania łączył z niezawodnym, literackim wyczuciem znaczenia szczegółu, a politycznym wrogiom nie darowywał nigdy. O! - jakże źle wyszli biskup krakowski Zawisza z Kurozwęk oraz poznański - Mikołaj z Kórnika - na sporach z księdzem podkanclerzym! Gniatli go za życia, oskarżali o kradzież, czarodziejstwo, trzymanie kochanek, więzili, pozbawili urzędu, lecz jego było „za grobem zwycięstwo” i na zawsze upamiętnione zostały „ohydne ich czyny”, to znaczy dalekie od czystości oraz wszelkich innych cnót obyczaje obu ekscelencji.

Po epoce Kazimierza Wielkiego oraz po nim samym odziedziczyła Polska liczne księgozbiory naukowe, świetne dzieła architektury, rzeźby i malarstwa. Z jedną tylko literaturą nie było najlepiej. Tym szczęśliwszy zbieg okoliczności, że ostatnim tygodniom życia znakomitego króla towarzyszył człowiek pióra, którego kronika odnosi się w zasadzie do czasów późniejszych, a o Kazimierzowe lata tylko zahacza we wstępie. Oddajmy więc głos takiemu, co sam widział jesienne wypadki 1370 roku i mówi o nich używając pierwszej osoby. Niechaj się odezwie literacki reportaż z XIV wieku:

Roku Pańskiego 1370, miesiąca wrzesnia dnia ósmego, który byi dniem Narodzenia Najświetszej Panny Maryi, gdy tak często wzmiankowany najjaśniejszy król Kazimierz bawił na dworze

przedbórz, przezeń na nowo razem z miastem założonym, a przepięknie i zbytkownie urządzo-
nym, chciał, jak to było w jego zwyczaju, iść na łowy jeleni. Gdy już wóz jego królewski był
orzgotowany i król chciał wsiadać do niego, niektórzy z wiernych radzili mu, aby w ten dzień
jechania na łowy zaniechał. Zgadając się na to król zamierzał już być pozostać; atoli któryś
niecnota podszeptał mu parę słów o jakiejś - jak podobnie do prawdy sądzą - zabawie, wskutek
czego król nie zważając na rozsądną radę, wsiadł na wóz i pośpieszył do lasu na Iowy. Tam
nazajutrz goniąc jelenia, gdy się koń pod nim przewrócił, spadł z niego i otrzymał niemałą ranę w
lewą goleń.¹

Z tego uderzenia niebawem wywiązała się gorączka, która jednakże w krótkim czasie go
opuściła. Ponieważ jednak wbrew zakazom swoich lekarzy przez nieumiarkowanie i łakomstwo
nie chciał powstrzymać się od różnych pokarmów, zwłaszcza surowych owoców, orzechów
laskowych i innych, przede wszystkim zaś od łązni, która mu była przez mistrza Henryka z
Kolonii, lekarza jego nadwornego, męża wielkiej sumiennosci, w mieście Sandomierzu zakazana,
więc tego samego dnia, kiedy wyszedł z łązni, zapadł, jak to rzeczonego mistrz Henryk przepo-
wiedział, w ciężką gorączkę; nią trawiony, ruszył rankiem do Krakowa i ujechawszy jedną milę od
Sandomierza napił się dużo zimnej wody, po czym jeszcze się więcej rozpałił, mordowany żarem
wewnętrzny. W takim stanie przywieziono go do pewnej posiadłości pana Grota, rycerza,
kasztelana lubelskiego, który króla pana razem z całym jego dworem do siebie zaprosił; tutaj król
spoczywał, tak silną gorączką tego dnia trawiony, że tak lekarz, jak wszyscy dworzanie o życiu jego
zupełnie zwątpili. Na drugi dzień, gdy za staraniem lekarza gorączka żar swój złagodziła, wierni
dworzanie, serdecznie współczując jego niemocy, w wozie do klasztoru koprzywnickiego braci
cystersów, sposobem koni się wprzągłszy, a piechotą wóz ciągnąc, ostrożnie króla przywieźli. W
tym klasztorze przez całe osiem dni leżąc wypoczywał; tutaj też ślubował Bogu i św. Zygmunto-
wi, że chce podźwignąć z ruin świątynię płożką [...] Potem, gdy się zbliżył do niego i gdy rano mnie i
innym obecnym o ślubie oznajmił, zaraz poczuł się cokolwiek wolniejszym od gorączki [...] Następn-
ie, gdy króla przewieziono do dworu, zwanego Osiek, i pewien lekarz jego, mistrz
Mateusz, wbrew zakazowi i woli mistrza Henryka i nas wszystkich, pozwolił mu napić się miodu,
od tego znowu zapadł on w większą gorączkę. Potem jednak, gdy przybył do Nowego Miasta
Korczyzna, tam we dworze swoim przepysznie zbudowanym wziął od lekarzy na przeczyszczenie i
siły znakomicie odzyskał, tak iż bez pomocy siadł na wóz i stanął w Opatowcu, gdzie zabawiwszy
sporo dni, bardzo dobrze się poprawił. Ale za namową wspomnianego wyżej lekarza, mistrza
Mateusza, pojechał dalej do Krakowa; w drodze już pierwszej nocy porwała go, jak się zdaje
wskutek ruchu, gorączka [...] Odtąd też dzień w dzień, aż do samego przybycia do Krakowa,
cierpienia jego się nie umniejszały, lecz dręczyły go coraz się powiększając. W przedostatni dzień
miesiąca października przywieziono go na zamek krakowski, gdzie też pierwszego dnia listopada
kazał pytać przeze mnie lekarzy stojących przed jego łóżem, czy już jest w Krakowie. Gdy ich
zapytałem: „czy król pan jest w Krakowie?“, wyżej wspomniany mistrz Mateusz rzekł: „czy on
mający, czy dostał pomieszania zmysłów, że się pyta, czy król jest w Krakowie?“ Na to mu
odrzekłem: „wie on dobrze, że jest w[...]² ordynując lekkie lekarstwa, których będąc w drodze
mieć nie mogliście; lecz teraz zdaje mu się, że złdnych starań do niego nie przykładać“. Na to
mistrz Mateusz, jakby piorunem rażony, powiedział, że będzie ze swoimi kolegami dokładał
najusilniejszych starań, o ile będzie umiał. Wkrótce potem król przeze mnie kazał się ich zapytać,
czy spozstrzegają w nim jakiegokolwiek znaki śmierci, aby mu to przez Boga wyjawili, by mógł

¹Kiedy w XIX stuleciu otwarto grobowiec króla, okazało się, że kość była złamana.

²W tym miejscu we wszystkich odpisach kroniki Janka z Czarnkowa jest luka.

rozporządzić co do zbawienia swej duszy i co do domu. Oni zaś, obyczajem lekarzy, wróżyli mu ; przepowiadali długie życie. Król wszakże, wątpiąc o odzyskaniu zdrowia, trzeciego dnia tegoż miesiąca, rano o wschodzie słońca, napisał testament, w którym tak kościołom, jak ubogim i sługom swoim wielką ilość dóbr i dziedzictwa zapisał [...] Rozporządziwszy tedy przyzwoicie i prawnie tak tym, jak i wszystkim innym, w następny wtorek, który był piątym dniem miesiąca listopada, rano o wschodzie słońca, w obecności wielu osób ze szlachty i duchowieństwa odszedł szczęśliwie do Chrystusa.

KONIEC DYNASTII

Kronikarze bardzo obszernie opisywali rozpacz narodu po śmierci Kazimierza Wielkiego i nie wolno lekceważyć tych wieści. Zgon króla był ciosem, który spowodował dziwne odrętwienie, paraliż woli u ludzi skądinąd pewnie dzielnych.

Jeszcze w tym samym roku 1370 straciła Polska Santok. Opanował go magnat brandenburski Hasso von Huchtenhein, wspierany zdradą przez trzech Niemców z załogi zamkowej. Obrona trwała kilkanaście dni. Odsiecz z Wielkopolski przysłała późno. Santok, odzyskany przed pięciu zaledwie laty, przepadł bez wojny i potężne państwo pogodziło się z faktem dokonanym. „Strofowali też Polacy Sasów za to zgwałcenie pokoju, lecz Sasi wyśmiewając się z nich, zabrali zamek.”

Jednocześnie Kiejstut uderzył na Włodzimierz Wołyński, gdzie królewski budowniczy, ksiądz Waclaw z Tęczyna, pośpiesznie kończył murować twierdzę. Nie doszła go już ostatnia rata sześciuset grzywien, którą kazał mu postać Kazimierz, w agonii nawet pamiętający o tej fortecy.

Był we Włodzimierzu również drugi gród, stary i drewniany. Kiejstut zmusił do kapitulacji obie załogi polskie, które podobno mogły się z powodzeniem bronić, ale dowódcy zabrakło ducha. Murowany zamek Litwini zrównali z ziemią, oszczędzili natomiast i obsadzili własnym wojskiem stary. Istniał bowiem wtedy pogląd, że drewniane wały znacznie lepiej znoszą ogień „puszek” niż ceglane lub kamienne.

W tych warunkach napięte już plany wojny o Śląsk i Odrę straciły znaczenie. Nie mogła Polska występować zaczepnie wtedy, gdy - jak pisze Długosz -

po śmierci Kazimierza III, dostojnego króla polskiego, gwiazdy najświetniejszej Polaków, który z osobliwszej miłości swego kraju i rodu królestwo polskie tak wysoko wznosił, ozdobił i uświetnił, zawrzała zaraz w zawistnych wrogach Polski żądza zagarniania królestwa, jego zamków, warowni i ziem pogranicznych, acz za życia Kazimierza lękając się jego oręża spokojnie dosiadywali.

Pozostał jednak testament królewski spisany na dwa dni przed śmiercią, a w nim postanowienia mające umocnić cele polityki króla, uczynić je po prostu koniecznością. Były to punkty dotyczące osoby księcia Kazka. Kazimierz Wielki dawał i zapisywał mu: księstwa sieradzkie, jęczyckie i dobrzyńskie, kasztelanie bydgoską i kruszwicką oraz grody w Złotowie i Wałczu. Wszystkim tym miał Kazko władać jako lennik Ludwika, króla Polski i Węgier. Jasne się zdawało, że tak hojnie uposażony wnuk ostatniego Piasta, zięć księcia mazowieckiego i szwagier cesarza Karola IV, po śmierci Ludwika obejmie tron polski.

Zwraca uwagę, że zapisane Kazkowi ziemie graniczyły z jednej strony z jego własnym nadmorskim księstwem słupskim, z innych zaś - z Mazowszem, państwem krzyżackim oraz Śląskiem. Kazimierz Wielki wiązał przyszłego spadkobiercę korony ze wszystkimi kluczowymi zagadnieniami państwa, zmuszał go do myślenia o całym kraju. Stwarzał warunki kształtujące polityka. Panowie małopolscy, stanowiący otoczenie zmarłego monarchy, unieważnili testament. W oczach podkanclerzego przecięli pergaminy. Kazko nie dostał Sieradza i Łęczycy, spadł więc do rzędu zwykłych pogranicznych książąt lennych.

Postępek komesów krakowskich uważa się zazwyczaj za wyraz ich niechęci do polityki zachodniej, za dowód większego zainteresowania ziemiami położonymi nad Dniestrem niż nad Odrą. Nie można temu przeczyć. Niezależnie zresztą od osobistych czy rodowych korzyści, płynących dla magnatów z polityki wschodniej, Małopolanie z natury rzeczy musieli pilnie patrzeć na to, co się dzieje za Sanem, i bardzo się rachować z Węgrami, z którymi ich dzielnica graniczyła bezpośrednio. Żadne jednak rozważania natury ogólnej nie zmieniają faktu. Krakowscy panowie przekreślili testament Kazimierza Wielkiego, zdegradowali księcia Kazka i postąpili słusznie.

Dziwnie uwziął się los na dziedzictwo po królu Kazimierzu. Nie dał mu legalnego syna, obdarzając go tylko nieprawymi. I na domiar złego wybranemu następcy - Kazkowi - odmówił zdolności oraz charakteru.

Trudno rozstrzygnąć, ile było zaślepienia w upartym popieraniu Kazka przez króla Kazimierza. I największe umysły potrafią czasem szwankować. Nie wiedział król o tym, że w maju 1370 r. - w dobie gorączkowych zabiegów dyplomatycznych poprzedzających planowaną wojnę - Kazko w tajemnicy przeszedł na stronę cesarza Karola IV. Obiecał poprzeć jego pretensje, za co przyrzeczono mu tak zwaną Marchię Wkrzańską, położoną na lewym brzegu Odry. Ale dostać ją miał dopiero po opanowaniu przez cesarza Brandenbur-

He jest mężem stanu człowiek dla obietnic zdradzający interesy i wielkie plany polityczne państwa. I to w dodatku takiego państwa, którym sam w przyszłości ma rządzić. Doradcy króla Kazimierza trzeźwo widać oceniali młodego księcia.

I w polityce wewnętrznej Kazko byłby istnym zaprzeczeniem wielkiego dziada. Cechowała go bowiem chorobliwa wprost rozrzutność, w niczym nie przypominająca monarszej hojności. Kazko tak umiejętnie trwonił swe dobra i dochody, że często nie miał z czego żyć. Z ciągłych tarapatów ratowały go podarunki siostry, cesarzowej Elżbiety, lecz upomnienia jej trafiały w próżnię. Zdrowia był księżę wątłego. Łatwo zapalał się i ulegał wpływom. Słowem - żadnych danych na polityka. Zresztą Kazko tylko o niepełne siedem lat przeżył dziada. Zginął w pospolitej awanturze.

Słynęła wtedy w Polsce i w Europie postać Władysława Białego. Było to drobne piastowskie książętko z Gniewkowa. Władysław sprzedał swą dziedzinę Kazimierzowi Wielkiemu, po czym ruszył do Palestyny szukać przygód, następnie został cysterszem. Zbrzydziwszy sobie ten zakon, przeniósł się do benedyktynów francuskich. Jednakże na wieść o śmierci króla polskiego zrzucił habit i wrócił nad Wisłę jako pretendent do tronu. Popierał go między innymi kronikarz Janko z Czarnkowa i próbował wykraść dlań koronę z grobowca Kazimierza Wielkiego (za co utracił urząd, a na krótko i wolność). Władysław Biały zebrał kupę oczajduszów - „ludzi silnego i hartownego ciała”, między którymi nie brakowało również Niemców - i zajmował różne grody. Jesienią 1376 r. obleżono go w Złotorzy koło Torunia.

Z charakterystycznych cech rodu piastowskiego Władysław Biały dziedziczył tylko jedną, najmniej chwalebłą - okrucieństwo. Wyprawił oblegającym wojskom widowisko paląc żywcem na stosie przed bramą Złotorzy dwóch ludzi, którzy chcieli wydać zamek. Ostatecznie musiał się poddać. Pojechał na Węgry gdzie został opatem jakiegoś klasztoru. Potem znowu powrócił do francuskich benedyktynów, umarł w Dijon i tam jest pogrzebion (siostra jego, Elżbieta, wyszła za bana Bośni, Stefana Kotromanica; córka ich, również Elżbieta, to druga żona Ludwika Węgierskiego, matka Jadwigi, królowej Polski i Litwy).

W czasie ostatniego szturmu na Złotorję rzucony z murów kamień zranił w głowę księcia Kazka, który zmarł w Bydgoszczy, 2 stycznia 1377 roku.

O przyszłości tronu polskiego, a więc i historii państwa rozstrzygnął ślepy Przypadek. Decydujące słowo wyrzekły okoliczności, na które nikt nie miał wpływu.

Los uśmiechnął się do Polski, kiedy następcą Władysława Łokietka uczynił

najmłodszego z jego synów, tego właśnie, który okazał się politycznym geniuszem. A potem jakby się uwziął. Bo nie tylko Kazimierz Wielki, również jego spadkobierca - Ludwik Węgierski - nie miał syna i tron wawelski odziedziczyła niewiasta. Jednocześnie zaś w sąsiedniej Litwie Olgierd radował oczy widokiem dwunastu męskich potomków, Kiejstut zaś - sześciu.

Od dawna już historycy twierdzą, że jeszcze jedno lub dwa pokolenia rządów piastowskich, a Polska pewnie powróciłaby nad Bałtyk i na Śląsk. Gdyby zresztą sam Kazimierz nie szczył wskutek przypadku, gdyby dożył wieku ojca...

Z potężnie ongi rozrodzonej dynastii pozostały tylko boczne gałęzie. Śląska, pozbawiona pomocy Krakowa, wegetowała do XVII wieku. Mazowiecka wymarła w stuleciu XVI, a ziemie jej stały się częścią składową naszego państwa. Nie było, niestety, nikogo, kto umiałby zapewnić Polsce spacje po panach Śląska i Pomorza Zachodniego.

Wygaśnięcie głównej, królewskiej linii Piastów było wydarzeniem ogromnej wagi. Złożenie do grobu zwłok Kazimierza Wielkiego i objęcie rządów przez Ludwika Węgierskiego to nie tylko zmiana osoby i rodziny panującej.

W listopadzie 1370 r. dokonała się fatalna w skutkach zmiana dotycząca samej istoty polityki królestwa. Polska nie utraciła oczywiście niepodległości, ustroju czy siły, ale rozstała się ze swym dotychczasowym charakterem monarchii narodowej. W najbliższej przyszłości tron krakowski miał być traktowany jako wiano jednej z trzech węgierskich królowien, przy czym nikt nawet z góry nie określał... której mianowicie. Kraj wkraczał na karkołomne ścieżki polityki dynastycznej. Kołatał się po nich długo, przez całe stulecia, marnując bajeczne koniunktury polityczne, takie, jakich za Piastów a n i razu nie było.

Tak się złożyło, że blask epok późniejszych, w szczególności kultury Złotego Wieku Odrodzenia, pozornie pogłębił cienie czasów piastowskich. Najwybitniejsi historycy nie wahali się lekceważyć ich dorobku, a nawet twierdzić, że tytuł Wielkiego dostał się królowi Kazimierzowi właściwie przez nieporozumienie. Dopiero lata drugiej wojny światowej wydobyły na jaw prawdę, że jedynym naszym dziedzictwem, którego istnienia najgorszy wróg zaprzeczyć ani przekreślić nie może, jest fakt egzystencji narodu i międzynarodowy problem państwa polskiego, zajmującego określone miejsce w Europie i posiadającego odrębną kulturę. I jedno, i drugie - naród i jego państwo o zdecydowanym obliczu - uformowały się i okrzepły w dobie piastowskiej. Jak się okazało, tego wielkiego „minimum” nie zdołały zniweczyć ani mocarstwa rozbiorcze, ani Rzesza Adolfa Hitlera. Epoka naszej pierwszej dynastii stwo-

rzyła niezniszczalne fakty dziejowe. Czasy późniejsze osiągały rzeczy równie trwałe, ale wyłącznie w dziedzinie kultury.

Żadne przedwieczne wyroki nie orzekały, że między Odrą a Wisłą koniecznie musi wyrosnąć Polska. Kiedy pierwsi książęta piastowscy obwarowywali się na wzgórzu gnieźnieńskim, Łaba płynęła przez kraj słowiański, Obodrzyce siedzieli tam, gdzie dziś Lubeka. W przeciągu trzystu następnych lat bez porównania silniejsi Niemcy wchłonęli wszystko aż po Odrę, przekroczyli ją... przekroczyli również Wisłę, ramieniem zbrojnych zakonów sięgając ujścia Dźwiny. Polska ostała się i przetrwała w okolicznościach nad wyraz trudnych.

Dokonało się to pracą, męstwem i poświęceniem narodu, pod politycznym przywództwem dynastii rdzennie polskiej. Kiedy się rozważy jej dzieje, można dojść do wniosku, że między nią a państwem zachodził ten sam związek natury moralnej, jaki zazwyczaj łączy polskiego chłopca z jego dziedzicznym gospodarstwem. Zdarzały się odstępstwa od tej reguły, lecz zdecydowanie przeważał tamten głęboki nurt obowiązku i troski będącej sprawą sumienia.

Najbardziej mroczny okres za Piastów to rozbitcie dzielnicowe. Ale przecież i wtedy niemal ciągle ktoś myślał o scaleniu państwa. Właściwie tylko czterdziestolecie między klęską pod Legnicą a rządami Leszka Czarnego wyżyło się szerszej myśli politycznej. Jednak i wówczas w Wielkopolsce zachodziły zjawiska dodatnie.

W dziejach Polski piastowskiej prawie nie ma „akcentów imperialnych” - państwo interesowało się przede wszystkim, niemal wyłącznie, ziemią zamieszkaną przez plemiona lechickie. Ta okoliczność dawniej mogła uchodzić za obniżającą znaczenie epoki, dziś stanowi tytuł do chwały, uzasadnia dodatnią ocenę.

Słyszysz się czasem, że myślą przewodnią polityki piastowskiej była walka z Niemcami i przeciwstawianie się im we wszelkich okolicznościach. Nic bardziej fałszywego! Piastowie budowali państwo, w zależności od warunków współpracując z każdym, komu było po drodze, i zwalczając każdego, kto przeszkadzał. W roku 990 Niemcy stali po stronie Polski, która po raz pierwszy w swych dziejach sięgała po Śląsk. Posiłki ich żadnej pożytecznej roli nie spełniły, narobiły tylko kłopotu, ale fakt współpracy jest niezbity, a podobne przykłady można mnożyć.

Nie składała się ta dynastia z aniołów. Niektóre jej czyny przywodzą raczej na pamięć to, co ktoś powiedział o angielskim rodzie królewskim - że się wywodził od Diabła ' i składał z diabłów wcielonych. W rocznikach dziejów

'Robert Diabeł, książę Normandii, ojciec Wilhelma Bastarda, zwanego Zdobywcą.

piastowskich są postęпки, których okrucieństwo łamie wszelkie granice człowieczeństwa. Konrad Mazowiecki był potworem, godnego następcę znalazł w Ziemowicie III, a kompanów w osobach wielu kuzynów, zwłaszcza ślaskich. Straszliwych rzeczy dopuszczali się nawet tacy, jak Przemysław II i Kazimierz Wielki.

Historia Piastów zadaje kłam pewnemu rozpowszechnionemu mniemaniu. W tym rodzie zdarzało się nieraz, że po znakomitym ojcu dziedziczył równie wybitny lub większy jeszcze syn - Bolesław Chrobry po Mieszku I, Bolesław Śmiały po Kazimierzu Odnowicielu, Henryk Pobożny po Brodatym, Kazimierz Wielki po Władysławie Łokietku.

I jeszcze jedna teoria nie znajduje potwierdzenia. W Polsce piastowskiej nie znać owej rzekomo wrodzonej naszemu narodowi miekkości ani zamięłowania do „jakoś to będzie”. ani braku troski o sprawy gospodarcze i skarbowe.

W zapisanych przez kronikarzy czynach władców przejawiał się ówczesny charakter narodu. Jemu też - całemu narodowi polskiemu - przypisać należy to, co Jan Długosz powiedział o politycznym spadku po Kazimierzu Wielkim:

„Rozumem swoim i mądrością kraj wewnątrz uporządkował, dostojeństwa, urzędy i służbę publiczną ustalił, tak iż nawet pod gnusnym i niezdolnym rządcą mogło królestwo, na jego ustanowieniach oparte, utrzymać swój byt trwały, pomyślność i chwałę.”

Warszawa, maj 1957 - luty 1958 r.

POSŁOWIE

Kończąc opowiadanie o Polsce Piastów należy poświęcić kilka słów źródłom i opracowaniom, z których się korzystało. Wyszczególnianie ich nie jest potrzebne ani możliwe. Autor czerpał pełną gars'cia z bogatego dorobku polskiej literatury historycznej, poczynając od Galla i kończąc na ostatnio drukowanych książkach. Bardzo obszerny wykaz starszych i nowszych dzieł znajdzie czytelnik w tomach *Historii Polski*, wydawanych przez Polską Akademię Nauk.

Te same względy, które zwolniły autora od obowiązku omawiania źródeł i lektury, decydująco wpłynęły również na treść tej książki.

Nie rości sobie ona najmniejszych pretensji do godności dzieła naukowego, nie jest też podręcznikiem. *Polska Piastów* to tylko swobodne, literackie opowiadanie o tym rozdziale naszych dziejów.

W takim opowiadaniu na pierwszym planie stać muszą żywi ludzie, aktorzy konkretnych wydarzeń. Losy po imieniu nazwanego człowieka stanowią bowiem wieczny przedmiot zainteresowań literatury - bez względu na to, czy ów człowiek naprawdę kiedyś istniał, czy też jest tworem wyobraźni pisarza. Problemy i zagadnienia ukazują się w przeżyciach osób.

Postępować odwrotnie - to znaczy stawiać na pierwszym miejscu problem, a człowieka gdzieś w głębi - może tylko piśmiennictwo naukowe. Ono jedno ma do tego prawo.

Wysuwając na czoło losy dynastii autor nie zamierzał wtrącać się do filozoficznego sporu o to, co stanowi prawdziwy i główny motor historii. Chciał tylko pogawędzić o rzeczywistych ludziach i faktach naszej historii, nie tracąc nadziei, że taka opowieść przemówi do wyobraźni, zainteresuje czytelnika i zachęci go do sięgnięcia po książki naukowe.

Paweł Jasienica



*Polska
Piastów*

Państwowy Instytut Wydawniczy